

# Jon Courtenay Grimwood

## PASZA-ZADE

NAKŁADEM SOLARIS UKAZAŁY SIĘ M.IN.:

Ben Bova „Mars”

Ben Bova „Skalne szczury”

Marcin Wolski „Bogowie jak ludzie”

Fritz Leiber „Zobaczyć Lankmar i umrzeć”

Fritz Leiber „Droga do skarbu”

Harlan Ellison „Niebezpieczne wizje”

Harlan Ellison „Ptak śmierci”

Robert Silverberg „Pożegłować do Bizancjum”

Pat Cadigan „Wgrzesznicy” /

Thomas R.P. Mielke „Sakriversum”

Andreas Eschbach „Gobeliniarze”

Marina i Siergiej Diaczenko „Armaged-dom”

H.L. Oldi „Magia przeciw Prawu. Magioso”

W PRZYGOTOWANIU:

Andreas Eschbach „Wideo z Jezusem”

Thomas R.P. Mielke „Karol Wielki”

John Crowley „Aegipt”

Robert Silverberg „Długa droga do domu”

Fritz Leiber „Obleżenie Lankmaru”

Steph Swainston „Rok naszej wojny”

Jon Courtenay Grimwood „Efendi. Druga arabeska”

Jon Courtenay Grimwood „Fellahowie. Trzecia arabeska”

Marina i Siergiej Diaczenko „Magom wolno wszystko”

H.L. Oldi „Mag z łaski Prawa. Magent”

C.J. Cherryh „40000 z Gehenny”

Przełożył Dariusz Kopociński

SOLARIS

Olsztyn 2004

Pasza-zade. Pierwsza arabeska tytuł oryg. Pashazade. The First Arabesk

Copyright © 2001 by Jon Courtenay Grimwood All Rights Reserved Copyright © 2004 for Polish translation by Dariusz Kopociński

ISBN 83-88431-95-1

Panu dr Jerzemu Łacinie dziękuję za nieocenioną pomoc

Dariusz Kopociński

Projekt i opracowanie graficzne okładki Dorota Bocheńska Korekta Bogdan Szyma Skład Tadeusz Meszko

Wydanie I

Agencja „Solaris” Małgorzata Piasecka ul. Generała Okulickiego 9/1, 10-693 Olsztyn tel/fax. (0-89) 541-31-17 e-mail: [agencja@solaris.net.pl](mailto:agencja@solaris.net.pl) [www.solaris.net.pl](http://www.solaris.net.pl)

Dla rudowłosej dziewczyny, która stała na zimnym wietrze pod mostem Waterloo,

i dla gitarzysty solowego Sepuku Chihuahua. Będzie tak, jak było...

Życ można różnie, lecz na więcej sposobów można być umarłym...

y

Prof. Richard Dawkins, Ślepy zegarmistrz

Jon Courtenay Grimwood

## Rozdział 1

Słuchał głosu fontann jak muzyki w stereo. Jedna w dole, na zewnątrz, głucho chlupotała, druga delikatnie ciurkała w pomieszczeniu obok, gdzie w murze od strony dziedzińca wykrojono arkadki - wsparte na marmurowych kolumnach łączonych balustradami. Co dawało pewne pojęcie o tym domu: wiekowym, gdzieś bliskim ruiny, mającym własną historię.

- Temperatura powietrza: 85°F. Wilgotność: 62%... - Amerykanin starannie wymawiał słowa, odczytując informacje z wyświetlacza zegarka. Przez rozbite okno zerknął na maleńki skrawek nieba. - Zachmurzenie umiarkowane, słońce schowane.

Felix Abrinsky przekonał się, że nie ma w tym pomyłki, kiedy niezgrabnie przyklęknął i żółtymi od tytoniu palcami dotknął marmurowej posadzki. Płytki były ciepłe, ale nie gorące. Nie przechował się w nich żar porannej spiekoty, który mogłyby po południu oddawać do otoczenia.

O dziwo, mniej wysiłku kosztowało go wstawanie niż klękanie, choć w obu przypadkach musiał najpierw wziąć głęboki oddech. Dłonią ze srebrnym sygnetem, którą zamierzał obetrzeć pot z czoła, zdołał jedynie rozsmarować brylantynę na włosach i cienkim końskim ogonie.

Przepisy obowiązujące w policji wymagały założenia maski, gumowych rękawiczek oraz, w jego przypadku, opasek przeciwpotowych, aby przypadkiem nie doszło do biologicznego zanieczyszczenia śladów i dowodów przestępstwa. Felix był jednak szefem wydziału śledczego, więc na miejscu zbrodni zwykł postępować według własnego widzimisię, to znaczy bez przemęczania się, swobodnie, na luzie. Nie przeszkadzały mu promile wypitego alkoholu. Dzięki tym właśnie mało zaszczytnym cechom podziękowano mu za pracę w Los Angeles.

## Pasza-zade

7

A jeśli mowa o tym, gdzie teoretycznie powinien się teraz znajdować, to warto wspomnieć o wczasach. Z pewnością byczyłby się w kurorcie, gdyby to zadanie nie spadło na jego barki tak szybko, że nawet nie miał czasu się wyłgać.

Postać na fotelu zginęła niedawno, bo gdy dotykał ciała, było jeszcze ciepłe. Ręce już wyraźnie zeszywniały, aczkolwiek stężenie pośmiertne pojawiało się wcześniej, jeśli denat doprowadził się do skrajnej anoreksji. Afrykański upał także robił swoje. W gorącym powietrzu ciało chudej kobiety tężało znacznie szybciej.

Po przybyciu na miejsce Felix zastanawiał się, czy nie zmierzyć natychmiast temperatury ciała. Jednakże miał w zwyczaju najpierw zabezpieczać ślady, a potem badać miejsce zbrodni fragment po fragmencie, zbierając materiał dowodowy. Choć w zasadzie i tak postąpił wbrew przyzwyczajeniom, gdy szukał tętna na arterii szyjnej, chociaż ofiara bez wątpienia nie żyła.

- Przed fotografowaniem otoczenia przykrywam ciało.

Były takie miasta, gdzie używano elektronicznych obserwatorów: kamer typu „rybie oko” o kącie

widzenia 360°, reagujących na dźwięk i ruch. W al-Iskandarijji w razie potrzeby wykorzystywano do tych celów wytypowane osoby. Goguś, którego wybrał sobie Felix, stał w drzwiach i robił dokładnie to, czego od niego wymagano: trzymał głowę na kłódce i nie plątał się pod nogami.

W trosce o pośmiertną godność kobiety Felix wydobyl z opakowania foliowego rulon cieniutkiej gazy. Za życia tę samą funkcję spełniała chusta zakrywająca jej włosy na ulicy. Teraz oczywiście nie było żadnej chusty, ponieważ kobieta zginęła zasztyletowana u siebie w mieszkaniu, za biurkiem we własnym gabinecie.

- Przystępuję do fotografowania miejsca zbrodni. - Grubas uniósł wysłużony aparat marki Speed Graphic, sprzężony z jeszcze starszym chronografem, w który wyposażył go Departament Policji Los Angeles. Urządzenie rejestrowało każde zdjęcie, podobnie jak sam aparat automatycznie wyświetlał czas, datę i kąt patrzenia.

15:30. 6 lipca. Południowy-południowy-zachód.

8

Jon Courtenay Grimwood

Felix głośno komentował wszystkie swoje czynności; spręzał się, bo chciał jak najszybciej ze wszystkich stron obfotografować mały gabinet. Dopiero potem mógł się zająć ciałem.

- Ujęcie piąte. Medresa al-Mansur. Wnętrze mieszkania na piętrze. Zachodnia ściana i kąt gabinetu widziane od strony drzwi. Speed Graphic Digilux. Obiektyw 50 mm. Ekwiwalent K400.

Komentarz miał wyjaśnić zebranym w sądzie, co widać na zdjęciu, jakiego używał sprzętu i jakie było oświetlenie, czyli to, czego i tak by się dowiedzieli z odczytów aparatu. Felix uczył się jednak rzemiosła jeszcze w czasach, kiedy do speed graphiców pasował film na podłożu acetylocelulozowym, a adwokaci oskarżonych bezlitośnie czepiali się wszelkich, choćby najdrobniejszych nieścisłości w dokumentacji technicznej. Z drugiej strony, Felix mówił bardziej do siebie niż do aparatu czy świadka.

Obecnie adwokaci nie psuli mu nerwów. Jeżeli szef wydziału śledczego twierdził, że ten a ten popełnił przestępstwo, sędzia przychylił się do jego zdania. Podejrzany trafiał za kraty. Niestety, Felix zrozumiał to dopiero po kilku miesiącach pobytu w al-Iskandarijji. Wspomnienie trzech prowadzonych wtedy spraw wciąż nie dawało mu spać po nocach... Nawet czterech, jeśli nie stosował wobec siebie taryfy ulgowej.

- Ujęcie jedenaste. Medresa al-Mansur. Wnętrze mieszkania na piętrze. Otwarte drzwi widziane od strony okna z rozbitą maszrabiją. Okno wychodzi na południe, na Rue Sherif...

Pierwotnie maszrabijje były osłoniętymi balkonami, gdzie zostawiano w dzbanach wodę do ostygnięcia. Wszelako od dawna określano tą nazwą również kunsztownie rzeźbioną przesłonę, którą ludzie przebywający na balkonie odgradzali się od ulicznego zgiełku. Spotykało się często maszrabijje z marmuru, ale też z pozłacanego lub malowanego drewna.

Roztrzaskana maszrabijja w medresie al-Mansur, wyrzeźbiona przed dwustu laty w jednym bloku alabastru, teraz leżała w kawałkach, jakby ktoś z zewnątrz zdruzgotał ją

Pasza-zade

kopniakiem. Balkon znajdował się wszakże piętnaście stóp nad gwarną ulicą, co włamywaczom nie mogło być na rękę. Chyba żeby wziąć pod uwagę agentów Thiergarten, którzy najwyraźniej potrafili skradać się niezauważenie, mordować po cichu i wspinać się po ścianach jak muchy...

Felix westchnął. Berlin kupował dla swoich szpiegów wiele sprytnych gadżetów, ale za ich reputację bezwzględnych zabójców płacić nie musiał.

Oficjalnie, rzecz jasna, Berlin był sojusznikiem al-Iskan-darijji, ledwie równorzędnym partnerem w potężnym, trójstronnym przymierzu z Istambułem i Paryżem. Nieoficjalnie, wpływy Francji ograniczały się do Maroka, podczas gdy berlińscy emisariusze panoszyli się na pozostałych wybrzeżach Morza Śródziemnego. Istambuł gromadził w bankach zyski z eksploatacji Kanału Sueskiego i najczęściej robił to, co mu kazano.

Polityka. Oto temat, którego Felix zawsze starał się unikać.

Mrucząc z rozdrażnieniem, otarł świeży pot z twarzy i zrobił dwa zdjęcia głupiemu szmaccianemu pieskowi, którego obecność gryzła się z dystygowaną elegancją biurka.

Aż w końcu, nie mogąc już dłużej zwlekać, skierował aparat na zwłoki.

- Ujęcie trzynaste. Medresa al-Mansur. Wnętrze mieszkania na piętrze. Ciało denatki widziane sprzed biurka. - Felix zerwał z niej gazę i po raz drugi przyjrzał się ranom. Ich widok nie był łatwiejszy do strawienia niż za pierwszym razem.

Prędko się zabrał do rzeczy. Fotografując świadectwa popełnionej zbrodni, wykonywał zbliżenia rozciętej bluzki, dłoni z połamanymi paznokciami, ciemnej strużki krwi, która wypłynęła na bok ofiary i tam zaschła.

Kobieta miała czterdzieści parę lat. Wzrost średni. Oczy brązowe, nieruchomo skierowane w sufit. Włosy czarne, krótkie, elegancko przystrzyżone u drogiego fryzjera. Na razie nie obserwowało się zmętnienia rogówek, a zatem zgon nastąpił nie dawniej niż przed sześcioma godzinami. Ale przecież Felix i tak o tym wiedział. Szacował, że zabito ją dwie godziny temu.

## 10\_Jon Courtenay Grimwood

Ręka wisiła przerzucona przez poręcz fotela, głowa odchyliła się na oparciu. Zwiotczenie mięśni, poprzedzające stężenie pośmiertne, wygładziło twarz i nadało jej pogodny wyraz, jaki przed śmiercią nigdy na niej nie gościł. Wyraz bez porównania pogodniejszy od tej zawziętej nienawiści, która biła ze zdjęcia na okładce leżącej na biurku gazety, popołudniowego wydania „Iskandriana”.

„Berlin wściekły: wdowa z wyższych sfer potępia Ren-Schmiss”.

Cóż, członkowie niemieckiej socjety w al-Iskandarijji, uzurpujący sobie prawo do chlastania się po twarzy, wielcy miłośnicy blizn z pojedynków, najprawdopodobniej postanowili odpłacić jej pięknym za nadobne. Wciskając guzik z boku speed graphica, Felix zmniejszył głębię ostrości, aż ujęcie przedstawiało tylko to, co chciał pokazać sędziemu. Obrażenia w dużym zbliżeniu.

W jego odczuciu, ofiara traciła znamiona człowieczeństwa. W tym względzie różnił się od swych podwładnych i szefa... oraz madame Mili, pani koroner, która pewnie już tu jechała. Dla nich postać

rozwalona w fotelu nadal była kobietą. Zastępującą na wszelką, gwarantowaną przez prawo, troskę i szacunek.

Dlatego odsunął na bok inne obowiązki, aby przybyć pierwszy na miejsce zdarzenia. W Mieście Aniołów, gdzie przeszedł szkolenie, pstryknąłby jeszcze parę zdjęć, zdjął odciski palców, pobrał przydatne ślady biologiczne (jak włosy) i schował je do torebek, a na koniec po kolei odkurzył wszystkie części ubrania, a pył umieścił w saszetkach. Później, po pieczołowitym i nie budzącym wątpliwości udokumentowaniu położenia ciała ofiary, kazałby lekarzowi medycyny sądowej przenieść denata w inne miejsce - gdzieś blisko, ale nie za blisko - i tam rozebrać go do naga. Wówczas zrobiłby zdjęcie każdej rany i każdego siniaka.

Jednakże w al-Iskandarijji postępowano inaczej w przypadku zbrodni na kobietach. Przynajmniej oficjalnie. Teraz, niestety, miał do czynienia z wyjątkowo spektakularnym przestępstwem. Ofiara była niegdyś żoną ważnej osobistości, teraz podobno zadłużoną na wielką sumę (nie mówiono, u kogo) i na tyle pyską, że podpadła niemieckim doradcom młodego chedywa.

Pasza-zade

11

Zazwyczaj tego rodzaju zbrodniom towarzyszyły konferencje prasowe, sesje zdjęciowe i wyrafinowane gierki polityczne, które, każde na swój sposób, utrudniały rozwikłanie sprawy.

Felix sięgnął do kieszonki, skąd wyciągnął srebrną piersiówkę. Pstryknął kciukiem i odskoczyła sprężynowa zatyczka. Jak w prawie każdej dziedzinie życia, przydawało się trochę praktyki.

12 Jon Courtenay Grimwood

Rozdział 2

3 lipca

Trzy dni wcześniej, zanim wakacyjne plany szefa wydziału śledczego niespodziewanie wzięły w łeb, milczący obserwator z medresy al-Mansur siedział przy stoliku w kafejce i dumiał. Ma się rozumieć, wtedy jeszcze nie znał Felixa i wciąż w myślach mówił o sobie: ZeeZee. Co już wkrótce miało się zmienić, chociaż nie zdecydował jeszcze, kim się stanie.

Tak czy owak, nie widział sensu prażyć się w słońcu, szukać odpowiedzi na pytania „kto”, „co” i „dlaczego”...

A „gdzie”? Ta kwestia nie budziła żadnych wątpliwości. Zgodnie z zapewnieniami lisa, patrząc z olbrzymiej wysokości, widać było zieloną deltę wbitym klinem w żółte piaski. Przyroda walczyła z żywiołami. A raczej walczyła sama z sobą...

Lis miał bzika na punkcie tego „kto”, „co” i „dlaczego”. Od dawna była to jedna z jego najbardziej denerwujących cech. Lis żył w głowie ZeeZee'ego. Zwykle się stamtąd nie ruszał.

W dzieciństwie zadawał mu raz po raz tego typu pytania, ale lisy starzeją się prędzej niż ludzie. Ten był już leciwy i zmęczony. Mimo to prawie zawsze można było wyczuć, jak czai się w źrenicach oczu, gotów przejąć kontrolę. ZeeZee jakoś go znosił, zwłaszcza odkąd zrozumiał, że są na siebie skazani. Niejeden raz - dawniej, kiedy często rozmawiali - lis opowiadał mu naprawdę ciekawe rzeczy...

Z pułapu przestworzy delta jawiła się więc jako zielony klin, wciśnięty w żółtą pustynię. Rozciągnięta na 100 mil z północy na południe (a właściwie 125, jeśli mierzyć od samego jej górnego wierzchołka) i o wiele, wiele dłuższa wzdłuż

Pasza-zade\_13

jezior lagunowych i zatoczek na poszarpanej jak krawędź frak-tala linii wybrzeża - zmagła się z naporem bezwodnych pustkowi, których poziom obniżał się o 2 tysiące stóp ku oddalonej o ledwie dzień jazdy depresji al-Kattara.

Daleko na południowy-zachód od delty rozpościerało się Wielkie Morze Piasku, obszar miejscami tak bardzo spalony przez słońce, że krzemionka niektórych wydm stopiła się i przekształciła w bryłki zielonkawożółtego szkła. Na terenie Morza Piasku, niczym klejnoty wielkości ludzkiej pięści, leżało w sumie ponad 1400 ton tego najczystszej naturalnego szkła, jakie można znaleźć na Ziemi. Charakteryzowało się temperaturą topnienia wyższą o 500° niż większość szkła spotykanego w przyrodzie i taką twardością, że żelaznym punktem programu wszystkich wypraw geologicznych było podgrzewanie bryłki do czerwoności i wrzucanie jej do zimnej wody. Zdumiewało to, co się wtedy ze szkłem nie działo: nie rozpryskiwało się na kawałeczki.

Wśród naukowców trwał zażarty spór o to, czy szkło jest śladem po czołowym uderzeniu meteorytu, czy może w zamierzchłych czasach meteoryt wleciał płasko w atmosferę ziemską i, niczym kamień rzucony na wodę, prześliznął się po powierzchni Morza Piasku; szkło powstałoby w wyniku tarcia. Jedno było pewne: z kawałka takiego szkła wykonano podobiznę świętego skarabeusza; oprawiono go w złoto i wręczono królowi. Żuka odnalazł Wilhelm Dorpfeld w grobowcu Tutenchamona. Obecnie można go było oglądać w Muzeum Chedywów w Umm el-Dunja.

Zieleń delty pstrzyła się mozaiką obficie namulonych pól ryżowych, plantacji palm daktylowych, wiosek i miast rozbiegających się wachlarzem od miejsca położonego tuż na północ od Umm el-Dunja aż do południowego wybrzeża Morza Śródziemnego, gdzie zimą fale tłukły o jałowe, odludne plaże.

Deltę przecinały trzy trakty komunikacyjne, arterie olbrzymiego wachlarza. Ale chociaż jeden łączył bezpośrednio stolicę z al-Iskandariją, niewielu spośród tych, co wędrowali tą drogą, przebywało ją od początku do końca. Ludzie bądź to latali nad deltą, bądź korzystali z wygodnej, pustynnej autostrady - czarnego pasa nawierzchni bitumicznej,

J

14 Jon Courtenay Grimwood

gdzie brygady skazańców toczyły niekończącą się wojnę z wiatrem, który obsypywał zwirem pobocza.

Wolne miasto kierowało swe oblicze na północ, położone w zachodnim kącie delty, ograniczone od północy Morzem Śródziemnym, a od południa jeziorem równie długim jak ono samo. Mieszkańcy więc z konieczności budowali dalej i dalej na wąskiej mierzei, przez co al-Iskandarija rozciągnęła się na długości przeszło dwudziestu mil, choć w najszerszym miejscu liczyła ich sobie pięć. Oglądana kamerami satelitów szpiegowskich, które co godzina przesuwają się po niebie, wyglądała jak długi, jasnoszary prostokąt, obrzeżony z góry i z dołu błękitem, z prawej strony bujną zielenią, z lewej zaś ponurą szarością martwego piachu.

W powiększeniu ukazywały się znajome zarysy dzielnic, od ciasnych uliczek al-Anfuszi (na miejscu grobli, która w starożytności dzieliła porty Wschodni i Zachodni) po okazałe wiktoriańskie kamienice na Place Manshiya oraz pięknie otylkowane wille i fantazyjne mauretańskie budowle przy Corniche - eleganckiej promenadzie, gdzie ciągnęły się na wschód najbogatsze rezydencje: ich właściciele stać było na utrzymywanie służby przez okrągły rok, choć sami wprowadzali się do nich jedynie na sześć miesięcy, gdy upał w stolicy stawał się nie do zniesienia.

W rządzie wspaniałych budynków przy Corniche zachowały się dwie przerwy. Jedna to Place Orabi, zajmujący przestrzeń od brzegu morza do statuy chedywa Muhammada Ale-go, gdzie przecinał Place Manshiya (nie ten wyżej wspomniany). Na wschód od Place Orabi znajdował się drugi prześwit, który jednak z niczym się nie przecinał. Place Zaghoul zawdzięczał swą nazwę liderowi ruchu niepodległościowego, który w 1916 r. osobiście wynegocjował u cesarza Wilhelma porozumienie z Berlinem. \*

Polityczni spadkobiercy stronników Zaghlula zawsze podkreślali, iż to właśnie ten człowiek swą postawą sprawił, że al-Iskandarija cieszyła się statusem wolnego miasta, a Egipt powrócił pod oświecone rządy muzułmanów jako autonomiczna, namiestnicza prowincja Imperium Osmańskiego. Przeciwnicy przypominali, że choć minęło z górą sto lat, niemiec-

Pasza-zade

15

cy doradcy cesarza, oddelegowani ponoć tymczasowo do Egiptu, nadal tu przebywali.

Francuzi byli późniejszą domieszką w tyglu północno-afrykańskich koterii. Ich pozycję w przymierzu scementowały przed półwieczem skrupulatnie dobrane małżeństwa między arystokracją z rodu Bonapartów, potomkami Hohenzollernów i spadkobiercami Mehmeda V Raszida - polityczna śmietanka w chwili podpisywania pierwotnego traktatu.

Na południe od Place Zaghoul biegła Rue Missala, gdzie ciągnęły się szpalerem restauracje. Na samym rogu, z wejściami od placu i ulicy, mieściła się Le Trianon, najbardziej znana w al-Iskandariji secesyjna kawiarnia. Na ścianach wisały tam równie znane obrazy: seria siedmiu prac - co jedna, to niezwyklejsza - przedstawiających piersiaste tancerki, nagie z wyjątkiem rozchełstanych koszul i zdobionych klejnotami pantofelków.

Obrazy nie podobały się lisowi, puryście nie przepadającemu za orientalnym kiczem. Sam fakt, że lis jest niewidoczny dla wszystkich prócz ZeeZee'ego, nie oznaczał jeszcze, że nie istnieje w rzeczywistości. Aczkolwiek, prawdę mówiąc, nie był tak samo namacalny jak żółte taksówki, wlokące się po Rue Missala. ZeeZee tłumaczył sobie jego obecność na rozmaite sposoby. Lis polubił zwłaszcza jedną definicję: niezależny wytwór nieprzetworzonych wspomnień odległej przeszłości.

W innej epoce ktoś mógłby wziąć go za ducha... \*\*\*

Szczupły, jasnowłosa mężczyzna z długą brodą i burzą dredów na głowie siedział przy stoliku na powietrzu. Odgradzony od przechodniów sznurem, dojadł drugiego francuskiego rogalika i popił fusami trzeciej czarnej kawy. Żałował, że w medresie, gdzie się zatrzymał, serwują śniadanie, którym mysz polna by się nie najadła.



Aszrafa al-Mansura - znanego jako ZeeZee policji, jego osobistemu terapeutce i pewnej przywódczyni chińskiej triady, która rozesała ludzi po świecie, żeby go wykończyli - wewnątrz Le Trianon już na samym wstępie napełniło głęboką odrazą. Ale ponieważ musiał gdzieś spędzać ranki, przyzwy-

16

Jon Courtenay Grimwood

czaił się jeść w tym lokalu. Teraz wewnątrz po prostu go denerwowało.

- Jeszcze cappuccino, Wasza Ekscelencjo?

Młodzieniec pokiwał głową. Poprawił okulary od Versa-

cego i strzepnął okruszyny z rękawa czarnej, jedwabnej marynarki.

- Niech będzie - powiedział wolno. Właściwie, to co miał do roboty?

- Oczywiście, Wasza Ekscelencjo.

Odchodząc w pośpiechu, włoski kelner całkowicie zignorował parę angielskich turystów, którzy od dziesięciu minut czekali na złożenie zamówienia. Była sobota rano: czwarty dzień, odkąd przyjechał do miasta, trzeci, odkąd spotkał się z przemysłowcem Hamzą Quitrimalą, i drugi, odkąd zgodził się poślubić jego „trudną” córeczkę. I każdego dnia prócz tego, w którym tu się zjawił, odwiedzał kafejkę.

Tak więc traktowano go tutaj jak stałego bywalca. I nic dziwnego, że właściciel okażywał mu względy: nie chciał, aby to się zmieniło. A kiedy jeszcze wywachał, że Jego Ekscelencja ze zwichrzoną brodą i dziwnymi włosami otrzymał pracę na piętrze, ZeeZee automatycznie dostał się do magicznego kręgu osób mających stół na skinienie ręki, i to dokładnie tam, gdzie im się podobało.

Bezpośrednio nad kawiarnią mieściły się biura Trzeciego Rejonu Irygacyjnego - o tyle słynnego, że w tym urzędzie pracował dawniej Constantine Cavafy, najwybitniejszy poeta urodzony w al-Iskandarijji. ZeeZee nie miał pojęcia, czym się tu zajmowano, mimo że od trzech dni przychodził punktualnie do pracy. Zaczynał się zastanawiać, czy ktoś tu w ogóle cokolwiek robi.

Jego asystent nie posiadał się ze zdziwienia, gdy tamtego pierwszego dnia poprosił go, żeby pokazał mu pracę w biurze. Grzecznie uśmiechnięty, z nienagannym angielskim akcentem, starszy mężczyzna wysunął kontrpropozycję nie do odrzucenia: może by Jego Ekscelencja rozejrzał się w Le Trianon, gdzie poprzedni dyrektorzy spędzali ranki? Popołudnia też, jeśli o tym mowa.

Biuro ZeeZee'ego znajdowało się w narożnej części budynku. Jego Ekscelencja odwalił w Stanach dość gównianej

16

Jon Courtenay Grimwood

czaił się jeść w tym lokalu. Teraz wewnątrz po prostu go denerwowało.

- Jeszcze cappuccino, Wasza Ekscelencjo?

Młodzieniec pokiwał głową. Poprawił okulary od Versa-

cego i strzepnął okruszyny z rękawa czarnej, jedwabnej marynarki.

- Niech będzie - powiedział wolno. Właściwie, to co miał do roboty?
- Oczywiście, Wasza Ekscelencjo.

Odchodząc w pośpiechu, włoski kelner całkowicie zignorował parę angielskich turystów, którzy od dziesięciu minut czekali na złożenie zamówienia. Była sobota rano: czwarty dzień, odkąd przyjechał do miasta, trzeci, odkąd spotkał się z przemysłowcem Hamzą Quitrimalą, i drugi, odkąd zgodził się poślubić jego „trudną” córeczkę. I każdego dnia prócz tego, w którym tu się zjawił, odwiedzał kafejkę.

Tak więc traktowano go tutaj jak stałego bywalca. I nic dziwnego, że właściciel okazywał mu względy: nie chciał, aby to się zmieniło. A kiedy jeszcze wywąchał, że Jego Ekscelencja ze zwichrzoną brodą i dziwnymi włosami otrzymał pracę na piętrze, ZeeZee automatycznie dostał się do magicznego kręgu osób mających stół na skinienie ręki, i to dokładnie tam, gdzie im się podobało.

Bezpośrednio nad kawiarnią mieściły się biura Trzeciego Rejonu Irygacyjnego - o tyle słynnego, że w tym urzędzie pracował dawniej Constantine Cavafy, najwybitniejszy poeta urodzony w al-Iskandarijji. ZeeZee nie miał pojęcia, czym się tu zajmowano, mimo że od trzech dni przychodził punktualnie do pracy. Zaczynał się zastanawiać, czy ktoś tu w ogóle cokolwiek robi.

Jego asystent nie posiadał się ze zdziwienia, gdy tamtego pierwszego dnia poprosił go, żeby pokazał mu pracę w biurze. Grzecznie uśmiechnięty, z nienagannym angielskim akcentem, starszy mężczyzna wysunął kontrpropozycję nie do odrzucenia: może by Jego Ekscelencja rozejrzał się w Le Trianon, gdzie poprzedni dyrektorzy spędzali ranki? Popołudnia też, jeśli o tym mowa.

Biuro ZeeZee'ego znajdowało się w narożnej części budynku. Jego Ekscelencja odwalił w Stanach dość gównianej

Pasza-zade

17

papierkowej roboty, żeby wiedzieć, jak prestiżowe są to gabinety. Mało tego, rozciągał się stamtąd widok zarazem na plac i ulicę, co musiało szalenie windować cenę nieruchomości. Wszyscy w urzędzie byli bardzo uprzejmi, życzliwi do bólu, z czego wniosek, że Hamza Quitrimala lubił sobie poplotkować. Ale chyba nie bardziej niż ZeeZee, bo to on, niby mimochodem, puścił plotkę, która w powszechnej świadomości nabrała znamion prawdy, że jest rozbitym psychicznie świadkiem jednej z najokropniejszych zbrodni fundamentalistów,

0 jakich sływał świat.

- Wasza Ekscelencjo... - Zamiast kelnera, który wziął od niego zamówienie, przydreptał sam właściciel. Postawił na stoliku filiżankę kawy, zabrał talerzyk z okruszynami

1 lekko się zawahał. - Wasza Ekscelencjo, śniadanie smakowało?

ZeeZee skinął głową twierdząco i dodał:

- Mumken lehsab. - Instynktownie skrobnął podpis wymagowanym piórem na

wyimaginowanym rachunku, przyzwyczajony do wszechobecnych dowodów zapłaty.

- Oczywiście... Czy Jego Ekscelencja życzy sobie zatrzymać pokwitowanie?
- Może i sobie życzy.

Bądź kameleonem, radził lis. Aklimatyzuj się. Byle nie brakło ci czasu... Ale przecież tego akurat miał pod dostatkiem. Bo czy to za sprawą szanowanej posady w urzędzie, czy może dlatego, że należał mu się tytuł beja; życie w al-Iskandarijji wydawało mu się łatwiejsze, niżby przypuszczał w najśmielszych marzeniach, gdy wysiadał z samolotu. Z drugiej strony, po doświadczeniach z więzienia mogło już być tylko lepiej.

Próbował sobie przypomnieć, kiedy właściwie znikł lis. Towarzyszył mu przynajmniej do kontroli paszportowej, to pewne. ZeeZee zawsze się wkurzał na lisa, że go nagle zostawia. Czuł się wtedy tak, jakby przestał widzieć w ciemności.

18

Jon Courtenay Grimwood

Rozdział 3

29 crźrwca

Tiri z pewnością był w pobliżu, kiedy ZeeZee wylądował w al-Iskandarijji. Lawirując między nogami ludzi, lis wydawał się czasem tak mały z daleka, że widać było jedynie jego srebrzysty ogon i słyszać ochryply kaszel.

„Palił pety, no i się doigrał” - dawno temu odpowiedział nauczyciel biologii na pytanie ZeeZee'ego, patrzącego z oddali na skulone w polu szczenie, które krztusiło się, jakby chciało wykaszleć kawałek kości. Pozostali mężczyźni roześmiali się, a jeden zmierzwił malcowi jasną czuprynę.

Moje dzikie zwierzątko, nazwał go wizytator. Niedługo potem ZeeZee postanowił oblać wszystkie egzaminy.

- Przeczyta pan to. - Ubrany w mundur koloru khaki urzędnik kontroli granicznej wsunął mu do ręki zieloną kartę pokładową i wskazał na koniec kolejki. Kolejek było kilka i wszystkie nieubłagane przesuwały się ku rzędowi stolików, na których stały proste wariografy z mechanicznymi trzewiami na wierzchu. Mężczyzna z toporną twarzą golema, czekający w kolejce obok, zerknął na niego i wyglądało na to, że za chwilę skinie głową lub wyrwie się z jakąś uwagą. Na szczęście tylko popatrzył na rozczochrane włosy ZeeZee'ego i odwrócił głowę.

Tak, dzisiaj wszystko szło po jego myśli.

Na karcie miał listę zdań do przeczytania w wybranym języku: francuskim, arabskim, niemieckim lub angielskim...

Nie jestem uzależniony od narkotyków. Nie jestem zarażony. Nie planuję zamachu na chedywa...

Na razie w porządku. ZeeZee rzucił okiem na trzy następne zdania, mogące mu utrudnić wyjście na

teren miasta.

Pasza-zade

19

Nie planuję wywieźć z kraju dzieł sztuki nowożytniej i zabytków z epoki faraonów. Nie należę do wywrotowej organizacji fundamentalistycznej. Nie zostałem nigdy oskarżony

0 morderstwo. Cóż, tu się zaczęły schody...

Sprawił to może ów ostatni warunek albo źle działająca klimatyzacja, w każdym razie ZeeZee poczuł pot na czole.

1 wciąż był spocony, kiedy, już jako pierwszy w kolejce, stanął naprzeciwko mężczyzny w średnim wieku, z fezem na głowie, wypomadowanym wąsiskiem, złotym znaczkiem w kształcie imienia Boga w klapie i prostokątną plakietką, która informowała, że to sierżant Aziz.

- Skąd pan podróżuje? - padło pytanie.

- Z Ameryki - odparł ZeeZee, na co sierżant pokiwał głową. Biorąc pod uwagę płowe dredy, brodę włóczykija i stado spłoszonych słoni na źle leżącej koszulce sportowej, chudzielec nie mógł pochodzić skądinąd.

- Proszę przeczytać oświadczenie.

ZeeZee położył dłoń na elektrodzie i poczekał, aż Aziz zapnie mu bransoletę na nadgarstku. Następnie z przekonaniem wypowiedział formułkę, choć lekko się zająknął przy ostatnim zdaniu.

- Proszę powtórzyć - zażądał sierżant.

- Nigdy nikogo nie zamordowałem - rzekł spokojnie ZeeZee.

Wszystkie diody na wykrywaczu kłamstw, tanim modelu Matsui, pozostały zielone. Po drugiej stronie stolika lis uśmiechał się tym swoim lisim uśmiechem, więc ZeeZee odwzajemnił mu się podobnie wesolą miną.

Pijany albo naćpany, pomyślał Aziz. Przesunął wzrok z ciemnych plam pod pachami podróżującego do jego zroszonego czoła. Tak czy owak, coś tu śmierdziało.

- Proszę o dokument tożsamości. - Sierżant nerwowo poruszał palcami.

- Wystarczy taki? - zapytał ZeeZee tonem przeprosin.

Okazany dokument w śnieżnobiałej, ręcznie zszywanej

oprawie z marokańskiej skóry, delikatniejszej od aksamitu, wywołał piorunujące wrażenie.

- Wasza Ekscelencjo... - W miejscu podejrzliwego urzędnika służb imigracyjnych stał teraz człowiek totalnie zbity

20\_\_Jon Courtenay Grimwood

z tropu, który w wyobraźni już widział, jak zamykają się przed nim możliwości awansu. W rękę trzymał paszport dyplomatyczny należący do pasza-zade, syna paszy. A więc najwyższe sfery. Instynkt samozachowawczy sierżanta Aziza wytłumił wszystkie myśli prócz jednej: obarczyć kogoś innego odpowiedzialnością za spoczonego turystę.

Już nawet nie podbijał carte blanche. Pstryknął palcami na podwładnego w dżelabie i kazał mu migiem odprowadzić szacownego paszę na stanowisko ekspresowej odprawy.

\*\*\*

Oczy szaleńca, broda derwisza, na nogach wyraźnie za długie bojówki... No i jeszcze coś: facet co rusz zezował na boki, jakby towarzyszył mu ktoś niewidzialny. Kapitan Jusuf był zaniepokojony. Posiadał mieszkanie w bloku przy Rue Maamoun i cały balkon do wyremontowania, dopiero co dochrapał się stopnia kapitana oraz - dziękować Bogu - jego żona spodziewała się trzeciego dziecka. Nie mógł sobie pozwolić na błąd.

Ba, tylko jak się ustrzec błędu? Zatrzymać dostojnika z carte blanche na przesłuchanie czy wypuścić kogoś, kto absolutnie nie przypomina prawdziwego beja? Bał się dzwonić, tym bardziej że skutki nieporozumienia byłyby opłakane. Ucierpiałby on, jego żona, dzieci, dom...

- Sir... - odezwał się kapitan Jusuf ze starannym kair-skim akcentem. Posługiwał się językiem człowieka urodzonego w stolicy, nie w al-Iskandarijji. Mimo to pytał z drżeniem w głosie: - Czy ma pan przy sobie inny dowód tożsamości?

Dostojnik w ciemnych okularach i koszulce ze słoniami nic nie powiedział i nie zrobił. W końcu tylko wzruszył ramionami. Co z pewnością oznaczało odpowiedź negatywną.

Odrywając spojrzenie od pochylonego mężczyzny i patrząc na elegancki osmański paszport dyplomatyczny, kapitan daremnie starał się pogodzić niechlujny wygląd turysty ze zdjęciem zapisanym na chipie, który informował: nazwisko - al-Mansur, miejsce urodzenia - Tunis.

Paszport był wydany przed pięciu laty i jego ważność wkrótce się kończyła. Zapisane zdjęcie pokazywało człowie-

Pasza-zade

21

ka ogolonego, ładnie ubranego, wpatrującego się w obiektyw świdrującym spojrzeniem. Gdy tymczasem turysta wyglądał na Amerykanina najgorszego typu. Na włóczęgę.

A mimo to... Mimo to...

- Pan Aszraf al-Mansur?

ZeeZee już miał wzruszyć ramionami, lecz się zreflektował i uśmiechnął po raz pierwszy od wyjścia na lotnisko. Był to żałosny uśmiech, który mówił: błagam, zabierzcie mnie już stąd, do jasnej cholery!

Kapitan wiedział, że prawdziwi bejowie tak się nie uśmiechają. Niby od niechcienia poprawił swój czerwony fez, a zarazem dyskretnie nacisnął dzwonek pod blatem biurka. Kto usiłował dostać się do al-

Iskandarijji na podstawie fałszywych dokumentów, popełniał poważne przestępstwo. Gorzej dla niego, jeśli udawał dostojnika. A gdy jeszcze podrabiał paszport dyplomatyczny... Kapitan uznał, że nie powinien dłużej zaprzętać sobie tym głowy. Nie ma sensu. Powziął słuszną decyzję, a poza tym sprawa nie leżała już w jego kompetencjach. Zgodnie z regulaminem, tego rodzaju problem wędrował na samą górę.

22 \_Jon Courtenay Grimwood

Rozdział 4

29 czerwca

- Merde! Merde! Merde!

Ciemnowłosa dziewczyna uderzeniem w klawisz zmieniła wyszukiwarkę. Szukała tej, która wreszcie coś znajdzie. Zmarnowała już dwadzieścia minut, próbując mimo ostrego zakazu dowiedzieć się czegoś o przyszłym mężu, prawdopodobnie przebywającym już w medresie al-Mansur, dokąd przywiozła go z lotniska wytworna limuzyna, daimler z przyciemnianymi szybami.

„Al-Mansur”. Nic. „Aszraf bej”. Pudło. „Pasza-zade Aszraf. Znów pudło.

Miała ochotę skomponować kolejną wiązkę przekleństw. Zara bint Hamza mówiła po arabsku, lecz klęła w nienagannej kairskiej francuszczyźnie. Z tego prostego powodu (wpadła na to w dzieciństwie), że rodzice nie mogli jej zrozumieć.

Posługiwała się też angielskim, jak ojciec, aczkolwiek z nosowym brzmieniem, które podłapała w trakcie dwuletnich studiów na nowojorskim Uniwersytecie Columbia. Tyle że tamto życie już dla niej nie istniało, wróciła do domu. Cóż, trudno nie zauważyć...

Aszraf bej równie dobrze mógł żyć na innej planecie, nie było o nim dosłownie żadnej wzmianki. Putain de merde... Machinalnie przełknęła ostatnie dietetyczne ciastko: mąka razowa, płatki owsiane, glicerol, sorbit, Xenical... W sumie pięćdziesiąt siedem kalorii. Co z tego, skoro okrasiała wszystko bombą kaloryczną w postaci kolejnej kawy z czubatą łyżeczką czegoś, co przypominało zabrudzone diamenty, a było w istocie cukrem trzcinowym.

-

Pasza-zade

23

Gdy patrzyła na nieregularne kryształki, naszła ją nieprzeparła ochota złapać parę wdechów dobrego, staroświeckiego kraku - czegoś, co dodałoby jej odwagi lub uspokoiło nerwy, ponieważ włam do bibliotecznego terminalu LuxorE-on3 nie był sprawą łatwą. W każdym razie nie dla niej. Ostatnio nie brała jednak żadnych prochów, właściwie odkąd skończyła piętnaście lat, pocieszały ją więc tylko dźwięki z mini-słuchawek Sony. Pogłodziła utworek DJ Avatara i skupiła uwagę na wyświetlaczu panelowym.

Aszrafa nie było na bibliotecznym liście osób uprawnionych do głosowania w imperium, co Zara tłumaczyła sobie jego wysoką rangą. Synowie emirów stanowili kastę nazbyt dystygowaną, żeby umieszczać ich w ogólnodostępnych bazach danych. Co jednak budziło zdziwienie, to brak choćby

jednej wzmianki o nim w zastrzeżonej bazie danych biblioteki w al-Iskandarijji. Ani też w sieci, gdzie prawo osmańskie nic nie znaczyło. Przynajmniej tam powinny być jakieś drobne ślady.

Ten człowiek spędził siedem lat w Ameryce. Co dało wymówkę ojcu, by wydać ją za niego. Ponoć obaj mieli z sobą wiele wspólnego. Pewnie chodziło o to, że zepsuła ich ta sama kultura.

Wchodziła na strony agencji badających zdolność kredytową klientów. Notowania beja nie przedstawiały się ani źle, ani dobrze; po prostu nie mieli go w rejestrach. Facet nie używał kart płatniczych, nie miał konta w banku, osoba o jego nazwisku nie starała się nigdy o kredyt hipoteczny. Nie do wiary, ale nigdy nie zapisał się do internetowej grupy dyskusyjnej, nie wchodził na czata, nie posiadał adresu elektronicznego. Chyba że posługiwał się zmienionym nazwiskiem. Mężczyzna, z którym już za parę dni z wielką pompą miała się zaręczyć, szedł przez życie niezauważenie, nie zostawiał żadnych śladów swojego istnienia. Ani w prawdziwym świecie (Zara tak o nim myślała), ani w świecie osmańskim.

Czuła się niepewnie.

O sobie samej w miejskim rejestrze znalazła tylko krótkie, żenująco lakoniczne wzmianki. Chociaż pod koniec tygodnia, kiedy wpisy zostaną odświeżone i uzupełnione wia-

24

Jon Courtenay Grimwood

domością o nowym tytule ojca, ona też nareszcie wyjdzie z cienia.

Zara знаła całą gorzką prawdę o tym, jak przypadł mu tytuł efendiego. Bej nie mógł się zhańbić małżeństwem z wnuczką fellaha. Dlatego jej sędziwy, prawie ślepy dziadek musiał opuścić chałupę z cegły i błota i przeprowadzić się z Siwy na przedmieścia al-Iskandarijji. Oprócz nowego domu obiecano mu drzewa pomarańczowe, których nie mógł zobaczyć, nawadniane trawniki, których zraszanie nazywał karygodnym marnotrawstwem bezcennej wody, oraz zaszczytny tytuł efendiego. Dzięki temu, że dziadek został efendim, został nim również ojciec, a ona w konsekwencji przyzwoitą kandydatką na żonę.

Ceną była Zara, tudzież jej posag. Miłość nie miała z tym nic wspólnego i nie komplikowała rodzinnych powiązań. Pieniądze ojca stanowiły jedyny cel dążeń ciotki beja. Umowa śmierdziała na odległość i była naganna z moralnego punktu widzenia, lecz matka wyjaśniła w ostrych słowach, że tak się załatwia te sprawy. 1 - rzadkość nad rzadkościami - powstrzymała się od rękoczynów, zatem naprawdę musiała się martwić, żeby jej córka nie palnęła jakiegoś głupstwa... jak na przykład odmowa.

A trzeba pamiętać, że rodzice martwili się już dawniej: puszczając córkę na uniwersytet, nie mieli gwarancji, że zobaczą ją z powrotem po dwóch latach. Aha, martwili się jeszcze, żeby się nie fajdaczyła w Nowym Jorku...

Merdel Nic dodać, nic ująć.

Łyk zimnej kawy uświadomił jej, że już znacznie przekroczyła margines bezpieczeństwa. Powinna wylogować się i posprzątać stanowisko, zanim szef zorientuje się, co porabiała ostatniego dnia w dziale. Naruszała bowiem wszystkie przepisy regulaminu, poczynając od nieautoryzowanego dostępu do terminalu.

W mieście zbudowano tylko jedną matrycę informatyczną, IOL, dostępną dzięki optycznym węzom, które rozpełzły się w podziemnych kanałach pod chodnikami i docierały wszędzie: do tanich, wielofunkcyjnych urzędów w szkołach i zarazem serwerów zarządzających ogromnymi, zhierarchizowanymi zasobami informacji, jak terminal w bibliotece.

Pasza-zade

25

Zdecydowano, że sygnały w obrębie sieci będą wędrować nie drogą radiową, ale światłowodami, ponieważ kable nie ulegały impulsom elektromagnetycznym i nieznośnym zabawkom mudżahedinów, którzy dzięki naładowanym cząstkom zagłuszali przekazy radiowe w całej Afryce Północnej. Okablowanie miasta nastąpiło w iście rekordowym tempie: drogi zostały bezlitośnie rozkopane, rzeki osuszone, a uciążliwe budynki rozjechane buldożerami. Prace, które w opinii Ove Arupa powinny potrwać minimum dwanaście miesięcy, zostały ukończone w sześć, lecz Generał Koenig Pasza, gubernator miasta, i tak się dąsał: chciał mieć wszystko gotowe w trzy miesiące.

Aczkolwiek na ulicach miasta spotykały się najróżniejsze style architektoniczne i ścierały wszelkie rasy i religie, to jednak sieć rozpięta pod nimi, wręcz przeciwnie, była całkowicie hermetyczna, niedostępna dla osób niepowołanych. Jedynie pomieszczenie biblioteczne, w którym siedziała Zara, maleńkie jak przykuchenna komórka, stanowiło wyjście z portu dla tych, co mieli pozwolenie na żeglugę po szerokich, wzburzonych wodach, gdzie informacja, choć na pierwszy rzut oka darmowa, później sugerowała, by za nią zapłacić.

Zara zamknęła stronę firmy kredytowej z uparcie wyświeblającym się żądaniem podania numeru karty rozliczeniowej, a tej już nie posiadała. Przerwała połączenie.

Gdyby ją namierzono, na jej korzyść działałoby tylko to, że wcześniej nie była notowana. Wiedziała też, że położenie marmurowej posadzki w trójkątnym holu na dole zostało sfinansowane z kieszeni jej ojca. Jeżeli spotka ją tu jakaś przykrość, prysną marzenia dyrektora o nowym dachu.

Pieniądze to władza. Nawet brudne pieniądze, dodała w myślach Zara. A potem sprostowała: zwłaszcza brudne pieniądze. Choć brudne pieniądze dźwigały brzemień wielkiego ryzyka. Oczywiście, brudne pieniądze przeobrażały się z czasem w legalną inwestycję, zjednującą biznesmenowi powszechne poważanie. Legalna inwestycja kładła się na wznak i rozchyłała nogi... lub ktoś to robił w jej imieniu.

Dziewczyna się wzdrygnęła.

Hen, poza zasięgiem wzroku, wrzynał się w morze półwysep, na którym dawniej stały domy turecko-arabskiej dzielnicy, a który obecnie oddzielał schludny Port Wschodni od

26

Jon Courtenay Grimwood

magazynów i brudu Portu Zachodniego. Gdzieś tam właśnie, niczym stado tańczących diabłów, płomienie - wizytówka rafinerii Midas - witały zbliżający się wieczór.

Warte 1.8 mld dol. zakłady przetwarzały 100 tys. baryłek ropy dziennie. Na obrzeżach pustyni małowartościowa ciężka ropa awansowała do rangi gazu ziemnego, nafty, paliwa lotniczego i oleju



napędowego. W tej postaci eksportowano ją do Europy. Choć teoretycznie na czele firmy stał pewien apodyktyczny księciunio, jednak to ojciec Zary kontrolował za pośrednictwem holdingu 27.3% udziałów. Pieniędzy miał w bród.

Zara wygrzebała z torebki kartkę wyrwaną z amerykańskiego czasopisma studenckiego i po raz piąty przebiegła oczami tekst. Artykuł tłumaczył, jak krok po kroku wymazać z sieci swoje ślady, żeby stać się duchem. Było mnóstwo informacji o liniach poleceń, Linuksie i Mozilli, lecz ona je pominęła, odszukując wzrokiem fragment dla użytkowników zdecydowanych zrobić dokładnie to, co każe instrukcja. Zastosowała się do wszystkich wskazówek. Jeśli autor nie popełnił błędu, miała czyste ręce. Jeśli nie, trudno. Chcieli nowy dach czy nie chcieli?

Po powrocie do pracy - jeżeli mąż pozwoli jej wrócić - zostanie przeniesiona do innego działu biblioteki. Faceci, jej przełożeni, wystrzegając się poufałych rozmów, będą jedynie wydawać jej polecenia lub prosić o informacje. I rzadko patrzeć w jej stronę, aby przypadkiem ktoś nie przechwyił spojrzania i nie wyciągnął błędnych wniosków.

W ciągu dziewiętnastu lat życia popełniła wiele głupstw, lecz niewątpliwie największe z nich wiązało się z przybyciem na lotnisko w Nowym Jorku. Obawy rodziców były uzasadnione, a ona - o ludzka naiwności! - nie zastanawiała się nawet, czemu chcą ją zabrać do siebie na lato. Opuściła uniwersytet i udała się do Afryki, rozczulona ich miłością i tęsknotą. Że też się w porę nie opamiętała!

Teraz na siłę zaciągano ją do ślubu. Wyobrażała sobie, co to będzie za lalusz. Pewnie jakiś rozpieszczony, nadęty ćpunek w ciuchach PaulSmith International. Naoglądała się dość odcinków „Sławnych i bogatych”, żeby wiedzieć, czego się spodziewać.

Pasza-zade

27

Uozbfot 5

29 czerwc\*

Kofeina. Czysty alkaloid wyodrębniono po raz pierwszy w 1820 r., lecz już przed wiekami jej źródłem były pewne krzewy. Tysiąc lat temu wojska muzułmanów rozprowadziły ją na wybrzeżu Morza Śródziemnego. Była ulubionym narkotykiem w Afryce Północnej, można powiedzieć, że słabostką miejscowej ludności. ZeeZee nie widział w tym nic zdrożnego. Swego czasu uczęszczał do szkockich i szwajcarskich szkół z internatem, znał ostrzejszy towar.

Przytknąwszy do ust filiżankę kawy, skrzywił się, kiedy czarna smoła oparzyła go w wargi. Miała smak słodkiego mułu i ziaren arabiki, które były nie tyle delikatnie opalone, co bezlitośnie zwęglone, jak skazańcy na stosie.

- Lepsza jest, gdy ostygnie - oświadczył starszy, chudy jak szczapa mężczyzna, który siedział naprzeciwko przy niskim stoliku.

- Dzięki za ostrzeżenie - odparł ZeeZee.

Generał Said Koenig Pasza z uśmiechem łyknął kawę. Jeszcze pół godziny temu się nudził. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności przybył na lotnisko akurat wtedy, gdy wszystkie zatrudnione tam bałwany trzęsły portkami na myśl o naruszeniu zasad protokołu dyplomatycznego. Mając przed sobą osobnika,

który napędził im tyle strachu, musiał przyznać, że nie darmo się bali. Oczywiście nigdy, niezależnie od sytuacji, nie przyzna im racji.

Tak czy inaczej, w swej długiej, obfitującej w doświadczenia karierze gubernatora al-Iskandarijji spotkał trzy odmiany bejów.

Pierwsi, najstarsi, mieszkali w rozległych pałacach i w swoich listach uskarżali się na rozwiąłość młodych. Ci

28

Jon Courtenay Grimwood

w średnim wieku, zdenerwowani na swoje coraz większe brzuchy i kłótlive żony, nie mieli czasu, żeby do niego pisać. Wreszcie młodzi: jeździli jak wariaci, używali życia i w czasie pobytu za granicą wyrabiali w sobie złe nawyki, z czym nie szła w parze świadomość, że tam właśnie powinni je zostawić, a przynajmniej nie afiszować się z nimi u siebie..

Podejrzewał, że będzie miał do czynienia z tą ostatnią odmianą. Z kimś ubranym elegancko, modnie, może z odrobiną ekstrawagancji. Tymczasem siedzący przed nim młodzieniec wyglądał, pachniał i wyrażał się jak amerykański łazęga. Nosił źle dopasowane ubranie, włosy poskręcane w obrzydliwe kudły, część twarzy zakrywała mu zmierzwiona broda. Na szczęście Generał dość często odwiedzał zachodnie wybrzeże Ameryki i wiedział, że taki właśnie wygląd preferują tam dzieci bogaczy.

Nie przedstawił się al-Mansurowi i nie zamierzał tego zrobić. Tym niemniej wystarczyłby jeden jego podpis, żeby chłopak został deportowany, zamknięty w więzieniu albo nawet skazany na śmierć. Gdyby posłuchał rady niejakiego pułkownika Gasparina, zamiast uczynić to, na co szurnięty pułkownik powinien się zdecydować już na samym wstępie: zadzwonić do lady Nafisy.

Jeśli jego pracownicy naprawdę sądzili, że przyjechał na lotnisko w tak kluczowym momencie wyłącznie za sprawą przypadku, to mieli źle w głowach i zasługiwali na grupowe zwolnienie. Albowiem i on żywo interesował się rodziną lady Dżalili al-Mansur.

- Może pan złożyć zażalenie - oznajmił. - Ma pan do tego prawo. - Nie powiedział nic więcej, tylko przekrzywił na bok głowę i czekał ciekawym, jak to chłopak rozegra.

- Szkoda zachodu - odparł ZeeZee, wstając. Znajdował się w pośpiesznie uprzątniętej poczekalni dla VIP-ów, dokąd zaprowadził go Gasparin, dowiedziawszy się, że paszport turysty jest autentyczny. - Robił tylko to, co do niego należy. Jak każdy z nas.

Uśmiechnął się, gdy starszy mężczyzna zerknął w bok.

Wystrój poczekalni nawiązywał do islamskiego rokoka: lustrzane łuki, zielononiebieskie kafelki, posadzka z białego marmuru oraz okazała alabastrowa fontanna, której plusk

Sbs-

28\_Jon Courtenay Grimwood

w średnim wieku, zdenerwowani na swoje coraz większe brzuchy i kłótlive żony, nie mieli czasu, żeby

do niego pisać. Wreszcie młodzi: jeździli jak wariaci, używali życia i w czasie pobytu za granicą wyrabiali w sobie złe nawyki, z czym nie szła w parze świadomość, że tam właśnie powinni je zostawić, a przynajmniej nie afiszować się z nimi u siebie..

Podejrzał, że będzie miał do czynienia z tą ostatnią odmianą. Z kimś ubranym elegancko, modnie, może z odrobiną ekstrawagancji. Tymczasem siedzący przed nim młodzieniec wyglądał, pachniał i wyrażał się jak amerykański łązega. Nosił źle dopasowane ubranie, włosy poskręcane w obrzydliwe kudły, część twarzy zakrywała mu zmierzwiona broda. Na szczęście Generał dość często odwiedzał zachodnie wybrzeże Ameryki i wiedział, że taki właśnie wygląd preferują tam dzieci bogaczy.

Nie przedstawił się al-Mansurowi i nie zamierzał tego zrobić. Tym niemniej wystarczyłby jeden jego podpis, żeby chłopak został deportowany, zamknięty w więzieniu albo nawet skazany na śmierć. Gdyby posłuchał rady niejakiego pułkownika Gasparina, zamiast uczynić to, na co szurnięty pułkownik powinien się zdecydować już na samym wstępie: zadzwonić do lady Nafisy.

Jeśli jego pracownicy naprawdę sądzili, że przyjechał na lotnisko w tak kluczowym momencie wyłącznie za sprawą przypadku, to mieli źle w głowach i zasługiwali na grupowe zwolnienie. Albowiem i on żywo interesował się rodziną lady Dżalili al-Mansur.

- Może pan złożyć zażalenie - oznajmił. - Ma pan do tego prawo. - Nie powiedział nic więcej, tylko przekrzywił na bok głowę i czekał ciekawym, jak to chłopak rozegra.

- Szkoda zachodu - odparł ZeeZee, wstając. Znajdował się w pośpiesznie uprzątniętej poczekalni dla VIP-ów, dokąd zaprowadził go Gasparin, dowiedziawszy się, że paszport turysty jest autentyczny. - Robił tylko to, co do niego należy. Jak każdy z nas.

Uśmiechnął się, gdy starszy mężczyzna zerknął w bok.

Wystrój poczekalni nawiązywał do islamskiego rokoka: lustrzane łuki, zielononiebieskie kafelki, posadzka z białego marmuru oraz okazała alabastrowa fontanna, której plusk

Pasza-zade

29

kojarzył się z sikającą kobietą. Generał sprawiał wrażenie,

jakby i on chciał stąd odejść.

\*\*\*

Mało brakło, pomyślał ZeeZee, kierując się do wyjścia. Kurczę, naprawdę mało brakło. Wsunął paszport do kieszonki swej szpetnej sportowej koszulki i ruszył do przejścia między bramkami.

Przed barierką czekał szofer w szpiczastym kapelusiku i wypucowanych na glanc butach. W zgięciu łokcia trzymał tabliczkę z drukowanym napisem ASZRAF AL-MANSUR. Mijając go, ZeeZee nawet nie zwolnił kroku.

Wszystko, po kolei. Najpierw musiał odwiedzić parę sklepów.

W tej chwili reszta ubrań podróżowała do Zanzibaru w schowku bagażowym samolotu Osmańskich Linii Lotniczych. Przynajmniej miał taką nadzieję. Z walizką celowo rozstał się w Kairze, na pokładzie

maszyny zatrzymującej się tam w drodze z Seattle.

Wszystko, co miał na sobie, kupił w samolocie po cenach wolnocłowych. Płacił platynową kartą, którą dostarczono mu wraz z paszportem. Normalnie, takiej żółtej koszulki z beżowymi słoniami nie zaszczyliłby nawet jednym spojrzeniem, lecz w butikku na pokładzie boeinga nie znalazł innej w swoim rozmiarze.

W Kairze przesiadł się na obsługujący linię lokalną samolot Lufthansy. W pewnej chwili, gdy maszerował korytarzem ze szkła j stali między terminalem przylotów i halą odlotów, korciło go, żeby pójść dalej i rozpuć się w zgiełku stolicy. Czemu tego nie zrobił? Oto pytanie, na które poszuka odpowiedzi, kiedy będzie miał dłuższą chwilę wytchnienia i czas na zastanowienie. Póki co, chciał wystarać się o porządne ubranie i znaleźć medresę al-Mansur. Cokolwiek to było...

30

Jon Courtenay Grimwood

Rozdział 6

29 czerwiec

- A cmentarz nawiedzali ifritowie, służy jedynej prawdziwej wiary - oświadczyła Hani.

Jej nowy wujek się spóźniał. Ciotka, jak zwykle, o coś się wściekała. Dziewczynka musiała więc sama się sobą zająć.

- Tej samej nocy, kiedy Hasan spał z głową na mogile ojca, zjawiła się ifrita. I tak się zachwyciła urodą młodzieńca, że krzyknęła: „Chwała Bogu prawdziwemu! Oto młodzian z raju!” Następnie, jak to miała w zwyczaju, wzbiła się wysoko w czarne niebo i spotkała tam przelatującego džinna. A gdy ją pozdrowił, spytała: „Skądże jesteś?” „Ze starego Kairu”, odpowiedział. Ona na to: „Zechcesz popatrzeć na pięknego młodzieńca, który śpi na pobliskim cmentarzu? Piękniejszego niż on w całym świecie nie znajdziesz”. Dżinn kiwnął głową i odparł: „Popatrz”. I chłodną nocą sfrunęli razem ku ziemi, do miejsca, gdzie Hasan...

- Przestań mówić do siebie! - zganiła ją lady Nafisa po wkroczeniu do znajdującego się w haramliku pokoju dzieciennego. Spochmurniała na widok szczeniaka w kałuży szczyn. Denerwował ją fakt, że Hani tyle czasu marnuje na gry komputerowe, ale jeszcze bardziej wkurzało ją zwierzę.

- Ja wcale do siebie nie mówię. Piszę opowiadanie dla Ali Dina.

Dziewczynka starała się mówić grzecznym tonem, lecz jej ciemne oczy błyszczały zadziornie i kierowały się z dumą na pieska.

- Przecież cię ostrzegałam! - dodała ostro lady Nafisa. - Miałas go nie przyprowadzać do bawialni!

Pasza-zade

31

- Ale to mój pokój i zawsze po nim sprzątam.

Dziewięcioletnia Hani uważała się za osobę dorosłą, nie

wypadało jej błagać. Wypowiadała swoje racje rzeczowym tonem, jakby doprawdy nie wiedziała, o co tyle hałasu. Nie pierwszy raz o to się spierały. Do historii tych sporów należały między innymi dwa klapsy i niezliczone zesłania do pokoju na górę.

- Miejsce Ali Dina jest na dziedzińcu, a poza tym...

- Wiem, wiem - rzekła z rezygnacją Hani. - Ali Din jest chłopczykiem.

Mężczyznom nie wolno było przebywać na drugim piętrze medresy al-Mansur, domu ciotki Nafisy przy Rue She-rif. Odkąd zbudowano go przed pięciuset laty, wyłącznie kobiety wchodziły do haramliku. Obecnie jedynie kroki ciotki i dziewczynki rozlegały się echem w komnatach, gdzie zbierał się kurz w nieczynnej fontannie i ginęły gekony, których wyschniętych truchel nikt nie zauważał i nie oplakiwał.

- Jeszcze raz wywiniesz taki numer, a będzie po nim!

- A jeśli dam mu inne imię? - zapytała Hani, do której nie docierał jeszcze sens groźby. - Może być wtedy dziewczynką?

- Nie może! - fuknęła lady Nafisa, poirytowana, opierając się chęci zerknięcia na zegarek. Stylistyka Cartiera, szwajcarski mechanizm. Nieduży, elegancki i niezwykle precyzyjny. Mimo to sprawdzała czas pięć razy w ciągu ostatniej godziny, odkąd wynajęty przez nią kierowca (znów niepotrzebny wydatek) zadzwonił z meldunkiem, że jej krewniak nie przyleciał samolotem.

Wytłumaczyła mu, że Aszraf niezawodnie przybył o ustalonej porze, bo dzwonił do niej w tej sprawie sam gubernator, na co kierowca przed odłożeniem słuchawki odpowiedział szorstko, iż w takim razie bej prawdopodobnie nie chciał być odebrany. Choć nie wypełnił złeczonego mu zadania, zapewne upomni się o zapłatę.

- Czemu Ali Din nie może być dziewczynką?

- Bo ja tak mówię! - burknęła lady Nafisa. - A teraz zabierz psa na dziedzińiec! - Odeszła, nim dziewczynka zdążyła sprzeciwić się jej otwarcie.

32

Jon Courtenay Grimwood

Tłorfcrtel 7

29 crerwcA

W al-Iskandarijji z lotniska na Place Orabi dojeżdżało się autobusem, który po drodze zatrzymywał się przy ogrodach Szallalat, stacji kolejowej Masr i meczecie Attarine. Na Place Orabi był przystanek końcowy. Tam wysiedli wszyscy pasażerowie... został tylko ZeeZee.

Przez otwarte drzwi wpadały do środka dźwięki przynajmniej trzech, odmian rai, muzyki granej w pobliskich kawiarenkach. ZeeZee nie potrafił rozpoznać instrumentów, a tym bardziej powiedzieć czegokolwiek o stylu. Był zły, a do tego spocony i zmęczony. Od dwóch dni nie spał - a w zasadzie od czasu, kiedy przed dwoma dniami wciągnął ostatnią kreskę speeda. Wolał nie myśleć, że wkrótce będzie miał zejście. Kolejny powód do zdenerwowania.

Przed wszystkim musiał się jakoś ogarnąć. Nowa tożsamość wymagała nowego wyglądu, ponieważ osobowość była przedstawieniem odgrywanym przez siebie dla siebie... czy jak to tam szło. Był za bardzo zdechnięty, żeby przypominać sobie słowa lisa.

Prawdę mówiąc, najchętniej zostałby w autobusie i zrej-terował z powrotem na lotnisko. Niestety, to już nie wchodziło w rachubę. Nagranie w trzech językach nakazywało mu wysiąść. Kiedy to nie pomogło, kierowca zaczął na zmianę włączać i wyłączać światło, sygnalizując mu, że to już pętla.

- Dobra, dobra... - ZeeZee dźwignął się z plastikowego fotela, pozostawiając ślady potu na siedzeniu i oparciu. - Gdzie tu można kupić przyzwoite ubranie?

Kierowca przestał naciskać przyciski i spojrzał na dziennik pokładowy, lecz nic nie powiedział.

Pasza-zade

33

Zrezygnowany, ZeeZee sięgnął do tylnej kieszeni i wyciągnął pięciodolarówkę.

- Pytałem o ubranie.

- Rue Faransa. - Kierowca wyłuskał mu z palców pieniądze, które zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej

różdżki. - Życzę miłego wieczoru.

\*\*\*

- Coś ty za jeden? - zapytał ZeeZee przyjemniaczka z nożem. W al-Iskandarijji turystę prędzej mogła przejechać taksówka, niż spotkać przygoda z bandytą. Czytał o tym w przewodniku podczas lotu z Kairu. Choć może nie powinien tak się zachwycać tą statystyką, skoro taksówki co chwila kogoś tu potraçały. Już na lotnisku facet z twarzą golema budził wątpliwości.

- Dawaj portfel i będzie po krzyku.

Kiwnięciem głowy golem wskazał szklany nóż, który trzymał blisko ciała. Bruzdy na obu stronach ostrza miały ułatwiać sptywanie krwi. \*

- Nie mam portfela - rzekł zgodnie z prawdą ZeeZee. W jednej tylnej kieszeni trzymał paszport dyplomatyczny, w drugiej zaś platynową kartę, zabezpieczoną cechami tęczówki oka. I to był cały jego dobytek. Sygnetów brak, zegarka brak. Bo nie liczył omegi i g-shocka, kupionych w sklepie bezcłowym w samolocie. Ale i tego nie chciał się pozbywać. Przeciętny rzezimieszek mógł być nim rozczarowany. W sumie, pecha miał ten, kto uważał go za łatwy kasek.

ZeeZee nie podnosił głosu, nie groził. Uśmiechnął się półgębkiem, tak na wszelki wypadek. Ale zapadające ciemności otoczyły ich niewidzialnym kręgiem, a lis w jego głowie z wesołą miną

zapamiętywał układ ciasnego zaułku, uliczki dochodzącej do Rue Faransa - tak wąskiej i mało komu znanej, że nie zaznaczano jej na mapach, a dawno padłe osły poharatały koszami obie ściany.

- Portfel! - powtórzył typ z obliczem golema. W głosie pobrzmiwała nieugięta determinacja, lecz blask małych oczu nie był zamącony. Cokolwiek nim powodowało, nie miało podłoża w chemii organizmu. - No, już! - Uniósł nóż, chcąc pokazać, że to nie żarty.

9

34\_Jon Courtenay Grimwood

- Przecież powiedziałem. - Tylko pozornie mówił to ZeeZee. - On nie ma portfela.

W tym momencie prawie każdy napadnięty cofnąłby się, byle dalej od ostrego noża. ZeeZee odwrotnie, zbliżył się, aż zobaczył maleńkie, widlaste żyłki na nosie bandyty i wyczuł ostry zapach czosnku. Z pewnością ten sam mężczyzna obserwował go z sąsiedniej kolejki na lotnisku. I teraz bez przerwy popatrywał na jego włosy.

- Nie mam portfela ani żadnej gotówki. I jeszcze ci powiem - dodał ZeeZee z uśmiechem - że skoro nie możesz się obyć bez noża, to grasz w drugiej lidze, brachu...

Mężczyzna otworzył usta.

- Nie! - rzekł stanowczo ZeeZee.

Zadrgał mięsień na policzku golema.

- Pożałujesz... - powiedział i poderwał nóż, celując w przeponę ofiary.

Tyle że ZeeZee był już gdzie indziej. Ból szarpnął lewą stroną tułowia, gdy uchylił się w bok, a ostrze przejechało po żebrach. Rana paskudna, ale raczej niegroźna. Nie tylko rana, pomyślał: również ta kanalia.

Unik przed następnym ciosem przyszedł mu łatwiej. Wystarczyło się obrócić, a kolano napastnika, zamiast w krocze, uderzyło go w udo.

- Zginiesz - stwierdził lakonicznie bandyta, widząc, że ZeeZee omiata wzrokiem mroczny, wyludniony zaułek.

Młodzieniec parsknął śmiechem.

- Już kiedyś nie żyłem! - Jednym płynnym ruchem przybrał pozycję do ataku. Skrętem ciała zrobił sobie akurat tyle miejsca, aby skierować dłoń pod brodę przeciwnika, i strzelił go tak mocno, że trzask łamiących się zębów odbił się echem od ścian uliczki. Bez chwili zwłoki rąbnął przedramieniem w nagle odstosowane gardło i zmiażdżył krtań.

Wykończenie akcji, czyli trzaśnięcie łokciem w głowę i obalenie bandyty na ziemię, nie było konieczne, ale ZeeZee i tak się na nie zdecydował. Stary rastafarianin, u którego pobierał nauki, zawsze mu uświadamiał, że każdą sekwencję ciosów należy dokończyć.

Nie trwało to wszystko nawet dwóch sekund. Gdyby ktoś im się przyglądał - w zaułku jednak nikogo nie było - miałby

m

Pasza-zade

35

okazję podziwiać ruchy tak zwinne i kontrolowane, że mogłyby ujść za śmiercionośny balet.

- Cholera! - ZeeZee zamrugał oczami. Dwa cykle terapii zasadniczej, dwunastopunktowy plan resocjalizacji i trzy lata leczenia nerwicy: wszystko szlag trafił. Osobiście, winił za to lisa.

Golem nosił nowego ceramicznego kolta pod niebieską marynarką, pod pachą, w skórzanej kaburze zszytej szpa-nerskim, grubym ścięciem; chromowaną sprzączkę musiało wykryć każde badanie skanerem. Może jednak delikwent nie był profesjonalistą.

Poza tym, idiota okazał się czysty: nawet metki powycinał z ubrania. W kieszeniach nie chował żadnych kluczy. Na uwagę zasługiwała jedynie szara, pomięta koperta ze zdjęciem polaroidowym. ZeeZee dobrze wiedział, co zobaczy na fotografii... a jednak się mylił.

To nie on był mężczyzną na zdjęciu, który patrzył na świat spod przymrużonych powiek, ponieważ nigdy nie nosił takiej koziej bródki i nigdy tak pedantycznie nie zaczesywał włosów za uszy. A już na pewno nie nosił perłowego kolczyka w kształcie łezki. A mimo to nieznajomy musiał być nim! Te same odstające kości policzkowe, duży nos, kształt twarzy, zarys ust.

Z tyłu na zdjęciu strzelisty minaret, nieco rozmyty wskutek słabej ostrości, kłuł niesamowicie błękitne niebo. Przyległy meczet był imponującą budowlą, olśniewająco piękną i zapewne znaną, choć ZeeZee był gótów przysiąc, że go nie poznaje.

Po schowaniu zdjęcia do kieszeni przetoczył ciało pod ścianę i tam je zostawił.

\*\*\*

- Udaj się na południe w stronę statuy chedywa Mu-hammada na koniu, na Placu Manshiya skreć w prawo i dalej idź szybkim krokiem. Ulica, którą napotkasz, to Rue Fa-ransa...

ZeeZee bezwiednie podziękował mapie, nie przejmując się zdziwionymi spojrzeniami turystów czekających w kolejce. Rozmawianie z automatem było dziwactwem praktyko-

36

Jon Courtenay Grimwood

wanym przez więźniów. Nawet w obiektach o złagodzonego rygorze, takich jak w Huntsville, człowiek tylko w ten sposób mógł się do woli nagadać.

Szybkiego marszu nawet nie brał pod uwagę z tym rozcięciem na żebrach, które zaklajstrował sztuczną skórą z apteki przy dworcu autobusowym. Wolny spacer nie sprawiał mu tylu kłopotów, więc jakoś minął plac i zbliżył się do pomnika.



Alego nie dało się nie zauważyć, z jego -turbanem z brązu, nastroszoną brodą, bandziochem opasanym szeroką szarfą i kunsztownym pistoletem przy bogatym siodle. Wierzchowiec zdawał się miejscami nienaturalnie kanciasty, jakby rzeźbiarz zużył wszystkie dostępne krągłości do podkreślenia słusznych kształtów chedywa.

ZeeZee przestał gapić się na monument, gdy tylko się połapał, że oprócz niego na Place Mohammed nikt nie zwraca na posąg jakiegokolwiek uwagi. Nie chciał zachowywać się jak turysta, mimo że zdradzał go wygląd.

W pierwszych trzech sklepikach przy Rue Faransa sprzedawano starocie i bibeloty udające antyki. W jednej z witryn przyuważył odbiornik radiowy w bakelitowej obudowie. Zaciekawiony, wszedł do środka, gdzie okazało się, że ktoś zastąpił oryginalne lampy elektronowe tanim somalijskim chipsetem. Odstawił więc radio na swoje miejsce i wyszedł, odprowadzany czujnym spojrzeniem sprzedawcy.

Następnie natknął się na dwa butiki, oba już zamykane na noc i oba oferujące klientom krótkie sukienki ze zmiętego jedwabiu autorstwa projektantów, o których nigdy nie słyszał. Choć musieli się cieszyć sporym wzięciem, zważywszy na ceny podane w iskandaryjskich funtach, dolarach USA i reichsmarkach.

Przed następnym sklepem odżyły jego nadzieje. Na wieszakach wisiała odzież męska, drzwi były otwarte, co więcej, zainteresowanych kusilo potężne urządzenie klimatyzacyjne, którego część wychodziła prosto na ulicę. ZeeZee nie wiedział, ile kosztują garnitury na wystawie, bo nie było na nich metek z ceną. Z czego należało wnosić, że zaopatrywali się tutaj zamożni ludzie. Ale ponieważ nie posługiwał się tak naprawdę własną kartą płatniczą, było mu to obojętne.

Pasza-zade

37

Gdy wchodził, z głośników leciała podniosła, nastrojowa muzyka. Prawdopodobnie Górecki. Jedna ściana była matowoczarna, druga - z piaskowanych cegieł. Nie zrobiło to jednak na nim specjalnego wrażenia, podobnie jak onieśmielająco elegancka francuska właścicielka butiku, prostota jej biurka z litego granitu i trzy stoły z obsydianowymi blatami.

Owszem, rana ZeeZee'ego goiła się błyskawicznie, lecz od żeber wciąż promieniował silny ból, co w połączeniu ze zmęczeniem odbierało mu ochotę na podziwianie kosztownych, nie rzucających się w oczy elementów wyposażenia wnętrza. Zwrócił za to uwagę na oprawioną w ramkę stronę z „Esquire'a”, pokazującą mężczyznę ubranego w czarną koszulkę, luźną i lekką marynarkę w tym samym kolorze oraz spodnie do kompletu. Model nosił buty w szpic z kubańskimi obcasami. Całość była szykowna, wyrafinowana i tylko odrobinę wyzywająca. Ale przede wszystkim liczyło się to, że człowiek nie musiał się w tym parzyć. ZeeZee nie chciał niewolniczo naśladować obowiązującej mody, po prostu szukał przewiewnego ubrania.

- O, to! - Skinieniem głowy wskazał zdjęcie i położył na blacie kartę płatniczą. - To mi się podoba.

Kobieta musnęła kartę tak dyskretnym spojrzeniem, że ZeeZee omal tego nie przegapił.

- Świetny wybór - pochwaliła. - Naprawdę, świetny.

Poderwawszy się ze srebrzystego krzesła, właścicielka

prędko stanęła za nim, przesunęła smukłą dłońią po jego ramionach i potem wzdłuż kręgosłupa od szyi po krzyż. ZeeZee stężał, lecz ona powędrowała już na drugą stronę butiku, gdzie przed marynarkami na wieszakach mamrotała pod nosem rozmiary.

- Piękny jedwab - oznajmiła, wracając ze zdobyczą. - Podwójne szwy, guziki z gagatu, jedwabna półpodszewka. Idealny garnitur na tę pogodę. - Zarzuciła mu marynarkę na grzbiet, nie czekając, aż jej jedyny tego wieczoru klient włoży ręce w rękawy. - Jeśli teraz leży dobrze, to znaczy, że krój jest w porządku. Potem jeszcze sprawdzę długość rękawa, ale powinien być w sam raz. - Podeszła do ZeeZee'ego i zawahała się, gdy ten szybko się cofnął. - Muszę wiedzieć, ile ma pan w pasie - powiedziała. - Jeśli pan woli, przyniosę miarkę.

V

\V

m

38\_Jon Courtenay Grimwood

- Nie trzeba.

ZeeZee stał nieruchomo, kiedy kobieta złączyła palce na jego plecach i zręcznie opuszkami obrysowała talię, aż spotkały się na powrót poniżej pępka. Nawet jeśli spostrzegła szerokie końce taśmy łatającej ranę na boku, zachowała to dla siebie.

- 30, może 31. Sprawdźmy to i to. Dobrze, a teraz długość. - Przejechała dłońią po wewnętrznej stronie nogi Ze-eZee'ego i pokiwała głową. - 33...

Po chwili do marynarki dołączyły jedwabne spodnie. Pozostało już tylko dobrać czarną bawełnianą koszulkę, którą kobieta wydobyla ze stosu na obsydianowym blacie, oraz, na końcu, buty.

- Tam jest przymierzalnia.

Czarna zasłona oddzielała ciasny kącik od reszty butiku. Obok, jawnie przyśrubowana do gołej, ceglanej ściany, wisiała kamera przemysłowa.

- Dostanę ciemne okulary? - zapytał ZeeZee po wyjściu. Bezceremonialnie zwinął zakupione w samolocie ciuchy i trzymał je w ręku.

Wzruszyła ramionami w namiastce przeprosin.

- Przykro mi, nie u nas. Ale naprzeciwko jest sklep Ver-sacego.

ZeeZee podpisał się na wręczonym mu paragonie. Nie patrząc nawet na sumę, wrzucił stare ubranie do kosza i wziął od właścicielki srebrno-czerwoną wizytówkę. Dopiero gdy poczuł, ile waży, zdał sobie

sprawę, że jest naprawdę ze srebra. Miała nawet stempel probierczy.

- Realizujemy zamówienia z hotelu, jeśli napięty plan podróży nie pozwoli panu nas ponownie odwiedzić - poinformowała go sprzedawczyni. - Numer telefonu jest wytłoczony na wizytówce.

Pasza-zade

39

Rorferiał S

29 czerwca

- Normalnie tego nie robię...

Chłopiec w szklach kontaktowych imitujących kocie oczy kiwnął głową, jakby rozumiał, o co chodzi. Zara przyjrzała mu się uważniej. Chyba rzeczywiście rozumiał. Na szczęście w końcu ktoś przyznał jej rację. Miała swoje powody, aby nie wracać.

- To dokąd jedziemy?

Znała odpowiedź, ponieważ już jej to mówił, lecz łatwiej było jeszcze raz zapytać, niż próbować sobie przypomnieć, zwłaszcza że przy okazji mogłyby pojawić się nieprzyjemne wspomnienia.

- Do mnie - odparł chłopiec.

Uśmiechnęła się do niego krzywo, z cieniem szyderstwa. Pewnie pod wieloma względami był to najgłupszy pomysł na świecie.

- Dobra. - Zara wsiadła do stojącego tramwaju.

\*\*\*

- Gdzie? - spytał lisa.

Starszej kobiecie, która wpadła z tyłu na ZeeZee'ego, kiedy się raptownie zatrzymał, wystarczyło jedno spojrzenie na surową twarz nieznanego. Skręciła i ruszyła dalej przed siebie. ZeeZee nawet jej nie zauważył, bez reszty zajęty robieniem czystek w pamięci, wymazywaniem smaków, zapachów i niepotrzebnych ruchów, aby znaleźć jeden kolor z gamy podstawowych.

-Tam.

ZeeZee szybko, choć nie od razu zorientował się, że pasażerowie zielonego tramwaju nie gapią się na krew płynącą

T'

v X . «

z jego rany; przecież zamknął ją klejem opatrunkowym z zestawu pierwszej pomocy, oferowanego gratis przez linie Pan-American, a następnie obłożył ciało skórą z całodobowej apteki. Ludzi nie dziwił bynajmniej garnitur, nawet jeśli inni przeważnie nosili luźne dżelaby. Otóż zwracał na siebie uwagę brodą i dreadami. Może też okularami.

Cóż, trudno. Kiedyś to były jego znaki firmowe, choć za sprawą wypadków losowych. Daleko stąd, w innym kraju. Nie bez przyczyny nosił też ciemne okulary: bez nich oczy przyjmowały za dużo światła. Ot, jedna z dziecięcych przykrości, za którą mógł podziękować przyjaciołom matki.

Ostatnio zaczął nosić szkła kontaktowe z filtrem polaryzującym, lecz spory ich zapas zostawił w Huntsville razem ze speedem w schowku i całą resztą życia. Aczkolwiek trudno mówić o prawdziwym życiu w Huntsville, raczej o paśmie dni i nocy, egzystencji bez możliwości warunkowego zwolnienia. I tak mu się upiekło, biorąc pod uwagę, że prokurator okręgowy optował za tym, żeby go postać do piachu.

- Przepraszam. - ZeeZee ostrożnie przestąpił nad buciorami jakiegoś przekupnia i precyzyjnie się między dwoma roślinami budowlanymi w poplamionych zaprawą dżelabach.

Musiał natychmiast usiąść, bo tak już kręciło mu się w głowie, że - jak to określił lis - lada chwila mógł spowodować karambol i poobijać kilku pasażerów. Ale to nie wszystko. Miejsce, które sobie upatrzył, znajdowało się naprzeciwko dziewczyny. To ona właśnie wahała się, nim wsiadła do zielonego tramwaju. Jej smutek wypalił się na siatkówkach jego oczu niczym ogień błyskawicy.

A może to skutek prochów?

Zrozumiał, czemu nikt wcześniej nie usiadł na jego miejscu, kiedy pojazd gwałtownie zahamował i dziewczyna wyleciała z fotela wprost na niego. Nawet najsilniejsza woda toaletowa nie mogłaby zabić smrodu alkoholu.

- Przepraszam - odezwał się siedzący obok niej chłopiec. Podniósł się do połowy, z powrotem opadł na fotel i odwrócił głowę, zażenowany. ZeeZee ocenił go na czternaście, najwyżej piętnaście lat. Srebrne włosy, złoty kolczyk, laserowy tatuaż. Cóż, nie był aż taki twardy, za jakiego chciałby uchodzić.

Pasza-zade

41

ZeeZee grzecznie położył dłonie na ramionach dziewczyny i posadził ją delikatnie na fotelu. W podziękę uraczyła go jedynie nieznacznym kiwnięciem głowy. Widać było, że nie czuje się na siłach, aby cokolwiek powiedzieć. Siedząc jak trusia, pragnęła chyba ukryć fakt, że jest pijana i nie ustałaby na nogach. Urodziny albo pożegnalna biba, domyślał się ZeeZee, zauważywszy kartkę, którą trzymała w drżących palcach, i bukiet przywiewniętych orchidei na kolanach.

Przyjęcia urodzinowe sprzyjały brataniu się. Ileż to razy wykorzystywał je w Seattle. Ludzie wtedy opuszczali gardę, stawali się przystępni. Zazwyczaj o wiele bardziej, niżby chcieli. W tym właśnie specjalizował się ZeeZee: w docieraniu w pobliże ofiary, która poświęcała mnóstwo czasu i pieniędzy, żeby tacy jak on trzymali się od niej z daleka.

Trzeba było mieć klasę i ZeeZee ją miał. Odpowiedni wygląd dawał przepustkę do świata, który dla innych pozostawał zamknięty. Szyk, młodość i umiejętność wtopienia się w otoczenie. Nie znał wielu takich miejsc, dokąd mimo starań nie mógłby się dostać. To miało nawet swoją nazwę. Umiejętność czytania cudzych myśli...

Uśmiechnął się i nadal się uśmiechał, kiedy dziewczyna pochyliła się i rzygnęła na podłogę między jego nogami. Nie zrobiła przecież niczego zdrożnego, po prostu zwracała alkohol, chociaż w trochę zmienionej postaci.

- Przepraszam - powtórzył chłopiec swoją kwestię.

ZeeZee wzruszył ramionami.

- Zdarza się.

Na Rue Sherif podniósł się z fotela. Pragnął się dowiedzieć, kim jest nieznajoma, ale też musiał wysiadać. Powiedziała by chłopcu, żeby się nie martwił, lecz swoim zachowaniem mógł tylko pogrzyść dziewczynę. Koniec końców, kiwnął głową i odszedł. Sam był kiedyś w ich skórze, choć nie trwało to długo.

Pasza-zade

41

ZeeZee grzecznie położył dłonie na ramionach dziewczyny i posadził ją delikatnie na fotelu. W podzięcie uraczyła go jedynie nieznacznym kiwnięciem głowy. Widać było, że nie czuje się na siłach, aby cokolwiek powiedzieć. Siedząc jak trusia, pragnęła chyba ukryć fakt, że jest pijana i nie ustałaby na nogach. Urodziny albo pożegnalna biba, domyślał się ZeeZee, zauważywszy kartkę, którą trzymała w drżących palcach, i bukiet przywiędłych orchidei na kolanach.

Przyjęcia urodzinowe sprzyjały brataniu się. Ileż to razy wykorzystywał je w Seattle. Ludzie wtedy opuszczali gardę, stawali się przystępni. Zazwyczaj o wiele bardziej, niżby chcieli. W tym właśnie specjalizował się ZeeZee: w docieraniu w pobliże ofiary, która poświęcała mnóstwo czasu i pieniędzy, żeby tacy jak on trzymali się od niej z daleka.

Trzeba było mieć klasę i ZeeZee ją miał. Odpowiedni wygląd dawał przepustkę do świata, który dla innych pozostawał zamknięty. Szyk, młodość i umiejętność wtopienia się w otoczenie. Nie znał wielu takich miejsc, dokąd mimo starań nie mógłby się dostać. To miało nawet swoją nazwę. Umiejętność czytania cudzych myśli...

Uśmiechnął się i nadal się uśmiechał, kiedy dziewczyna pochyliła się i rzygnęła na podłogę między jego nogami. Nie zrobiła przecież niczego zdrożnego, po prostu zwracała alkohol, chociaż w trochę zmienionej postaci.

- Przepraszam - powtórzył chłopiec swoją kwestię.

ZeeZee wzruszył ramionami.

- Zdarza się.

Na Rue Sherif podniósł się z fotela. Pragnął się dowiedzieć, kim jest nieznajoma, ale też musiał

wysiadać. Powiedziała by chłopcu, żeby się nie martwił, lecz swoim zachowaniem mógł tylko pogrzyść dziewczynę. Koniec końców, kiwnął głową i odszedł. Sam był kiedyś w ich skórze, choć nie trwało to długo.

42

Jon Courtenay Grimwood

Rorfcrtel 9

29 czerwca

Pensjonat & Restauracja - głośił obdrapany szyld na rogu Abu Dadrdy i Rue Cif, choć sam tak szumnie nazwany budynek, odpychał wybitymi oknami i brakującymi drzwiami. Na parterze zerwano całą podłogę; długie, drewniane legary leżały nad ciemną studnią piwnicy.

W poprzek do futryny przybito deskę, wątpliwe ostrzeżenie przed czyhającymi w środku niebezpieczeństwami. W mroku na przeciwległej ścianie coś połyskiwało niby szkło oświetlone reflektorem samochodu. W rzeczywistości był to lis, o czym ZeeZee przekonał się po zdjęciu okularów, gdy przyjrzał mu się bacznie.

- Nie teraz - rzekł, na co lis wyszczerzył zęby bez słowa.

Mężczyzna nie wierzył w znaki, a spośród licznej gromady demonów, które mu towarzyszyły w dzieciństwie, jedynie lis polarny nie dał się ujarzmić. Tiriganak bał się go w większym stopniu, niż on bał się jego. A to dlatego, że w razie potrzeby ZeeZee przestawał mu odpowiadać. I lis zostawał sam jak palec, niezależnie od tego, czy nazywał się Tiriganak, Sierściuch, czy sir Szary Kocur. Mimo to zawsze razem stawiali czoło przeciwnościom losu. ZeeZee sam nie wiedział, skąd przyszło mu do głowy, że tym razem lis będzie siedział w przyczajeniu.

Nad nimi ściany dwóch pięter ginęły na tle bezchmurnej kopuły nocnego nieba, zmętnionej poświatą lamp sodowych, która nie docierałaby nawet do chodnika... gdyby w ogóle był taki...

ZeeZee zawędrował na wschód od dzielnicy al-Gomruk i na południe od Mansziji, ale również dość daleko na pół-

Pasza-zade

43

noc, więc Karmus czy Moharrem Bej nie wchodziły w grę. Nie miał pojęcia, co to za dzielnica. Mapa na przystanku tramwajowym nie przypisywała tej okolicy żadnej nazwy, lecz za-cieniowane uliczki mówiły turyście, że tutaj znajdzie najstynniejsze targowiska w al-Iskandariji.

ZeeZee wyraźnie widział w pamięci mapę - wszystko, nawet różowe cieniowanie, co jednak nie było niczym nadzwyczajnym. Prawie każdy wycinek życia, który świadomie zasufladkował w głowie, mógł później przeglądać.

Szukane wejście okazało się wąską, sklepioną bramą między dwoma sklepami: w jednym sprzedawano przedmioty z kutego mosiądzu, w drugim używane komputery w pastelowych obudowach. Na furcie

w bramie nie było kołatki. Na wysokości głowy wydrapano napis: On ne visite pas.

ZeeZee wyprostował się i mocno załomotał w sędziwą furtę, czego od razu pożałował, ponieważ odgłos poniósł się ulicą jak huk działa. Zastukał raz jeszcze, lecz ciszej.

- Pan tu czego?

ZeeZee nie zrozumiał słów, jednak wyobrażał sobie, że tak właśnie zwrócił się do niego mężczyzna za bramą.

- Szukam lady Nafisy - odpowiedział.

- Nafisy... - Człowiek żuł w ustach słowo, jakby się nim delectował.

- To moja ciotka.

- Trzeba było tak od razu. - Gdzie jeszcze przed chwilą ZeeZee'emu drogę zagradzała furta, stał podstarzały mężczyzna z niedopałkiem cygara w kościstych palcach. Przeszył gościa spojrzeniem ciemnych oczu i zrobił mu przejście. - Nasz dom jest twoim domem'. - Tym razem powiedział to po francusku, głosem ochryplym po wypaleniu setek nędznych cygar.

Zabezpieczył furtę pięcioma zasuwami, z których jedna wchodziła w najwyższy punkt sklepienia, inna zaś chowała się do dziury w poplamionej, wytartej kamiennej płycie.

- Tędy.

Za bramą sień prowadziła w lewo i zaraz skręcała w prawo, pod kolejnym sklepieniem przejściem. ZeeZee uświadomił sobie, że ponury korytarz stanowi początek małego, dość prostego labiryntu, z którego wychodziło się do nieciekawej-

44

Jon Courtenay Grimwood

go ogrodu, utrzymanego z obsesyjną dbałością o porządek. Z boków wychodziły na ogród otwarte fasady lekkich budynków z płaskimi dachkami, filarami z piaskowca i posadzką z podniszczonej terakoty. Po drugiej stronie ogrodu zwracał uwagę ozdobny łuk w prostym fragmencie ceglanoego muru. Dawno temu ogród francuski znajdował się pod gołym niebem, lecz przed laty ktoś nakrył go dachem ze szkła i stali. Brudne szyby w wielu miejscach były popękane.

To, że dach jest stary, od razu rzucało się w oczy. Szkielet trzymał się na poprzecznicach mocowanych nitami do żeliwnych słupów. Warstwa farby, zgrubiła po dziesięcioleciach poprawek, powlekała nity skorupą i zatarta doryckie zdobienia cokołów, wyglądające przez to niczym metalowe falbany.

- Tędy. - Przewodnik zniknął za marmurowym sklepieniem drzwi w przestronnej, pustej komnacie, gdzie woda nie tyle tryskała z fontanny, co spływała, bulgocząc, z wolno stojącego bloku marmuru.

- Szazarwan - oświadczył mężczyzna.

ZeeZee domyślił się, że to nazwa owej dziwnej rzeczy.

Po drugiej stronie komnaty kolejne sklepione przejście prowadziło na otwarty dziedzińiec, mniejszy od ogrodu i wyłożony białym kamieniem. Pośrodku stała fontanna wyciosana z pojedynczego bloku żyłkowanego marmuru. Nie ona wszakże zadziwiała, ale wyróżniający się bogatym zdobnictwem trzypiętrowy dom, który wznosił się za dziedzińcem. Miękkie światła skierowane ku górze, nie rozpraszające cieni pod olbrzymimi łukami, podkreślały detale rzeźbionej balustrady. Jeśli medresa al-Mansur miała budzić podziw, to budziła, i to jaki!

Skinąwszy brodą na schody, które zaczynały piąć się w górę przy murze medresy, by zaraz skręcić pod sklepione przejście, chudy mężczyzna cofnął się.

- Nafisa... - rzekł lapidarnie.

ZeeZee ruszył przed siebie.

\*\*\*

- Spóźniłeś się! - odezwał się czyjś głos, który przyciągnął spojrzenie ZeeZee'ego do niewysokiej kobiety, przechadzającej się nerwowo u szczytu schodów. Oświetlona z tyłu bla-

Pasza-zade

45

skiem kinkietów, lady Nafisa przypominała wysuszonego, drapieżnego ptaka. Była zgrabnym cieniem bez twarzy, doprowadzonym do złości.

- Naprawdę? - W pierwszej chwili ZeeZee chciał ją przeprosić, a potem tłumaczyć się nieterminowym przylotem samolotu, choć ciotka zapewne rozmawiała z szoferem i kłamstwo wyszłoby na wierzch. Nie wybrał więc tej opcji. Wzruszając ramionami, wspinał się dalej po schodach, jakby zamierzał ją staranować. - Zawsze coś się pochrzani - rzekł na górze, gdzie mógł się rozejrzeć po rozległej komnacie, do której przez otwarte arkady wpadało nocne powietrze. Ponieważ lęk wysokości był jego utrapieniem, nie podchodził bliżej, żeby podziwiać widoki. - No i ktoś chciał ze mną pogadać.

Lady Nafisa nagle znieruchomiła.

- Spotkałeś znajomego?

- Na odwrót - odparł ZeeZee. - Zdaje się, że to on mnie znał.

Posługiwali się francuskim, gdyż w tym języku lady Nafisa rozpoczęła rozmowę, ale kiedy zniemacka przeszła na angielski, zrobiła to tak płynnie, że można było się zastanawiać, czy zdaje sobie z tego sprawę.

- Wysłałam po ciebie samochód. Daimlera-Benza, długą limuzynę.

Siliła się na uśmiech, lecz wyraz złości nie zniknął z jej twarzy. Co mu nie przeszkadzało, bo był przekonany, że pod przykryciem oferujących namiastkę prywatności szkieł od Versacego, za które nieświadomie słono zapłaciła, czai się taki sam gniewny wyraz.

Tak już działała na niego rodzinna atmosfera, zwłaszcza gdy chodziło o jego własną rodzinę. Jeśli rzeczywiście miał przed sobą ciotkę, co dopiero musiało się potwierdzić.



- Nikt mnie nie będzie prowadził za rączkę - powiedział.

Przeszywała go uważnym spojrzeniem. Pod maską garnituru, żywcem wyjętego z żurnala, dostrzegła ducha swego męża, jego odbicie w lustrze.

- Dobrze - rzekła pośpiesznie. - Jeszcze do tego wrócimy.

Jak na komendę, w komnacie pojawił się patykowaty odźwierny z mosiężną tacą. Położył ją na trzynogim, drew-

--C\*"" ' A

46 Jon Courtenay Grimwood

nianym ustrojstwie, które zdawało się przeznaczone do tego właśnie celu.

- To Chartum - oznajmiła lady Nafisa takim tonem, jakby miała na myśli psa. - Pochodzi z Sudanu, więc możesz przy nim mówić, co tylko zechcesz.

Pewnie chciała przez to powiedzieć, że chudzielec nie zna angielskiego.

- No, chyba że będę mówił po francusku, arabsku i może jeszcze w jakimś innym języku -- zauważył ZeeZee.

Nafisa westchnęła.

- Niemieckim - uzupełniła niechętnie. - Wrodziłeś się w ojca, nie ma co.

W ojca? ZeeZee patrzył na nią w zdumieniu.

- Pedantyczny do granic absurdu.

ZeeZee nie zamierzał być pedantem. Czy to jego wina, że był mocny w gębie?

Nigdy nie spotkał się z ojcem, a ostatnim razem, kiedy widział się z matką, nadal uważała prawdę za rzecz tak iluzoryczną, że te same zdania mogły z dnia na dzień nabrać w jej ustach zupełnie innego znaczenia. Zastanawiał się, czy lady Nafisa w ogóle wiedziała, kim jest jego ojciec. Jakoś w to wątpił. Dotychczasowym życiem jego rodziny niewątpliwie rządziła nie odkryta jeszcze teoria chaosu.

Staraj się być grzeczny i wal między oczy. Tak brzmiała jedna z maksym Dzikiego Chłopca jeszcze sprzed Huntsvil-le, kiedy nie czuli do siebie wrogości.

- Staramy się być grzeczni - stwierdził ZeeZee.

-Wy?

Jakby na potwierdzenie swoich słów, ZeeZee stuknął obcasami i lekko się pokłonił. Tak, my... Ja i lis...

- Idiotyizm! - odezwał się ktoś za plecami ZeeZee'ego z głęboką pogardą. - Stukasz obcasami? Nikt już tego nie robi w al-Iskandarijji. Wiedziałaś, że będziesz głupolem!

- Hana!

- Hani! - poprawiła dziewczyna.

Lady Nafisa skwitowała to westchnieniem.

- Hani i Hani! O co ci znowu chodzi? - zapytała dziewczynka, zdenerwowana, wchodząc w obręb światła. Po ekwi-libryście na linach windy dłonie i kostki miała utyłane

%

Pasza-zade

47

smarem. - O, pozapalałaś reflektory. - Podreptała do balustrady i obejrzała z góry dziedziniec. - I fontanna działa...

- Odwróciła się do ZeeZee'ego z jadowitym wzrokiem. - Spotkał cię nie lada zaszczyt - rzekła z goryczą. - Ona nie dla każdego włącza światła. Nie chciała ich włączyć, kiedy urządzałam przyjęcie urodzinowe.

- Była awaria - przypomniała jej oschle lady Nafisa.

- I już ją usunęli? - Wyglądało na to, że nie wierzy w ani jedno słowo ciotki.

- Mów mi Raf - wtrącił się ZeeZee.

- Aszraf - sprostowała mała ironicznie. - Jakbym nie wiedziała. Przez całe dni ona w kółko o tobie...

- Hani! - upomniała ją lady Nafisa.

- Wiem, wiem. Hani, bądź grzeczna. Hani, zmykaj.

- Dziewczynka odwróciła się żołnierskim krokiem wróciła do windy. - Z tego, co widzę, nie jesteś wart tego całego gadania - dodała uszczypliwie i zatrzasnęła za sobą kratę.

ZeeZee miał wrażenie, że to tylko małe, rozjuszzone zwierzątko, śledzące go dzikim spojrzeniem spoza prętów kratki.

48

Jon Courtenay Grimwood

Rozdział 10

1 UpCA

Świtał ranek. Niebo było bezchmurne i miało odcień turkusów. Hamza Quitrimała doskonale wiedział, jak teraz wygląda woda. Promienie brzasku będą kolorować falę po fali, aż wstęga światła połączy horyzont z oszklonym kokpitem jego łodzi VSV. Mierząca pięćdziesiąt stóp długości i blisko dziesięć szerokości, maszyna z silnikiem o mocy 15 tys. KM odsłużyła swoje w policji, nim trafiła w jego ręce. Miała ostry, aerodynamiczny dziób i kanciastą rufę. Była powleczona materiałami maskującymi i niewidzialna dla czujników pracujących w podczerwieni.

Łódź spisywała się bez zarzutu, co miesiąc w połowie tygodnia wypełniała swą misję.

Diamenty płynęły do punktu przelotowego na południe od Iraklionu, skąd tą samą drogą wędrował sprzęt medyczny. Za młodu Hamza zwykł osobiście dowodzić wyprawą. Rzecz jasna, w tamtych czasach łodzie nie dorównywały tym dzisiejszym szybkością, a mimo to wywiązywały się z zadania i wracały przed drugim świtem. Ta sztuka jakoś nie udawała się obecnej załodze.

Zamierzał rozejrzeć się za nowym kapitanem. Ale najpierw czekało go spotkanie z pewnym bejem...

- Aszraf al-Mansur - powtórzył ZeeZee. - Dla przyjaciół

Raf.

Opróżnił umysł z niepotrzebnych myśli i poczekał, aż przebrzmi dźwięk imienia. Kiedy po pięciu minutach otwo-

Pasza-zade 49

klęby pary nadał wypełniały hammam i całkowicie zasłaniały wyjście.

W rzeczywistości, pary naszło tyle, że Raf ledwie widział stopy. Może i miało to coś wspólnego z potem spływającym obfitymi strużkami z czoła do oczu. Cuchnął, choć nie tak bardzo jak wczorajszego ranka, kiedy obudził się zlaný potem, który miał zarazem słodki zapach krwi i kwaskowaty - dyzenterii. Ale to się działo dwadzieścia cztery godziny temu, kiedy sikał na czarno. Obecnie kolor moczu wracał do normy, a organizm zaczął się przyzwyczajać do braku metamfetaminy. Jeszcze tylko jego umysł nie chciał zerwać z uzależnieniem.

Był rozebrany do naga. Rozebrany w kopalasto sklepionej komnacie pełnej gołych panienek. Niestety, tuzin tancerek o pełnych, obnażonych piersiach spoglądał na niego tylko ze ściennych malowideł. Pulchne wżgórki łonowe chowały się pod strzępem materiału z drobnych kostek - kawałków marmuru powklejanych przed z górą stuleciem ręką artysty, który nie chciał, aby dzieło przekroczyło granicę przyzwoitości.

W Huntsville, jeszcze przed epoką doktora Millbanka, niepoprawnych skazańców łamano karcerem w gorącej parni, gdzie się gotowali. W al-Iskandariji już wczesnym rankiem każdy musiał mieć rezerwację, jeśli chciał skorzystać z tego dobrodziejstwa.

Raf nie do końca rozumiał, co takiego wyjątkowego jest w łaźni tureckiej, że musiał się w niej spotykać z Hamzą Quitrimalą efendim. Ale cóż, skóro tak, to tak. Czekał na jego nadejście.

Krople potu spływały całymi sznurami z piersi i brzucha. Czuł się wręcz odwodniony.

- Wasza Ekscelencjo!

Otworzył oczy i zobaczył faceta, przy którego niedźwiedzich barach ramiona wielu zawodników sumo zdałyby się maleńkie. Niebieski garnitur, przesiąknięty parą i sflaczały, leżał na nim jak namiot. W uchu błyszczała złota minisłuchawka Sony z rodzaju tych, które służą do tego, żeby zwracać na siebie uwagę.

- Wasza Ekscelencjo.

Raf wiedział już, że to do niego mowa. Kiwnął głową.

Pasza-zade

49

kłęby pary nadal wypełniały hammam i całkowicie zasłaniały wyjście.

W rzeczywistości, pary naszło tyle, że Raf ledwie widział stopy. Może i miało to coś wspólnego z potem spływającym obfitymi strużkami z czoła do oczu. Cuchnął, choć nie tak bardzo jak wczorajszego ranka, kiedy obudził się zlanym potem, który miał zarazem słodki zapach krwi i kwaskowaty - dyzenterii. Ale to się działo dwadzieścia cztery godziny temu, kiedy sikał na czarno. Obecnie kolor moczu wracał do normy, a organizm zaczął się przyzwyczajać do braku metamfetaminy. Jeszcze tylko jego umysł nie chciał zerwać z uzależnieniem.

Był rozebrany do naga. Rozebrany w kopulasto sklepionej komnacie pełnej gołych panienek. Niestety, tuzin tancerek o pełnych, obnażonych piersiach spoglądał na niego tylko ze ściennych malowideł. Pulchne wzgórki łonowe chowały się pod strzępem materiału z drobnych kostek - kawałków marmuru powklejanych przed z górą stuleciem ręką artysty, który nie chciał, aby dzieło przekroczyło granicę przyzwoitości.

W Huntsville, jeszcze przed epoką doktora Millbanka, niepoprawnych skazańców łamano karcerem w gorącej parni, gdzie się gotowali. W al-Iskandarijji już wczesnym rankiem każdy musiał mieć rezerwację, jeśli chciał skorzystać z tego dobrodziejstwa.

Raf nie do końca rozumiał, co takiego wyjątkowego jest w łaźni tureckiej, że musiał się w niej spotykać z Hamzą Quitrimalą efendim. Ale cóż, skóro tak, to tak. Czekał na jego nadejście.

Krople potu spływały całymi sznurami z piersi i brzucha. Czuł się wręcz odwodniony.

- Wasza Ekscelencjo!

Otworzył oczy i zobaczył faceta, przy którego niedźwiedzich barach ramiona wielu zawodników sumo zdałyby się maleńkie. Niebieski garnitur, przesiąknięty parą i sflaczały, leżał na nim jak namiot. W uchu błyszcząca złota minisłuchawka Sony z rodzaju tych, które służą do tego, żeby zwracać na siebie uwagę.

- Wasza Ekscelencjo.

Raf wiedział już, że to do niego mowa. Kiwnął głową.

50

Jon Courtenay Grimwood

- Szef zaraz się z panem zobaczy. Przeprasza za spóźnienie. - Po wyklepaniu swej kwestii kwadratowy Rusek stanął na straży pod przeciwną ścianą; pozornie niewrażliwy na gorąco, ignorował pot spływający po zaczerwienionej twarzy.

- Aszraf, mam rację? - Zbliżył się krępy, brzuchaty mężczyzna z wyciągniętą ręką. - Miło mi.

Był bezwstydnie goły: jego odsłonięte genitalia znajdowały się w równej linii z oczami Rafa, siedzącego

na marmurowej ławeczce. Dlatego wstał.

- Dr Hamza efendi?

Wesoły grymas przemknął po twarzy przybyłego i zaraz zniknął, pozostawiając po sobie krzywy, niemalże melancholijny uśmiešek.

Lady Nafisa powtarzała Rafowi, żeby nie zapomniał dodać przed nazwiskiem tytułu naukowego. Sprytnie posunięcie. Mężczyzna powitał go dokładnie takim uściskiem dłoni, jakiego się spodziewał: silnym, lecz odrobinę niezgrabnym. A także krótkim, jakby doświadczenie nauczyło go nie miętosić natrętnie niczych rąk. Pobrzękiwał ciężką, złotą bransoletą i nosił na środkowym palcu olbrzymi sygnet z rubinowym kaboszonem. Jedno i drugie było niezbyt wygodne, ale najważniejsze, że kosztowało krocie.

Hamza był milionerem i lubił się z tym obnosić.

Umiejętność rozpracowywania człowieka należała do mocnych stron Rafa, obok niezawodnej pamięci i zdolności widzenia w ciemnościach. Wiedział o tym i cieszył się z tego. Pomogło mu przebywanie w zamkniętych instytucjach: od piątego roku życia uczył się w szwajcarskiej szkole z internatem, potem w szkockiej, trzy lata pracował dla Hu San w Seattle, a na koniec trafił do Huntsville. Tułał się tak przez całe życie i tylko jedno z tych miejsc było prawdziwym więzieniem, choć w poprzednich też panowała więzienna atmosfera. Ale i miał tam poczucie bezpieczeństwa. Aż taki głupi nie był, żeby temu przeczyć.

- Paskudna blizna - rzekł Hamza.

- Owszem.

- Świeża - dodał bogacz twierdzącym tonem. Okiem znawcy obejrzał ranę na żebrach, przewiercając wzrokiem podwójny pas plastikowej skóry.

Pasza-zade\_51

- Pośliznąłem się i przeciąłem - wyjaśnił Raf. Mogło się tak zdarzyć. Oczywiście, skłamał, ale historia z napaścią golema, który dysponował fotografią ni to jego, ni to nie jego, wydałaby się jeszcze bardziej nieprawdopodobna. - Moja wina. Nie uważałem jak trzeba.

- A to?

Na pierwszy rzut oka zniszczona skóra na ramieniu Rafa wyglądała jak mapa dużego miasta: od pokrytego gęstą siatką blizn środka rozbiegały się promieniście dłuższe linie.

- Długo by opowiadać. Może innym razem.

\*\*\*

W przeciwieństwie do rozgrzanej pary woda w zewnętrznym basenie była tak zimna, że Raf mógł się obawiać, czy serce mu nie stanie i płuca nie zamarzną.

- Czyż to nie przyjemne? - zauważył radośnie Hamza, kiedy obaj wypłynęli na powierzchnię.

Raf skrzywił się, ale tylko dlatego, że brakło mu tchu w piersiach.

- Dziwne. - Odpychając się nogami, Hamza podpłynął do marmurowych stopni. - Można by sądzić, że pański ojciec posiadał tuzin tureckich łaźni... - Jego słowa przebrzmiały w ciszy, coraz dłuższej i dłuższej.

Ostatecznie Raf zorientował się, że to nie monolog i powinien odpowiedzieć. W sumie, nic dziwnego. Hamza na pewno nie chciał kupować kota w worku. Najgorsze, że Raf nie mógł się streścić w paru słowach.

- Mieszkalem z matką - powiedział i zamilkł, bowiem i to nie bardzo zgadzało się z prawdą. Po pierwsze, nie była właściwie jego matką i razem nie mieszkali. A może była? W tym temacie zmieniała zdanie co godzina. Albo też... - Mieszkalem w internatach, w różnych szkołach. W Anglii, Szkocji, Szwajcarii.

- Pańska matka była Amerykanką?

- Angielką. Ale mieszkała w Nowym Jorku.

Hamza wzruszył ramionami, jakby nie widział w tym żadnej różnicy. Pewnie i nie widział.

- Podobno jest dość znana...

- Jedynie widzom kanału National Géographie. Prowadziła kampanię na rzecz wyzwolenia zwierząt i przygotowy-

\*

t

3

52\_Jon Courtenay Grimwood

wala programy dokumentalne. Oglądał pan film o surykat-kach?

Hamza miał skonsternowaną minę, dopóki Raf nie uniośł rąk niczym zwierzak łapy i nie obrócił głowy to w jedną, to w drugą stronę, jakby wietrzył niebezpieczeństwo. Hamza zrozumiał i pokiwał głową.

- Była operatorką kamery. - Raf pierwszy wyszedł z wody. - Sprzedawała programy na sześciu kontynentach. Może pan sobie ściągnąć jej wygaszasz ekranu. Kiedyś za standardowe honorarium 1.5 tys. dolarów poleciała do Brazylii, żeby filmować nietoperze wampiry. A pamięta pan, jak mała panda próbowała jeść łodygę bambusa? A małego liska w śniegu? A młode białego tygrysa z pustą butelką coca-coli? To ona je filmowała. - Zwierzęce porno, tyle że inna odmiana. Słodkie obrazki dla nieczułej planety, z których miała szmal na ciekawsze rzeczy, takie jak filmowanie drapieźników. Nie to, żeby gorycz przez niego przemawiała. - Często pracowała dla czystej przyjemności - ciągnął, starając się o obiektywizm. Musiało jej to sprawiać przyjemność, ponieważ Bóg wiedział, jak mało zarabiała. I pewnie to nie była jej wina, że tylko w jeden sposób mogła pomagać zdegradowanemu światu: badać go przez obiektyw denka półlitrowki. Z drugiej strony, nie on ciągnął ją na dno... wbrew temu, co mówiła.

- Chodźmy jeszcze do parni.

- Spodobało się, co? - rzekł Hamza z uśmiechem.

Siadając nago obok siebie w kotłującej się parze, obaj

wiedzieli, że teraz się zacznie prawdziwa rozmowa kwalifikacyjna. Lady Nafisa nie wyjawiała jednak Rafowi, kto ma w tej sprawie decydujący głos. Stwierdziła tylko, że powinien unikać faktów, które można sprawdzić, a odpowiadać dwuznacznie i najlepiej pytaniem na pytanie.

Przypuszczalnie doniesiono jej, że Raf odsiedział ładnych parę lat w więzieniu w Seattle, lecz Hamza nie musiał tego wiedzieć.

- Był pan w Ameryce? - zapytał biznesmen z wystudiowanym spokojem, tonem bez mała przyjacielskim. Rzadko zerkał na brzydką bliznę nad prawym biodrem Rafa, a jeśli już, to przelotnie. Mógłby usłyszeć o operacji nerek pięcioletniego dziecka, ale byłaby to historia równie nudna jak

Pasza-zade

miesiąc, gdy leżał podłączony do aparatury. - Pracował pan tam może?

- W pewnym sensie tak. - Raf wstał i przeciągnął się. Przekrzywił głowę na bok, jakby boleśnie strzyknęło go w karku. Z pewnością nie zwiódł tym swego rozmówcy.

- Lady Nafisa wspominała, że jest pan honorowym attache.

Coś podobnego. Nie chcąc bezczelnie kłamać, Raf posłużył, się półprawdą:

- Właściwie, to większość czasu zajmowałem się doktoratem.

Tak, za kratkami, z ograniczonym dostępem do sieci, bez widzeń na terenie więzienia!

- Z ekonomii? - Hamza wyraźnie się ożywił.

- Nie. Z alternatywnej rzeczywistości. To jest dziś w Stanach oblegany kierunek. - Przynajmniej tym razem mówi szczerą prawdę. - Dowcip polega na tym, żeby zrozumieć, co się stało, na podstawie tego, co się nie stało, ale stać się mogło... Dajmy na to, że Ameryka brałaby udział w III wojnie bałkańskiej.

- Była neutralna. Tak samo jak my.

-A konflikt w latach 1966-75? III wojna bałkańska, 1914-1915. Powiedzmy, że Woodrow Wilson nie idzie na ugodę z Berlinem i Londynem, ale przerzuca wojska, by wesprzeć Brytyjczyków. Londyn ma szansę zwyciężyć. Osłabiony cesarz popada w tarapaty...

- Cesarz wygrałby tak czy inaczej - wtrącił spokojnie Hamza. - Bóg pisze historię.

Raf westchnął.

- Wyobraźmy sobie, że imperium pruskie rozpada się w 1923 r., tak samo jak mogły się rozpaść Austro-Węgry. Czy Osmanowie zostaliby wyparci? Co by się stało z egipskim chedywem?

- Z chedywem... - Hamza ani myślał oskarżać beja o zdradzieckie knowania. Szczególnie tego, który miał się ożenić z jego córką. Zresztą, całe to gdybanie musiało być wyrefinowaną gierką, jaką uprzyjemniali sobie czas ludzie bez porządnego zajęcia. Mimo wszystko, jemu pachniało to zdradą.

54

Jon Courtenay Grimwood

Poza tym, pamiętał, jak potoczyły się wypadki. Każdy uczeń w Afryce Północnej wiedział, że islam rozpędził kolo-nialistów na cztery wiatry. Słudzy angielskiego króla z jego posiadłości w Sandringham zostali wybici do nogi w zatoce Suwła. Rzeź na półwyspie Gallipoli złamała ducha wojennych podżegaczy. Rozbitych Brytyjczyków wypędził z Egiptu generał Saad Zaghlul. Włochy zagarnęły Libię w 1911 r., ale już po sześciu latach musiały się jej rzec. Francuzi wycofali się z Tunisu.

Nastało piętnaście lat zamieszek i niepokoju. Nacjonałiści, fundamentaliści, bolszewicy... Aż w końcu, wszyscy po kolei, dali się kupić za pieniądze z arabskich pól naftowych. Wznoszono meczety, budowano szpitale i zakładano szkoły, gdzie uczyły się dzieci biedoty. Z tych najniższych warstw wywodził się jego daiadek. Był dzieckiem fellaha, który daleko na południe od al-Iskandarijji dzierżawił wąski pas ziemi, nawożonej mułem podczas wylewów Nilu, i który psioczył na bezczelnego efendiego, kiedy ten oświadczył, że jego syn ma pójść do szkoły; wszak trzeba było zbierać koniczynę i szeroką motyką udrażniać kanały nawadniające.

Od fellaha do efendiego w ciągu trzech pokoleń. Nie byle wyczyn. Przemysłowiec skinął na swego ochroniarza i wstał, aby odejść. Czekąło go wręczanie łapówek, negocjowanie kontraktów budowlanych i szukanie nowego kapitana łodzi, mającego pływać z towarem.

Jego sekretarka Olga czekała już w biurze z długą listą osób, z którymi powinien się spotkać, i telefonów, które powinien wykonać. Większość mógł zignorować.

- Gdzie pan był attache? - Zadał to pytanie wyłącznie z grzeczności. Bejowie mieli swoje dziwactwa i Hamza nawet nie udawał, że teorie wysnuwane przez jego przyszłego zięcia choć trochę go obchodzą.

- W Seattle.

Hamza ponownie usiadł. Jego spojrzenie znowu pobiegło do rany na żebrach, lecz zatrzymało się na niej na dłużej. Gdy odwrócił wzrok, w jego oczach malował się wyraz... chyba poczucia winy. Na chwilę położył swoją ciężką rękę na ramieniu Rafa.

- Tego nie wiedziałem. Nikt mi o tym nie mówił.

Pasza-zade

Raf milczał, ponieważ tak właśnie zachowałby się ktoś, kto nieoficjalnie pracował w konsulacie w Seattle.

- Oczywiście, to wiadomość poufna - rzekł wreszcie. - Więc proszę, aby pan nikomu tego nie powtarzał.



- Ale muszę powiedzieć...

- Nie! - Raf patrzył prosto w oczy businessmenowi. - Pełniłem mało zaszczytną funkcję. Attache honorowy jest po prostu czymś asystentem. Zarabia marne pieniądze.

- Człowiek, dla którego pan pracował, nie żyje. - To nie było pytanie. Hamza słuchał oficjalnych doniesień. A nawet gdyby nie, zamach bombowy na konsulat w Seattle, dokonany przez fundamentalistów spod znaku Boskiego Miecza, odbił się głośnym echem w światowych serwisach informacyjnych, trąbiły o nim stacje radiowe, a i piracka telewizja uruchomiła całodzienne bloki programowe, poświęcone temu wydarzeniu.

Świat obiegły wstrząsające obrazy. Ofiary wydobywano ze zgliszczy betonowego budynku z ciężkimi balkonami. Widzowie dowiedzieli się o istnieniu balkonów tylko dlatego, że dziennikarze CNN-u dokopali się do materiałów archiwalnych, które miały lepiej zilustrować horror tego, co się stało.

Już jedna bomba w samochodzie spowodowałaby naruszenie konstrukcji. Jednakże pod konsulem biegły trzy ulice, a ciężarówki dostawcze wyleciały w powietrze w tej samej sekundzie. Kierowcy byli z sobą w ciągłym kontakcie. Policja ustaliła, że zamachowcy-samobójcy porozumiewali się drogą radiową, czego dowodem miały być nadpalone szczątki urządzeń elektronicznych i zeznanie trzynastoletniego pod-słuchiwacza, który ku swemu rozczarowaniu natrafił na szum szyfrowanych przekazów, zamiast, na co liczył, pikantnych rozmów sąsiadów.

56

Jon Courtenay Grimwood

Rozdział 11

3 lipca

Powiedzieć, że wolne miasto zbudowano na gruzach historii, to powiedzieć za mało. Gruzy zostały wykorzystane przy jego przebudowie. Kolumny greckie, ubogacone przez rzymskich artystów, wytargane z fundamentów bizantyjskie-go kościoła, znalazły swoje nowe miejsce w wejściach do meczetu. W ten sposób powstawała mieszanka kulturowa. Aż sama się stała nową, złożoną kulturą.

Berlin nazywał al-Iskandarijję ostoją barbarzyństwa, obawiał się jej Biały Dom, a Bagdad uważał, że egipska metropolia, zapomniana przez Boga, stacza się w otchłań moralnego upadku. Jednakże wymogi realpolitik nakazywały istnienie nad Morzem Śródziemnym wolnego portu, gdzie można prowadzić nieograniczony handel ropą, bawełną, a zwłaszcza informacją. Al-Iskandarijja sprawdzała się świetnie w tej roli.

Rzymianie, Bizantyjczycy, Koptowie, muzułmanie... Jeśli starożytny Babilon nazwać wszeteczną, to al-Iskandarijja od dawna była kurtyzaną, aczkolwiek zdobywcze wojska mahometan przyjęły ją w swe ramiona jak zaginioną siostrę. Napoleon mówił o niej: pięć szop na gnojowisku. Nelson, będąc Brytyjczykiem, nie poznał się na jej kobiecej naturze i porzucił ją jak kulawego psa. Al-Iskandarijja nie przejmowała się jednak zniewagami. Była konglomeratem, niezmiennym w swym charakterze. Miastem-wampirem, czcigodnym i wytwornym, rozsmakowanym w świeżej krwi... co skrzętnie ukrywała pod maską okazałych bulwarów i nienaganych manier, przynajmniej za dnia. Albowiem nocą metropolia budziła się z ziewaniem, ukazując przy tym swoje kły i pazur-

Pasza-zade

ry. Choć blady uśmiech nigdy nie schodził jej z twarzy, a w oczach zawsze błyszczały iskry.

Kto uważał, że al-Iskandarijja jest jednolitym tworem, ten nie miał zielonego pojęcia o różnorodnych niuansach jej osobowości, powiązanych z sobą w iście gordyjski węzeł. Wampir żył w symbiozie z bezbronną, niewinną blondynką, dziwka miała w sobie coś z dziewicy. Jak daleko sięgnąć w głąb dziejów, nie mogło być mowy tylko o jednej al-Iskan-darijji. Mimo swej chwalebnej przeszłości bywały dni, że bała się własnego cienia, przybrudzonej ramy lustra, które pokazywała światu.

Właśnie dni takie jak ten, kiedy na ekranie w kawiarni Le Trianon pokazywano tylko i wyłącznie powtórki z egzekucji, która odbyła się rankiem w Rijadzie. Pewien Sudańczyk i saudyjski pedofil, obaj skazani za czary. Błysk miecza. Spadają głowy, potem jeszcze raz, w zwolnionym tempie.

Rodzina.

Aszraf al-Mansur, który usilnie starał się nie myśleć o sobie jako o ZeeZee'em, zmełł w ustach to słowo i splunął. Nigdy nie miał rodziny i nie był wcale pewien, czy chce ją zakładać. Już w dzieciństwie w prywatnej szkole w Zurychu kumplował się z chłopakami, którzy mieli rodziny. Zachowywali się przez to bardzo dziwnie. Zaraz na starcie roku szkolnego płakali z tęsknoty za domem, ale kiedy wracali do siebie na wakacje, czuli pewien dyskomfort. Gorzej z rodzicami. Ci bez przerwy gadali o korzeniach, zapominając, że to one trzymają w ziemi warzywa.

Po co komu korzenie? Raf przyszedł na świat z wielostronicową gwarancją, zgodnie z którą jego „uwarunkowania genetyczne” zawsze miały przeważać nad „społeczną adaptacją”. Cokolwiek ten bełkot znaczył.

Początkowo, widząc liczbę zer na rachunku, sądził, że matka naprawdę go kocha. Niestety, kiedy później sprawdził jej wydatki z tamtego okresu, okazało się, że 95% kosztów manipulacji genetycznej wzięła na siebie Bayer-Rochelle, a resztę przez pięć lat odpisywała sobie od podatku.

Aha, przedsiębiorstwo farmaceutyczne sfinansowało jej trzy następne ekspedycje oraz przyznało pokazną dotację grupie nacisku, dla której oficjalnie robiła zdjęcia. Mniej

Jon Courtenay Grimwood

więcej w tym samym czasie wycofała się z kampanii przeciwko niejawnym doświadczeniom z ludzkim genomem.

Już wieczorem tego dnia, kiedy przybył do al-Iskandarij-ji, lady Nafisa wyjaśniła mu bez ogródek, ile zamierzała za-inkasować za wywleczenie go z Huntsville. Choć przede wszystkim podkreślała potrzebę wzajemnego wsparcia w rodzinie, konieczność poczuwania się do pewnych obowiązków.

„Ja nie mam rodziny - upierał się Raf. - Pamiętam, że miałem matkę. Kiedy chciałem z nią porozmawiać, umawiałem się z jej agentem”.

Lady Nafisa świdrowała go wzrokiem.

„Twój ojciec jest moim szwagrem. Jesteśmy więc rodziną”.

Jej szwagier...

„Ojciec był włóczęgą. Pochodził z Goteborga. Matka nawet nie sprawdziła, jak się nazywa”. - Podobno wynajęła go jako kierowcę na wyprawę w rejon Sahelu, gdzie przez tydzień filmowała zorille libijskie. Pewnie była zbyt zmordowana, żeby siadać za kółkiem.

„Nie. - Lady Nafisa pokręciła głową. - Posłuchaj mnie uważnie. Twoim ojcem jest emir Tunisu”.

„Nie przeczę. W Szwecji wszyscy go znają”.

„Niebieskie oczy, białe włosy, odstające kości policzkowe - tłumaczyła mu lady Nafisa z poirytowaniem. - Jesteś Berberysem. Popatrz na to! A skoro już masz okazję, to przypatrz się uważnie”.

Tyle tylko, że Raf nie musiał się uważnie przyglądać, ponieważ widział już to zdjęcie. Te same palmy, minaret, mężczyzna ze złotym kolczykiem.

„Oto twój ojciec”.

Raf najchętniej powiedziałby, że trafiła z tym zdjęciem pod zły adres, gdy raptem uzmysłowił sobie własną pomyłkę. Rozmawiali nie o jego, a ściślej nie tylko o jego obowiązkach. Chyba i ona czuła, że jest mu coś winna. Jakoś dziwnie mu było, gdy naszła go ta myśl.

„Wiedziała, że ma dzieciaka z Amerykanką - rzekła lady Nafisa. - Wypłacał twojej matce drobną zapomogę, ale robi to dla wszystkich swoich bękartów. Stać go na to. Powiedział mi, że jesteś nieślubnym dzieckiem. Kłamał”.

Pasza-zade

Wręczyła list Rafowi.

Na drogim papierze, pod słowami „Izaak i Synowie. Zeznanie poświadczone notarialnie, z prawej do lewej strony warkocze arabskiego pisma biegły niczym morskie fale. Zamiast czytać ten tekst, Raf z równym powodzeniem mógłby próbować latać.

„Co tu pisze?” - zapytał, zwracając list.

„30 kwietnia... pasza-zade Zari al-Mansur, jedyny syn emira Tunisu, poślubił Sally Welham podczas zamkniętej ceremonii w wielkim meczecie az-Zajtuna - wyrecytowała z pamięci lady Nafisa. - Była jego trzecią żoną. Piątego dnia się z nią rozwiódł”.

„Moja matka była wtedy mężatką”.

Lady Nafisa ani razu nie zajrzała do listu.

„Moi informatorzy twierdzą co innego... Naprawdę nazywasz się Aszraf al-Mansur. Na mocy osmańskiego prawa przysługuje ci tytuł beja, co otwiera ci drogę do wyższych stanowisk w administracji państwowej. - Przyglądała mu się bacznie. - Jeszcze o tym porozmawiamy. - Podniosła wzrok. - Posiadasz paszport dyplomatyczny ważny w całej Afryce Północnej od Tunisu po Istambuł, a

wszędzie na świecie chroni cię immunitet. Możesz zostać aresztowany tylko za morderstwo".

\*\*\*

Raf odstawił pustą filiżankę i zbierał się do odejścia, ale nim zdążył odsunąć krzesło, zmaterializował się przy nim kelner i wyręczył go w tej czynności. Po kilku sekundach pojawił się sam właściciel.

- Kiedy znowu zobaczymy Waszą Ekszelencję?
- W poniedziałek rano, tak mi się wydaje - odparł Raf ku uciesze niewysokiego jegomościa.
- Zarezerwuję stolik. - Dostrzegł angielskojęzyczną gazetę, którą Aszraf przekopiował z kiosku. - Przygotuję świeży numer „The Alexandriana”.

Słaba bryza, niemrawo wiejąca od strony morza, ustała, kiedy Raf oddalał się od wybrzeża. Poza promenadą Corniche rozpalone powietrze było nieznośnie parne; wilgotność osiągała poziom usprawiedliwiający wydanie ostrzeżenia

60

Jon Courtenay Grimwood

w lokalnej sieci informacyjnej. Zdrowy rozsądek mówił: łap pierwszą lepszą klimatyzowaną taksówkę, lecz Raf, nie zważając na pot gromadzący się pod gęstą brodą, szedł pieszo na południe do domu lady Nafisy.

Pomiędzy kawiarnią Le Trianon a Rue Abu Dadrda napotkał boulevard, cztery razy rue, a raz cichy, wysadzany drzewami place o nazwie al-Mansur, historyczne pozostałości majątku rodziny, do której teraz należał.

Przeszedł już prawie cały plac, gdy nagle dotarło do jego świadomości, dlaczego przykryty ogród Nafisy budzi w nim takie obrzydzenie.

Pasza-zade

1

RorfcrW 12

Seattle

W Huntsville deszcz bębnił po szybach, jakby ktoś walił w nie ze strzelby grubym śrutem. Ale zanim pojawiło się w jego życiorysie Huntsville, musiało zaistnieć Seattle. Za co lis winił człowieka nazwiskiem Asa Mercer.

16 stycznia 1866 r. Mercer wyruszył z Nowego Jorku w kompanii trzydziestu czterech gotowych wyjść za mąż dziewcząt, aby mogły się osiedlić w Puget Sound na wybrzeżu Pacyfiku. Pierwotnie zamierzał zebrać ich przeszło siedemset, ale bądź co bądź, był to lepszy wynik niż ten uzyskany w czasie pierwszej ekspedycji po niezamężne kobiety. Wówczas udało mu się namówić tylko jedenaście na niebezpieczną wyprawę. Może wystraszyły się plotek o ulewnych deszczach, może zniechęcała je odległość, a może fakt, że dopiero skończyła się wojna. Tak czy inaczej, tamto minęło i był dzień dzisiejszy.

Ciągle lało, ponieważ pogoda w Seattle nigdy się nie zmieniała. Nawet ZeeZee o tym wiedział. Deszcz huczał na chodnikach i grzmocił o parasole rozłożone nad smętnymi, pustymi stolikami na zewnątrz kawiarenek.

W Huntsville deszcz nie ograniczał się jednak tylko do bębnienia: terkotał jak karabin po oszklonym dachu więzienia 24 godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Przynajmniej takie wrażenie odnosił ZeeZee w ciągu pierwszych miesięcy odbywania wyroku. Aż wreszcie zakurzyło śniegiem i nastąpiła cisza.

Dziewiętnastowieczne arcydzieło ze szkła i żelaza, zbudowane dwadzieścia pięć lat po tym, jak przy budowie słynnego londyńskiego pawilonu wystawowego Crystal Palace niejaki Paxton torował drogę w przyszłość elementom prefa-

Pasza-zade

1

Rozbzdół 12

Seattle

W Huntsville deszcz bębnił po szybach, jakby ktoś walił w nie ze strzelby grubym śrutem. Ale zanim pojawiło się w jego życiorysie Huntsville, musiało zaistnieć Seattle. Za co lis winił człowieka nazwiskiem Asa Mercer.

16 stycznia 1866 r. Mercer wyruszył z Nowego Jorku w kompanii trzydziestu czterech gotowych wyjść za mąż dziewcząt, aby mogły się osiedlić w Puget Sound na wybrzeżu Pacyfiku. Pierwotnie zamierzał zebrać ich przeszło siedemset, ale bądź co bądź, był to lepszy wynik niż ten uzyskany w czasie pierwszej ekspedycji po niezamężne kobiety. Wówczas udało mu się namówić tylko jedenaście na niebezpieczną wyprawę. Może wystraszyły się plotek o ulewnych deszczach, może zniechęcała je odległość, a może fakt, że dopiero skończyła się wojna. Tak czy inaczej, tamto minęło i był dzień dzisiejszy.

Ciągle lało, ponieważ pogoda w Seattle nigdy się nie zmieniała. Nawet ZeeZee o tym wiedział. Deszcz huczał na chodnikach i grzmocił o parasole rozłożone nad smętnymi, pustymi stolikami na zewnątrz kawiarenek.

W Huntsville deszcz nie ograniczał się jednak tylko do bębnienia: terkotał jak karabin po oszklonym dachu więzienia 24 godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Przynajmniej takie wrażenie odnosił ZeeZee w ciągu pierwszych miesięcy odbywania wyroku. Aż wreszcie zakurzyło śniegiem i nastąpiła cisza.

Dziewiętnastowieczne arcydzieło ze szkła i żelaza, zbudowane dwadzieścia pięć lat po tym, jak przy budowie słynnego londyńskiego pawilonu wystawowego Crystal Palace niejaki Paxton torował drogę w przyszłość elementom prefa-

2

Jon Courtenay Grimwood

biykowanym - zakład karny w Huntsville stanowił pomnik ludzkiej pomysłowości... i głupoty.

Nie głupoty skazańców tam osadzonych, lecz architektów, filantropów, polityków ze stanu Waszyngton. Ludzi pragnących uwiecznić swoje imiona w szklanej, więziennej katedrze, która w

praktyce okazała się czymś niewiele więcej od chłodni.

Dwa bunty w czasie trzech zim kazały naczelnikowi zastanowić się, czy tak skonstruowany budynek rzeczywiście zapewnia humanitarne warunki odsiadania kary, o czym go przekonywano. Zresztą, krytyka była jak najbardziej na miejscu, ponieważ w innych stanach wybudowano już pięć bliźniaczych zakładów karnych i każdy z nich okazał się niewypałem.

Do roku 1930, czyli po blisko sześćdziesięciu latach, wszystkie z wyjątkiem Huntsville obróciły się w ruinę. W 1979 r. oficjalnie zamknięto również Huntsville. W ostatnim roku XX w. kalifornijski terapeuta Anthony Millbank opublikował swoją rewolucyjną pracę na temat terapii światłem.

Przestępczość, dowodził dr Millbank, nie brała się tylko ze specyficznych warunków środowiskowych, alergii na produkty żywnościowe i wad genetycznych (w przypadku zwierząt mówiło się o złej krwi). Wobec tego resocjalizacja, zdrowe odżywianie i starannie dobrane leki nie rozwiązywały problemu.

Przestępstwa w głównej mierze miały związek z miastem. A czego mieszkańcom najbardziej brakowało? Otóż naturalnego światła. Stało się rzeczą oczywistą, że niedostatek światła jest czynnikiem wzmagającym przestępczość. A skoro przeciętny mieszkaniec Ameryki wierzył, że nie kod genetyczny, alergii czy zaniedbanie karmienia mlekiem, ale grzeszna myśl prowadzi do zbrodni, nie przykładął szczególnej wagi do kolejnego punktu w wykazie domniemych przyczyn. Chociaż pewien nastoletni seryjny morderca, który spuszczał, butelkował, a następnie po schłodzeniu i zmieszaniu z wódką „Stolicznaja” pił krew swoich ofiar, na krótko zyskał sobie sławę stwierdzeniem, jakoby jego mordercze skłonności wynikały z awersji do jedzenia, zakupów w hipermarkecie i światła słonecznego.

Pasza-zade

Jednakże dr Millbank nie dawał za wygraną. Pomagając sobie występami w programach Opry i statystykami, wykazywał, że gen cFos, marker ludzkiego zegara biologicznego, włącza się tylko raz przez sztuczne światło, o świcie, lecz swoją ekspresję osiąga przy naturalnym świetle o świcie i zmierzchu. Zdaniem dra Millbanka, istniała ewidentna, niepodważalna zależność między sztucznym oświetleniem a skłonnością do przestępstwa.

Stopniowa zmiana natężenia i długości fali światła, dzięki której organizm człowieka łagodnie znosi nastanie dnia lub nocy, w środowisku wielkomiejskim nie występuje. Już pierwsze badania wykazały, że w laboratoryjnych warunkach przewagi światła elektrycznego nawet szczury i myszokoczki stają się nerwowe i niespokojne. Czy więc nie lepiej zapewnić ludziom z gwałtownym usposobieniem, takim jak więźniowie, terapię światłem, niż skazywać ich na szkodliwy wpływ sztucznego oświetlenia?

Żaden amerykański stan nie chciał finansować budowy zakładu karnego, zorganizowanego w oparciu o postulaty dra Millbanka, toteż prywatnie załatwił sobie licencję i otworzył własne więzienie. Odkupił Huntsville za darmo od miasta Seattle, które z radością pozbyło się odpowiedzialności za rozpadające się wiktoriańskie arcydzieło.

Dr Millbank zażyczył sobie, aby szeroki na pięć mil pas lasów i zarośli wokół Huntsville został ogłoszony „rezerwatem ciemnego nieba”, w którym zminimalizowano by skażenie światłem środowiska naturalnego. W samym zakładzie zainstalowano nowoczesne systemy grzewcze i windy,

położono dywany, wyposażono salę gimnastyczną i siłownię, zbudowano pływalnię o olimpijskich wymiarach.

Huntsville wyróżniało się nie tylko tym, że wprowadzano tam w życie teorie Anthony'ego Millbanka. W żadnym innym zakładzie w Stanach Zjednoczonych nie pobierano od lokatorów opłat hotelowych. Kto chciał siedzieć w Huntsville, musiał za to zapłacić. Mniej więcej tyle samo, ile kosztowało wysłanie dziecka do dobrego uniwersytetu z Ivy League. Wszyscy lubili to miejsce z wyjątkiem policji. Stan oszczędzał pieniądze, skazańcy przebywali w kręgach kryminalnej elity, nie tworzyły się wrogie gangi spotykane w prawie każdym amerykańskim więzieniu.

64

Jon Courtenay Grimwood

Osobników, którzy normalnie dobrze czuli się w gangach, odstraszał koszt odsiadki. I nie odbywali tam kar wyłącznie ludzie biali, protestanci czy Anglosasi. Od samego początku, wraz z nastaniem nowego stulecia, zebrała się barwna mieszanka malwersantów, mafiosów i narkotykowych baronów o najróżniejszych korzeniach etnicznych. Wszystkich łączyła jedna cecha: mieli w bród szmalu.

Istnieniu tego więzienia długo towarzyszyła polityczna burza. Demokraci zarzucali mu dyskryminację biednych, republikanie piętnowali złagodzony rygor. Ale kiedy pewien senator został przyłapany na wręczaniu łapówki pewnemu kongresmanowi, obaj, choć należeli do przeciwnych partii, postanowili razem odbyć karę w Huntsville.

Statystycznie, przemoc w zakładzie była bliska zeru, co po części odpowiadało prawdzie. Akty przemocy zdarzały się, lecz rzadko, i nie miał miejsce dosłownie ani jeden wybuch agresji między więźniami a strażnikami. Dlatego wieść o nie sprowokowanej napaści ZeeZee'ego Welhama na podstarzałego, siwowłosego dra Millbanka obiegła lotem błyskawicy eleganckie spacerniaki i wstrząsnęła więźniami.

Już fakt uderzenia zwykłego dozorca byłby szokującym wykroczeniem. Ale żeby chwycić samego dra Millbanka za suchą skórę na szyi, przeciągnąć go nad jego własnym biurkiem, grzmotnąć go w usta i rozkwasić je niczym dojrzałą śliwkę... nie, to było nie do pomyślenia. Niewiarygodność tego czynu zmusiła doktora do stwierdzenia, że więźniowi nie pomoże kara, ale pomoc psychiatry. Choć przy tych słowach spryskał krwią zmierzwioną brodę i szeroką pierś napastnika, to jednak zachował dość przytomności umysłu, by wyciągnąć z szufladki i podać mu chusteczkę higieniczną.

ZeeZee miał ochotę jeszcze raz mu przywalić.

Oto jak doszło do tego, że siedział w lincolnie continental na fotelu pasażera i zjeżdżał z szosy nr 522 na między-stanową drogę nr 5, mając z jednej strony Jezioro Waszyngtona, a z drugiej Puget Sound, w drodze na oddział psychiatryczny szpitala w Takonie.

Mężczyzną, który odwoził go do Mount Olive Hospital, był Clem Burke, klawisz z prowincjonalnego mamra, gdzie bił więźnia pałką po głowie, za co wylądował na przymusowej

Pasza-zade

resocjalizacji w Huntsville. Powierzenie mu funkcji strażniczych prawdopodobnie było sprzeczne z prawem konstytucyjnym: on przynajmniej uważał to za rzecz dziwną i okrutną.

- Wiesz, co bym z tobą zrobił?

ZeeZee popatrzył na Cierna, kiedy ten skierował masywnego lincolna na szybszy pas i wyprzedził starego garbusa. Omal przy tym nie potrącił volkwagena, którego odrzuciło w stronę pobocza.

- Niech zgadnę...

- A, tam... - przerwał mu Ciem. - Nie wysilaj się. Nawet sobie nie wyobrażasz. - Wrzucił niższy bieg i z prawej strony wyprzedził ciężarówkę. Przy okazji ze złością pokazał palec kierowcy macka, który nacisnął na hamulec i zamrugał światłami. - W tym Shitville to się z wami cackają! Cholery można dostać! Dajesz w mordę naczelnikowi i żadnej za to kary.

Lincoln przyspieszył i prędko zmienił pas, aby nikt nie zajechał mu drogi.

- Kiepsko działa resocjalizacja, co? - zapytał niewinnie ZeeZee. Z zadowoleniem patrzył, jak na grubej szyi Clema nabrzmiewają żyły, a jego twarz powleka się jeszcze ciemniejszym odcieniem fioletu.

- Powinieneś gnić w karcerze! - warknął. - Kwiczeć w gorącej parze, rozebrany do naga! Czerwony i pulchny jak nowo narodzone dziecko. I musiałbyś dać dupy czarnuchowi. A jakże. Tak się to robi w normalnych więzieniach.

ZeeZee nie przeczył: w normalnych więzieniach takie było życie. Z drugiej strony, ktoś za niego płacił rachunki właśnie po to, żeby nie spotkały go tego typu przykrości. Nawet się domyślał, skąd płynie kasa. Od Chinki, która wiedziała, kto naprawdę wpakował kulę kalibru .22 cala w tył głowy Micky'ego CBriana. Która patrzyła na osuwające się ciało, kiedy poddźwiękowy pocisk tłukł się rykoszetami po czaszce, masakrując wszystko, co pozostało z mózgu zmiksowanego przez comiesięczne, warte 15 tys. dolców porcje kokainy. Hu San była kimś, kogo ZeeZee wołał nie denerwować. Ani teraz, ani w przyszłości...

Rozpowiadanie o niej na ulicy byłoby szybszą metodą popełnienia samobójstwa, niż gdyby stawił się w sądzie i zeznał: owszem, zabiłem Micky'ego w pełni świadomie

6

Jon Courtenay Grimwood

i z przyjemnością zrobiłbym to raz jeszcze. Którędy najbliższej na krzesło elektryczne?

Kłamałby, rzecz jasna.

Póki co, ciekawił go ruch na drodze. Znaki mówiły, że przejeżdżają w pobliżu portu lotniczego Seattle-Tacoma. Patrzył na auta... czego nie dało się powiedzieć o Burku.

- Co ty na to? - zapytał ten ostatni. Żuł dolną wargę, wyobrażając sobie, jak ZeeZee zdycha w parni lub na klęczkach ciągnie druta więziennemu tatuśkowi. - Co tak milczysz?

- Mnie to ominie - odparł ZeeZee. Przynajmniej na razie. Dość się już nasiedział w areszcie



śledczym, bojąc się tego, co go czeka. Zastanawiając się, jakie to atrakcje przygotowałyby ogierki dla grzecznego, jasnowłosego chłopczyka z miłym angielskim akcentem.

Dlatego podreperował swój wizerunek, zanim ktoś zrobił to za niego. Po tygodniu jego ładniutka wymowa brzmiała już zupełnie inaczej; akcent wciąż był angielski, lecz twardszy. Ćwiczył w celi, a kiedy wzmocnił mięśnie rąk i ramion, odważył się przyjść na salę gimnastyczną. W ciągu następnych tygodni zaczął zapuszczać włosy, zrezygnował z golenia i przestał się myć, aż skóra nabrała odpowiedniego odcienia.

Jego życie było poniekąd kserokopią, przy czym oryginał zawsze należał do kogoś innego. Ludzie mogli się przeglądać w nim jak w lustrze i zobaczyć wszystko, co chciał, żeby widzieli. Już wkrótce mieli przed sobą szajbusa, przypadek nie-reformowalny, na granicy psychozy.

Zainteresował się treningiem tai-chi... bez miecza, oczywiście. Na ochotnika zgodził się służyć za worek treningowy pewnemu podstarzałem Jamajczykowi, mającemu fioła na punkcie capoeiry. Poznał gingę, rabo de arraie, queixadę i esquivę oraz kilka innych podstawowych technik obronnych, lecz ze szczególnym zapałem uczył się ruchów nożem - choć klawiszom i starszym oficerom mogłoby się wydawać, że to zwykły taniec. Ale o to właśnie chodziło w tej sztuce walki, która przetrwała dzięki temu, że umiała się maskować.

„Spokojnie, bez pośpiechu” - ostrzegał go nieraz Jamajczyk.

Pasza-zade

ZeeZee więc się nie spieszył. Z niczym się nie narzucał, nie wtrącał się w nie swoje sprawy, nie mędrkował. Przegrywał walki, których nie mógł wygrać, ale i w żaden sposób uniknąć, aż pewnego dnia zwyciężył, a potem jeszcze raz. Odtąd miał więcej luzu. Kiedy Jamajczyk dał mu przydomek nawiązujące nazwą do pewnej śmiesznej, prowincjonalnej kapeli, ZeeZee uznał to za komplement i z nawoskowanych zmechaconych włosów zrobił sobie niedojrzałe dredy.

Martwił się jednak, bo choć stuknęła mu dwudziestka, wciąż nie znał daty rozprawy. Aż pewnego ranka pojawił się w celi aresztu nr 3 prawnik w garniturze. ZeeZee przejrzał dokumenty uprawniające obronę do złożenia wniosku o uznanie go niepoczytalnym. Wszystko to pięknie wyglądało i wystarczyło się zgodzić, lecz dopiero kiedy prawnik wspomniał o Huntsville, ZeeZee kiwnął głową i sięgnął po pióro.

- Nikogo nie zabiłem - odezwał się nagle do Clema.

- Akurat! - Spluwając za okno, Cłem omalże trafił w przednią szybę przejeżdżającego sedana. - To też bym wam wybił z głowy w Shitville, gównojady! Te wasze: „Olaboga, ja niewinny!” Gdybyście byli niewinni, nie siedzielibyście w pierdlu. Proste, kurwa, nie?

ZeeZee pokręcił głową bez słowa. Bo on, dla odmiany, niczego złego nie zrobił. Był albo niewinny, albo szalony, choć dr Millbank określił to innymi słowami. „Amnezja na podłożu histerycznym” - oto co wpisali mu w papiery. Przekonał się o tym, gdy doktor pokazał mu wszystko na ekranie.

Jeśli uznają go za niepoczytalnego, wiele na tym zyska. Nikt go nie skaże za zamordowanie Micky'ego CBriana, bo przecież nie wiedział, co robi. Może i zostawił odciski palców na obudowie pistoletu

Wilson Combat, znalezione przy ciele zabitego, a także na dwóch kulach kalibru .22 cala w magazynku oraz na zamiennie wsuniętej .lufie, która zastąpiła standardową lufę kalibru .45 cala. Tyle tylko, że ZeeZee doprawdy nie pamiętał, że strzelał. Nawet jeśli policja dopadła go w domu CBriana z widokiem na zatokę Puget Sound, kiedy stał w korytarzu przy zwłokach Micky'ego, w galerii nad schodami.

Żaden test z wykrywaczem kłamstw nie podważył jego zeznań, a przeszedł ich pięć, z czego trzy w sterylnych la-

8

Jon Courtenay Grimwood

boratoryjnych warunkach. Po poddaniu go badaniom przy użyciu tomografii komputerowej i rezonansu magnetycznego biegły sądowy orzekł, że wyniki wskazują strach i niepewność, ale na pewno nie poczucie winy. Na wniosek policji przeszedł sesję hipnozy regresywnej, lecz nic sobie nie przypomniał.

Obrońcy mieli ułatwione zadanie.

ZeeZee wierzył w swoją niewinność, mimo że wszystkie dowody przemawiały przeciwko niemu. Tak więc, cytując adwokata, był niewinny poprzez swą niepoczytalność. Choć ten sam adwokat musiał wiedzieć, że to tylko półprawda. ZeeZee może i nie był winny, ale też nie był szalony. Szaleniec podałby nazwisko Hu San.

- Hej! - ZeeZee skinieniem głowy wskazał czarnego pi-kapa, znajdującego się o cale przed zderzakiem lincolna. - Co jest grane?
- Gnojek nie chce zjechać.
- Postuchaj. - ZeeZee podciągnął kolana, składając się jak kłamra. - Jedziemy wolnym pasem, szefie. Gdzie ma zjechać?
- Nie mój problem - oświadczył Ciem, lecz odsunął się nieznacznie.

Ale nim ZeeZee zdążył odetchnąć z ulgą, Ciem powtórnie wcisnął pedał gazu i wjechał w półciężarówkę. Zazgrzytał metal, zderzaki się zahaczyły i po chwili lincoln zarzucił, zrobił pół pełnego obrotu i po pięćdziesięciu jardach zatrzymał się na asfaltowym poboczu. Te pięćdziesiąt jardów ZeeZee przebył ze świadomością, że jedzie międzystanówką... do tyłu.

Kierowca półciężarówki wykazał się zdrowym rozsądkiem i jechał dalej, krzesząc snopy iskier spod wleczonych za sobą szczątków zderzaka.

- Chryste... - wydusił z siebie ZeeZee. - Chcesz mnie zabić?
- Tak po prostu? Nie... - Ciem pogrzebał w schowku i wyciągnął ciemnoszary pistolet Para Ordnance kalibru .45 cala z magazynkiem na piętnaście naboii. Model z wyposażenia policji.

ZeeZee nawet nie zauważył, co to za broń, jak jest wykonana i jakie ma możliwości. Całą swoją uwagę skupił na wylocie lufy wycelowanej w jego czoło.

Pasza-zade

- Tutaj uciekniesz - rzekł Cłem. - A pobiegiesz tam, gdzie ten ładny, duży napis mówi: Odloty samolotów.
- Mniej więcej tam dostanę kulkę w plecy? - ZeeZee kiwnięciem głowy pokazał miejsce położone dziesięć kroków od auta.
- Nie. - Ciem pokręcił głową, nachylił się i pchnął drzwi po stronie pasażera. - Przechodzę na emeryturę, a ty jesteś moim funduszem emerytalnym. - Spod siedzenia wydobyl walizkę. - Kombinacją cyfr jest twoja data urodzenia. - Uśmiechnął się kwaśno. - Wolę nie wiedzieć, co jest w środku. Pamiętaj tylko, żebyś otworzył walizkę z dala od mojego samochodu.
- Kto ci płaci?

Tego Cłem nie wiedział, lecz nie zamierzał mówić o tym więźniowi.

- No powiedz! - naciskał ZeeZee. Przeniesienie do aresztu, zwrócenie się z wnioskiem do sądu i dbanie o wzorowy wizerunek niezrównoważonego psychologa; tyle się natrudził, żeby zostać przy życiu.

Ciem odciągnął suwadło pistoletu.

Zostań i daj się zastrzelić lub biegnij z tym samym skutkiem. Dzisiaj miał do wyboru same gówniane opcje. Najbardziej bał się tego, że w tym poronionym scenariuszu mógł namieszać Dzikie Chłopców. Nie ufał prawej ręce Hu San. Szefowa... ona zrobiłaby to inaczej, po cichu.

- Nie ruszę się stąd, póki mi nie powiesz. - ZeeZee zatrzaskał drzwi. Nikt nie uciekał z Huntsville, bo nikogo nie było na to stać. Przed przybyciem do więzienia składana była kaucja. Próba ucieczki automatycznie oznaczała jej przepadek, czyli sumy będącej wynikiem mnożenia liczby lat podanej w wyroku przez współczynnik zależny od skali popełnionych przestępstw, ostatniego plus ewentualnie poprzednich... Zabójstwo policyjnego informatora. ZeeZee wolał nie myśleć, w jakiej wysokości ustalono jego kaucję.

Jeżeli faktycznie nie zorganizowała tej akcji Hu San, ucieczka z Huntsville byłaby dla niego dość skutecznym sposobem popełnienia samobójstwa. Zrobiłby to z mniejszą dramaturgią, niż gdyby w sądzie wymienił jej imię... ale tylko odrobinę mniejszą.

Jon Courtenay Grimwood

- Jak sobie chcesz. - Ciem uniósł pistolet. Z uśmiechem.

\*\*\*

Stylowa walizka Alessi miała zamek szyfrowy. Pod czarną szybką świeciły fioletowe diody. Z boków wbudowano obwody zakłócające, a w uchwyt półinteligentny układ elektroniczny, którego jedynym zadaniem było informowanie lotniskowych skanerów, że zawartość jest chroniona protokołem dyplomatycznym.

Wstrzymując oddech, ZeeZee policzył do dziesięciu i uniósł wieko. Liczył do siedemnastu, nim uświadomił sobie, że może już przestać. Na początku wyłowił z wnętrza bilet lotniczy, biały paszport i

fotografie wywołane gdzieś na stacji w budce Kodaka. Na zdjęciach uśmiechała się do niego smagła dziewczyna chyba z krajów Bliskiego Wschodu. Cztery różne pozy i zawsze ta sama\* nastolatka o dużych oczach.

ZeeZee otworzył bilet i sprawdził pobieżnie zawartość. Najważniejsze informacje zapisano na pasku kodowym na brzegu okładki. W środku wszystkie dane powtórzone drukiem. Bilet został wydany na nazwisko Aszrafa al-Mansura. Lot OA-273 do Kairu, stamtąd przesiadka na samolot do al-Iskandarijji, odlot godzina...

ZeeZee spojrzął na zegarek: zostało mu piętnaście minut. Sprawdził paszport i zmarszczył czoło, widząc siebie z ogoloną twarzą, bez dredów. Wokół zdjęcia rozlewało się morze pisma w obcym, nieznanym mu języku. Sam fakt, że na fotografii nosił garnitur i krawat, których nigdy nie widział, zdziwił go niezmiernie, lecz w prawdziwe zdumienie wprawiło go proste zdanie po angielsku, wypisane u góry na każdej stronie.

Bo któż nie słyszał o immunitacie dyplomatycznym?

W kieszonce pod podszewką wieka znalazł platynową kartę płatniczą ze swoim holograficznym zdjęciem na odwrocie i siatkowym znakiem wypalonym laserowo. To znalezisko skłoniło ZeeZee'ego do skrupulatnego przetrząśnięcia wszystkich kieszonek, przegródek i schowków na zamek. Nie odkrył już nic cenniejszego od pomiętego świstka z meksykańskiego działu kontroli jakości i przytarganej saszetki z granulkami sylikażelu.

Pasza-zade 71 ----j-

Stanowisko odprawy biletowo-bagażowcj było już zamknięte, jednak ZeeZee tak rozpaczliwie się rozglądał, że z dalszego stanowiska wybiegła młoda kobieta, aby przywołać pracowniczkę Osmańskich Linii Lotniczych.

- Mam rezerwację na lot OA-273.
- Przykro mi, proszę pana, wyjście na płytę zostało zamknięte.
- Ale ja muszę...
- Zostało zamknięte dwadzieścia minut temu.

ZeeZee w milczeniu rzucił bilet Amerykance, która wzięła

go z podejrzliwą miną, jakby się bała, że grozi jej za to jakaś sankcja karna. Przyjrzała się znowu okładce, a dokładnie odcinkowi kontrolnemu, po czym zmierzyła ZeeZee'ego badawczym wzrokiem. Zapewne dziwiła ją broda harlejowca, nawoskowane dredy, ciemnoniebieski więzienny kombinezon i sfatygowane adidasy.

- Coś się nie zgadza? - ZeeZee z trudem panował nad głosem.

Owszem, nie zgadzało się, aczkolwiek w innej kwestii, niż mu się wydawało. Odcinki kontrolne dyskretnie oznaczano kolorem, aby było wiadomo, komu odmówić miejsca w przypadku nadkompletu rezerwacji. Najniżej punktowano kolor zielony, najwyżej - czerwony. Tymczasem miała przed sobą bilet oznaczony na złoto.

- Mogę prosić o paszport? - Na jej pobladołej twarzy malowała się wrogość.

Nawet nie wyciągnęła ręki po książeczkę, którą podawał jej ZeeZee. Zwracając mu bilet, za wszelką cenę starała się uniknąć dotyku jego rąk.

- Sprawdzę, może uda się wstrzymać start samolotu.

Pracownicy kontroli bezpieczeństwa tylko machali rękami, co upraszczało sprawę. Czarnoskóry chłopak z trzema złotymi kolczykami w nosie przeprowadził go przez tłumy w hali odlotów, a potem trąbił klaksonem, kiedy ZeeZee chwycił się poręczy zabezpieczającej tylne siedzenie na wózku elektrycznym.

- Facet, to jest jazda! - zawołał chłopak, gdy ostro się zatrzymał.

- Nie da się ukryć - zgodził się ZeeZee, wysiadając.

2

Jon Courtenay Grimwood

- Właśnie. - Kierowca przejechał w poślizgu spory kawałek, biorąc pod uwagę, że elektryczny wózek hamował na dywanie w korytarzu rękawa. - Gwiazda rocka spóźnia się na samolot. Warto żyć, żeby to zobaczyć.

Na pokładzie samolotu Alle Volante zaprowadzono ZeeZee'ego do jego kabiny. Było to ciasne pomieszczenie z prysznicem, krzesłem i podwójnym łóżkiem, na którym zmieściłyby się dwie osoby pod warunkiem, że byłyby chude i zamierzałyby większość lotu przeleżeć jedna na drugiej. Samotnikowi mogło być dość wygodnie.

Lista towarów wolnocłowych niczym go nie zaskoczyła. Proponowano brzydkie i drogie przedmioty, na które łakomili się czasem nieuważni klienci. Przejrzał kilkanaście stron, nim zgromadził w koszyku koszulkę, bojówki, nowe buty, srebrną omegę, czarny g-shock i maszynkę do strzyżenia włosów. Dokonał zakupów za łączną kwotę przekraczającą 2500 dolarów i z tego tytułu należał mu się darmowy zestaw pierwszej pomocy. Wybrał trzeci komplet, podobno niezastąpiony w klimacie tropikalnym, zawierający plastry przeskór-ne przeciwko malarii, klej opatrunkowy, nie pękające prezerwatywy i standardową surowicę na ukąszenia węży.

Kiedy na ekranie wyświetliło się pytanie o sposób zapłaty, ZeeZee wstukał numer swojej nowej karty. W rezultacie uśmiechnięty animowany ludzik zapewnił, że zamówiony towar zostanie dostarczony w ciągu pięciu minut.

Gdzieś nad Atlantykiem ponownie włączył ekran i odszukał serwis agencji informacyjnej z Seattle.

Wszelkie doniesienia o jego ucieczce zepchnęła na odległy plan wiadomość o morderstwie w Kabulu. Zginął generał mudżahedinów, szejk el-Halana.

ZeeZee sporo słyszał o tym generale, ba, na całym świecie było o nim głośno. Przed dwoma tygodniami fundamentaliści zdetonowali ładunki wybuchowe pod osmańskim konsulem w Seattle. Zabili trzydzieści pięć osób, zniszczyli budynek z komputerami i centrum nasłuchu, unicestwili większość dokumentacji. Przez dwanaście dni Federalne Biuro Śledcze milczało, nim wygłosiło oświadczenie, że z powodu braku materiałów dowodowych nie jest w stanie wskazać sprawców. I oto

teraz, dwa dni po oświadczeniu, nie żył czło-

Pasza-zade

73

wiek powszechnie uważany za głównego organizatora zamachu.

Gdzieś na rubieżach przemęczonego umysłu ZeeZee'ego krystalizowała się pewna koncepcja. Na pierwszej stronie w notatniku, jakie gratis rozdawano pasażerom, nabazgrał siedem słów, jedno skreślił, dodał dwa następne i każde obrysował kółkiem, nim gorączkowo potączył wszystkie kreskami. Jego nowa tożsamość powoli nabierała kształtów.

Jon Courtenay Grimwood

Rozdział 13

3 Upc\*

Kiedy Ali Din nudził się, sikał na kafelki. Hani nie mogła sobie pozwolić na taki luksus. Gorzej, miała zakaz korzystania z łazienki, gdy lady Nafisa przyjmowała gości. Nie wolno jej było czytać książek ani bawić się konsolą do gier Nintendo.

Chustą starta szczyzny, zwinęła ją jak mokłą szmatę i wsunęła pod krzesło. Resztę zrobi Chartum. Hani też się nudziła, a tu nawet nie zanosilo się na lunch. Na domiar złego, lunch mógł się zacząć dziś szczególnie późno. Aszraf nie przychodził i wszyscy udawali, że im to nie przeszkadza.

Ale jej przeszkadzało, i to bardzo! Ciocia Nafisa ubrała ją w sukienkę i gorliwie zajęła się kołtunami w jej włosach, szarpiąc nimi boleśnie.

Kobieta przeznaczona Aszrafowi na żonę też nie wyglądała na szczęśliwą. Choć była ładniejsza, niż Hani się spodziewała: śniada, swoje czarne włosy przycięła tak krótko, że prawdopodobnie nie musiała się czesać. Na tę okazję nie włożyła bynajmniej przyzwoitej sukni, tylko długie, czerwone palto i workowate spodnie. W jednym uchu widniały trzy dziurki nie obsadzone kolczykami.

Zara pochwyciła spojrzenie Hani i wysiliła się na uśmiech. Dziewczynka natychmiast odwróciła wzrok, ale zaraz znów na nią popatrzyła. Hani wyjdzie za mąż co najmniej za paszę, bogatego i przystojnego... jeśli wierzyć obietnicom cioci Nafisy. Aszraf był bejem, czyli też nienajgorzej, ale dziwnie wyglądał. Ciocia tłumaczyła, że wykonywał tajne misje rządowe. Hani ani myślała pytać go o to osobiście.

Wszyscy w kaa siedzieli na srebrnych krzesłach oprócz rosnącego mężczyzny opartego o filar. Może bał się, że załamie

Pasza-zade

się pod nim jedno z tych klasycznych francuskich krzesel wykonanych przed stu pięćdziesięciu laty, kiedy takie rodziny jak ich marzyły o nastaniu epoki Trzeciego Cesarstwa. Ciocia Nafisa też o tym mówiła.

Stolarz artysta, zamiast wykończyć oparcia orzechową okleiną, obłożył całość - nogi, oparcia i poręcze -

cieniutką warstwą kutego srebra. Dopełniające komplet komoda, sofa i półokrągłe okolicznościowe stoliki również zostały podobnie upiększone. Wszystkie ogólnie dostępne wnętrza me-dresy były luksusowo urządzone w stylu Trzeciego Cesarstwa, z uwzględnieniem osmańskiego spojrzenia na sztukę. Hani uważała, że są szkaradne, lecz tę opinię wołała zachować dla siebie.

- Wybaczenie!

Na marmurowych schodach prowadzących do kaa rozległy się kroki. Hani zapomniała o meblach i jednocześnie przestała się nudzić.

- Aszraf! - W głosie lady Nafisy wyczuwało się gniew i nieudolnie skrywaną ulgę, że w ogóle przyszedł.

Już przynajmniej od godziny z kuchni ulatywał dym. Donna, kucharka Nafisy, mogła sobie opiekać na różnie koźła w jałowcowym dymie - Hani czekała na swój przysmak z piekarnika.

- Wybaczenie - powtórzył Raf, rozglądając się. - Byłem w biurze.

- W sobotę? - burknęła Hani. Nie starała się nawet ukryć niedowierzania. Nawet ona potrafiłaby lepiej kłamać. - Był w biurze, pewnie... - Zagarnęła pieska na kolana i, nic sobie nie robiąc z gniewnej miny cioci, poczochnęła nosem jego futro.

Ciocia nie kazała dziewczynce wynosić się z psem, co świadczyło o tym, jak bardzo się stara, aby wszystko przebiegło bez zgrzytów.

- A z biura przyszedłem pieszo - dodał Aszraf.

- Na mapie nie wygląda daleko - odezwał się ktoś znajomym, ochrypłym głosem. - Tyle że mapa nie pokazuje tłumów ludzi. - Hamza efendi oderwał się od balustrady, serdecznie uściskał dłoń Rafa i cofnął się z powrotem na swoje miejsce. - Lady N nie lubi włóczyć się po ulicach. - Machnął

Jon Courtenay Grimwood

grubym cygarem. - Ani moja żona. Nie mam do ciebie pretensji, żeś poszedł do biura. Pewnie tylko tam mogłeś trochę odpocząć. Najważniejsze, że teraz jesteś z nami. - Rzucił cygaro na ziemię i rozgniół końcówkę obcasem.

Lady Nafisa powstrzymała się od nerwowego grymasu.

- To jest właśnie pasza-zade al-Mansur, Aszraf bej

- zwróciła się do niskiej, krępej kobiety, dźwigającej na sobie chyba tyle samo złota, ile zgromadził Bank Rezerwy Federalnej. - Jego ojcem jest emir Tunisu. - Ktoś mógłby odnieść wrażenie, że lady Nafisa sprzedaje konia na aukcji.

- Aszraf, poznaj madame Rahinę... y

Na twarzy tęgiej kobiety gościł wyraz zdumienia. Najwidoczniej mąż nie opowiedział jej o brodzie i dredach.

- Doktora Hamzę Quitrimalę efendiego, właściciela HZ Oil, już poznałeś...
- Żył sobie wypruwam w tej pracy. - Hamza wyciągnął świeże cygaro ze skórzanego futerału, który wyglądał tak, jakby w środku były naboje do strzelby. - Szkoda, że wzięłeś tę robotę w Trzecim Rejonie. Przydałby mi się taki zuch jak ty na pokładzie. Bóg raczy wiedzieć, czemu Kamil nie może sobie dać rady...

Lady Nafisa i żona Hamzy znalazły sobie nagle nowy temat do rozmowy, więc Raf nie usłyszał, kim jest Kamil i z czym sobie nie daje rady. Ale ze zmarszczonego czoła Federalnej Rezerwy i nasrożonej miny samego efendiego wnosił, że kimkolwiek był ten człowiek, często musieli się kłócić na jego temat.

- A to moja córka - rzekła pośpiesznie madame Rahina.
- Ma bardzo ciekawą pracę w Nowej Bibliotece Aleksandryjskiej.
- Już raz się spotkaliśmy - oznajmił Raf.

Madame Rahina patrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Cztery dni temu - zwrócił się do dziewczyny. - W zielonym tramwaju. Jadącym na południe w kierunku Rue Deri-da. Miałaś bukiet kwiatów.

- Zara? Niemożliwe! - oświadczyła kategorycznie madame Rahina. - Została na noc u przyjaciółki w Abu Kir. Potru-ły się jakimś jedzeniem.

- W takim razie się mylę. - Raf zdjął okulary i wrzucił je do kieszonki. - No cóż... - Wzruszył ramionami. - Dziwne.

Pasza-zade

To w al-Iskandarijji jest jeszcze jedna tak atrakcyjna dziewczyna?

Zara spiorunowała go wzrokiem, w którym przebijała wściekłość przemieszana z uczuciem ulgi. Jej matka uśmiechnęła się krzywo.

- Paskudna sprawa, takie zatrucie... - podsumował Hamza efendi, patrząc na Zarę.

\*\*\*

- To obrzydliwe! - odezwała się stanowczo lady Nafisa ze swego końca stołu. - Obrzydliwe i naganne! Nie możemy pozwalać imigrantom kaleczyć się wzajemnie w imię zasad RenSchmiss. Pisałam w tej sprawie do samego Generała Saida. Prosiłam go, żeby poskarżył się chedywowi...

Spojrzała w prawo na Hamzę, jakby chciała go wyzwać na pojedynek słowny. Co do osoby siedzącej po jej lewej stronie, to nie bała się, że trzeba będzie z nią polemizować. Na razie madame Rahina zdecydowanie przytakiwała głową, ilekroć lady Nafisa otwierała usta.

Rosły mężczyzna tylko wzruszył ramionami, choć ze swojego miejsca na drugim końcu stołu Raf nie potrafił stwierdzić, czy Hamza świadomie unika kłótni, czy może naprawdę nie obchodzą go Niemcy.

- Co to takiego RenSchmiss? - zapytała Hani.



Przy stole zaległa cisza.

- Później ci powiem - odparła lady Nafisa tonem, który przeczył słowom.
- Chcę wiedzieć teraz! - obstawała przy swoim dziewczynka. Umoczyła zatłuszczone palce w czarce z ciepłą wodą i płatkami róży, otrząsnęła je z wilgoci i odchyliła się na oparcie krzesła. Z jej zachowania należało wnosić, że nie spocznie, póki nie usłyszy odpowiedzi.
- Hani! - zganiała ją ciocia.
- No, słucham! - Dziewczynka pociągnęła Rafa za rękaw, a kiedy ten wzruszył ramionami, odwróciła się do Zaiy. Jakoś pogodziła się z tym, że Ali Dina wygnano na czas posiłku, ale nie mogła zrozumieć, dlaczego nikt nie chce jej wyjawić czegoś, o czym wszyscy swobodnie rozmawiają. - Powiesz mi?

&7<

78 Jon Courtenay Grimwood

Zara z uśmiechem zanurzyła palce w pachnącej czarce.

- Widziałaś te blizny, jakie niemieccy chłopcy mają na policzkach?

Hani pokiwała głową.

- Uważamy, że to wstrętne, ale oni tylko przestrzegają zwyczajów - ciągnęła Zara. - Renommer schmiss, blizny są świadectwem odwagi. Kiedy chłopak kończy piętnaście lat, idzie na salę gimnastyczną, wkłada specjalną kurtkę, hełm i metalowe gogle. Potem stoi bez ruchu, kiedy przeciwnik harata mu twarz...
- Zara pisała o tym pracę na uniwersytecie - wtrąciła madame Rahina.
- Nie należy tego pochwalać - stwierdziła lady Nafisa. Zapewne miała na myśli RenSchmiss, ale równie dobrze mogła odnieść się z dezaprobatą do wysyłania córek na zagraniczne uczelnie. - Napisaliśmy z kuzynką Dżalilą list do redakcji „Al-Iskandarijji”. Domagamy się zakazania tych praktyk.
- My też mamy swoje zwyczaje - zripostowała Zara. - Które inni nazywają...

Lady Nafisa zacisnęła usta.

- O, nie! - powiedziała. - Jest pewna różnica między zdżiczeniem i dbałością o zdrowie.

Hani zachichotała. Wzmianka o zdrowiu przywiodła ironiczny uśmiezek na jej buzię.

- Wiesz, dokąd chodzi moja ciocia Dżalila? - szepnęła, kiedy Raf nachylił się, aby jej posłuchać.

Pokręcił głową przecząco.

W jej opowieści główne role odgrywały rurka i tyłek.

\*\*\*

Lunch odbywał się w kaa, przy owalnym stole z mączki marmurowej, z blatem inkrustowanym zawiłą

mozaiką w kolorze perskiego błękitu, przedstawiającą pawia z rozłożonym ogonem. Wokół stały okrągłe ławki, stanowiące komplet ze stołem. Tylko lady Nafisa siedziała na krześle.

Głównym daniem było koźlę, rozcięte i tak długo opiekane na ruszcie, że do delikatnego mięsa nie brało się noży, ale dwoma palcami wyrywało się gorące porcje. Naczynia

Pasza-zade

z kuchni wnieśli dwaj francuscy kelnerzy z pobliskiej restauracji, którym Nafisa zgodziła się zapłacić żądaną sumę pod warunkiem, że przyjdą w swoich uniformach, świeżo wypranych na tę okoliczność.

Posiłek jako narzędzie polityków albo szantażystów. Obie teorie powtarzały się do znudzenia. Ale posiłek w roli wyszukanego tańca, czerpiącego po części z etykiety, a po części z chęci popisania się, był dla Rafa czymś nowym. Jakkolwiek nie należał do nowości w al-Iskandarijji, gdzie obyczaj ostentacyjnej konsumpcji - nie rzadkich i drogich potraw, choć ich nie brakowało, ale samego poświęcenia czasu - wywodził się z równie dawnej epoki, jak prawa gościnności.

Przybytemu ofiarowywano czas, co znajdowało swoje odzwierciedlenie na stole.

W al-Iskandarijji - podobnie jak w Tunisie, Marrakeszu czy Fezie - odświętne potrawy wymagały długiego przygotowania. Im dłuższego, tym większy zaszczyt dla gości. Tradycja nakazywała dzielić składniki na maleńkie porcje: zawijać je w filo, chować wraz z farszem w wypiekach, ugniecione posypywać mielonymi orzechami bądź pakować do warzyw, pięknie wydrążonych lub pozbawionych gniazd nasiennych. Jedzenie kupowane w budce lub barze szybkiej obsługi było zupełnie inne. Po Burger Kingu człowiek obiecywał sobie tylko tyle, że napcha się tam tanim, byle jak przyrządzonym żarciem. Jednakże w domu gość mógłby się poczuć obrażony, gdyby zaserwowano mu cokolwiek, co nie wygląda na przygotowane z całym należyтым pietyzmem.

Do pieczonego koźlęcia w glinianej misce ze srebrnym obrzeżem podano ryż z szafranem, kuskus w czerwonym sosie, kurczak tadżin z suszonymi owocami (w sosie własnym, postodzionym miodem i bardzo gęstym), smażoną barwenę z majerankiem oraz świeży chleb matlu, który Raf na prośbę lady Nafisy połamał i rozdał w stosownej kolejności: Hani, będąc dzieckiem i dziewczynką, dostała swój kawałek ostatnia.

Wszystkie przepisy pochodziły z klasycznej kuchni tunezyjskiej. Pierwotnie przybyły z Andaluzji, wraz z pokonanymi Maurami, którzy w XV w. ostatecznie opuścili Hiszpa-

i-

80

Jon Courtenay Grimwood

nię. Choć trzeba powiedzieć, że andaluzyjskie potrawy miały swój rodowód w Afryce Północnej, skąd islamskie wojska wprowadziły je na półwysep kilka stuleci wcześniej. Potrawy zawdzięczały swój różnorodny smak obfitości nowych składników, po które sięgali arabscy kucharze.

Odwołując się do korzeni Aszrafa, lady Nafisa zdecydowała się na dania właściwe dla krajów Maghrebu. Każdy półmisek dobitnie o tym świadczył. Nawet smażone briki, cieniutkie ciasteczka z jajkami, mięsem kurczaka lub warzywnym farszem, zrobiły karierę na tunezyjskim stole. Ciotka Rafa dokładała starań, aby Hamza cieszył się z tego, co dostaje. Z prawdziwego berberyjskiego księcia, autentycznego beja.

Gdyby Hamza powstrzymał się od zachwalania swojego towaru, może nie doszłoby do katastrofy. Ale się nie powstrzymał i oto jak potoczyły się wypadki. Zaczęło się od komplementu:

- To naprawdę dobre dziecko - oświadczył stanowczo przemysłowiec.
- Tato!
- Nie robi afery o byle co i nie płacze z głupiego powodu.
- Zastanowił się. - Chyba w ogóle nie płacze. Czasami coś ją denerwuje, jak każdą dziewczynę w jej wieku. Zazwyczaj zwierzęta lub dzieci. I rzeczy, których nie można zmienić...

Zara prychnęła.

- Nie zgadzasz się? - zapytał ją Raf. - Myślisz, że wszystko można zmienić? - Chciał tylko włączyć się do rozmowy, lecz po nagłym milczeniu madame Rahiny poznał, że zanoszi się na nieprzyjemną odpowiedź.
- Co za różnica, czy się zgadzam? - burknęła dziewczyna. Jej szare oczy skierowały się na niego i po raz pierwszy tego popołudnia nie spuściła wzroku ani się nie odwróciła.
- Nawet jeśli wierzę, że da się coś zmienić, co z tego? W al-Iskandarijji córki nie mają prawa głosu... W ogóle, żadnych praw.
- Ależ Zara! - Jej ojciec wydawał się nie tyle zły, co zmartwiony.
- Żadnych praw? - zdziwił się Raf. Mówił łagodnym tonem. - Jak to?

Pasza-zade

81

- Tradycja - odparła z goryczą i wstała od stołu. - Przypatrz się walizce taty. Calvin Klein, czarna skóra krokodyla. Do środka wpakował 10% posagu. Dalsze 50% zgarniesz po ceremonii ślubnej. Oczywiście, z potrąceniem wydatków ciotuni. Resztę dostaniesz po dwunastu miesiącach.

Na twarzy Rafa malowało się zdumienie. Nie miał pojęcia, że w grę wchodzi pieniądze.

- Po dwunastu miesiącach?
- Może chodzi o to, żebyś mnie nie bił. - Zara odsunęła się od ławki. - Przynajmniej przez rok nie będziesz się nade mną znęcał. - Odwróciła się do ojca. - Przepraszam. Muszę odetchnąć świeżym

powietrzem.

- Idźże za nią! - syknęła ciotka Rafa, kiedy ten wstał i odprowadzał wzrokiem dziewczynę.
- I co mam jej powiedzieć?
- Co ci się żywnie podoba. - Lady Nafisa trzęsa się z wściekłości. - Wszystkie dziewczyny denerwują się przed ślubem. Coś wymyślisz. Powiedz jej to, co chciałyby usłyszeć.

Kiwnął głową.

- Dobra.

No i jej powiedział.

\*\*\*

Po przejrzaniu porannych serwisów informacyjnych Raf próbował dodzwonić się do Zary. Nie odbierała jednak telefonu. Dziewczyna niewątpliwie przebywała w Villa Hamza, ponieważ kamerdyner, który podniósł słuchawkę, nawet nie udawał, że jest inaczej. Najzwyczajniej w świecie nie chciała z nim rozmawiać.

Raf nie ustawał w wysiłkach. Wieczorem już nie musiał się przedstawiać: kamerdyner doskonale znał jego głos. Dziewczyna wszakże trwała w uporze.

- Niestety. - Stojąc pod ścianą w kaa, stuknął w pasek do zegarka i przerwał połączenie.

Tak straszny gniew wykrzywił rysy lady Nafisy, że zapewne z największą przyjemnością ucałowałyby go za kudły, zaciągnęła nad krawędź i pchnęła, by roztrzaskał się w dole na posadzce. Kiedy straciła nad sobą panowanie, Hani do-

82

Jon Courtenay Grim wood

słownie za nic oberwała w skórę i została zesłana do haram-liku. Do tej pory lady Nafisa ograniczała się do próśb i poleceń, teraz stosowała emocjonalny szantaż.

- Chyba wiesz, co narobiłeś? - narzekała. - Zrujnowałeś jej życie! - chrypiała okropnie. Na skutek ataków złości i trzech kłótni naddarła sobie struny głosowe. Pierwsza kłótnia wybuchła, kiedy oburzona madame Rahina wybiegła z przyjęcia, ciągnąc za sobą córkę. Druga nazajutrz, kiedy Raf oświadczył, że za żadne skarby nie ożeni się z Zarą. Ostatnie spięcie, najgorsze ze wszystkich, miało miejsce dzisiaj.

Raf przeglądał popołudniówkę, którą mu właśnie dała do poczytania. Na drugiej stronie w obowiązkowej ramce pisano o ostatnich sukcesach Generała Koeniga Paszy w walce z przemytnikami. Na kilku zdjęciach prezentował się młody chedyw, Generał oraz wschód słońca nad Portem Zachodnim. Bez porównania najwięcej miejsca zajmował, rzecz jasna, Generał Koenig Pasza. W gazecie rozpisywano się na temat, który bulwersował lady Nafisę.

„Córka magnata naftowego dostała kosza..Bez końca wałkowano tę historię. Dziś rano brukowiec zaghlulistów posuwał się dalej w swoich komentarzach, kłut do żywego. „Pyza kantem puszczoai” -

oto najłżejszy kaliber szyderstw. Powyżej przestarzałe i niechlubne zdjęcie pokazywało Zarę (wiek może piętnaście lat) w obszernym kostiumie kąpielowym, jeszcze z wieloma wałkami dziecięcego tłuszczu. Zapomniano wspomnieć, że obecnie dziewczyna wygląda zupełnie inaczej.

- Zdajesz sobie sprawę, jak jej zaszкодziłeś? - warknęła z wściekłością lady Nafisa.

Raf westchnął. Zadała w sumie retoryczne pytanie. Wiele razy próbował się tłumaczyć, lecz nie pozwalała mu nawet skończyć zdania.

- Okryła się hańbą! - stwierdziła ciotka. - Nikt jej nie poślubi! Myślisz, że w al-Iskandarijji wszyscy rzucą się na resztki po tobie?

- Ani resztki, ani po mnie! - odparł, wkurzony. - Poza tym, jej ojciec jest milionerem.

- Miliarderem - poprawiła go bezwiednie. - Ale to bez znaczenia. Bo teraz nie ożeni się z nią żaden poważany człowiek.

Pasza-zade

- A może ona nie chce wychodzić za poważanych ludzi?

- wycodził Raf przez zaciśnięte zęby. - Może w ogóle nie chce wychodzić za męża?

- Słuchaj, życie to nie bajka. Ty o życiu jeszcze nic nie wiesz.

- Zgadza się, nic nie wiem. - Raf rzucił gazetę na marmurową posadzkę. - Ale to, co już widziałem, wcale a wcale mi się nie podoba.

- To pewnie byś wolał więzienie?

- Niż to? Jasne, że bym wolał.

\*\*\*

Co jednak mijają się z prawdą. Kiedy bowiem wędrował spojrzeniem po przymglonej w upale promenadzie Corniche, zdarzały mu się takie chwile, że czuł się w al-Iskandarijji

- o dziwo - prawie jak w domu. Ale na razie nie martwił się tym, czy lubi to miasto, czy nie lubi. Hu San i Dzikie Chłopiec - oto jego problem. Jeśli tych dwoje zabierało się za poszukiwania, kończyły się zawsze znalezieniem. Jedynym atutem Rafa był fakt, że jeszcze nie wiedzieli, gdzie się zawieruszył i za kogo się podaje. Z racji tego, dalsze odgrywanie roli Aszrafa al-Man-sura było mu konieczne jak oddychanie. Niestety, wszystko wskazywało na to, że obie tożsamości są ze sobą nierozzerwalnie związane.

Rozpłynąć się w tłumie? Był gotów na taką ewentualność. W al-Iskandarijji mnóstwo cudzoziemców zajmowało się prowadzeniem knajp, burdeli i rozmaitych szemranych interesów. Odwalali robotę, którą gardzili rodowici Aleksandryjczycy. Bał się jedynie tego, że lady Nafisa powiadomi policję. Należała do osób liczących się w socjocie, więc niezależnie od jej wersji wydarzeń organa ścigania w końcu go wytropią.

Zabić ją lub schronić się pod jej skrzydła: jedynie w ten sposób mógł oddalić od siebie niebezpieczeństwo. Cokolwiek wybierze, da mu to przewagę.

- Hej, Aszraf... - posłyszał czyjś szept.

Obrócił się na pięcie.

- Do jasnej cholery, jakżeś się tu dostała?

Hani z wytrzeszczonymi oczami uniosła ręce, żeby zobaczyć smar na jej dłoniach. Oraz na przedzie flanelowej piżamy, gdy rozłożyła ramiona.

m

8 Jon Courtenay Grimwood

- Trzeba uważać, żeby się nie ześliznąć - powiedziała z powagą. - Po kilku próbach nabiera się wprawy.

Zupełnie jakby opowiadała o posługiwaniu się szklanym mieczem z Dragon Bane III lub pokonywała trudności w zbudowanej przez siebie scenerii w Imperial Assassin. Hani nie odróżniała jeszcze rzeczywistości od świata kreowanego na ekranie w bawialni. Gry były dla niej innym wymiarem normalnego świata. y

Raf milczał. Daremnie tłumaczyłby dzieciakowi, że wspinaczka po linach może się skończyć tragicznie, zresztą z jej oczu wycierało ślepe przekonanie o słuszności własnego postępowania. Niepokój budziły przyczyny jej przyjścia.

- Chcesz nakarmić Ali Dina? - przerwał ciszę.

Widać było, że zaskarbił sobie jej szacunek tym pytaniem.

- To też - przyznała. - Chciałam się z tobą spotkać.

- No to jestem.

- Tamtędy głos biegnie jak w rurze. - Hani wskazała windy. - Stań u góry, to wszystko usłyszysz... - Urwała, zastanawiając się, czy nie za wiele zdradziła. - Dlatego lepiej mówić szeptem.

- Tak dobrze? - spytał Raf ledwie słyszalnie.

- Głupi jesteś.

- Właśnie. - Raf rozejrzał się, lecz w kaa panowała absolutna cisza. - Chyba masz rację.

- Za co siedziałeś w więzieniu?

Odpowiedzieć albo nie odpowiedzieć.

- Za zabicie człowieka.

Hani wyglądała na przerażoną. Strach wykrzywił rysy jej twarzy, gdy usiłowała wydusić z siebie jakieś

słowo. W końcu ochłonęła.

- Ten ktoś musiał zrobić coś bardzo złego - powiedziała.
- Nie umiał trzymać języka za zębami.
- Dlatego go zabiłeś?

Raf zaprzeczył ruchem głowy.

- Raczej nie byłem to ja. Ale na mnie zwalili winę.
- To niesprawiedliwe.
- Nie za bardzo. - Raf uśmiechnął się. Pamiętał jeszcze, że sam niegdyś wierzył w sprawiedliwość... aż do czasu,

Pasza-zade

85

gdy jako pięcioletniego chłopca wwieziono go przez bramę do szwajcarskiej szkoły z internatem. I naprawdę chciał wierzyć. Próbował sobie racjonalnie tłumaczyć, czemu go leją pozornie bez powodu, urządzają mu kąpiel w zimnej wodzie, obmacują, wyznaczają kary za byle głupstwo... W wieku siedmiu lat pierwszy raz uciekł. Z kolei po raz ostatni w przededniu swoich jedenastych urodzin, ale to już z innej szkoły. Z pięciu prób trzy mógł od biedy uważać za udane.

Ostatecznie umysł przyjął do wiadomości to, o czym reszta ciała już wcześniej wiedziała: nie ma sprawiedliwości, nie ma równości, zamiast nich są reguły. Dużo łatwiej miał ten, kto się ich trzymał lub je naciągał. Pozostałych piętnowano jako wrogów porządku publicznego. Raf przeszedł w dzieciństwie bardzo ciężką zaprawę. Psychiczna adaptacja do życia w społeczeństwie, tak to określił dr Millbank.

Od tamtych czasów Raf na swój sposób przestrzegał reguł. Bo czymże było wzięcie na siebie winy za śmierć Mic-ky'ego CBriana, jeśli nie dostosowaniem się do reguł świata, w którym się znalazł?

- Ciocia Nafisa powiedziała, że byłeś szpiegiem. - Hani pociągnęła go za rękaw. - Szpiegzy zabijają ludzi. Taką mają pracę.
- Ludzi zabijają zamachowcy. Szpiegzy zbierają informacje.

Jednak Hani już go nie słuchała. Rozpracowywała w głowie swą teorię.

- Skoro taką masz pracę, to wszystko w porządku.

Jon Courtenay Grimwood

Rozdział 14

6 lip CA

Lady Dżalila zsunęła się bokiem z kozetki i owinęła ciasno szpitalną koszulą. Ścisnęła ją w żołądku, a ściernięte mięśnie ramion i szyi zdawały się ciężkim spizowym odlewem. Ostatnie pół godziny ledwo zniosła.

- Wiesz gdzie...

Odpowiedziała szczupłej Greczynce zdawkowym kiwnięciem głowy i w pośpiechu przeszła z gabinetu lekarskiego do sąsiedniej łazienki. Ledwie usiadła, jelita opróżniły się w jednym, niemal konwulsyjnie wypchniętym strumieniu prawie czystej wody. Ów końcowy rytuał przynosił tyle samo ulgi, co wstydu. Lady Dżalila nauczyła się tolerować badanie wzornikiem, nie przeszkadzało jej też leżenie na boku z podciągniętymi kolanami i wypiętym tyłkiem, kiedy siła grawitacji wlewała wodę do okrężnicy i z powrotem ją wylewała, oczyszczając z kału końcowy odcinek jelit. Wytrzymała nawet ostatnich pięć minut nieznośnego parcia, gdy chłodną wodę zastępował ciepły napar ziołowy, a madame Sosostriś ścisnęła rurkę klamerką, żeby płyn nie wydostał się na zewnątrz.

Prawdziwą męczarnią był dla niej ból brzucha. Dokuczał w ciągu kilku sekund w drodze z gabinetu do muszli klozetowej, kiedy bała się, że narobi sobie wstydu.

Wolała sobie nie wyobrażać, jak wygląda na kozetce i co lekarka myśli o jej nie kończących się wizytach. Skutki czyszczenia jelit były zbawienne, więc nie zamierzała z tym zrywać. I chociaż mąż minister z różnych przyczyn nie aprobował tak częstych wizyt (nie chodziło mu wcale o wysokie skądinąd koszty), umiała sobie z nim radzić. Sprawdzonej metodami.

Pasza-zade

Od razu lepiej. Z westchnieniem raz jeszcze usiadła na klozecie, aby się upewnić, że w środku rzeczywiście nic już nie zostało. Nie zostało. W kiszkiach było pusto, żołądek się spłaszczył, a brzuch zachował tylko lekkie, atrakcyjne krągłości. Nawet uda wydawały się węższe, gdy okrężnica nie przypominała kiełbasy wypchanej trującymi odchodami.

Ach, gdyby równie łatwo można było pozbyć się wszystkich życiowych komplikacji!

Okrywszy się papierową koszulą, wróciła do gabinetu lekarskiego na drugim piętrze tej niemiłosiernie przestarzałej kliniki, wybudowanej w mocno podejrzanym zakątku dzielnicy al-Anfuszi, między Nokraszi a Rue Tatvig.

To ona odkryła dla świata madame Sosostriś, kiedy zielarkę zatrzymano na przesłuchanie. W owym czasie lady Dżalila była zwykłą Dżalilą, świeżo rekrutowaną policjantką z obyczajówki. Widząc, że ma do czynienia z osobą potencjalnie użyteczną, zmieniła w protokole aresztowania „przeprowadzenie aborcji” na „nieupoważnione okaleczenie narządów płciowych kobiety”. Udzieliła jej ostrzeżenia i zwolniła z aresztu. Dwa miesiące później szukała jej z nakazem rewizji w jednej ręce i ofertą pracy w drugiej.

Obecnie klinikę odwiedzali wszyscy znajomi lady Dżali-li. Nawet koroner Miła, niedawno mianowana sędzią pokoju do spraw kobiet, unikająca jak ognia tematów śmierdzących kałem... lub seksem.

Lady Dżalila uśmiechnęła się kwaśno. Każdy się z kimś pieprzy. Pani kproner udawała zde gustowaną



właściwie tylko dlatego, że lady Dżalila nie kryła swoich upodobań.

- Na dziś to już wszystko? - spytała lekarka, patrząc na nią uważnie.

Wysoka, chuda w biodrach, obdarzona wyjątkowo małymi piersiami, miała figurę nijaką, bez kobiecego wyrazu, ale zarazem ciało, którego jej skrycie, a czasem nieświadomie zazdrościły wszystkie pacjentki. Jej sylwetka była dla nich wzorem i celem. Powodem częstych wizyt.

- W takim razie proszę się ubrać.

Madame Sosostriś zawsze czekała na powrót pacjenta. Dopiero potem wychodziła, żeby mógł się ubrać. Oczywiście, lady Dżalila nie była pierwszą lepszą pacjentką. Szybko zo-

yp

8

Jon Courtenay Grimwood

stała serdeczną przyjaciółką i sojuszniczką madame - protektorem niezbędnym kobiecie, która stosuje kuracje niezupełnie aprobowane przez islamskich mułłów. Jej mężem był Muszin bej, minister policji w al-Iskandarijji, szanowany zastępca Generała Koeniga Paszy.

Madame Sosostriś wyszła z gracją z gabinetu.

Następna wizyta za tydzień we wtorek, zdecydowała lady Dżalila, wciskając na siebie białe figi CK, które nie opinały już bioder. Gdy jędrne piersi okrył sportowy biustonosz, rozejrzała się za lustrem. Zapomniała, że go tu nie ma. Nieważne, przecież nie zgrubnie w drodze do domu, gdzie przed lunchem dokładnie obejrzy się w lustrze. Choć przedtem zajrzy do Nafisy, by sprawdzić, jak trzyma się kuzynka.

Bądź co bądź, poranek miała udany. Biała marynarka przylegała do ciała w odpowiednich miejscach i zarazem nie wypinała się w nieodpowiednich, a jedwabna spódnica układała się na biodrach bez zmarszczek. Nośła się na biało, ponieważ biel ładnie harmonizowała z jej zaczesanymi w górę blond włosami, a mąż lubił ubrania podkreślające dzielącą ich różnicę wieku. Trzydziestojednoletnia kobieta w mniemaniu swoich przyjaciółek mogła już z powodzeniem być ma-troną obarczoną kilkorgiem dzieci, lecz w oczach sześćdziesięcioletniego ministra policji wciąż była dzieckiem - w pozytywnym znaczeniu tego słowa. Muszin bej widział w niej jeszcze tę samą siedemnastolatkę, która wstąpiła do żeńskich formacji policji. Blond włosy, niebieskie oczy, niewinność wypisana na twarzy.

I niech tak długo zostanie, pomyślała.

Włożyła stopy w buciki Manolo, sięgnęła po torebkę od Diora z kartami kredytowymi i uśmiechnęła się promiennie.

Lady Dżalila wchodziła do medresy kuzynki, oglądając się na otwarte drzwi, przy których nie warował Chartum. Nafisa nie umiała trzymać w karchach służby.

W krytym szkłem wymuskany ogrodzie było gorąco jak w parni, więc co sił stamtąd uciekła. Kuzynka twierdziła, że na klimatyzację może sobie pozwolić jedynie w swoim ma-

Pasza-zade

tym gabineciku. Tylko po co pielęgnować słynny ogród, skoro większą część lata nie da się w nim wytrzymać?

- Hej, Nas! - zawołała, postępując się zdrobnieniem.

I nic.

Mijając liwan z dającym ochłodę marmurowym blokiem, obecnie suchym i zakurzonym, wyszła na otwarty dziedziniec i zatrzymała się, żeby złapać głębszy oddech. Początek lipca w al-Iskandarijji był często parny i gorący, lecz nigdy nie dokuczał tak bardzo jak ten przykryty ogród.

- Nas! - powtórzyła.

Nic nie przerwało ciszy czy wręcz grobowej martwoty, której tym razem nie naruszał plusk wody na dziedzińcu.

Głośno klekocząc obcasami na kamiennych stopniach, ruszyła po schodach do kaa. Kuzynka zawsze psioczyła na te podbijane obcasy, zostawiające rysy na marmurze. Na szczycie schodów przystanąła z wahaniem. Na lewo otwierała się ogromna, wyłożona kafelkami przestrzeń kaa. Przed nią mieścił się maciupki gabinecik lady Nafisy, chłodny dzięki sprawnej klimatyzacji, utworzony poprzez zamknięcie przestrzeni między dwoma arkadami arkuszami przyciemnianego szkła.

Tam najpierw skierowała swe kroki...

\*\*\*

- Nie obchodzi mnie, kto tam z nim jest. Przekaż mu, że jestem teraz w medresie al-Mansur i muszę z nim koniecznie porozmawiać.

Lady Dżalila nie musiała podnosić głosu. Wyraźne w jej słowach zniecierpliwienie nakazało pośpiech nawet tępawej sekretarce, bo już po kilku sekundach na ekranie maleńkiej, srebrnej nokii wyświetliła się twarz męża. Jak zwykle, przypominał wystraszonego szczurka.

- Co się...?

- Czekał! - przerwała i wyłączyła w aparacie funkcję kamery. Właśnie wpadł jej w oko przyprawiający o mdłości widok. Lepiej niech o tym przeczyta albo obejrzy sobie zdjęcia z miejsca zbrodni. Zwłoki Nafisy z rozerwaną bluzką. Były rzeczy, które jej mąż niekoniecznie musiał widzieć.

- Zamordowano Nafisę - oznajmiła.

Jon Courtenay Grimwood

- Nafisę?! - odparł głosem świadczącym o śmiertelnej trwodze. Wiele słów cisnęło mu się na usta, lecz zachował wszystkie dla siebie i po chwili rzekł lakonicznie: - Przykro mi. - Przesunął wzrok poza ekran na grupę osób, których nie powinna zobaczyć, i machnął ręką, aby odeszli. Do słuchawki przesączyło się jedynie stłumione pytanie i pomruk rozdrażnienia. - Jutro! - burknął do kogoś. - Nie spiesz się.

- Nareszcie całą uwagę mógł poświęcić żonie.
- Jak zmarła?
- Ktoś ją dźgnął piórem. Jak sztyletem.

Słyszała odgłos naciskanych guzików na pulpicie biurka.

- Niczego nie dotykaj - odezwał się w nim policjant.
- Wysyłam najlepszego człowieka.
- Muszin!

Warknęła takim tonem, że zmarł w bezruchu.

- Naprawdę nie kapujesz? - Rozmowa mogła być nagrywana, ale tym się nie przejmowała. Ani tym, co sobie pomyśli sekretarka, ta mała wywłoka, kiedy będzie spisywać codzienny protokół. - Morderca zabił ją piórem, rozumiesz? Zginęła po napisaniu tego listu.

W końcu zrozumiał. Co stwierdziła, widząc, jak nagle zaciska szczęki.

- Pamiętasz, kto jeszcze podpisał się pod listem? - drążyła. - Pamiętasz?

Ona. Pamiętał aż za dobrze.

- Masz włączyć do śledztwa madame Milę - zażądała kategorycznie. - To atak na nasze wartości. - Miała na myśli kobiety.

Minister wydał wargi, zdenerwowany, lecz skinął głową twierdząco.

- Zaraz się tym zajmę - obiecał.
- W porządku. - Lady Dżalila wcisnęła guzik: szczurza twarz męża na moment rozbłysła i zginęła w mroku.

Pasza-zade

1

Rorfcfoł 15

"Nowvj Jork

To terapeuta po zbadaniu małego ZeeZee'ego podsunął myśl, że skoro chłopiec źle znosił pobyt w Szwajcarii, a w Nowym Jorku najwyraźniej też nie czuje się dobrze, najlepszym wyjściem byłoby umieszczenie go w specjalnej szkole z internatem w Szkocji. Toteż po czterech miesiącach od przyjazdu do Nowego Jorku dzieciak znowu wybierał się w podróż - na polecenie lekarza, o którym już wtedy wiedział, że nie jest mu potrzebny. Wiedział także, czemu go wysyłają. Bo wciąż wywoływał spięcia w aparaturze do mierzenia fal mózgowych...

Dopiero w wieku jedenastu lat ponownie odwiedził Amerykę. Boeing przelatywał nisko nad Long Island i opadł na pas startowy w Idlewind sprawnie jak na symulacji. Wtedy po raz pierwszy ZeeZee

leciał samolotem Alle Volante. Podróżował w pierwszej klasie, gdzie dostał osobną kabinę. Ściany pokoiku oklejone były naturalnym fornirem z kanadyjskiego klonu, a ramę łóżka wykonano z wyciskanego stopu magnezowego, stosowanego zwykle w japońskich rowerach wyścigowych. Jednak w kabynie było ciasno jak we wnętrzu furgonetki.

Ale ZeeZee nie narzekał na ciasnotę. Po męczarniach związanych z dzieleniem sypialni z dziewięcioma chłopakami - z których najstarszy prześmiewczo mylił nazwisko We-lham ze słowem określającym przydupasa - upajał się szczęściem w zaciszu swej kabiny.

Wystarczyło wcisnąć guzik, a pojawiała się uśmiechnięta stewardessa, której nie przeszkadzało, że podróżuje bez opieki i wygląda tak, jak zapewne w jej wyobrażeniu wyglą-

Jon Courtenay Grimwood

dali typowi angielscy chłopcy: blond włosy, niebieskie oczy. Całkiem jak na filmach.

Nosił szare flanelowe spodnie i bawełnianą koszulę z krawatem w paski, co musiało poprawiać jego wizerunek w jej oczach. Podobnie jak ciepła, tweedowa marynarka, nazywana przez niego mundurkiem. Na mankietach koszuli nosił spinki z tajskiego srebra, na których czarnej, półokrągłej powierzchni wygrawerowano malutkich tancerzy.

Stewardessa wyprowadziła chłopca z samolotu przed innymi pasażerami i przekazała go pod opiekę pachnącej różami pracownicy lotniska, która poszła z nim po odbiór bagażu.

- Tylko tyle miałeś? - zapytała, przyglądając się teczce ściągniętej z taśmociągu, którym wędrowały bagaże pasażerów pierwszej klasy.

Przytaknął kiwnięciem głowy. Nie zamierzał jej opowiadać, że teczka jest prawie pusta, a wziął ją tylko dlatego, by nie sprawić komuś przykrości. Dostał ją mianowicie jako pożegnalny prezent od żony wychowawcy.

- Tam idę - odezwał się nagle, gdy weszli na halę przylotów. Na drodze za ogromną przeszkloną ścianą stał sznurek białych cadillaców. Kierowcy stali przy otwartych drzwiach, gdy w hali machały do siebie rozentuzjasmowane rodziny. ZeeZee również pomachał. - Teraz już sobie poradzę - rzekł stanowczo i wyszarpnął drugą rękę.

Nawet jeśli pracownica lotniska miała wątpliwości, szybko o nich zapomniała, gdy poważny jedenastolatek o nienaganych manierach uścisnął jej rękę.

- Pewny jesteś? - zapytała.

- Oczywiście. - ZeeZee uklonił się nieznacznie.

Przesycona perfumami kobieta uśmiechnęła się i pokręciła głową z niedowierzaniem.

- A więc dobrze - powiedziała. - Miłego pobytu.

- To nie będzie pobyt - sprostował cierpliwie ZeeZee. - Teraz będę tu mieszkał...

Pasza-zade

Rorfcrtel 16

6 lipca

Felix miał wrażenie, że topi się jak świeca. Był wyczerpany, przepadły mu wczasy i znajdował się już wystarczająco długo na miejscu morderstwa, żeby się upewnić, iż kobieta nie żyje, w kącie kaa siedzi wstrząśnięte dziecko z szeroko otwartymi oczami, a żona ministra, która prawdopodobnie zawiadomiła policję, poszła sobie w najlepsze... I kiedy już wyglądało na to, że popołudnie nie może się bardziej schrza-nić, jakiś dziany fircyk w dredach, słonecznych okularach i idiotycznym garniturze wwalil się po schodach na górę, zdyszany jak maratończyk.

- Czekaj no pan! - zatrzymał go Felix.

- Ja tu mieszkam - oświadczył Raf, przyglądając się grubasowi blokującemu drogę. Po bijącym z ust mężczyzny zapachu żytniej whisky i cienkim końskim ogonie z rzadkich, siwiejących włosów poznał, że to gliniarz z Ameryki. Dziwna rzecz, zważywszy, że byli w Afryce Północnej.

- Jakiś dowód!

Raf pędem wybiegł z biura, hojnym napiwkami dwa razy skłonił taksówkarza do niezatrzymywania się na światłach i przeciął na przełaj schludny ogród Nafisy, dewastując przy tym kilka krzewów. Z biura do prowadzących na piętro schodów dostał się w pięć i pół minuty. Tym bardziej wkurzył się na widok zawalidrogi. Zamiast się zatrzymać, spróbował się precyzyjnie przecisnąć między tłuściochem a futryną drzwi.

Poczuł palec na piersi.

- Proszę o dokumenty! - rzekł nieznajomy. Mimo że mówił słabą francuszczyzną, umiał wyrażać się autorytatywnie, do czego potrzeba czegoś więcej niż wieloletniego doświadczenia.

Jon Courtenay Grimwood

Raf z miejsca go znieubił. Skupił się, aby pierwszy ruch zakończył sprawę.

Stojąc wobec wyboru: mieć złamany knykięć lub cofnąć się w głąb gabinetu, Felix wolał się nie buntować. Raf ciągle wykręcał wstrętny palec. Niektóre chwytaki poznane w areszcie były tak proste, że nawet dziecko stosowałoby je z powodzeniem. W sumie, o to chodziło.

- Aszraf...

Okrzykowi Hani towarzyszył błyskawiczny ruch i szcęk metalu. Lufa policyjnego rewolweru spoczęła na głowie Rafa. Bardzo wolno puścił palec grubasa i zrobił krok do tyłu.

- Znasz tego człowieka? - zapytał mężczyzna dziewczynkę z niejakim rozczarowaniem. Jakby to obróciło wniwecz jego plany zbiccia intruza na kwaśne jabłko.

Hani kiwnęła głową, wystraszona.

- To mój nowy wujek.

- Dokumenty! - W lewej dłoni wciąż ścisnął kolta, prawą sięgnął po kartę wyłuskaną przez Rafa z wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Kurwa, no pięknie!

Amerykaniac, bez dwóch zdań. Język ojczysty brookliński, drugi arabski i trzeci, choć kiepski, francuski. Zatem znał o jeden więcej niż Raf.

- Pułkownik pasza-zade Aszraf al-Mansur... Pasza-zade? Pański tatko jest paszą, do cholery?

Tatko paszą. O tak, świadomość tego pobudzała wyobraźnię.

- Nie. - Raf zabrał laminowaną kartę, którą dostał w biurze Trzeciego Rejonu. - Jest zasranym emirem Tunisu.

- Obszedłszy grubasa, jakby ten nic dla niego nie znaczył, kucnął przy Hani. - Dobrze się czujesz?

- Nie. - Ruchem głowy wskazała otwarte drzwi. - Ciocia Nafisa...

- Niech pan nie wpuszcza tam małej - ostrzegł Felix.

- I niczego nie dotyka. A przede wszystkim nie pałęta mi się, cholera, pod nogami! - Po tych słowach ciężkim krokiem zszedł na dół, gdzie zakleił taśmą wejścia, aby na miejsce zbrodni nie wchodzili nowi nieproszeni goście.

Raf nie od razu zauważył platynowe pióro wbite między jej zębra; metalowy koniec sterczał pod piersią niczym trzeci

Pasza-zade

sutek czarownicy. Stał tak w otwartych drzwiach, gdy szeleściła przed nim rozpięta w poprzek policyjna taśma.

- Cholera... - Cóż więcej powiedzieć? Poza tym, napatrzył się już w życiu na trupy. Mimo wszystko była to jego ciotka (przypuszczalnie) i sam się sobie dziwił, że nie czuje nic szczególnego. Rana paskudna, w gabinecie bałagan. I tyle.

- Zamordowali ją - wyszeptała Hani.

Odwrócił się i napotkał spłoszony wzrok dziewczynki.

- Kto?

- Obcy.

Gdzieś w biurze Nafisy rozległ się plusk wody spuszczonej w klozecie, potem szczęk zamka i zanim Raf zdążył zareagować, z mikroskopijnej łazienki, wycierając usta, wyszła dość elegancka blondynka. Drzwi były ukryte za perskim dywanem, który wisiał przy ścianie na drewnianym słupie. Słup nie był przymocowany do ściany gabinetu, ale do nadproża drzwi. Doleciał odgłos napętniającej się sputuczki.

- Lady Dżalila - przedstawiła się kobieta.

- Raf.
- Domyślam się...

Przypatrywali się sobie w milczeniu. Musiała się sporo natrudzić przy myciu, lecz w miejscach, gdzie szorowała przód żakietu, nie do końca znikły plamy po wymiocinach. Idąc przez gabinet, starała się nie zbliżyć do biurka. Zachowywał spokój do czasu, kiedy dziewczynka za jego plecami odwróciła się i z tupotem zbiegła po schodach. Po raz pierwszy lady Dżalila zdradzała niepokój.

- Pozwolisz jej na to patrzeć? - Głos kobiety był niespodziewanie szorstki, trzęsły jej się dłonie. Zdawało się, że za chwilę wybuchnie.

- Nie ja, tylko ty.

Jej mina wyrażała zdziwienie.

- Przecież byłeś tu pierwsza - wyjaśnił.

- Próbowałam opanować mdłości w łazience Nafisy, kiedy przyszła Hani. - Nawet jeśli jeszcze coś dodała, jej słowa zagłuszył nagły tupot stóp na dole.

- Tutaj! - krzyknęła, lecz Felix już się tym zajmował. Zatrzymał dwóch umundurowanych policjantów na dziedzińcu, gdzie słuchali cierpliwie wskazówek przełożonego.

Jon Courtenay Grimwood

- Hej, szefie! - rzekł młodszy, kiedy Felix w końcu skończył wywód. - Góra twierdzi, że jest pan odłączony.

- Jego Ekscelencja?

Funkcjonariusze jak na komendę pokiwali głowami.

- Felix z tej strony - oświadczył grubas po trąceniu przełącznika na zegarku i wciśnięciu przycisku. Później długo milczał, a na jego twarzy rozlewał się coraz ciemniejszy rumieniec. - Tak, sir! - powiedział na zakończenie rozmowy.

- Dopilnuję, żeby się o nią wyjątkowo zatroszczyli. Tak, wiem, panu jest łatwiej, jeśli się nie rozłączam... Proszę pani

- zwrócił się do lady Dżalili, która patrzyła z góry na dziedziniec. Uprzejmość w jego głosie stała w jawnej sprzeczności z pogardą w oczach. - Minister uważa, że najlepiej będzie, jeśli wróci pani prosto do domu.

- Doprawdy? - Lady Dżalila ruszyła ku schodom, kiwając głową na Rafa, aby szedł za nią. - Czyżby wysłał samochód?

- Nie - odrzekł Felix. - Jest pewien, że któryś z tych oficerów chętnie panią odwiezie. Jeśli, oczywiście, nie ma pani nic przeciwko podróży wozem policyjnym.

Lady Dżalila westchnęła przeciągle.

- No cóż, skoro muszę...
- Jeszcze nie wiem dokładnie, kiedy będę w stanie złożyć pani wizytę...
- Wizytę? - Kobieta stanęła jak wryta. Nie posiadała się ze zdumienia, jakby Felix proponował popołudniowe wyjście do najbliższego hotelu Ramada na pokazy pieprzenia się ze zwierzętami i wykorzystywania seksualnego nieletnich.
- Popełniono morderstwo. - Felix przesunął spojrzenie po twarzach Rafa, lady Dżalili i Hani, która akurat wychodziła z kuchni, prowadząc Donnę. Błyskały mu w myślach same niecenzuralne słowa, gdy patrzył, jak po miejscu zbrodni szwendają się dzieci, kucharki, bejowie, a nawet żona szefa.

Pasza-zade

## Rozdział 17

Scatt1c/Nowy Jork

ZeeZee przyleciał do Ameryki po raz trzeci w wieku niespełna szesnastu lat. Rzadko odgrzebywał z kurzu na wpół zatarte wspomnienia z poprzedniej podróży...

Wówczas nie czekała na niego luksusowa limuzyna, nikt po niego nie wyszedł. Czego i tak nie oczekiwał, i tak nie żałował... Poza tym, świetnie dał sobie radę ze złapaniem autobusu i wyładowaniem zawartości teczek pod stacją Grand Central. Samą teczkę wrzucił do kontenera na śmieci przy 42 Ulicy. W środku został już tylko szkolny mundurek, ale jego już nie potrzebował.

Żółta taksówka, którą dojechał do domu na Upper East Side, gdzie matka wynajmowała mieszkanie, czekała w niedozwolonym miejscu, gdy biegł po pieniądze, żeby zapłacić za kurs. A ponieważ akurat nie było jej w domu, pożyczył 10 dolarów od stróża w uniformie; z pewnym zaskoczeniem słuchał zapewnień starszawego Murzyna, który twierdził, że nie potrzebuje brać w zastaw zegarka automatycznego Seiko.

Na szczęście matka nie omieszkała uprzedzić recepcji, że zamieszka z nią syn, mimo że zapomniała odebrać go z lotniska. Zanim wróciła, namierzył swój pokój (znalazł w nim Vampyre Blade III, najnowszą wersję gry, oraz starą konsolę Sony), wziął długi prysznic, zjadł wyciągnięty z lodówki kawałek zimnej pizzy i potem już spał do samego rana.

Przyszła, kiedy piekł kromki chleba tostowego, choć ledwo sięgał do opiekacza, ponieważ dekorator wnętrz, wynajęty przez ostatniego przyjaciela matki, nie uwzględniał w projektach jedenastoletków. Z drugiej strony, wyposażenie nie spełniało zbyt ostrych wymogów funkcjonalności,

Jon Courtenay Grimwood

raczej miało świadczyć o statusie majątkowym mieszkańców. Tutaj nawet kuchnia była większa od jego dawnej sypialni - sama pięciokrotnie mniejsza od salonu, w którym usunięto i zastąpiono szkłem cały narożnik, aby odsłonił się widok na Central Park. Zapewne przy wyborze mieszkania matka nie pamiętała, że ZeeZee ma lęk wysokości.



Kominek w salonie był maszynowo wycięty z szarego, bliżej nieokreślonego kamienia. Po bokach stały gustowne stalowe regały, zawalone płytami z relacjami z podróży, oraz opasłe, podniszczone albumy z fotografiami. Reszta płyt kompaktowych i albumów została wciśnięta w wąskie wnęki nad kominkiem.

Na pozostałych ścianach, gdzie tylko spojrzeć, wisił jakiś kilim czy obraz olejny. Zwracała na siebie uwagę bardzo stara skóra z lamparta. Te ozdoby nie należały już jednak do matki. Na podłodze gazety walczyły o przestrzeń z pustymi talerzami, szklankami i torbami na sprzęt fotograficzny.

- Kochanie, jak to dobrze cię widzieć!

Trzymała w ręku okulary przeciwsłoneczne i nosiła szkarłatną chustę na dawno nie mytych włosach. Czarne dzinsy i sweter sprawiały wrażenie, jakby kładła się w nich do łóżka, aczkolwiek wystarczyło spojrzeć w jej zmęczone oczy, by wiedzieć, że od wielu dni nie spała.

Oboje uśmiechnęli się, troszkę skonsternowani.

- A więc trafiłeś?

ZeeZee pokiwał głową i wrócił do opiekacza, zostawiając rozmowę na jej głowie.

- Zapisałam cię do szkoły - powiedziała. - To zaraz po drugiej stronie parku. Mam tu gdzieś prospekty. - Dłonie z czarnymi paznokciami zamigotały nad papierami, leżącymi w stosach na stalowym kuchennym stole. - Możesz zacząć, kiedy tylko zechcesz. Mam nadzieję, że nadrobisz zaległości...

Spojrzał na nią z wyrzutem.

Wzruszyła ramionami.

- Musiałam zapłacić za rok z góry.

Kiedy brała prysznic i potem wciągała kreskę kokainy, ZeeZee odpalił podstarzałą konsolę Sony. Ledwie wziął się do czytania instrukcji, zorientował się, że w pokoju nie ma

Pasza-zade

telewizora. Do czego podłączy konsolę? Pomysł przytąszczenia ciężkiego odbiornika z salonu wydawał się dość karkołomny. Podobnie jak przeprowadzanie się tam z łóżkiem, więc na razie postanowił tym się nie martwić. Zjechał windą na dół, żeby pogadać z dozorcą.

Z tamtego roku mieszkania z matką najlepiej pamiętał oglądanie ekranów z dozorcą Maxem. W jego kanciapie rząd monitorów wyświetlał obrazy rejestrowane przez kamery wewnętrznego systemu monitoringu, rozmieszczone w holu recepcji, windach, korytarzach i przy parkingu. Kamery nagrywały dźwięk, lecz Max wołał ściszyć głos do zera. Ludziom, których widział, przypisywał własne historie.

Pod koniec pierwszego miesiąca matka ZeeZee'ego była dla niego jednym z wielu osobników, których podglądał razem z Maxem, gdy na korytarzach przed lustrami oglądali sobie zęby lub naprędcę poprawiali włosy, dekolty, ubrania w talii. ZeeZee poznawał facetów odwiedzających pokoje, do

których nie powinni chodzić. Widział, jak szykowne kobiety całują się z mężczyznami, którzy nie byli ich stałymi partnerami. Patrzył na Włoszkę, nie zdającą sobie sprawy z jego istnienia: pośpiesznie zakładała w windzie świeży tampon i owijała zużyty chusteczką higieniczną. Siedział też z nosem przyklejonym do ekranu, kiedy w kącie podziemnego garażu dwie podpite osoby pieprzyły się na masce czarnego cadillaca... mimo że jedną z nich była jego matka, a drugą gość, który wynajął im mieszkanie.

ZeeZee wytrzymał do końca roku i później zrobił to, czego - gdyby wierzyć jego solennym zapewnieniom - nie zamierzał już nigdy robić. Wrócił do Roślin w Szkocji. Obyło się przy tym bez długich dyskusji. Samo życie za nich zdecydowało, jakby wszystkie rozmowy dawno zostały odpajkowane i należało już tylko kupić bilet. Trudno powiedzieć, komu rozstanie przyniosło większą ulgę.

Jon Courtenay Grimwood

Uozbrteł W

6 lipca

Miejsce zbrodni zostało zabezpieczone, prasa się nie zjechała, a na chodniku młodszy oficer śledczy próbował ustalić, jak sprawca wtargnął do mieszkania i jak z niego wyszedł. Na razie bezskutecznie. Lady Dżalila odjechała i Felix próbował przekonać Rafa, żeby nie przeszkadzał mu w pracy.

Poniżej, pod schodami prowadzącymi do kaa, straż pełnił wysoki młodzieniec o nieskazitelnej karnacji Nubijczyka i rozbieganych oczach rekruta, który jeszcze nie oswoił się ze śmiercią. Dał trochę policyjnej taśmy Hani, a ta wyginała ją niez mordowanie. Łapała promienie słońca na odblaskowych literach: EIPD - NIE WCHODZIĆ. Pochłonięta zabawą, dziewczynka sprawiała wrażenie szczęśliwej.

Felix wzruszył ramionami. Nie bardzo znał się na dzieciach i sam by nie wpadł na taki pomysł. Co prawda, miał córkę w Santa Fe. Tyle tylko, że Trudi mieszkała ze swoją dziewczyną, trzema pręgowanymi kotami i spluwą pod poduszką. Kiedy widzieli się po raz ostatni, była chyba młodsza od tej, co dziś siedziała pod fontanną i bawiła się taśmą.

Ostatnio jego córka nosiła krótko przystryżone włosy, tatuaż w kształcie drutu kolczastego wijący się od łokcia po ramię i miała sutki przekłute srebrnymi kolcami: pierwszy w poprzek, drugi pionowo. Wiedział o tym, bo jedyna kartka bożonarodzeniowa, którą mu przysłała, przedstawiała zdjęcie jej i Barbary, zrobione podczas święta gejów przy grillu w San Francisco. Rozebrane do pasa, trzymały butelki budweisera. Tyle że butelki nie znajdowały się przy ustach, a bliżej zamykanych na guziki rozporków. Barbara też miała kolce w sutkach, dodatkowo połączone łańcuszkiem.

Pasza-zade

101

Trudi na zdjęciu wyglądała na zgrzaną i wycieńczoną, więc odpisując, poradził jej łykać witaminy oraz używać dużo kremu do opalania, skoro musiała pokazywać się publicznie półnago. W zamian otrzymał widokówkę z tramwajem. Na odwrocie na-bazgrała tylko trzy linijki tekstu, w tym nowy adres mailowy. Obecnie pisywali do siebie, choć nie częściej niż co parę miesięcy i nie więcej niż kilka

zdań. Przesyłała następne swoje zdjęcia, lecz już w ubraniu, z kociakiem na kolanach.

Był taki czas, że przestał dostawać fotografie. Trudi dopiero wchodziła w wiek dojrzały, a matka żyła w jakimś religijnym szale, bo jak inaczej skomentować fakt, że przeniosła się do nowego stanu, gdzie rozpowiadała sąsiadom, jakoby wcale się nie rozwiodła; po prostu mąż jej zmarł. Dopiero gdy duch przez pięć miesięcy odmawiał płacenia alimentów, zaczęły nadchodzić nowe zdjęcia. Ale nim to się stało, otrzymał formalny list od jej adwokata, na który odpowiedział po arabsku. Od tamtej chwili nie przerwało korespondencji.

- Byłoby lepiej...

- Nie! - Raf nie czekał, aż Felix dokończy zdanie. Nie chciał opuszczać miejsca zbrodni i wracać do biura z kilku powodów, lecz wyjąć mógł tylko jeden. - Nie mogę tak zostawić Hani.

Oczywiście, nie skłamał. Bez lady Nafisy dziewczynka była tylko wychudzoną sierotą. Ani ładną, ani dojrzałą do wydania, a w dodatku nie mającą posagu. I mieć go nie mogła: wedle islamskiego prawa, dziewczynom nie wolno było dziedziczyć osobiście majątku. A więc jeśli lady Nafisa nie przepisała wszystkiego zaprzyjaźnionej organizacji charytatywnej, spadek należał się komuś innemu... być może nawet jemu. Co też nie było mu w smak.

Zabójstwo, pieniądze, pojawienie się nieznanego dziedzica. Czy dawało to w rezultacie zwycięską kombinację?

Do czasu morderstwa ideał RenSchmiss był zniechęcony przez jedną kobietę w średnim wieku. Teraz stanie się tematem salonowo-kawiarnianych rozmów w całej Afryce Północnej.

Nawet jeśli grubas, idąc Rafowi na rękę, będzie obstawał przy zabójcach z Thiergarten, ludzie po zapoznaniu się

102

Jon Courtenay Grimwood

z okolicznościami wyrobią sobie w tej kwestii własne zdanie. Na domiar nieszczęścia, we wszystko wmiecha się prasa. Prasa, pożywka serwisów informacyjnych, odsprzedza jego zdjęcia do najdalszych zakątków świata... a więc i do Seattle.

Westchnął.

Broda, włosy i szkła kontaktowe z filtrem polaryzującym odejdą do lamusa, a do łask wrócą, i to na długo, okulary przeciwsłoneczne. Jaka szkoda, że nie pomyślał o operacji plastycznej, skoro już miał nowe nazwisko i nową narodowość.

- Zostanę... - Podniósł rękę, zatrzymując Felixa. - Lady Nafisa była moją ciotką... - Zamierzał dodać jeszcze coś bzdurnego w stylu „obowiązek nakazuje”, gdy raptem zaczął pikać telefon policjanta.

Pikanie trwało dość długo, nim Felix przeszukał kieszenie spodni i w końcu namierzył zegarek w marynarce, wiszącej na oparciu srebrnego krzesła na górze w kaa.

- Czego? - zapytał, nie starając się ukryć zdenerwowania.

Zapewne dzwonił do niego minister, ponieważ szef wydziału śledczego nagle się wyprostował i zatrzymał w pół kroku. Pogładził się po włosach, znów tylko z tym skutkiem, że rozsmarował po głowie brylantynę.

- Rozumiem, sir! Cieszę się, że żona dotarła bezpiecznie do domu. Przydzieliłem jej do ochrony jednego z najlepszych policjantów. - Nawet jeśli minister wychwycił nutę krytycyzmu w tym stwierdzeniu, wciąż strzelał pytaniami. - Dokładnie kiedy to się stało? - Zdarłszy taśmę strzegącą wejścia do gabinetu, Felix zbliżył się do biurka zamordowanej i ostrożnie, tak aby się gazeta nie pozlepiała, zerknął na stronę tytułową. Wydanie południowe. - Na razie mogę powiedzieć, że zdarzenie miało miejsce po godzinie dwunastej. Tak, co do tego nie ma wątpliwości. - Wysłuchał następnej prośby i odruchowo pokręcił głową. Kropla potu spłynęła mu po nosie. - Nie, Wasza Ekscelencjo. Nie sądzę, aby śledztwo na miejscu zbrodni należało przekazać madame Mili. Tak, wiem, że Generał... Nie, nie jestem... Gdybym chociaż mógł... Tak, jeszcze nie wyszedł... - Rozmowa z wolna przechodziła w monolog. Po chwili Felix przestał protestować, by prze-

il

Pasza-zade 103

rwać milczenie dopiero na sam koniec, kiedy energicznie pokiwał głową. - Co tylko pan sobie życzy, sir... - Naciśnięciem przycisku przerwał połączenie, zmierzył zegarek mściwym wzrokiem i pacnął w przełącznik, jakby szukał winowajcy. - Widzi pan - zwrócił się do Rafa - trzeba było wiać, póki się dało. Minister oficjalnie powołał pana na mojego świadka.

- Co to dla mnie oznacza? - zdziwił się Raf, odgarniając włosy z czoła.

Przez roztrzaskaną maszrabiję wpadało gorące, parne powietrze. Kosztowny klimatyzator Nafisy pracowałby zapewne na granicy przegrzania, gdyby ktoś nie wyrwał termostatu ze ściany, skąd wisiały teraz gołe kable.

Czyżby ciało zaczynało wydzielać charakterystyczną woń? Czy to może tylko jego wyobraźnia?

- Co to dla pana oznacza? Ano to., że stanie pan w drzwiach i będzie patrzył, jak popełniam zawodowe morderstwo. Proszę nie wchodzić do gabinetu, nie przeszkadzać w czynnościach śledczych i powstrzymać się od komentarzy. Rozumie pan?

Nie bardzo rozumiał.

- Po co mam być świadkiem?

- Żeby mi patrzeć na ręce.

Na marmurowy stół, przy którym ostatnio zasiadali rodzice Zary bint Hamza, Felix rzucił wysłużoną skórzaną walizkę ze wzmocnianymi rogami, zabezpieczoną przed otwarciem parcianym paskiem, na którym pisało: Własność Departamentu Policji LA, nie zdejmować bez upoważnienia. Ściągnąwszy pasek, Felix pomachał ręką przed czymś, co mogłoby uchodzić za ludzką głowę, gdyby nie to, że wykonano ją z pleksiglasu i nafaszerowano elektroniką. Z tyłu było jak przylepiono kostki pamięci krystalicznej.

Oczy na moment rozblęły czerwienią.

- Przedstawiam panu doktora Dee. - Z przegródki w walizce Felix wydobyl wyeksploatowany aparat fotograficzny, sędziwy model Speed Graphic Digilux, wyposażony jeszcze w osobny flesz i pozbawiony wymiennej karty pamięci. Dlatego przydawał się dr Dee.

- Na początek dokonam oględzin miejsca zbrodni, wykonam zdjęcia otoczenia, a wreszcie samego ciała. Pana zada-

\*rs

\*s

10

Jon Courtenay Grimwood

niem jest pilnować, czy ukradkiem nie podrzucam dowodów, nie zacieram śladów, nie bezczeszczę zwłok kobiety. Ma pan coś przeciwko?

Milczenie.

- Dobra, bierzmy się do roboty... - Felix wyłuskał piersiówkę, odetkał ją i jednym haustem wypił całą zawartość.

- Lepsze to, niż chwycić się za nos i odmawiać modlitwy

- dodał z przekąsem, widząc rosnące zdumienie Rafa.

Dopiero kiedy się upewnił, że przed nim na posadzce nie ma żadnych śladów, położył się na brzuchu i omiół pomieszczenie światłem małej latarki. Natychmiast odkrył dwa guziki bluzki, leżące dalej pod ścianą. Poza tym, wszędzie wały się szczątki maszrabijki. Lady Nafisa podchodziła do czystości z fanatyczną dbałością zarówno w kwestii otoczenia, jak i wyglądu zewnętrznego.

- Czemu mnie to nie dziwi? - zapytał Felix samego siebie. Podniósł guziki za pomocą pincety, wrzucił je osobno do torebek, które skrupulatnie oznaczył datą na etykietkach.

W ciągu piętnastu minut obfotografował gabinet, w ciągu dziesięciu porobił zdjęcia kobiecie, w ciągu pięciu wykonał w zbliżeniu zdjęcia rany. W trakcie tych czynności dwukrotnie przerywał pracę, żeby tyknąć co nieco z drugiej flaszki; gdy i tę osuszył, znalazła się trzecia!

Twarz grubasa zroszona była gęstym potem, którego przykra woń mieszała się z zapachem whisky. Jednakże ani razu się nie potknął i wcale nie wyglądał na pijanego. Po prostu strzelał fotkę, sprawdzał jakość na ekranie wbudowanym w aparat i rozglądał się za następnym kątem, następnym ujęciem. Jako zatwardziały nałogowiec, wyrobił w sobie naturalną odporność na działanie wyniszczającego specyfiku. Raf już się spotkał z czymś takim, miał możliwość obserwować ten fenomen aż z nazbyt bliskiej perspektywy, dzień w dzień w Nowym Jorku, kiedy mieszkał z matką.

Pasza-zade

10

Hor frteł 19

Seattle

Powrót do Ameryki w wieku piętnastu lat był czymś wyjątkowym. Do tego stopnia, że odcisnął się na stałe we wspomnieniach młodości, którego życie i tak obfitowało we wstrząsające wydarzenia. Po wyjściu z samolotu nie trzymała go za rękę pracownica lotniska, a samą podróż spędził w kabinie drugiej klasy, z nogami skurczonymi w mikroskopijnej przestrzeni między skrajem siedzenia a odchylonym oparciem pasażera z przodu.

Obok siedziała czarnooka dziewczyna, podłączona do walkmana Sony DanceMaster. Z minisłuchawek wydobywały się szumy i syki utworu „Hold Me Down”, gdy jej długie palce w zupełnie innym rytmie tańczyły po touchpadzie konsoli Nintendo. Pachniała pastą do zębów i tanimi, piżmowymi perfumami. Po jej drugiej stronie, na fotelu przy oknie, nie siedział nikt, za to leżała tybetańska torba z wysuniętym ze środka nietkniętym czasopiśmem.

ZeeZee z przyjemnością przesiadłby się pod okno, lecz nie wiedział, jak poprosić dziewczynę... I nie chodziło o to, że nie zna angielskiego, bo znała. Miał kłopot z nawiązywaniem znajomości. W szkole pod Edynburgiem uczyli się sami chłopcy. Jego codzienną rozrywką było pastwienie się nad młodszymi; pogaduszek z dziewczynami nie miał okazji praktykować.

PanAmerican nazywał to wszystko drugą klasą, lecz prawdziwa druga klasa znajdowała się na przedzie, gdzie raczono się darmową wódeczką, zjadano orzeszki i oglądano gwiazdy Hollywoodu na ekranach ściennych, zamocowanych przy kuszetkach.

10

Jon Courtenay Grimwood

Miejsca z tyłu boeinga zajmowali studenci, robotnicy sezonowi, dziewczyny z nadziejami na pracę jako opiekunki do dzieci: ludzie, którzy podróżowali rzadko, kupowali bilety za własne pieniądze i nie mogli się nadziwić, że po wymianie waluty w kantorze posiadają tak mało dolarów amerykańskich.

Nie żeby ZeeZee sam wysupłał kasę na przelot. Wyręczyła go w tym opatrność pod postacią mężczyzny w kawiarni Lyons na Heathrow. Gość odszedł od stolika i zapomniał skórzanej torby, którą wcześniej położył na sąsiednim krześle. Wówczas jeszcze ZeeZee uciekał do Paryża, gdzie zamierzał wystarać się o pracę w knajpie, ale nim pechowiec wrócił po swoją zgubę, postanowił zmienić plany, póki karta się tak szczęśliwie odwróciła... a w zasadzie znalazła. Bo kiedy mężczyzna wypełniał formularz przed odebraniem torby z biura rzeczy znalezionych, gdzie zaniósł ją ZeeZee, ten już kupował dolary w bankomacie na hali przylotów, posługując się skradzioną kartą depozytową. Odsprzedaż połowy tych pieniędzy w innej maszynie na hali odlotów trwała minutę i dała mu wystarczającą ilość papierowych banknotów na zakup taniego biletu w jedną stronę do Tacoma pod Seattle. W okienku linii PanAmerican okazał dziewczynie wizę do USA, wydaną na czas nieokreślony. Odkąd przesunęła paszport przez czytnik i okazało się, że wiza jest ważna, uśmiechała się słodko - nawet gdy poprosił o możliwie najtańszą rezerwację.

Po drodze do wyjścia na płytę lotniska utopił kartę w klozecie w męskiej ubikacji. Kierując się jakimiś zwichrowanymi zasadami moralności, kupił bilet po obniżonej cenie. Dopiero po starcie zrozumiał, że równie dobrze mógł podróżować pierwszą klasą, bowiem właściciel, ubezpieczony od kradzieży, i tak otrzyma taką samą kartę z pełnym pokryciem strat.

- Chciałbyś pooglądać? - Dziewczyna podawała mu gazetę. Odrywając się od muzyki, ostrożnie schowała w dłoni jedną z syczących słuchawek.

Nie rozpoznał akcentu.

- „Hold Me Down”, co? - ZeeZee wskazał słuchawkę ruchem głowy. - Najnowszy remix...

Pasza-zade

10

Przyjrzała mu się uważniej. Nieświadomie zahaczyła wzrokiem o białą koszulę i szare spodnie. Wywalił marynarkę i krawat w paski, lecz nie mógł sprawić, aby reszta ubrania nie była tym, czym była, mianowicie połówką stroju uczniowskiego.

Oczywiście nie wspomniał, że w życiu nie rozpoznałby utworu, gdyby nie pewien palant, który ściągnął sobie składankę Belize Slezee i puszczał ją na okrągło w świetlicy.

- Ferie? - zapytała.

Pokręcił głową.

- Po prostu miałem dość. - Wziął gazetę i zdziwił się, że nie uciekła z ręką, kiedy przypadkiem musnął jej dłoń.

- A co u ciebie? - ZeeZee starał się zachowywać tak, jakby rozmowa z nieznanymi dziewczynami na pokładzie samolotu była dla niego chlebem powszednim.

Wymieniła z uśmiechem jakieś miasto, którego nie znał, choć przypuszczał, że znajduje się gdzieś w pasie neutralnym między Sowietami i państwami przymierza berlińskiego.

- Dostałam wizę studencką - dodała. - Chcę się zaczepić w Seattle, znaleźć jakąś pracę. Może o czymś słyszałeś?

Nie słyszał, tym niemniej powiedziała, jak ma na imię i pożyczyła mu zapasowe słuchawki. Włączyła funkcję rozdzielania dźwięku, aby oboje mogli posłuchać zmiksowanych utworów. Dwadzieścia minut później, kiedy przygasły światła, stewardessa przyniosła nakrycia, a kuszetki opadły, ZeeZee i Katia znaleźli się pod tym samym kocem. Koc był w błękitnym kolorze linii PanAmerican, z nadrukiem logo na brzegach i okrągłymi wycięciami, zapewniającymi dopływ powietrza. Zapakowany próżniowo w folię, której długo nie mogli rozerwać, zanim Katia poniewczasie spostrzegła uszkodzenie do szybkiego rozpakowania.

- Głupki z nas - skostatowała.

ZeeZee skwitował to cokolwiek nerwowym uśmiechem i nadal się uśmiechał, okrywając siebie i dziewczynę kocem. Nawet jeśli zauważyła, jak drżą mu ręce, niczego nie dała po sobie poznać. Obróciła się na bok, twarzą na zewnątrz, zwinęła się i podłożyła rękę pod głowę.

- Posłuchaj tego.

Następny kawałek różnił się od wszystkich poprzednich. Chłopięcy głos wzbijał się coraz bardziej, padały słowa w nieznanym języku. Wtórował temu oszczędny, nagi falset syntezatora, czasem wmieszany w krzyk mewy, a zakończony wolno narastającą pieśnią wieloryba. BaghavatGhya. Nie jego klimaty, fakt, ale wszystko to współgrało ze znakiem jin-jang, wytatuowanym na nadgarstku dziewczyny, tudzież z szarym tytanowym kolcem w przegrodzie nosa.

Poprawiając ułożenie ciała, dziewczyna przesunęła się do środka, aż gołą piętą dotknęła kostki ZeeZee'ego. Wydało mu się rzeczą naturalną, położyć rękę na jej nodze i delikatnie gładzić powierzchnię szcztokowanych drelichowych spodni, czuć ciepło jej ciała, suwać dłońią w takt muzyki.

A ponieważ to jej nie przeszkadzało, robił swoje. Kiedy ponownie się poruszyła, nagle zdał sobie sprawę, że łatwiej mu dotykać szwu przy wewnętrznej stronie nogawki, nad kolaniem, gdzie dotąd wędrował jego palec.

- Milutko...

Nie dałby sobie głowy uciąć, że to właśnie powiedziała, W każdym razie mruknął coś na znak zgody i przesunął palce wyżej. Jakoś nie miał odwagi zapędzać się na sam koniec szwu, więc zadowolił się czułym głaskaniem biodra.

- Nie. - Zamarła, gdy dotarł palcami do jej miękkiego, maleńkiego brzuszka. Odetchnęła dopiero po tym, jak pośpiesznie cofnął dłoń... by natknąć się na wznórek piersi pod cienką, zieloną koszulką.

Nie nosiła stanika.

Óboje się nie ruszali, jakby coś ich paraliżowało. Po chwili, niesłychanie wolno i delikatnie, poprowadziła dłoń młodzieńca, aż nabrzmiały sutek nakreślił ognistą linię na jego skórze.

ZeeZee znowu oddychał. Ostrożnie zagłębił się pod koszulkę, aż odnalazł pierś, pełną, gorącą i gładką w dotyku. Z bliska jej długie, ciemne włosy pachniały żywicą i oliwą, jakby ich nigdy nie myła, jakby po części była zwierzęciem.

- Boże... - ZeeZee wciągnął z sykiem powietrze, chwytając w dwa palce sutek Katii.

- Delikatnie - rzuciła przez ramię.

Pasza-zade

10

Przytaknął skinieniem głowy, choć dziewczyna nie mogła tego widzieć.

Znacznie później, kiedy boeing przelatywał gdzieś nad środkiem Atlantyku i większość pasażerów na pokładzie spała, ZeeZee przesunął palce po jej biodrze i odnalazł znajomy szef. I tylko po nieznacznym rozchyleniu jej kolan poznał, że ona też nie śpi.

Pasek u tanich drelichów zapinał się tylko na jeden guziczek, a rozporka strzegł plastikowy suwak - żadnych kosztownych i bajeranckich rzemyczków, haftek czy niewidocznych rzepów. Nie miała pieniędzy na markowe ciuchy, nawet jeśli były do kupienia w jej rodzinnym mieście o trudnej do



wymówienia nazwie.

Przeżony perspektywą odmowy, zaczął rozpinać suwak, jakby jego maksymalna delikatność w tym względzie miała sprawić, że dziewczyna niczego nie zauważy. Niebawem odpiął guziczek paska. A skoro ciągle nie protestowała, zakradł się na podbrzusze, szukając górnej tasiemki majtek. Zamiast nich napotkał gęszcz włosów łonowych, potem wilgoć, a na końcu żar...

Katia nie nosiła pod spodem niczego, nawet stringów.

Kiedy w samolocie zapaliły się światła, unikała jego wzroku. Pasek miała zapięty, rozporek zasunięty, a koszulkę wygładzoną. Doprowadziła się do porządku już godzinę temu, nim zapadła w drzemkę.

Swym nagłym chłodem, zamiast go urazić, przyniosła mu ulgę. Grzecznie, acz stanowczo wcisnęła jej do ręki słuchawki. Gdy wysiadał z samolotu, na jego twarzy nie gasnął radosny uśmiech.

Miał piętnaście lat. Nigdy jeszcze nie całował się z dziewczyną... lecz taka jedna prężyła się z rozkoszy, pobudzona jego pieszczotami. A gdy przysunął jej dłoń do swojego rozporka, tłamsiła go tak długo, aż wytrysk zlepił jej palce.

W Seattle to dopiero będzie życie!

Jon Courtenay Grimwood

Rozdział 20

6 lipca

- Proszę pilnować drzwi - zwrócił się Felix do Rafa. Odłożył aparat na biurko lady Nafisy i z tylnej kieszeni wyciągnął foliową torebkę. Rozerwawszy ją, wydobyl coś na kształt ogromnej prezerwatywy, która jednak, odpowiednio potrząsana w dwóch palcach, przeobraziła się w cieniutką rękawiczkę.

- Chirurgiczna. - Przetarzał drugą torebkę. - Lateks nanoporo-rowy. Antystatyczny. Prosto ze szpitala. Tym, czym normalnie dysponuje policja, można sobie tyłek wytrzeć. - Wzruszył ramionami. - Mógłbym wnieść o zmianę producenta, ale ten podobno płaci haracz dalekiemu kuzynowi chedywa...

- Niby przed kim mam ich pilnować? - Raf patrzył, jak grubas niezgrabnie wkłada rękę do ciasnej rękawiczki.

- Przed koronerem - odpowiedział enigmatycznie Felix i przyklęknął obok nieboszczki na krześle. Przemieszczały się nad nią rozcapierzone palce jego prawej dłoni, choć nawet czubkami nie trącał ciała i ubrania. Ktoś by powiedział, że szuka tego, co niewidoczne gołym okiem. Następnie wyciągnął latarkę i, świecąc ze wszystkich stron, raz jeszcze zbadał zamordowaną. - Nitki: brak. Zwierzęca sierść: brak...

- Mówił do zegarka, do Rafa i do dziwnego urządzenia na stole za drzwiami, ale głównie do siebie. Szykował się do sztuczki, która z pewnością nie przypadnie do gustu pani koroner.

W wyciągniętym z kieszeni skórzanym przyborniku przechowywał skalpel - trochę staroświecki, z tytanowym ostrzem

- kilka szklanych termometrów, małe grzebki, chirurgiczne gaziki oraz szklane pojemniczki, których zawartość sama zamarzała. Planował użyć tylko skalpela i termometru.

Pasza-zade

111

Uniówszy brzeg spódnicy denatki, sprawdził zaciemnienia przy pośladkach i niżej nad kolanami.

- Wyraźne plamy opadowe...

Naciskając na te miejsca, obserwował blednącą skórę: krew, nagromadzona w tkankach pod wpływem ciężkości, rozplywała się na boki. Jeszcze parę godzin i plamy będą utrzymywać stałe położenie.

- Plamy opadowe jeszcze się nie ustaliły. - Tym samym określił ramy czasowe.

Dla świętego spokoju potrzebował już tylko odczytu temperatury wewnętrznej ciała. Najprościej byłoby posłużyć się termometrem odbytniczym, lecz nawet nie brał pod uwagę takiej możliwości. Wobec tego dobył skalpela, jeszcze wyżej podkasał spódnicę i naciął skórę nad żołądkiem. Po wyjęciu ostrza wyciągnął termometr chirurgiczny i wcisnął go głęboko do małej rany. Półtorej minuty później odłamał czerwoną końcówkę, aby zachować pomiar. Wysunął krzemowo-szklany przyrząd i umieścił go w torebce, którą starannie opisał.

Ciało ludzkie stygnie w tempie około 1.5°F na godzinę, w zależności od temperatury otoczenia. Odczyt potwierdzał jego przypuszczenia.

- Rozpoczynam oględziny obrażeń...

Piórem narysował koło wokół rany na brzuchu lady Nafisy, podpisał się inicjałami, dodał datę i godzinę. Pani koroner znowu się wścieknie, minister otrzyma kolejne doniesienie o skandalicznej profanacji zwłok, a Felix dostanie zalecenie, by więcej tego nie robił.

Ile razy jeszcze?

Odpowiedź będzie tradycyjnie ta sama: skoro nie wolno posłużyć się otworami, które Allah stworzył, trzeba, postarać się o inne. Póki co, madame Miła nie wpadła na żadną celną ripostę... No tak, o pobłażliwości z jej strony też nie było mowy.

- Badanie toksykologiczne...

Połączył strzykawkę z jałowym, plastikowym pojemniczkiem, wybrał żyłę na nadgarstku ofiary i pobrał krew. Miejsce nakłucia zakreślił kółkiem i oznaczył swoimi inicjałami. A niech się skarżą.

2

Jon Courtenay Grimwood

Zwłoki wydawały się ciepłe pod lateksową rękawiczką, kiedy uniół pierś, aby spojrzeć na białe poniżej pióra. Na-macał pierwsze żebro i zaczął liczyć następne, domyślając się, jaki będzie wynik.

- Rana kłuta klatki piersiowej, zadana między trzecim a czwartym żebrem...

Cios perfekcyjnie wymierzony w serce. Jedno czyste pchnięcie, wysoki profesjonalizm sprawcy. Zabójcy amatorzy często chybiali. Samobójcy bywali bardziej poharatani; wahali się, więc często próbnie - żeby sprawdzić, czy będzie bolało - dźgali się i uderzali, po czym pozostawały obrzęki i drobne skaleczenia.

Brak jakichkolwiek obrażeń wskazywał na to, że lady Nafisa nie stawiała oporu. A przecież za życia bezpardonowo walczyła o wszystko, co uważała za swoją własność. Jedno kłóci się z drugim, rozmyślał ponuro Felix, żując dolną wargę, jak to zwykle czynił, kiedy sprzeczny materiał dowodowy nie dawał mu spokoju.

Uniósł prawą dłoń zamordowanej, aby ponownie przyjrzeć się nie uszkodzonej skórze między jej kciukiem a palcem wskazującym. Nieomal warknął, poirytowany.

- Brak obrażeń pomiędzy palcami, na spodzie dłoni i nadgarstku świadczyłby o tym, że się nie broniła... - Urwał, odwrócił dłoń i obejrzał paznokcie. Skórka wokół nich była wypielęgnowana przez manikiurzystkę, nałożony rano lakier błyszczał ciemną, krwistą czerwienią... jednakże końce paznokci, wszystkich co do jednego, połamały się i popękały.

Gdyby zamknięto ją w piwnicy bez wody i chleba, pewnie po pierwszym dniu tak właśnie by wyglądały - zanim przestałyby służyć do drapania po drzwiach i stały się jedzeniem. Podobne przypadki zdarzały się nawet w al-Iskandarijji, lecz tylko wśród biedoty, w slumsach, córkom i siostrom, które zawiodły oczekiwania mężów i ojców. W kręgach ludzi bogatych i średnio zamożnych o tym się nie słyszało.

Gwoli ścisłości, jej gabinet nie mieścił się w piwnicy, a drzwi zastano otwarte.

Felix potrząsnął głową. Przemknęła mu myśl o napoczęciu czwartej piersiówki, awaryjnej, jednak odrzucił ten pomysł. Rokrocznie uprzykrzały mu życie coraz to nowe zasady

Pasza-zade

11

dobrego obyczaju. Jako chrześcijanin w północnoafrykańskim mieście, musiał się liczyć z wieloma niedogodnościami, do tego dochodziła wybitna otyłość i różowa karnacja w kraju pełnym eleganckich Arabów, surowych Berberysów i wyrafinowanych mieszkańców Lewantu. Może i był niepraktykującym katolikiem, ale nawet to przysparzało mu trudności w muzułmańskiej metropolii, gdzie policjant mężczyzna nie miał prawa dotykać zwłok kobiety.

Z drugiej strony, było to miasto, gdzie w peryferyjnych dzielnicach policjant, poddając próbie ofiarę gwałtu, sadzał ją na twardym, drewnianym zydłu i patrzył, czy będzie wiła się z bólu. Jeśli się nie wiła, to znaczy, że się nie broniła, a więc gwałtu nie było. Kobiety przeważnie się broniły. Czasem w obliczu strasznych konsekwencji wybierały śmierć. I nic dziwnego, skoro fellah wołał zabić córkę za to, że się dała pohańbić, zamiast zabić gwałtociela i wszcząć krwawą waśń między rodami.

Chrzanić to! Felix mimo wszystko pociągnął łyk whisky, świadom, że paznokieć kciuka, podobnie jak inne, jest już starty do samego ciała od odmykania piersiówek. Będzie musiał wrócić do petów, mimo ostrzeżeń lekarzy, którzy marudzili o podejrzanych zaciemnieniach na zdjęciach jego płuc. Logiczne myślenie przychodziło mu z trudem, nawet jeśli nie dobijał go głód nikotynowy.

Dobrze, co my tu mamy?

Na pierwszy rzut oka atak nastąpił z dziką furią. Wszelako rozwścieczony napastnik nie przejmowałby się ubraniem, przebiłby je na wylot. A zatem rozdarta bluzka otwierała drogę do spekulacji. Choć istniało jeszcze jedno wytłumaczenie: nie wściekłość doprowadziła do rozerwania bluzki, ale namiętność, a cios nastąpił później, kiedy wdowa już się nie broniła.

Działila, kuzynka Nafisy, ani jej mąż z pewnością nie chcieliby zapuszczać się za daleko tym tokiem rozumowania. Co tam zapuszczać, nawet zerkać w tym kierunku! - pomyślał kwaśno, wsłuchując się w stukot obcasów, który z regularnością metronomu rozbrzmiewał na dole na dziedzińcu. Nadchodziła przyjaciółka lady Działili, koroner Mila.

Felix spodziewał się, że za chwilę rozbrzmiał na schodach jej kroki. Za nią pewnie pojawi się Hani. Ale ponieważ

Jon Courtenay Grimwood

nie przychodziły, zamknął uszy na odległą paplaninę dziewczynki i ponownie zajął się zwłokami. Korzystając z ostatnich chwil spokoju, szukał tego, co do tej pory mogło ująć jego uwagi. Czegoś oczywistego.

Na spodzie lewej dłoni, w samym środku, zauważył małe znaki - ciemne, okrągłe wgłębienie z odrobiną krwi zebraną na brzegu. Czy to coś znaczyło? Możliwe. Tak czy inaczej, zrobił zdjęcie i pośpiesznie rzucił rękę kobiety na kolana, gdzie uprzednio leżała. Potem wygładził spódnice i się cofnął. Bluzka pozostała rozerwana na przedzie: jej wolał nie tykać. Jeszcze by gadano, że zatartł ślady zbrodni.

- Witam szefa wydziału... - Pani koroner starała się być grzeczna, ale nie miła. - Nikt mi nie powiedział, że tu pana zastanę.

- Naprawdę? W takim razie nie rozmawiała pani z tymi ludźmi co trzeba. - Grubas powoli się wyprostował, ruszając opasłymi ramionami, aby zwalczyć sztywność mięśni. Na koniec, jakby nie mógł już dłużej z tym zwlekać, odwrócił się i stanął twarzą w twarz z czarnoskórą kobietą, która czekała w drzwiach z naburmuszoną miną.

Madame Mila: włosy zaczesane do tyłu, paznokcie krótkie, bez lakieru, czarne spodnie i marynarka z miejscowej bawełny - nie zdjęte nawet z wieszaka, ale z półki w Wal-Marcie. I żadnej biżuterii.

Mówiło się, że madame Mila ubiera się prosto, bo tego wymaga jej praca. Felix sądził, że ubierałaby się tak samo do każdej pracy.

- Oględziny przebiegają zgodnie z regulaminem - oświadczył. - Zaświadczyć może obecny tu Jego Ekscelencja...

Kobieta uniosła brwi, lecz skwitowała te słowa milczeniem. Podeszła do ciała i przyłożyła palec do tętnicy szyjnej, aby zbadać tętno.

- Nie żyje - stwierdziła.

Felix pokiwał głową. Oficjalnie więc śmierć nastąpiła teraz - nie wcześniej, jak to obliczał, ale właśnie teraz, kiedy lekarz medycyny sądowej stwierdził zgon.

Madame Mila ostrożnie poprawiła rozerwaną bluzkę. Potem nachyliła się po rzuconą na ziemię chustę z gazy i nakryła denatkę. Dopiero wtedy odwróciła się do wyjścia i skinęła na Felixa, aby poszedł za nią.

Pasza-zade

115

- Oględziny ciała skończone - rzekł Felix do zegarka. Po zakończeniu pierwszych formalności zwłoki mogły zostać wyniesione i przekazane specjalistom do pobrania odcisków palców. Felix po raz ostatni, symbolicznie, rozejrzał się po miejscu zbrodni, na wypadek gdyby coś przeoczył.
- A pan dokąd? - W głosie pobrzmiwała niespodziewanie duża doza zniecierpliwienia.
- A co? Znowu pani coś nie odpowiada?
- Co z pasza-zade?
- Był moim świadkiem na życzenie ministra - odparł spokojnie Felix. - Jeśli ma pani problem, proszę biec na . skargę do Muszina beja. Ja się stąd zmywam z Aszrafem.

Co zaskoczyło samego Rafa.

Madame Mila pokręciła głową.

- On nigdzie nie idzie. Przynajmniej nie z panem. Na razie jest aresztowany. Podejrzanie morderstwa. - Zacisnęła palce na ramieniu stojącej obok dziewczynki. - A to mój świadek.

Jon Courtenay Grimwood

Rozdział 21

Seattle

Dom w środku czerwony i biały, jednolicie szary na zewnątrz. Fale Pacyfiku rozbiły się o nastroszone skały, a mewy, niczym dusze marynarzy, krążyły nad betonowym bunkrem, przy którym nawet dzieła Mięsa van der Rohe zdawały się mieć delikatną, łagodną formę.

Micky O Brian leżał na białym, jedwabnym dywanie, który kosztował 340 dolarów za jard kwadratowy i który można było zamówić z Pekinu tylko w sieci, płatne z góry. Za długim oknem, wbudowanym na całej długości ściany na piętrze, w jego cennej galerii sztuki, wdzierająca się w ład stalowosza-ra woda zatoki Puget Sound. Mżawka nadawała niebu nieciekawy odcień i ograniczała widoczność do kilkuset kroków.

Nabrzeże przed Lodge Concret było puste. Anodowane słupy dźwigały nad rozkołysanymi falami wąski szkielet fabryki. Drewnianej łodzi wycieczkowej, która tu cumowała, dawno już nie było. Podobnie jak pewnego aktu Matisse'a, abstrakcji Christa i jednego z najważniejszych wcześniejszych obrazów Cezanne'a, jakie znajdowały się jeszcze w prywatnych rękach... Farma w Auvers powstała w 1873 r., rok po wyjeździe Cezanne'a do Pontoise, gdzie malował wraz z Pissarrem.

Biel i czerwień.

Wyciek z rany wydrążonej przez kulę w głowie CBriana utworzył własną abstrakcję, trochę jak dzieła Marka Rothko, trochę jak plamy z testu Rorschacha. Jaskrawa, czerwona krew niebawem stanie się czarna, gdy wsiąknie w jedwab i wyschnie. W tych kolorach kryło się przesłanie, zawiadomienie: ten człowiek już nigdy nie będzie zeznawał.

Pasza-zade 117

W pierwszej chwili można by sądzić, że mężczyzna uciął sobie drzemkę, zwinął się w kłębek na boku w swoich spodniach, złocistych pantoflach oraz chińskim szlafroku z pięciopalczystym mandaryńskim smokiem na plecach. Gdy jednak przyjrzeć się bliżej, szeroko otwarte, szkliste oczy opowiadały inną historię. ZeeZee zrozumiał tylko fragmenty, gdy przechadzając się po galerii, nie zastał w niej mordercy. Lampki przy obrazach były skierowane w dół, na przyciemnienie, zaś na stoliku, otwarta i jeszcze chłodna, stała butelka szampana Mumm Cordon Rouge. Miseczki obok zawierały orzeszki1 makadamia i oliwki z papryczką chili. Dalej leżało otwarte, lecz pełne pudełko cygar Partegas, oraz - w srebrnej popielniczce - starannie zwinięty skręt z marihuaną. Wszystko w stylu Micky'ego OTJriana. Powietrze w galerii było przesiąknięte zapachem czarnych tulipanów, wstawionych do ogromnego wazonu. Z płaskich głośników na ścianach płynęła muzyka Debussy'ego. Clair de Lunę czy inna miniatura. Na pewno coś równie przeciętnego jak talent aktorski OTBriana.

Gościem mającym odwiedzić Micky'ego był ZeeZee, lecz ktoś musiał wtargnąć tu przed nim.

Szarą kopertę, którą z sobą przyniósł, ostrożnie położył na poręczu białego, skórzanego fotela i zastanowił się nad swoją sytuacją. Mógł zadzwonić na policję albo po prostu wyjść, szybko i niezauważenie. Wsiąść na suzuki 650 i wrócić do domu tą samą drogą, którą tu przyjechał. Bo i czemu nie? Spotkanie nie doszło do skutku. Po co marnować czas?

- Cholera!

Zabrał kopertę i zszedł na dół. Napastował go teraz nokturn Debussy'ego. Dotarł już do przeszklonych drzwi, kiedy ktoś zawołał go po imieniu.

- Hej, ZeeZee! - Głos zabarwiony wesołością dolatywał z tyłu. - Wybierasz się dokądś?

Odwrócił się i zobaczył znajome twarze dwóch przyjem-niaczków z Departamentu Policji w Seattle, a między nimi kobietę w czarnych butach, czarnym kostiumie od Chanel i makijażu od Shu Uemuty. Choć wcale go nie potrzebowała: nawet bez kosmetyków jej twarz byłaby idealna, a oczy wyraziste, brązowe i twarde jak szkło. ZeeZee nie miał pojęcia, co to za osoba.

f\*'

118

Jon Courtenay Grimwood

Jedno nie ulegało wątpliwości: nad swoim wzgardliwym, nieulekłym spojrzeniem musiała długo pracować. Było zbyt wymowne, żeby być prawdziwe. Uśmiechy policjantów w mundurach też nie budziły zaufania. A w zasadzie nie tyle uśmiechy, co szydercze grymasy, mówiące: „mamy cię, gnojku”.

- Micky O'Brian... - wydukał ZeeZee, przerywając milczenie.
- Otóż to - powiedziała kobieta. - Może nas przedstawić?
- On... Kiedy tu wszedłem... nie wiedziałem...

Patrzyła na niego i nic nie mówiła. Po prostu czekała, aż

skończą się jego stękania, a potem wciąż czekała, kiedy szukał na gwałt jakiegoś sensownego wyjaśnienia, usprawiedliwienia... niestety, bezskutecznie.

- Tylko mi nie mów - odezwała się w końcu - żeś przyszedł tu parę minut temu i drzwi były otwarte. Pukałeś, ale nikt nie odpowiadał, więc wszedłeś do środka. A tam proszę, Micky O'Brian z kulką w głowie. Czy może w gardło dostał?
- W głowę - odparł ZeeZee bez zastanowienia.

Policjanci popatrzyli na siebie znacząco, jakby potwierdziły się ich podejrzenia.

- I właśnie miałeś dzwonić na policję, co?

ZeeZee kiwnął głową twierdząco.

- Przecież telefon jest w holu. Czemu nie skorzystałeś? - Kobieta ruchem głowy wskazała wiszący na ścianie aparat Sanyo. W dolnym rogu urządzenia, pod czarnym ekranem, leniwie mrugała dioda wskazująca, że system jest włączony.
- Nie zauważyłem - odpowiedział szybko. - Byłem w szoku.
- I dlatego sobie pogwizdywałeś? - Zanuciła motyw przewodni z Clair de Lune. - Już widzę nagłówki gazet: muzyczny zabójca.
- Nikogo nie zabiłem - zaprotestował.
- Oczywiście, że nie - powiedziała z przekąsem. - To

może zaprowadzisz nas do osoby, której nie zabiłeś?

\*\*\*

Ciało Micky'ego O'Briana leżało w niezmienionej pozycji. Krew jakby trochę ściemniała, a sam Micky bardziej przy-

Pasza-zade

119

pominął trupa. Gdyby nie to, powrót do galerii mógłby się wydać okrutnym dejr vu.

- Tak właśnie go znalazłeś?

ZeeZee przytaknął.

- I niczego nie ruszałeś?

Pokręcił głową, ale z wahaniem.

- Taak? - zapytała, przeciągając sylabę.
- Dotknąłem butelki z winem. Zeby sprawdzić, czy chłodne... I wyłączyłem muzykę.
- Myślisz o drobiazgach.
- Niczego więcej nie ruszałem. I wcale go nie zabiłem. I nie wziąłem obrazów.

Kobieta z dochodzeniówki skierowała wzrok na puste miejsce na ścianie. Potem znowu na ciało. Jeszcze nie sprawdzili tętna Micky'ego. Choć może doszli do wnioski, że to niekonieczne, biorąc pod uwagę nieomylnie trupi wyraz na jego twarzy.

- A więc chcesz zwalić winę na współnika? Zabił Mic-ky'ego, wziął obrazy i zostawił cię, żebyś wszystko pozamykał... Tak, tak, wiem... - Podniesioną ręką ucięła protesty ZeeZee'ego. - Nie zabiłeś go i nie wiesz, kto to zrobił. - Wzruszając ramionami, podeszła do Micky'ego i przyjrzała mu się z góry. Nagle pochyliła się, żeby wyciągnąć coś spod niego. - Proszę - powiedziała, rzucając mu zdobycz. - Zapomniałeś coś zabrać.

Gruba koperta, którą miał przy sobie, sfrunęła na ziemię, gdy próbował złapać podrzucony mu przedmiot. I raptem, martwiąc się jeszcze, co mu z rąk wypadło, uzmysłowił sobie, co w nie wpadło. Co napiętnował swoim potem i odciskami palca. Starego wilsona combata z wymienioną lufą, do którego pasowały naboje .22 cala. Dostrzegł głęboki kwasowy wżer w miejscu, gdzie powinien być numer identyfikacyjny lufy.

- Rzuć broń!

ZeeZee usłyszał polecenie, lecz stracił kontakt ze światem. Czy zawsze był frajerem, czy dopiero teraz stał się komuś zbędny? Z niedowierzaniem patrzył na spluwę w swoich rękach, doskonale wiedząc, do kogo należy... Dziki Chłopiec potraktował go w okrutny sposób.

1

Jon Courtenay Grimwood

- Rzuć broń! - Kobieta dała znak stojącemu obok gliniarzowi, który wyciągnął z kabury służbowego kolta i wziął na celownik pierś chłopaka, zanim ten zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje.
- Połóż go na ziemi, ale powoli! - Mężczyzna z rewolwerem mówił z silnym południowym akcentem i lubił teatralne gesty. Cyngiel pistoletu był już pociągnięty, zaciśnięty na nim palec pobielał z wysiłku. Strzeliłby, gdyby kciuk nie przytrzymał kurka.
- Twój wybór - rzekła lodowato kobieta.

A było kiedyś inaczej?

ZeeZee wolno przyklęknął i położył pistolet na białym dywanie, z lufą skierowaną dla bezpieczeństwa w stronę ściany. Nie chciał, żeby jakiś nieszczęśliwy przypadek pogorszył jeszcze sprawę.

- Nie zabiłem Micky'ego O'Briana. Naprawdę... - Chciał to wyrzucić z siebie zdecydowanym, przekonującym głosem, lecz zrobił to nieudolnie, jakby sam szukał prawdy.



- Przejście na niższy kaliber było sprytnym posunięciem - stwierdził policjant z rewolwerem. - Ale wiesz co? Trzeba było założyć tłumik. Dostaliśmy cynk, że ktoś strzelał.

ZeeZee popatrzył na świat przez panoramiczne okno, ogarniając wzrokiem ostre skały wybrzeża, szare fale lekko wzburzonego morza, całe to odludzie. Tak, na pewno ktoś zadzwonił, ale nie stąd. W promieniu wielu mil nie było innych zabudowań. Nie mógł się doczekać tej spektakularnej chwili, kiedy zajrzą do koperty i znajdą towar zamówiony przez Micky'ego: pół kilograma czystej kokainy.

Pasza-zade

11

\* j

Rorbret 22

6 lipca

Średnio głos człowieka zawiera się w częstotliwościach od 300-3500 Hz (dźwięki harmoniczne mogą wykraczać poza podany zakres), przy czym jego natężenie dochodzi zwykle do 110 dB. Czułość ucha ludzkiego jest w miarę dobra w przedziale częstotliwości 500 do 5000 Hz.

Krzyki więźnia w sąsiedniej celi musiały przekraczać 120 dB. Szlochał rozdzierająco, spazmatycznie, krztusząc się, gdy brakowało mu tchu. A w ciasnej komórcie Rafa, mimo smrodu potu, wszyscy starali się być życzliwi.

Felix musiał przyznać, że bej nie sprawia problemów. Nie domagał się poszanowania immunitetu dyplomatycznego i nie żądał rozmowy z ministrem. Pozwolił nawet, by zażenowany sierżant podpiął go do wykrywacza kłamstw: na nadgarstku jednej ręki zacisnął opaskę, drugą położył płasko na elektrodzie. Choć nie można było powiedzieć, że bej stara się ułatwiać śledztwo.

Nie zrzucił z siebie czarnej marynarki, która po kilkugodzinnym przesłuchaniu nadal wyglądała nienagannie, a przeciwsłoneczne okulary zdjął dopiero po tym, jak madame Mila zgodziła się przyciemnić górne światło.

Policjant z właściwą sobie hipokryzją już na samym wstępie wyraził nadzieję, że pani koroner wie, co robi... aczkolwiek po cichu życzył jej wpadki. Wręcz marzył, żeby madame Mila popełniła kompromitujący błąd, który zakończy jej krótką, imponującą karierę.

- Hani słyszała, jak na siebie krzyczycie. - Sierżant nie podnosił głosu. Pod wpływem wcześniejszej sugestii madame Mili próbował zagiąć aresztowanego w ogniu krzyżowych

J

122 Jon Courtenay Grimwood

pytań, co jednak przyniosło ten skutek, że siedzący przed nim mężczyzna zamknął się w sobie, pogрузił w emocjonalnym autyzmie.

- Jak się kłóćcie - sprecyzowała madame Mila. - Całą noc to trwało. - Był to fakt, którym się raz po raz wspierała. Jedyny, którego Raf nie mógł podważyć.

- Chciała, żebym ożenił się z Zarą bint Hamza - powtórzył. - Odmówiłem. Wkurzyła się.
- Wkurzyła się, to za mało powiedziane - rzekła madame jak zawsze ostrym głosem. - Groziła, że pana wydziedziczy, bo skrzywdził pan dziewczynę. Dlatego poszedł pan tam rano i zamordował ją z zimną krwią. Wolał pan nie ryzykować... Tak się to wszystko potoczyło, prawda?
- Wcale nie - odparł Raf.
- No więc, co się stało? - Młody sierżant wyskoczył z pytaniem, które równie dobrze mogła zadać pani koroner. Bo był to niezaprzeczalnie jej popis.
- Ranek spędziłem w biurze.
- Nieprawda. - Sierżant zerknął na ekran. - Już to przerabialiśmy. Wyszedł pan o godzinie 11:30...
- I usiadłem w kawiarni Le Trianon. - Raf wzruszył ramionami. - Na jedno wychodzi. Możecie zapytać właściciela.
- Pytaliśmy. Nie dopił pan cappuccino i zostawił na stole gazetę.
- Poszedłem po znaczek na Place Saad Zaghloul.
- Dokładnie o której godzinie?
- W południe. Może ciut później. Mówiłem, że nie patrzyłem na zegarek.

Bicie serca, ciśnienie krwi, układ limbiczny - wszystko w normie. Wskaźniki na urządzeniu Matsui uspokajały zieloną barwą. Z tym samym skutkiem mogli gawędzić o pogodzie. Do licha! Sierżant cmokał, niezadowolony, i przyglądał się ekranowi mętnym wzrokiem. Nawet temat pogody wywołałby żywszą reakcję układu limbicznego.

- Starszy kelner zeznał, że nie było pana godzinę, jeśli nie dłużej.

Raf pokręcił głową.

- Wróciłem trochę wcześniej. Potem siedziałem i przyglądałem się przechodniom. Miałem kupę czasu...

Pasza-zade

1

Madame Mila prychnęła.

- Poza tym - ciągnął spokojnie Raf - sami dobrze wiecie, że nie da się w ciągu godziny obrócić do Rue Sherif i z powrotem, a cóż dopiero zamordować kogoś i upozorować włamanie. Oczywiście, że tego nie zrobiłem.
- Podjechał pan taksówką - oświadczył sierżant zmęczonym głosem.
- To gdzie się podział kierowca?

- Znajdziemy go.

- Nie znajdziecie. - Raf spojrział prosto w oczy madame Mili. - Nie znajdziecie, bo nie było żadnej taksówki. W czasie lunchu nawet nie zbliżyłem się do medresy al-Mansur i nie zabiłem ciotki... Wasze urządzenie właśnie to potwierdza. - Wzgardliwym ruchem głowy wskazał prymitywny przyrząd.

Felix oderwał się od ściany.

- Pora zadzwonić do ministra. - Mówił zarówno do pani koroner, jak i do kamery, którą położyła na plastikowym stole między Rafem i sierżantem. - Miała pani swoje osiem godzin i nic z tego nie wyszło. Zwalniam go.

Spojrzał na Rafa i wyszczerzył zęby w uśmiechu. \*\*\*

Raf siedział z Felixem, odwrócony plecami do wału nadmorskiego, gapiąc się na Place Saad Zaghoul - zakurzone miasteczko pozamykanych kramów.

Jedynie w knajpce, gdzie kupili sobie coś do jedzenia, obsługiwano klientów o drugiej po północy. A Felix był głodny. Przed nim stała opróżniona do połowy butelka słabego algierskiego wina i papierowy talerz, na którym niedawno piętrzył się stos zapiekanych piersi z kurczaka polanej ha-rissą. Tłuszcioch nie mógł tu znaleźć niczego, co bardziej przypominałoby chick&chilliburgera, znanego mu z McDonald'sa.

Raf osładzał sobie życie trzecią styropianową filiżanką gęstej, czarnej kawy z rumem. Nie myślał o kofeinie zwiększającej wydzielanie dopaminy w korze przedczołowej mózgu, po prostu delektował się żarem. Teraz już mógł sobie wmówić, że dreszczy nie wywołuje perspektywa trafienia do celi.

12

Jon Courtenay Grimwood

- W sumie - odezwał się Felix - mógł pan mi powiedzieć...

Niby co? - zastanawiał się Raf, wsłuchując się w podmuchy nocnej biży.

- Co pan na to? - dodał Felix.

Raf milczał. Pił i pił kawę, aż poczuł w ustach fusy, osad z grubo zmielonych ziaren. Tej nocy i tak już by nie zasnął. Strapiona buzia Hani wyświetlała się w jego wyobraźni ze wszystkimi szczegółami.

- Gdyby pan to zrobił - kontynuował Felix - Jodsunąłbym od sprawy panią koroner już na samym początku, przed dotarciem na posterunek. Szkoda, że nie wiedziałem. - Grubas krążył i krążył, jakby nie chciał przedwcześnie zdradzić tajemnicy.

- Czego pan nie wiedział? - zapytał Raf, zmęczony.

- Telefonowałem do Hamzy efendiego. I wie pan, co mi powiedział?

Skąd miał wiedzieć? Nawet się nie domyślał. Gdy ostatni raz rozmawiał z potężnie zbudowanym przemysłowcem, przy schodach w kaa, ten się odgrażał, że nogi mu z dupy powyrywa za afront, jaki spotkał jego córkę.

- Powiedział, że był pan attache w konsulacie w Seattle. Miałem nie mówić, że wiem to od niego.

Raf zamarł w bezruchu.

- Niech się pan nie przejmuj. - Felix w niedbalej pozycji wyłopał kubek podłej algierskiej brandy. - Hej, nie żebym się od razu rozklejał, broń Boże. Ja tam po prostu byłem... Dym, ogień, latające szczątki. Nie twierdzę, że powinno się o tym paplać na prawo i lewo, ale gdyby mi pan powiedział, oszczędziłbym panu tego syfu podczas przesłuchania.

- Pan uważa, że zabiłem lady Nafisę?

- Nafisę zabiły gnojki z Thiergarten. - Felix poklepał Rafa po ramieniu swoją ciężką łapą. - Tak czy owak, póki sprawa się nie wyklaruje, muszę odebrać panu paszport. I spluwę. Rozkaz Generała.

- Spluwę? - Na twarzy Rafa malował się wyraz szczerzego zdumienia.

- Hani wygadała się przed madame Milą, że pan sypia ze starym rewolwerem przy łóżku. - Felix uśmiechnął się iro-

--

Pasza-zade\_125

nicznie. - Ktoś powinien nauczyć małą trzymać język za zębami. A więc dobrze... - Wzruszył ramionami. - Broń i paszport podrzuci pan jutro przed autopsją.

- Jutro?

- Dziś rano, jeśli chodzi o ścisłość. Tutaj nieboszczyków grzebie się nazajutrz przed południem, tak samo ofiary zabójstw. Szariat, bracie. - Ton jego wypowiedzi wyraźnie wskazywał, co sądzi o nowej ugodzie chedywa z mułami.

- Umawiamy się na piątą rano. O pięknej, wczesnej porze.

- Podźwignął się od stolika i bez oglądania się za siebie poczłapał przez Place Saad Zaghloul.

Jon Courtenay Grimwood

Rozdział 23

7 HpCA

Felix nie skomentował żałosnego stanu, w jakim znajdowały się broda i włosy Rafa. Jednego i drugiego wyraźnie ubyło, gdy przystrzygł się w medresie kuchennymi nożyczkami. Zostało mu jeszcze trochę do zrobienia, lecz między powrotem do domu i ponownym wyjściem miał tylko dwie godziny czasu. A przecież musiał zająć się dziewczynką.

- Jak się czuje mała?

Zamyślił się. O godzinie 2:30 cała się trzęsła, skulona na schodach, owinięta kocem, tuląc w ramionach pieszka, jakby od tego zależało jej życie.

- Wyjdzie z szoku.

Felix cmoknął przez zęby.

- Aż tak źle z nią?

- No. Hani nie chciała spać w bawialni, bo sąsiaduje z nią gabinet Nafisy. Kuchnia odpada, bo tam śpi Chartum. I powiedziała, że nie będzie spać w moim pokoju, bo to piętro dla mężczyzn, a ona nie jest chłopcem... Gdyśmy uruchomili fontannę i rozłożyli dywan, gruchnęła na dziedzińcu pod drzewem.

Raf nie wspominał ani słowem o arktycznym lisie, który być może teraz, pod jego nieobecność, czuwał zwinięty w kłębek przy dziewczynce. Nie mówił nic o Tiriganaku głównie dlatego, że jeszcze nie wiedział, co oznacza (jeśli w ogóle cokolwiek oznaczało) poranne pojawienie się lisa. Zresztą, Felix nie wyglądał na takiego, kto wierzy w duchy mieszkające w umyśle człowieka. Białe myszki i różowe słonie, oto jego klimaty.

Pasza-zade

1

Czekali pod stalowymi drzwiami w mrocznym, podziemnym korytarzu, gdzie było zimno jak w lodówce. Odkąd przyleciał do al-Iskandarijji, Raf nie czuł takiego chłodu. Owszem, kilka razy zaznał ochłody w klimatyzowanym sklepie czy kawiarni, ale to były tylko namiastki. Zimne szare ściany i zimna kamienna posadzka, a nawet zimne jarzeniówki na suficie, skąd sączyło się światło mętniejsze niż nikłe, niebieskawe brzaski na dworze. Mógł się wreszcie obyć bez ciemnych szkieł; wytworne okulary od Versacego wydawały się kłócić z grobową atmosferą kostnicy.

- Wiesz, że nie przypominasz normalnego beja? - rzekł powoli Felix, a właściwie wychrypiął jak ofiara porządnego kaca, więc trudno było ocenić, czy to komplement.

- Bo rzadko czuję, że nim jestem.

- To lepiej zacznij udawać - poradził Felix poważnym tonem. Niezgrabnie zwinął dłoń w pięść i lekko pacnął Rafa w ramię. - Okey?

Raf wciąż się zastanawiał, jakim cudem został nieoficjalnie adoptowany przez grubasa, kiedy ten po raz drugi walnął w zamknięte drzwi.

- Dobra, dobra... - W środku szczęknęły zasuwki i w szczelinie uchylonych drzwi ukazała się twarz kobiety w masce. Doleciał silny zapach krwi i formaldehydu.

- Spóźniliście się.

Felix zerknął na zegarek.

- Dopiero piąta...

- Wyrobiłam się do czwartej. Co nie znaczy, że nie możesz wejść i rzucić okiem. - Kobieta cofnęła się dwa kroki i raptem zdębiała na widok Rafa. Mimo maski znać było oburzenie na jej twarzy.

- Nie przejmuj się - rzucił czym prędzej Felix, aby nie zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. - To krewniak denatki. Byli ze sobą bardzo blisko, więc z uporem tropi morderców. Raf, poznaj Kamilę. Kamilo, to pasza-zade Aszraf al-Man-sur.

- To nie fair! - zapięła dziewczyna cienkim głosem, cofając się w głąb pracowni autopsyjnej, gdy Felix wolno wpychał się do środka. - Nie wiem, czy mogę z wami rozmawiać. Narażacie mnie na kłopoty.

12

Jon Courtenay Grimwood

- Kamila pracuje dla madame Mili - wyjaśnił Felix.

- A jej ojciec dla mnie. Czasem to pomyślny zbieg okoliczności. - Ignorując zwłoki starszej kobiety na kozetce, ruszył w stronę stalowego stołu autopsyjnego, na którym spoczywało drugie ciało, porozcinane i przykryte białą gazą. W blacie stołu wywiercono otwory, aby płyny organiczne mogły spłynąć do pojemnika pod spodem. - Odkryłaś coś ciekawego?

- Przyczyną śmierci było przebicie klatki piersiowej. Mechanizm śmierci...

- Kamilo!

- Nie tak się umawialiśmy! - stwierdziła dziewczyna ze złością. - Nawet ty nie powinieneś tu zaglądać. A tu jeszcze ten... - Zlustrowała Rafa nieprzychylnym spojrzeniem.

- W jaki sposób zginęła moja ciotka? - zapytał Raf węzłowato, głosem zimnym jak prosektorium, w którym się znajdowali. Dziwnym trafem przeciwsłoneczne okulary znalazły drogę z kieszeni na nos właściciela. Felix radził: udawaj. Raf chciał posunąć się dalej. Nie udawać beja, ale nim być.

- Słucham - dodał. Gniew w jego głosie wstrząsnął nawet policjantem. - Proszę mi powiedzieć, w jaki sposób zginęła.

- Atak serca - odparła cicho Kamila. - Pióro przebiło pień lewej tętnicy wieńcowej. Powstał duży obszar niedokrwienia. Nie nastąpiła tamponada worka osierdziowego, jednakże...

- Cholera, wyjaśni mi pan, co to znaczy? - Raf odwrócił się gwałtownie do Felixa.

Gliniarz pokiwał głową.

- Pióro przebiło serce. Mało krwi na zewnątrz, dość dużo w środku, w praktyce śmierć na skutek zawału. Dobrze mówię?

Dziewczyna niechętnie potaknęła.

- Widziałem już takie przypadki - dorzucił Felix tajemniczo. Nie prosząc o pozwolenie, zdarł gazę z denatki.

Choć obiecywał sobie, że tego nie zrobi, Raf spojrzął na ciało. To było silniejsze od niego. Teraz już wiedział, że do końca życia będzie pamiętał Nafisę jako gorę porozpruwane-go mięsa. Co kiedyś było człowiekiem, teraz już nim nie było. Tułów został rozkrojony w kształcie litery Y: nacięcia

rozpoczęły się przy ramionach i łączyły pod mostkiem, skąd jed-

Pasza-zade

19

no biegło do wygolonego wzgórka łonowego. Jelita pozostały na swoim miejscu, lecz tam gdzie dawniej znajdowały się płuca, serce, przełyk i tchawica, teraz ziała pustka.

- Ślady gwałtu? - zapytał ostro.
- Żadnych - odparła oschle dziewczyna, jakby spodziewała się takich pytań po ludziach jego pokroju.
- Czemu więc miała rozdartą bluzkę?

W odpowiedzi Kamila odwróciła się do niego plecami.

- Teraz powkładam wszystko na swoje miejsce - zwróciła się do Felixa. - Możesz wystąpić do pani koroner z prośbą

o kopię raportu. Może nawet dostaniesz ją na własność.

Pokiwał głową.

- A co z innymi obrażeniami?
- Które masz na myśli? - Zauważyła to miejsce, gdzie naciął żołądek zamordowanej, aby zmierzyć wewnętrzną temperaturę ciała, choć on miał nadzieję, że ten fakt zostanie pominięty w końcowym raporcie. Zresztą, pytał o co innego.
- Pozostałe.

Dziewczyna już miała pokręcić głową, ale się zreflektowała.

- O tym mówisz? - Uniosła dłoń Nafisy, zginając się sztywno i opornie. Bród spod zniszczonych paznokci wydłubano i umieszczono w oznaczonych torebkach. Na opuszkach palców pozostały ślady pobierania odcisków. - Może to nic ważnego... - Wskazała okrągłe wgniecenie na spodzie dłoni, które swego czasu zaintrygowało Felixa.

Skinął czołem na mały, metalowy stolik na kółkach.

- Nic się nie stanie, jeśli to sobie obejrzę? - Wyjął pióro Mont Blanc z przezroczystej torebki w blaszanej nerce

1 ostrożnie przybliżył tępy koniec do rany, tak by nie dotknąć ciała. Wgniecenie było dużo większe.

- Coś jeszcze? - spytał Felix.

Raf zastanawiał się, czy szef wydziału śledczego i anatomopatolog zauważyli brak zakrętki, lecz było to tak oczywiste, że swoje spostrzeżenie zachował dla siebie. Zapewne toczyła się jakaś międzywydziałowa przepychanka, której ni w ząb nie rozumiał. Ale kiedyś zrozumie. Postara się i

zrozumie. Zabezpieczaj teren, mawiał lis. Tak więc jeśli pani koroner umieściła go na pierwszym miejscu listy podejrzanych,

1

Jon Courtenay Grimwood

zasłoni się Felixem jak tarczą. A jeśli dopuszczenie do komitywy Felixa oznaczało mieszanie się do lokalnej polityki, to proszę bardzo, wmiesza się i wcieli w rolę beja. Absurdy życia istniały po to, aby czerpać z nich pełnymi garściami. Bądź co bądź, zniósłby wszystko, byle nie wracać do Seattle, do Huntsville, na spotkanie z Hu San. A taki właśnie los go czeka, jeśli wyjdzie na jaw, kim naprawdę jest.

- Proszę odpowiedzieć na pytanie - rozkazał Raf. - Coś jeszcze?
- Nic - odparła ponuro dziewczyna.

Felix się uśmiechnął. \*

- Treści żołądkowe w granicach normy?
- Wypraszam sobie! - burknęła zniecierpliwiona, jakby spodziewała się po nim tego głupiego pytania, a jednak wytrąciło ją z równowagi. - To mało inwazyjna autopsja. Polecenie szefowej i ministra było jednoznaczne. Miałam ustalić przyczynę zgonu. Poskładać ciało do kupy i pozszywać, by się nie rozpadło. Wiesz, jak to jest...
- Po prostu ustalić przyczynę zgonu - powiedział wolno Felix. - Jasna dupa. Zawsze wkurzają mnie takie teksty.
- Narzędzie śmierci: pióro. Przyczyna śmierci: rozerwany mięsień sercowy. Rodzaj śmierci: morderstwo. - Najwyraźniej Kamila uważała, że spotkanie przeciąga się już ponad miarę. Miała dość ludzi, którzy szarogęsili się na jej terenie. Chciałaby mieć ich z głowy. Pomimo tego zgodziła się pójść na kompromis. - Dobrze - powiedziała, zaganiając ich do drzwi. - Możesz wystąpić bezpośrednio do mnie o kopię raportu.

Felix uklonił się w geście podziękowania.

- A wracając do tych treści żołądkowych - odezwał się na odchodnym. - Przekaż ojcu wyniki i niech mi je podeśle. Zgoda? - Uśmiechnął się słodko i wyciągnął Rafa z pracowni, nim Kamila zdążyła mu odmówić.

1

Jon Courtenay Grimwood

zasłoni się Felixem jak tarczą. A jeśli dopuszczenie do komitywy Felixa oznaczało mieszanie się do lokalnej polityki, to proszę bardzo, wmiesza się i wcieli w rolę beja. Absurdy życia istniały po to, aby czerpać z nich pełnymi garściami. Bądź co bądź, zniósłby wszystko, byle nie wracać do Seattle, do Huntsville, na spotkanie z Hu San. A taki właśnie los go czeka, jeśli wyjdzie na jaw, kim naprawdę jest.

- Proszę odpowiedzieć na pytanie - rozkazał Raf. - Coś jeszcze?
- Nic - odparła ponuro dziewczyna.



Felix się uśmiechnął.

- Treści żołądkowe w granicach normy?

- Wypraszam sobie! - burknęła zniecierpliwiona, jakby spodziewała się po nim tego głupiego pytania, a jednak wytrąciło ją z równowagi. - To mało inwazyjna autopsja. Polecenie szefowej i ministra było jednoznaczne. Miałam ustalić przyczynę zgonu. Poskładać ciało do kupy i pozszywać, by się nie rozpadło. Wiesz, jak to jest...

- Po prostu ustalić przyczynę zgonu - powiedział wolno Felix. - Jasna dupa. Zawsze wkurzają mnie takie teksty.

- Narzędzie śmierci: pióro. Przyczyna śmierci: rozerwany mięsień sercowy. Rodzaj śmierci: morderstwo. - Najwyraźniej Kamila uważała, że spotkanie przeciąga się już ponad miarę. Miała dość ludzi, którzy szarogęsili się na jej terenie. Chciałaby mieć ich z głowy. Pomimo tego zgodziła się pójść na kompromis. - Dobrze - powiedziała, zaganiając ich do drzwi. - Możesz wystąpić bezpośrednio do mnie o kopię raportu.

Felix uklonił się w geście podziękowania.

- A wracając do tych treści żołądkowych - odezwał się na odchodnym. - Przekaż ojcu wyniki i niech mi je podeśle. Zgoda? - Uśmiechnął się słodko i wyciągnął Rafa z pracowni, nim Kamila zdążyła mu odmówić.

1

Jon Courtenay Grimwood

zaślani się Felixem jak tarczą. A jeśli dopuszczenie do komitywy Felixa oznaczało mieszanie się do lokalnej polityki, to proszę bardzo, wmiesza się i wcieli w rolę beja. Absurdy życia istniały po to, aby czerpać z nich pełnymi garściami. Bądź co bądź, zniósłby wszystko, byle nie wracać do Seattle, do Huntsville, na spotkanie z Hu San. A taki właśnie los go czeka, jeśli wyjdzie na jaw, kim naprawdę jest.

- Proszę odpowiedzieć na pytanie - rozkazał Raf. - Coś jeszcze?

- Nic - odparła ponuro dziewczyna.

Felix się uśmiechnął.

- Treści żołądkowe w granicach normy?

- Wypraszam sobie! - burknęła zniecierpliwiona, jakby spodziewała się po nim tego głupiego pytania, a jednak wytrąciło ją z równowagi. - To mało inwazyjna autopsja. Polecenie szefowej i ministra było jednoznaczne. Miałam ustalić przyczynę zgonu. Poskładać ciało do kupy i pozszywać, by się nie rozpadło. Wiesz, jak to jest...

- Po prostu ustalić przyczynę zgonu - powiedział wolno Felix. - Jasna dupa. Zawsze wkurzają mnie takie teksty.

- Narzędzie śmierci: pióro. Przyczyna śmierci: rozerwany mięsień sercowy. Rodzaj śmierci: morderstwo. - Najwyraźniej Kamila uważała, że spotkanie przeciąga się już ponad miarę. Miała dość ludzi, którzy szarogęsili się na jej terenie. Chciałaby mieć ich z głowy. Pomimo tego zgodziła się pójść

na kompromis. - Dobrze - powiedziała, zaganiając ich do drzwi. - Możesz wystąpić bezpośrednio do mnie o kopię raportu.

Felix uklonił się w geście podziękowania.

- A wracając do tych treści żołądkowych - odezwał się na odchodnym. - Przekaż ojcu wyniki i niech mi je podeśle. Zgoda? - Uśmiechnął się słodko i wyciągnął Rafa z pracowni, nim Kamila zdążyła mu odmówić.

Pasza-zade

131

UOzfczfoł 24

La ilaha illa Allah...

Chwała najwyższemu.

Rączka, która trzymała rękę Rafa, miała stalowe palce, paznokcie ostre jak szkło i skórę mokną jak dłoń tonącego dziecka. I było wiele racji w tym porównaniu, albowiem Hani tonęła w ceremonialnych rytuałach i współczuciu bliskich. Rączką szarpały dreszcze tak szybkie, że praktycznie niewidoczne.

W miarę trwania pogrzebu coraz silniej ścisnęła jego rękę, a w trakcie ostatniej tury modłów na przemian to wisiała na nim, jakby tylko on ratował ją przed upadkiem, to znów wpijała się w niego pazurkami. Nie sposób było stwierdzić, na kogo się gniewa: na siebie czy na Rafa.

Pogrzeb okazał się krótki. Dzielił się na cztery części połączone jakimś wspólnym wątkiem, którego - oczywiście - nie potrafił wychwytać. Na wstępie wygłoszono pierwsze wersy Koranu, a potem nastąpiło dłuższe czytanie. Odmówiono także modlitwę wstawienniczą i proszono, aby bramy rajy stanęły otworem przed Nafisą i aby oczyściła się w ogniu i wodzie, tak samo jak czyści się odzież z nagromadzonego w niej brudu. Przez chwilę Raf żywił nadzieję, że to właśnie spotka jego ciotkę.

- Zaraz będzie koniec - szepnął. Podzielał zniecierpliwienie Hani. Przybyli tu razem prosto z medresy w towarzystwie łkającego Chartuma i kucharki Donny. Ta ostatnia zatrzymała się u bram nekropolii, przeżegnała żarliwie i nie postąpiła już ani kroku dalej.

Kiedy tak stał, mimo żaru lejącego się z nieba, w czarnym garniturze, czekając na złożenie ciała do grobu, czuł na

12

Jon Courtenay Grimwood

sobie jej stalowe spojrzenie. Z drugiej strony, obserwowali go tu prawie wszyscy... z wyjątkiem Hani, która nie odrywała wzroku od ziemi.

Przed uroczystością ogolił się, przystrzygł strzępy brody i wymodelował z nich jasną kozią bródkę. Włosy na głowie potraktował nożyczkami, jako że był to najszybszy sposób na pozbycie się dredów. No i nieświadomie palnął gafę. Wychodziło na to, że w Afryce Północnej nieogolona twarz jest wyrazem szacunku, znakiem żałoby. Lady Dżalila nie raczyła nawet z nim porozmawiać. Czego, niestety, nie dało się powiedzieć o reszcie.

- Dobra - odezwał się ktoś za nim. - Nie pora na ciebie? - Felix wyglądał nader schludnie, inaczej niż zazwyczaj. Umył swój koński ogon, a buty wypucował na wysoki połysk. Nawet je wypastował nad obcasami. Aczkolwiek garnitur, wyprasowany czy też nie, wciąż sprawiał wrażenie, jakby trzymał go głęboko w komórce i wyciągał ze dwa razy w roku, kiedy musiał uczestniczyć w pogrzebie kolegi lub ofiary morderstwa. Od razu rzuciło się w oczy, że ten materiał, krój i kolor były w modzie przynajmniej piętnaście lat temu. - No chodź! - Chwycił Rafa za łokieć. - Czas się ruszyć.

To Felix podjechał po niego swoim różowym cadillakiem z białymi oponami i zabrał go z medresy na cmentarz. Raf podejrzewał, że tylko dzięki jego obecności nie naprzykrza mu się madame Mila. Nie spodziewał się zobaczyć jej na pogrzebie. Sądził - o święta naiwności! - że oprócz niego będą tylko Hani i Felix. A tymczasem w skwarze tego dusznego, środowego poranka zebrało się tutaj z pięćdziesięciu iskandaryjskich bogaczy i prominentów, chcących zobaczyć, jak owinięte w całun ciało lady Nafisy zstępuje do rodzinnego grobowca.

- Aszraf! - syknęła lady Dżalila. Zjawiła się przy nim niezauważenie, jak nieprzyjemny zapach. - Przecież ty prowadzisz. - Na jej białym, Inianym żakiecie ciemniały pod pachami plamy potu, lecz makijaż pozostał nienaruszony, a nieliczne kosmyki włosów, które wymknęły się spod chusty z kolekcji Hermesa, ślicznie połyskiwały w słońcu.

- Chodźmy - rzekł Raf i odwrócił się do Hani. Zdziwiła go jej mina.

Pasza-zade

1

Dziewczynka szeroko rozstawiła stopy, wbijając obcasy głęboko w żwir na ścieżce. Językiem swego ciała wyrażała zdecydowany sprzeciw, w jej oczach krył się ból. Raf poznał dręczące ją uczucie, wybuch beznadziei... choć poznać a pamiętać w jego przypadku nie znaczyło to samo. Pamiętał jedynie, jak bardzo się z sobą zmagali, aby dostąpić zapomnienia.

- Czas na nas - rzekł cicho Raf.

Hani pokręciła głową. Ani myślała iść na ustępstwa.

- Hani!

Ludzie odwracali głowy, słysząc ostre napomnienie lady Dżalili. W końcu prawie wszyscy żałobnicy spoglądali na dziecko. Zebrani jednoczyli się w jakimś wspólnym, nieokreślonym pragnieniu. Lady Dżalila wyciągnęła rękę do dziewczynki.

Nikt się teraz nie ruszał.

- Ty prowadź - zaproponował Raf, gubiąc się w zbiorowisku obcych mu twarzy, świadom, że chłona każde jego słowo. - Byłaś jej najlepszą przyjaciółką i to ty ją znalazłaś. Zresztą, widzisz chyba, że dziecko się boi.

Przyklęknął na żwirze.

- My tu zostajemy, prawda?

Czarne jak noc oczy przewiercały go na wylot, a potem cienkie, patyczkowate ramionka owinięły się

wokół jego szyi. Gdy Hani tuliła się do niego, nie drżała już jak motylek: ciałem wstrząsały potężne dreszcze, łkała spazmatycznie.

Jej łzy spływały Rafowi za kołnierz. Kiedy podniósł wzrok, napotkał współczujące spojrzenia dużej grupy zebranych. Nawet minister policji miał na ustach smutny uśmiech zrozumienia.

- Skoro nalegasz. - Coś jakby duch przemknęło po twarzy lady Dżalili, gdy odwróciła się ku drzwiom do mauzoleum. Ruszyła przed siebie, nie czekając na męża.

- Biedne dziecko - rzekł markotnie Muszin bej. - Takie nieszczęście.

Raf domyślał się, że minister mówi o Hani, a nie o swojej żonie, lecz pewności nie miał.

Jeden za drugim, żałobnicy podążali za lady Dżalilą, aż wszystkich wchłonęła ciemność i nekropolia wydała się dziw-

■

1

Jon Courtenay Grimwood

nie opustoszała. Z pobliskich zarośli dobiegł bulgoczący głos pospolitego bilbila, a spoza wysokiego muru dolatywał warkot aut na odległym skrzyżowaniu.

- Najwyższa pora, do cholery - skomentował Felix, poirytowany. Wyciągnął flaszkę, odetkał ją i już po chwili chował do maiynarki. - Nie ma rady... - rzekł z zawstydzoną miną. - Bez paliwa nie ruszam się z domu. - Spojrzał na Hani ukrytą w objęciach Rafa; miała pomarszczone czoło, zamknięte oczy i nos wciśnięty w ramię swego opiekuna. - Porządny chłop z ciebie - stwierdził cicho. - Pewnie teraz ci powie, czego naprawdę się dowiedziała.

\*\*\*

Wnętrze mauzoleum al-Mansurów było bogate w swej prostocie, która świadczyła o starości wzornictwa, z pewnością pochodzącego sprzed napaści na miasto Napoleona w 1798 r. i czasów zarazy w XVII w., kiedy choroba ogołociła ulice z ludzi i przez pewien czas al-Iskandarijja była garstką ruder zamieszkaną przez spalone szczury.

Niskie drzwi, wycięte z boku marmurowego cokołu, prowadziły do podziemnej krypty. Na kwadratowym cokole stały w narożnikach cztery bazaltowe słupy, wspierające czubaty dach. Na krótki żelazny maszt, sterczący z wierzchołka, zatknięto zwykły półksiężyc. Z dołu nie dało się rozstrzygnąć, z jakiego metalu półksiężyc został wykuty, ponieważ zimowe burze nadały mu czarny kolor.

Pod dachem, na samym środku cokołu, stał pomnik, a właściwie płyta z grubo ciosanego kamienia, położona na boku i najwyraźniej podparta z obu końców krótkimi kwadratowymi słupami; jeden z nich ułamał się kiedyś, a ubytki zostały uzupełnione gorszym gatunkowo kamieniem.

- Co robisz?

- Oglądam sobie budynek - odparł Raf i pogłaskał dziewczynkę po głowie. A że się nie sprzeciwiała, pogłaskał ją raz jeszcze, tylko wolniej. Wiele lat temu przetestował ten sposób na zupełnie innym zwierzaku, zranionym, do którego chłopcy w jego szkole bali się zbliżyć.

- To się nazywa kiosk - poprawiła go Hani, wskazując mauzoleum. - Tamto w środku to cenotaf, a obok stoją dwie

Pasza-zade\_135

stale. - Kiwnęła brodą, co pozwoliło mu się zorientować, że mowa o wąskich słupach.

- „Wczoraj byłem podobny do ciebie, jutro będziesz podobny do mnitf - wyrecytowała Hani z pamięci inskrypcję na cokole. - Jak myślisz, od dawna to tu stoi?

Raf potoczył wzrokiem po innych, okazalszych grobowcach. Gdzieś widać było dachy kwadratowe, jednak znakomitą większość stanowiły kamienne kopuły, zdobione gwieździstymi promieniami, wzorkami w jodełkę lub zawiłymi, przeplatającymi się wzajemnie arabeskami. Nawet najnowsze budynki wyglądały tak, jakby liczyły sobie setki lat.

- Nie mam pojęcia - odparł. - A ty wiesz?

Wykrzywiła usta.

- Od dwudziestu lat. Donna mi powiedziała. Ciocia wybudowała grobowiec dla męża. Słup pękł już po roku, więc kazała budowniczym naprawić go za darmo.

- Ale że w tej części cmentarza... - Raf przyglądał się gromadzie niszczących grobowców, pochylonych pod wpływem starości i własnego ciężaru. Niektórym domom zmarłych brakowało do przewrócenia się tak mało, że mogłoby się здаwać, iż próbują podierać się na sąsiednich mauzoleach.

- Kupiła i zburzyła stary grobowiec. - Dziewczynka wzruszyła ramionami. - Oczywiście, musiała zapłacić ludziom, żeby zabrali stąd nieboszczyków.

- Oczywiście... - Raf wskazał na mocno przygarbione drzewo korkowe. - Trochę tu za jasno, jak dla mnie. Chodźmy stąd.

Razem udali się do cienia, przy czym Hani nawet na chwilę nie puściła jego dłoni. Trzymała się go bez przerwy od miejsca, gdzie zeszli na Rue Sherif, by usadowić się na tylnych siedzeniach kabrioletu. Raf nie wiedział, dlaczego bała się rozstawać z nim choćby na sekundę, lecz cokolwiek to było, niewątpliwie wolała nie kusić losu.

Już samo wyciągnięcie jej na ulicę okazało się trudne. Zakrawało na cud, że w ogóle wsiadła do auta. Aczkolwiek dopóki nie pokazała się w sukience, z czarnymi włosami starannie związanymi, Raf nie podejrzewał, że będzie miał kłopoty.

Dziewczynka śmiało maszerowała przez dziedziniec, potem z mniejszą już śmiałością do rozgrzanego jak piekar-

"W

Jon Courtenay Grimwood

nik krytego ogrodu, w którym rośliny, nie dogładane przez lady Nafisę, zaczynały więdnąć. Gdy jednak dotarła do ostatniego korytarza w medresie, prowadzącego bezpośrednio na Rue Cif, trzęsa się ze strachu.

„Prędej” - rzekł Raf, ciągnąc ją lekko za rękaw.

Szarpnęła się tak gwałtownie, że omal nie wyłamała mu ręki. Kiedy jednak zobaczył na jej twarzy maskę żelaznego uporu, przyszło olśnienie.

Za pierwszym razem nie dosłyszał jej szeptu, więc powtórzyła:

„Bo ja jeszcze nigdy...” - Urwała w pół zdania.

„Nigdy nie wyszłaś z domu?”

Potwierdzenie tej prawdy znalazł w oczach starego su-dańskiego odźwiernego, który patrzył, jak wystraszona dziewczynka stoi skamieniała w progu. Gnicie w klatce, oto do czego zmusza życie, nasza Rafa ponura myśl. W klatce prostej i nędznej lub wyrafinowanej i wysadzanej klejnotami, niewielka różnica. Więzienie to więzienie, a wygnanie wygnaniem, czy narzucone z zewnątrz, czy przez samego siebie.

„Boisz się?” - zapytał dziewczynkę.

Nadała się w odpowiedzi.

„To jak? - indagował Raf. - Boisz się czy nie?”

„Jasne, że nie. - Zaciśnęła pięści i buńczucznie wsparła je na biodrach. - Ja się niczego nie boję!”

On by się bał na jej miejscu. Wszak od dziewięciu lat, odkąd się urodziła, ani razu nie wyszła poza mury medresy. Nie wypuściła się tylnymi drzwiami na Rue Cif, nie mówiąc już o rzeźbionym frontowym portalu, prowadzącym w ciżbę i zgiełk Rue Sherif. Skąpane w słońcu drzwi były na swoim miejscu, lecz sklepienie przejście za nimi zostało zamurowane cegłami dziesięć lat przed narodzeniem Hani, z polecenia lady Nafisy. Tych paru gości, których podejmowała w domu po śmierci męża, korzystało z wejścia od Rue Cif.

Nie przejmując się swoim nowym garniturem, Raf przyklęknął na jedno kolano.

„Nie boisz się? - zapytał. - Wszyscy się czegoś boimy. - Czuł na sobie wzrok Felixa, czekającego w cadillacu. - Dzięki temu żyjemy”. - Nie dodał już: I jesteśmy ludźmi.

Pasza-zade

137

Hani jeszcze się wahała.

Westchnął. Nie uśmiechało mu się oklepane odwoływanie do jej powinności, ale ponieważ nie znał lepszego sposobu, musiał to zrobić. Na szczęście, mieli ze sobą wiele wspólnego...

„Była twoją cicią...”

„Twoją też” - uściśliła ze smutkiem Hani.

No tak, racja. Jednak wolał nie wchodzić na ten grunt.

„Ty ją dobrze znałaś. Dużo lepiej niż ja”.

Nieznacznie kiwnęła głową.

„I wszyscy będą cię oczekiwać na pogrzebie...”

Hani nie wydawała się jeszcze przekonana.

„Wybacz - rzekł cicho. Powstał, założył ciemne okulary i przybrał pozę twardziela, chowając dłoń pod jedwabną marynarkę, jakby lada chwila miał wyciągnąć spluwę. Imperial Assassin V. - Hej! Trzymaj się mnie, a nic ci się nie stanie!”

Hani poruszyła wargami. Poruszyła nimi naprawdę delikatnie, lecz można było doszukać się w tym uśmiechu...

Jon Courtenay Grimwood

Rozdział 25

Seattle

Długa klinga połyskiwała srebrzyście. Wprawdzie ciemniej niż widziane przez witrynę sklepową słońce na wodzie w porcie, gdzie dumnie kotwiczył japoński luksusowy jacht, lecz dostatecznie jasno, by chłopak zaraz po wejściu musiał odwrócić oczy.

Za drewnianym kontuarem na tyłach sklepu Chinka mozolnie usuwała rysę na lakierowanej, lustrzanej powierzchni czarnej pochwy, w której chował się pochodzący z Honsiu wa-kizashi. W sklepie sprzedawano japońskie miecze, a w zasadzie repliki, bo najwyraźniej tylko one interesowały turystów w Seattle i tylko na nie mogli sobie pozwolić. Miecz w rękach chłopca był prawdziwy, co znajdowało swoje odbicie w cenie.

Rękojeść owinięta skórą rai, dodatkowo opleciona jedwabiem. Tsuba, jelec: prosta tarczka z dwoma otworkami. Pochwa z lakierowanego drewna, miejscami spękane, gdzie widać było grubszą warstwę lakieru. Jednakże miecz wyróżniał się klingą z okresu shinto. Wprawdzie jej pradziadek zginął podczas masakry w Nankinie, i tak podziwiała piękno tej japońskiej broni.

Hu San Liang nabrała przekonania, że młody turysta wyjdzie ze sklepu z pustymi rękami. Miecz mu się podobał, lecz kosztował krocie. Gdyby chłopak miał dość pieniędzy, kupiłby go już dawno. A tak, przypatrywał mu się tęsknym wzrokiem. Za kilka minut już go tutaj nie będzie. Prawdopodobnie kupi sobie kawę w lokalu obok. Spróbuje zapomnieć o tym, że nie stać go na coś, czego bardzo pragnie.

Już do tego przywykła. Ceny w jej sklepie należały do najwyższych. Po części dlatego, że w okolicach portu, gdzie

Pasza-zade

rozlokowały się głównie hotele, sieci franczyzowe i ekskluzywne restauracje, ogólnie było drogo. Druga sprawa, Hu San nie sprzedawała tandety. Sprowadzała repliki z Osaki za pośrednictwem własnej firmy importowo-eksportowej. Gdzie indziej można było nabyć tańszą reprodukcję - wykonaną w Hiszpanii lub na Tajwanie - za ułamek tej ceny, której ona żądała, lecz nią kierowały specyficzne pobudki. Nie licząc tej, że była zakochana w Japończyku.

- Czy to stary miecz? - zapytał chłopak grzecznie, z niewątpliwie obcym akcentem.

Hu San codziennie od tygodnia obserwowała, jak wchodzi do sklepu, bez słowa sięga po ten sam miecz i z namaszczeniem ściąga prostą pochwę, aby spojrzeć na hamon: falistą linię hartowania, gdzie klingę pokrywano gliną przed włożeniem do pieca, aby różnice w nagrzeniu umożliwiły powstanie twardej, choć kruchej krawędzi tnącej, a za nią bardziej miękkiej, ale i giętszej warstwy stali.

Był to najlepszy miecz w sklepie. Hu San przypuszczała, że młody Anglik zdaje sobie z tego sprawę. Pamiętała, jak zbladł, gdy po raz pierwszy wymieniła cenę, a mimo to zjawiał się jeszcze wiele razy.

- Czy stary? Pięćdziesiąt trzy lata, może trochę więcej. - Głos zdradzał, że kobieta należy do drugiego pokolenia o chińsko-amerykańskich korzeniach. Reprezentowanego licznie w Seattle.

- A pochwa?

- A jak myślisz?

Chłopak zważył pochwę w zadumie. Kiedy wydawało mu się, że sprzedawczyni patrzy w inną stronę, podrapał paznokciem złoty mon, czyli herb, który zamiast się łuszczyć, pewnie by odleciał.

- Nowa - odparł i popatrzył na rękojeść. Wszystko było nowe prócz klingi.

- Sercem miecza jest głownia - rzekła zdawkowo Hu San. Czekala na pytania, lecz chłopak tylko pokiwał głową.

- Cudowny - zawyrokował.

Chinka z zadowoleniem patrzyła, jak chłopak wsuwa miecz do pochwy i odstawia go na regał, gdzie w parze z kataną tworzył tradycyjny komplet daisho. Potem wyszedł.

1

Jon Courtenay Grimwood

Ucieszyło ją to dlatego, że spodziewała się wizyty. Nie z rodzaju tych wizyt, na które czeka się z radością.

Wyciągnąwszy pióro z pudełka, zwilżyła kostkę atramentu i zajęła się ćwiczeniem pisania swego nazwiska. Ćwiczyła tak od przeszło trzydziestu pięciu lat, od ukończenia czwartego roku życia. Pewnego dnia zapisze je poprawnie, choć miała nadzieję, że nie zdarzy się to zbyt szybko.

Koreańczyk, który zjawiał się w sklepie, nosił ciemny garnitur, białą koszulę i czerwony krawat. Tak ubierali się ludzie obracający dużą kasą lub gangsterzy. Wszedł w chwili, gdy Hu San ukończyła trzecią próbę. Obyło się bez powitalnych ukłonów. Koreańczyk z widoczną pogardą rozglądał się po małym sklepiku i z politowaniem odniósł się do ćwiczeń kobiety.



- Lepiej spróbuj napisać epitafium - zażartował - skoro już chcesz udawać tradycjonalistkę.

Ale Hu San nie zamierzała umierać. Z pewnością nie tego dnia i nie z powodu kaprysu głupiego Koreańczyka. Oczywiście, znała jego nazwisko, lecz nie zamierzała zaszczycać go zwracaniem się doń po imieniu. Nawet w myślach był dla niej bezimienny. Znała jego ojca i tę znajomość też najchętniej wymazałaby z życiorysu.

- Wiesz, co mnie tu sprowadza.

Potwierdziła ledwie zauważalnym ruchem głowy.

Koreańczyk sięgnął do kieszeni marynarki.

- Zgodzisz się na nasze warunki albo...

Nie wiadomo, czym by jej zagroził, bo w tym właśnie momencie zabrzmiał głos dzwonek. Do sklepu wkroczył ZeeZee i z miejsca ruszył do miecza. Hu San trafnie odgadła: chłopak poszedł do Starbucks, skąd wrócił ze średnią kawą latte. Postawił ją na półce pod oknem, po czym przedstawił swoją propozycję. Obiecywał dać zadatek na wakiza-shi i regularnie co tydzień płacić część sumy, póki nie będzie mógł odebrać miecza po uiszczeniu całości.

Co prawda nie miał jeszcze pracy, ale to wolał zachować dla siebie.

Zdjął broń ze stojaka, wyciągnął ostrze z pochwy i przez chwilę zachwycał się jego perfekcyjnym wyważeniem. Aż nagle zauważył, że sprzedawczyni nie jest sama, a nieznamy

Pasza-zade

11

mężczyzna wybałusza na niego oczy jak ryba wyrzucona z wody.

- Wyjdź! - nakazała mu Hu San. - Sklep zamknięty. Przyjdź jutro...

- Słyszałeś, co powiedziała - odezwał się gość w garniturze. - Spadaj!

ZeeZee zawsze się zastanawiał, dlaczego wtedy nie wyszedł ze sklepu. Uparty charakter? A może rozczarowanie, że nie przyjęto jego nader wspaniałomyślnej propozycji? Kto wie, mógł zadecydować przypadek. Jakiś motyl zatrzepotał skrzydłami dawno temu, gdy on się urodził... Choć później lis powiedział, że ocknął się wtedy ze snu i wywęszył jakiś cierpki zapach. Cały Tiri, zawsze tajemniczy. Niezależnie od przyczyny, ZeeZee opuścił głownię i ruszył w stronę kontuaru. Chciał pogadać i nic mu w tym nie mogło przeszkodzić.

- Wynocha! - burknął Koreańczyk, wskazując głową drzwi. Trzymał w ręku wyciągnięty niepostrzeżenie pistolet.

ZeeZee usłyszał w myślach zwierzęce powarkiwanie i ów szczególny, cichy szept, który ostatnio słyszał w wieku siedmiu lat.

Wyżej miecz...

Bez namysłu uniósł klingę jak kawalerzysta szablę i postąpił krok do przodu.

- To napad?

Hu San zerknęła na Koreańczyka i kiwnęła głową.

Warczenie się nasiliło.

- Niech pani zadzwoni na policję - rzekł głosem ochrypłym i niepotrzebnie nerwowym. Odetchnął głęboko, aby się uspokoić. - Proszę zadzwonić...

Ciężar ciała opierał głównie na lewej stopie, podczas gdy prawa pozostała wysunięta w przód z lekko uniesioną piętą. Chwytał broń w dwie ręce, przybierając pozycję, której nauczył się w szkole. Człowiek z pistoletem kontra człowiek z mieczem. Teoretycznie, sytuacja patowa... jednak myśli, że może trzeba będzie użyć miecza, rodziła pytania, na które chłopak wolałby nie szukać odpowiedzi.

- Porąbało cię! - odezwał się spokojnie Koreańczyk. Mówił do ZeeZee'ego czy raczej w jego stronę, bo równocześnie podnosił pistolet.

1

Jon Courtenay Grimwood

Czas zwolnił. Słońce błyskało na żelazie, gdy ostrze katany rozplatało gardło, przecięło kość i ochlapało chłopaka deszczem ciepłej krwi.

- Wypadałoby się ukłonić! - warknęła Hu San.

Odcięta głowa Koreańczyka trzymała się na karku, by po

krótkiej chwili przechylić się do przodu i spaść na ziemię. Śmierć utrwaliła na twarzy wyraz nieopisanego zdumienia.

Nieszczęśnik przypuszczalnie runął na brzuch siłą rzeczy, lecz ZeeZee wyobrażał sobie, że przewróciła go krew bijąca z szyi silną strugą. Skąpany w czerwonych kroplach, wpatrywał się z grozą na ostry jak brzytwa miecz w swoich rękach, który nie doczekał się użycia.

- Byłbyś w stanie go zabić? - zapytała Hu San, wycierając głownię katany o brzeg żakietu.

Czy byłby w stanie? Pytanie wcale nie dziwne. Z drugiej strony, niewiele go w życiu dziwiło. Pytanie również dobrze postawione, nawet jeśli jeszcze nie znał odpowiedzi. Nigdy nikogo nie zabił, co więcej, nie wyciągnął ryby z jeziora ani nie ustrzelił wróbla z dziecięcej wiatrówki. Tym niemniej...

Wzruszył ramionami.

- Nieważne. - Hu San, starsza siostra z Bractwa Pięciu Wiatrów, wyjęła ze spryskanej krwią kieszeni małe nóżki orga-nizer Nokii. Rozmawiała z kimś nieśpiesznie, spokojnym i autorytatywnym tonem. ZeeZee nie rozumiał ani słowa. Tak samo nie rozumiał, jakim cudem Chinka w średnim wieku zdołała przeskoczyć kontuar i dobyć miecza prędzej, niż Koreańczyk uniósł pistolet.

Hu San ominęła okrwawione zwłoki, podeszła do drzwi i obróciła wywieszkę OTWARTE/ZAMKNIĘTE. Następnie opuściła dwie bambusowe żaluzje i zamknęła zamek.

- Remanent - oświadczyła pogodnie.

Pasza-zade

1

H0Zt>Zfoł 26

7 lipCA

Lady Dżalila zmrużyła oczy, oślepiąca przez słońce po wyjściu z ciemnej krypty. Obok niej szła madame Miła z głową nieznacznie odwróconą do starszej kobiety. Dzieliła je różnica najwyżej pięciu lat, lecz żona ministra zachowywała się z tą pewnością siebie, jaką dają pieniądze, kostiumy od najlepszych projektantów i władza, nawet ta z drugiej ręki, należąca de facto do jej męża.

Madame Miła, zgoła odwrotnie, czuła się skępowana, co ją dodatkowo napawało goryczą. Miała błyskotliwy umysł, niebanalną urodę, a w dorobku nieprzerwane pasmo sukcesów jako oskarżyciel publiczny. Brakowało jej tylko odpowiednich znajomości. Lady Dżalila dobrze o tym wiedziała. Właściwie, nie rozmawiały z sobą: mówiła żona ministra, a jej młodsza towarzysząca uważnie słuchała i od czasu do czasu potakiwała głową.

Zdążyły do miejsca, gdzie w kojącym cieniu drzewa korkowego siedzieli Raf i Hani, oparci plecami o drugi rodzinny grobowiec. Mężczyzna niechętnie wstał i strzepał żwir z garnituru. Hani poszła za jego przykładem. Nie patrzyła ani na ciotkę, ani na panią koroner.

- Wyrazy współczucia - zwróciła się do Rafa lady Dżalila. - Jeśli będę mogła w czymś pomóc, ja albo minister, to oczywiście... - Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami, jakby wyrażała żal, że nie może zbyt wiele zrobić. Przy tym znacząco popatrzyła na Hani uczeponą Rafa, aby ten zorientował się, co miała na myśli.

- Bardzo dziękuję - odparł grzecznie i pożegnał się ukłonem najpierw z lady Dżalilą, potem z kobietą o kamiennym wejrzeniu, która stała przy niej. - Zabieram Hani do domu...

1

Jon Courtenay Grimwood

- Wasza Ekscelencjo...

Odwrócił się, świadom, że to do niego ktoś mówi.

Pani koroner odprowadzała go badawczym wzrokiem. Jej foremna, wypielęgowana twarz emanowała lodowatym chłodem, a oczy ziały czarną, niezgłębioną pustką. Była atrakcyjna i ten fakt jej przeszkadzał. Szorstkość widoczna w jej obyciu żywo kontrastowała ze słodką perfum, będących mieszaniną piżma i jakiegoś roślinnego dodatku - tak trudnego do zdefiniowania, że Raf uznał go za substancję syntetyczną. Sztuczne związki zapachowe, wypełniające lukę między aromatem owoców i roślin korzennych, ostatnio robiły furorę nawet w mieście, które pyszniło się najlepszymi targami korzennymi w Afryce Północnej. Raf widział billboardy reklamujące ten fakt na Place Orabi.

- Słucham - odparł.

- Nie znał pan ciotki za dobrze, prawda?
- Nie wiem, czy w ogóle ją znałem. - Starał się mówić spokojnym, rzeczowym tonem. - A czemu pani pyta?
- Madame Mila jest po prostu ciekawa - wtrąciła lady Dżalila.

Młodsza kobieta pokiwała głową.

- Wieści od pana musiały być dla niej sporym zaskoczeniem. Z pewnością się ucieszyła...
- To nie ja odezwałem się pierwszy. Dwa tygodnie temu nie wiedziałem jeszcze nic o żadnej ciotce... - Zrozumiał, co nurtuje jego rozmówczynię. - Moja matka rzadko wspomina rodzinę ojca.
- W takim razie, jak ciotce udało się pana znaleźć?

Właśnie, jak?

- Dobre pytanie. - Omiótł spojrzeniem madame Milę: równiutki rząd maleńkich warkoczyków, idealną cerę oraz wyszukanie prosty kostium, doskonale wyprasowany, lecz bez porównania tańszy od ubrania lady Dżalili czy jego garnituru. Tym samym spojrzeniem posługiwał się dr Millbank w Huntsville, ilekroć chciał przywołać do porządku krnąbrnego więźnia. Największą zaletą tej metody było jej niezwykle subtelne działanie. - Jestem pewien, że ojciec czuwa nade mną.

Tym razem kiedy odchodził, nikt go nie zatrzymywał.

Pasza-zade

1

Felix zaofiarował się odwiedzić ich z cmentarza, wszelako „powrót do domu” zamienił się w forsowne zwiedzanie miasta. Na początek w żółtym tempie przejechali promenadą Corniche - wzdłuż zatłoczonych latem plaż w Shatby, obok imponującego gmachu Biblioteki Aleksandryjskiej (której różowa, marmurowa fasada kryła 125 kilometrów starannie rozprowadzonych światłowodów), pięknym zakolem przy Porcie Wschodnim (gdzie Hani mogła obejrzeć łodzie rybackie i ciągnięte przez konie wózki kryte budą) i na północ, końcowym odcinkiem promenady, w kierunku nowego akwarium, a potem wokół cypla do Fortu Kait Beja, gdzie niegdyś stała latarnia na Faros, jeden z siedmiu cudów świata.

Z jedną ręką na kierownicy i drugą wskazującą okoliczne ciekawostki, Felix służył barwnym komentarzem, w którym żartami nadrabiał luki w wiedzy historycznej. Nie zatrzymywał się i ani razu nie proponował postoju, nie licząc tej przyjemnej chwili w drodze powrotnej, kiedy zaparkował przy furgonie z lodami i kupił dziewczynce jej pierwsze w życiu lody.

Pod koniec tej improwizowanej wycieczki, jadąc na południe ulicą el-Dardaa, ugrzęźli w popołudniowych korkach. W gromadzie niskich volkswagenów w kolorowych pancierzach, eleganckich beemek i - rzadziej - luksusowych mercedesów czasami pokazywały się japońskie pojazdy z wyłupiastymi reflektorami, zapewne projektowane w oparciu o jakieś wyidealizowane wyobrażenie karpia koi. Hani wkrótce zasnęła na tylnym siedzeniu z głową wtuloną w ramię Rafa, który rozważał - co szło mu dość opornie - plany na najbliższą przyszłość.

Nastąpi odczytanie testamentu. Różne formalności prawne. Jednak z kilku napomnień Felixa wnosił, że jest jedynym spadkobiercą. Dom należał do niego, a co za tym idzie, odpowiadał za Hani.

- Jasny gwint. - Grubas wydobyl piersiówkę, tego sobie pociągnął i włożył ją pod siedzenie. - Nie wytrzymam tego dłużej. - Ostro zakręcił kierownicą i nagle wydostali się ze ślimaczego ogonka samochodów, sunąc pod prąd jednokierunkową drogą. Półciężarówka z rybami wołała rozsądnie zje-

.146

Jon Courtenay Grimwood

chać na chodnik, narażając się na zadrapanie karoserii, niż zadzierać z Felixem.

Na ulicach było ciasno jak w dupie zakonnicy, jak trafnie to ujął policjant.

- Coś mi się przypomniało - rzucił przez ramię. - Widziałeś, kto tam jeszcze był?

- Nie. Kto niby?

Felix uśmiechnął się szelmowsko.

- Całkiem ładna, bardzo bogata, co chwila zezowała na ciebie...

- A, o niej pan mówi... Córnka Hamzy?

- Właśnie. Zastanawiałem się, kto przyjdzie na pogrzeb.

- Pochwylił spojrzenie Rafa we wstecznym lusterku. - Z całym szacunkiem dla twojej ciotki, załatwiałem tam głównie sprawy zawodowe. Czasem, jeśli zabójca nie może z sentymentu odwiedzić miejsca zbrodni, wybiera się na pogrzeb.

- Podejrzewa pan Zarę?

Felix potrząsnął głową z teatralnym westchnieniem, skręcił krążownikiem szos w Rue Kemil i wpakował się w Rue Cif. Zgasił silnik przed niepozornymi drzwiami do me-dresy, całkowicie blokując przejazd wąską ulicą.

- Zarę? Nie. Raczej faceta, którego tam nie było. Jej ojca. Od wielu miesięcy chcemy dobrać mu się do skóry.

- Wyszczrzył zęby. - Jutro z samego rana osobiście doprowadzę go na posterunek. Zobaczymy, co będzie, jeśli wsadzę kij w mrowisko...

Pasza-zade

1

Rozfezfoł 27

7 lipCA

- No to jesteśmy...

Usytuowana nad zatoką Glimonopolo, w ogrodzie francuskim schodzącym do skalistej plaży, Villa

Hamza stanowiła dziwną krzyżówkę Partenonu i sycylijskiego pałacyku. Posiadała tylko trzy kondygnacje, lecz każda uderzała wspaniałością kolumnad i portyków - niczym wariacki tort weselny, wypieczony z cegieł i obłany polewą z białego tynku.

Za willą widać było morze, a przed nią biegła promenada, oddzielona od budynku pasem drogiego w utrzymaniu trawnika i krótkim podjazdem dla samochodów. Po schodach wchodziło się do olbrzymiego portyku, sięgającego prawie do drugiego piętra, na którego płaskim dachu urządzono wytworny taras, wysunięty hardo przed fasadę niczym podbródek konkwistadora.

Podwójne kolumny po obu stronach tarasu wyrastały nawet wyżej niż przewidziany balustradą dach budowli, a dźwigały na sobie fronton mniejszego portyku, ozdobiony pośrodku tarczą herbową w stylu włoskim.

Okna nad samą ziemią, małe i nieozdobne, odpowiadały iskandaryjskiej tradycji lokowania pomieszczeń dla służby raczej w suterynach niż na strychu. Dopiero okna na pierwszym i drugim piętrze świadczyły o przepychu. Każde z cesarskim majestatem wyglądało na świat spoza kolumnady, która otaczała dom z boków i z tyłu.

Villa Hamza była siedzibą przemysłowego imperialisty. Buńczuczna i wyzywająca, ale też osobiwie piękna, urzekła doskonałością proporcji, niewątpliwie dobranych zgodnie z zasadami złotego podziału. Raf nie spodziewał się takiego

18

Jon Courtenay Grimwood

widoku... choć czego się właściwie spodziewał, tego sam nie był pewien. W każdym razie się zdziwił.

- Mam zaczekać?

Rozejrzał się po promenadzie. W obie strony śmigały samochody, chodnikami przewalały się hałaśliwe gromady wylegantowanych wyrostków, szpaler światła na skrzyżowaniach ginął w sienie dali. Mimo późnej pory raz na siedem, osiem samochodów śmigała żółta taksówka. Raf nie zamierzał zabawić w gościnie aż tak długo, żeby w ciągu tego czasu zupełnie ustał ruch na Corniche.

- Nie trzeba. - Wysuptał iskandaryjski banknot wartości 10 funtów i dodał piątaka tytułem napiwku. W razie konieczności mógł wezwać z powrotem taksówkarza, ponadto w ten sposób wychodziło taniej, niż gdyby taksówka miała czekać na jego powrót. - Wziąłbym wizytówkę.

- Oczywiście, Wasza Ekscelencjo. - Taryfiarz wyciągnął z kieszeni pognieciony kartonik i wręczył go Rafowi, który natychmiast przyjrzał mu się bacznie; chciał tylko się upewnić, że jest w stanie odczytać numer.

Brama z kutego żelaza była już otwarta. I tu nowa niespodzianka. Raf nie zauważył żadnej budki, kuloodpornej czy jakiegokolwiek innej, dla strażnika w schludnym uniformie. Zdjąwszy okulary, skalibrował wzrok i przejrzał całe pasmo od podczerwieni do ultrafioletu, lecz nie wypatrzył niczego niezwykłego. Wydawało się, że nie ma tu żadnych zabezpieczeń. Ani sieci laserowych czujników, ani zespołu kamer na podczerwień, ba, ani jednej kamery przemysłowej na olbrzymich kolumnach.

Albo Hamza naiwnie ufał ludziom, albo jego reputacja odstraszała intruzów. Co z całą pewnością trzymało się kupy. Przed trzema laty, kiedy Raf siedział w Huntsville, na ulicy w Seattle dzieciak na

motorolkach Hondy przyłożył taniego tajwańskiego kolta do głowy Hu San i zabrał jej torebkę. Obrabował ją na cacy w ciągu pół minuty i nikomu nie stała się krzywda. Kwadrans później chłopak stawił się z torebką przed posesją na 4 Ulicy i do kamery wyznał swoje grzeszki. Mimo wszystko Hu San kazała połamać mu nogi, lecz w prosty sposób, a koleś, który dostał tę fuchę, nafaszerował nieszczęśnika ketaminą, zanim wziął się do roboty.

Pasza-zade 149

Żwir chrzęścił pod nogami. Raf podszedł do drzwi frontowych i głośno zapukał.

- Chciałbym się zobaczyć z Hamzą efendim - powiedział, kiedy nagłe drzwi się uchyliły. W szczelinie stanął zwalisty rosyjski ochroniarz i zasłonił całe światło z holu. Raf starał się mówić znużonym tonem, jakby miał absolutną pewność, że zostanie wpuszczony.

- Rozumiem - odparł ochroniarz. - Czy Wasza Ekscelencja jest umówiony? - Wiadomo, że znał odpowiedź.

- Nie, ale proszę mu powiedzieć, że Aszraf bej pragnie zamienić z nim słówko.

Rusek uśmiechnął się szeroko: pierwszy dowód na to, że jednak nie płynie w jego żyłach zmrożona woda. Chyba dopiero teraz poznał Rafa, ostrzyżonego i ogolonego.

- W porządku - odrzekł. - Zobaczę, czy szef jest u siebie...

Drzwi teraz otworzyły się szerzej. Zaraz za progiem Raf przystanął taktownie pod portretem Hamzy, wykonanym tak niedawno, że można było sobie wyobrazić zapach schnącej farby. Goryl tymczasem oddalił się wartkim krokiem i zniknął w holu z marmurową posadzką, wyłożoną czarno-białą szachownicą.

- Aszraf!

Raf nadstawił uszu. Zwiększył czułość słuchu czy jakkolwiek zwać ów proces pogłaśniania dźwięków w głowie. Wściekała się tnadame Rahina, a Hamza w odpowiedzi coś jej odburknął. Zary nie było słyhać. Głosy zlały się w krótką kłótnię, której z daleka zwykły człowiek by nie wychwycił. Jednakże Raf śledził jej przebieg tak samo, jak wyłowił efekt Dopplera w stukocie kroków w korytarzu.

Zbliżający się do niego mężczyzna śmierdział cygarami i wodą toaletową Guerlaina, której używał zdecydowanie za dużo. Buty ze skórzanymi, ręcznie przyszywanymi podeszwami skrzypiały na posadzce. Na obrazie nosił przesadnie lśniące, czarne wysokie buty i stał przy balustradzie; za sobą miał tło z rozmytych zieleni i błękitów, na ręce złotego rolexa, a na małym palcu lewej dłoni pękaty sygnet z czerwonym oczkiem, łatwy do pomylenia z pierścieniem absolwenta wyższej uczelni. Nosił surdut sięgający po cholewki butów,

1

Jon Courtenay Grimwood

a na głowie tarbusz efendiego z czerwonymi frędzlami, w ręku zaś trzymał zwinięty rulon z dokumentacją, oznakę swojej profesji.

- Karl Johann - odezwał się za nim ktoś niskim głosem.
- Miał malować jakiegoś Vanderbilta, ale hojne honorarium potrafi zdziałać cuda...
- Ładne - przyznał Raf.
- Spróbowałoby nie być. - Biznesmen rozejrzał się, by sprawdzić, czy rzeczywiście nikogo więcej nie ma w holu. A może zainteresował go odgłos tłuczonego szkła, który rozległ się echem w korytarzu? Nawet jeśli tak, nie wydawał się przejęty. - Moja żona domaga się pańskiej śmierci. Albo żeby ucięto panu jaja. - Wzruszył ramionami. - Tłumaczyłem jej, że takie się nie postępuje z bejami. Przynajmniej nie otwarcie, no, chyba że nie ma się oleju w głowie. Ale nie dlatego jej odmówiłem... - Hamza świdrował Rafa uważnym spojrzeniem, a gdy nie doczekał się pytania, lekko pokiwał głową, jakby tego się właśnie spodziewał. - Córka opowiedziała mi o zdarzeniu w tramwaju.

Jakim tramwaju? - miał już zapytać Raf, zachował jednak milczenie.

Po chwili Hamza wykrzywił swe mięsiste wargi w przelotnym uśmiechu.

- Cenię w ludziach dyskrecję. Cóż, w pańskim fachu pewnie jest niezbędna.

Nie była to bynajmniej odpowiedź na jego wątpliwości.

Z mgły niedawnego pogrzebu i wczorajszego morderstwa wyłoniło się, niczym duch, pewne wspomnienie. Zara z bukietem kwiatów. Zara wymiotująca bez skrępowania na rozkołysaną drewnianą podłogę. Wystraszony czarnoskóry chłopak z przebitym nosem, który chciał ją chwycić za rękę i napotkał przy tym otwarte spojrzenie Rafa. A więc o ten tramwaj chodziło!

Wtedy po raz pierwszy ujrzał jej twarz...

- Matka ciągle wierzy, że córka spędziła tamten wieczór z koleżanką z pracy - rzekł Hamza. - Jakbyś nie wiedział, Zara pracuje w bibliotece. - Pomimo zażenowania wyrażał się o niej z nieskrywaną dumą. A był zażenowany, i to jak!
- I wierzy w to zatrucie małżami. W odróżnieniu od niej ja

Pasza-zade

11

potrafię rozpoznać kaca. I jestem święcie przekonany, że gdziekolwiek spędziła noc, z pewnością nie spała u... - Hamza urwał w pół zdania, jakby zapomniał, do czego właściwie zmierza... - Trudno pana winić - stwierdził w końcu suchym tonem. - Mógłby pan sobie wybrać miss Afryki Północnej. Po co pakować się w kłopoty, nieprawdaż? Ale proszę mi wierzyć, to dobra dziewczyna. - Zagryzł cygaro i dłuższą chwilę wpatrywał się w dym, ulatujący krętą drogą pod niebotyczny sufit. - Nie mogę wyjaśnić matce, czemu pan ją odtrącił.

- Chwila! - Raf uniósł rękę. - To nie miało z tym nic wspólnego. Ile ona ma lat?
- Dziewiętnaście.
- Otóż to. Ja dwadzieścia pięć. Nie zamierzam się żenić z obcą mi osobą. I chyba ona również...



Hamza odpowiedział z gardłowym śmiechem:

- Tego właśnie obawia się jej matka.

Raf milczał, bo i cóż miał powiedzieć?

- Zostawmy to na razie - rzekł Hamza. - Nie przyszedł pan tu po to, żeby rozmawiać o mojej córce. Czego pan chce?

- Po pierwsze, zadać panu pytanie.

- Proszę się nie krępować. - Miliarder wydawał się czymś skrycie rozbawiony.

- A więc dobrze. - Raf obserwował skronie Hamzy, jego usta i oczy. - To pan zabił moją ciotkę?

- Nie, nie ja. - Ciemne źrenice ani się nie zwężyły, ani nie rozszerzyły. Kąciki ust pozostały na swoim miejscu, a skroń pulsowała równo jak precyzyjny mechanizm.

Raf nie potrzebował wykrywacza kłamstw, aby wiedzieć, że ten człowiek nie zamordował lady Nafisy.

- Oczywiście - dodał Hamza - mogłem naśląć na nią zbirów...

\*\*\*

Siedzieli w wyłożonym boazerią gabinecie, skąd rozpościerał się widok na Morze Śródziemne. Bardziej na prawo fale rozbijały się o przylądek, spomiędzy skał dmuchały wysoko pióropusze piany. Równocześnie na plaży pod oknami woda wpływała na piasek i spokojnie odpływała, jakby się z nim pieściła.

1

Jon Courtenay Grimwood

Pili kawę z odrobiną koniaku. Raf wyczuł jego smak na języku, jakkolwiek nie wspomniano ani słowa o alkoholu, kiedy elegancka służąca przyniosła srebrny dzbanek na grubej, srebrnej tacy. Odmówił cygara, czekając, aż gospodarz odgryzie końcówkę nowego partegasa - klnąc przy tym, bo przypominał sobie, że przyrzekł używać specjalnej gilotynki.

- No, dobrze... - Odciął nierówne zęby cygara nad kryształową popielniczką. - Co by pan jeszcze chciał wiedzieć? - Pasma dymu wiły się wokół jego głowy niczym opary suchego lodu przed diabłem z pantomimy.

Raf nie miał wątpliwości, że to zamierzony efekt. Wszystko, co tu widział, utwierdzało go w przeświadczeniu, że Hamza podejmuje herkulesowe wysiłki, aby uchodzić za kogoś, kim nie jest, a więc za spokojnego, życzliwego i kulturalnego człowieka. Tylko dlaczego? Raf i tak musiał być pod wrażeniem domu i jego malowniczej okolicy.

- No, co jest? - burknął Hamza. - Odezwie się pan w końcu? Czy będzie pan tak siedział i gapił się na wystrój wnętrza? - Gestem ręki wskazał ciemną dębową boazerię, rzeźbiony kominek z marmuru, błyszczącą podłogę i zajmujące całą wysokość ściany okna w stylu art nouveau.

- Chodzi o moją ciotkę... - Raf dopił kawę i rozsiadł się wygodniej w czerwonym, skórzanym

fotelu. Rozsądek podpowiadał ostrożnie podejść do sprawy. Postanowił więc zadać pytanie na konkretny, lecz niekoniecznie interesujący go temat. - Co chciała mieć z tego ślubu?

- Jest pan bejem - odparł spokojnie Hamza. - A ja bogaczem. Czy to takie skomplikowane, do licha? - Już się nie uśmiechał.

- Posag został objęty zarządkiem powierniczym - rzekł Raf, usiłując przypomnieć sobie, czego nauczył się po południu przed ekranem Hani, w trakcie przeglądania witryn prawniczych. - Podlega zwrotowi w przypadku rozwodu, jeśli związek nie jest skonsumowany lub jeśli nie ma potomstwa. Do wzięcia są jedynie odsetki, które ja inkasuję.

- Miała duże wydatki.

- Pan jej płacił?

- W tym mieście wszyscy żyją z prowizji. - Hamza zgasił cygaro i wyciągnął następne z mahoniowego pudełka. Tym

Pasza-zade

1

razem pamiętał o odcięciu końcówki złotą giłotynką. - Dostała 2.5 mln dolarów.

- Dwa i pół... Ile z tego wносиła prowizja?

Hamza efendi patrzył na niego z uwagą.

- To właśnie była prowizja. Posag był wart okrągły miliard.

Raf aż gwizdnął. Czasem odruchu nie da się powstrzymać.

- A pan? - spytał. - Co pan by z tego miał? - Sądząc po królewskiej willi, kubańskich cygarach, służącej w unifor-mie i ochroniarzu wystrojonym w surdut, Hamza nie potrzebował rzeczy materialnych.

- Poważanie - odpowiedział otwarcie. - Zdziwiłby się pan, ile znaczy odpowiedni tytuł...

Nie, pomyślał Raf, wspominając, jak Felix hamował panią koroner przed stosowaniem drastycznych form nacisku podczas przesłuchania. Wcale by się nie zdziwił.

- Chedyw nie odbierze panu tytułu efendiego?

Hamza uśmiechnął się drwiąco.

- Niechby tylko spróbował...

Raf wolno pokiwał głową, ostrożnie ważąc każde jego słowo.

- Ja mam problem i pan ma problem - powiedział. - Szczerze mówiąc, mam dwa problemy i oba trudne do rozwiązania. Ale pański jest gorszy.

- Pogadajmy najpierw o moim.

- Policja. Chartum słyszał, jak groził pan lady Nafisie.
- Panu także groziłem - przypomniał Hamza. - Pogardził pan moją córką.
- Ale ja żyję, a Nafisa nie. Jutro z samego rana zostanie pan tymczasowo aresztowany. Wypróbują na panu kilka sztuczek.
- Skąd pan wie?
- Od Felixa z dochodzeniówki.
- I przyszedł pan mnie ostrzec? - Mężczyzna w zadumie zgasił drugie cygaro, lecz nie sięgnął po trzecie. - Jest pan pewien?

Raf potwierdził skinieniem głowy.

- Łącz mnie z Sookią, Syn i Sookia! - warknął Hamza do urządzenia Sony na stoliku pod ścianą.

1

Jon Courtenay Grimwood

Po kilku sekundach nieduży, płaski ekran ożył. Rozmowa była krótka i jednostronna. Na koniec Hamza pstryknął palcami i zgasił ekran, ucinając bez ceregieli wyjaśnienia młodego prawnika w piżamie. Raf był pewien, że facet zjawi się w willi w ciągu pół godziny, jak sobie tego życzył Hamza.

- Co pan zrobi? - zapytał.
- Jeszcze dzisiaj wpadnę z prawnikiem na posterunek i wyjaśnię sprawę. A co pan myślał? Dobrze, teraz moja kolej. Ma pan trzydzieści minut, żeby opowiedzieć mi o swoich kłopotach. Jeśli będę w stanie pomóc, pomogę, czy to się mojej żonie podoba, czy też nie.
- Pytanie zasadnicze: wie pan coś może o długach lady Nafisy?
- Nie, a czemu pan pyta?
- Bo ma zero na koncie.

Hamza zmarszczył czoło.

- Zero? Roztrwoiła całe dwa i pół miliona?
- Jeśli wierzyć temu, co pisało w notesie, dostała milion i jeszcze w tym samym dniu spłukała się z kasy.
- Wysłała pieniądze z jednorazowego konta?

Owszem, w notesie zapisała, że tak właśnie to się odbyło. Raf pokiwał głową. Wolał nie wnikać, co Hamza wie o jednorazowych kontach, choć przypuszczał, że w tym temacie jego wiedza jest dość duża.

- A reszta? Półtora miliona? - zapytał przemysłowiec.
- Kamień w wodę.

Hamza pokiwał głową.

- Dostała je w czekach na okaziciela, wystawionych przez bank Hongkong-Suisse. Wszędzie je honorują.

Przez chwilę obaj rozmyślali o czekach pieniężnych na okaziciela i wnioski z tych rozmyślań wcale im się nie podobały.

- A pański drugi problem?
- Może pan polecić dobrych fachowców? Szykuje mi się remont.

Przez resztę czasu, czyli dziesięć minut, Raf zwierzał się ze swoich zamierzeń dotyczących kaa. Postanowił bowiem usunąć wszelki ślad po gabinecie Nafisy. Mimo pozorów komfortu w postaci przyciemnianych szyb była to w gruncie

ii

u

Pasza-zade\_155

rzeczy droga, prefabrykowana komórka, wciśnięta w kąt dużej powierzchni mieszkalnej. Najchętniej zabrałyby Hani z medresy, ale zdaniem Felixa, mogłoby to zostać opacznie odebrane. Poza tym, Rafa trapił jeszcze jeden problem, który przekreślał ten ostatni pomysł. Otóż jego wynagrodzenie w biurze Trzeciego Rejonu Irygacyjnego było w zasadzie symboliczne. Nie miał zatem pieniędzy, a garnitur stanowił cały jego dobytek. Przynajmniej do chwili zatwierdzenia testamentu. Nawet jeśli ta sprawa zostanie rozstrzygnięta na jego korzyść, będzie miał na głowie niszczący dom i związane z tym spore wydatki.

Nie wyznał tego jednak swemu gospodarzowi - człowiekowi, który odłożył miliard dolarów na poczet wiana córki. Wolał się skupić na konkretnych szczegółach, więc tłumaczył, jak planuje przebudować kaa i dlaczego.

Kiedy więc Hamza wspomniał o konieczności pobłogosławienia kaa i zaraz się poprawił, proponując objąć błogosławieństwem cały dom, Raf mocno się zdziwił. Uważał przemysłowca za osobę niezbyt religijną, i słusznie, lecz pomysł wydawał się dobry.

- Moja matka przewróciła się i umarła - rzekł Hamza.
- Dopiero kiedy mułła pobłogosławił to miejsce, odważyłem się zajrzeć do ogrodu. Miałem dziewięć lat. W tym wieku człowiek widzi rzeczy, które nie istnieją.

Mając dwadzieścia lat, też je widzi, pomyślał Raf z goryczą. I dwadzieścia pięć. Pewnie i trzydzieści, czemu by nie? A może i na łożu śmierci? Może pewne rzeczy, jeśli już się zagnieżdżą, to robią to na dobre, nieodwołalnie, jak Tiriga-nak.

Dalszą rozmowę przerwał odległy dźwięk dzwonka. Prawnik przeprawił się na drugi koniec miasta w czasie krótszym niż dwadzieścia pięć minut.

- Niech pan posłucha - powiedział Hamza. - Nie będę udawał, nie lubię pańskiej ciotki, ale do Hani nic nie mam. Pójdę więc panu na rękę. - Uśmiechnął się do swoich myśli.

- Jeszcze dzisiaj pošlę tam brygadę. Jaki pożytek z posiadania firmy budowlanej, jeśli nie da się na poczekaniu skrzyknąć paru robotników, prawda? - Podeszedłszy do okien balkonowych, przesunął dwie zasuwki i wyłączył alarm przez wpro-

156

Jon Courtenay Grimwood

wadzenie pięciocyfrowego szyfru na małej klawiaturze przy framudze.

Raf wiedział, że to koniec spotkania.

- Wyjdzie pan tędy. - Hamza otworzył okno i wiatr dmuchnął do środka ciepłym, nocnym powietrzem. - Przynajmniej czeka pana miły spacer.

Pasza-zade

Rozdział

7 lipc\*

i

Dziewczyna w wodzie wiedziała, że światła nie rzucają miejskie latarnie rozstawione wzdłuż brzegu - ani też odległe, bardzo odległe gwiazdy, do których podróż trwałaby niezliczone wieki, ponieważ te ledwie przebłyskiwały między pierzastymi chmurami. Bynajmniej. Światło sączyło się z jej palców, jakby łamanym alfabetem Morse'a, i rozścielało wokół nóg mgławice iluminacji. Wspaniałe konstelacje płonęły nad ramionami i spływały po skórze niby skrzący się dym, spychany superprecyzyjnymi podmuchami wiatru. Dziewczyna była nocą i noc była dziewczyną.

Już w wieku siedmiu lat Zara przychodziła po ciemku na tę plażę, żeby popływać. Ale dopiero przed trzema laty zaczęła palić trawkę, bo dzięki niej błyszczące gwiazdozbiory przybliżyły się na wyciągnięcie ręki.

Kiedyś wieczorem przyprowadziła tu Avatara, na dzień przed swoją wyprawą do Nowego Jorku. Cóż, pewnych pomysłów po prostii nie powinno się realizować i to był właśnie jeden nich. Żle się czuł w wodzie, nie chciał się przed nią rozebrać, a jeden z jego nowych kolców w uchu zardzewiał i wdała się infekcja. Nazajutrz, już na pokładzie samolotu, gdy było za późno na przeprosiny, uzmysłowiła sobie, że bez względu na okoliczności, i tak Villa Hamza nie przypadłaby mu do smaku. Jej też by się nie spodobała, gdyby urodziła się w slumsach, skazana na życie we wstrętnych norach.

Tak więc Zara przychodziła tu zawsze późno i samotnie.

Wydostać się z pokoju było całkiem łatwo. Zeskakiwała z okna, co nawet w dzieciństwie nie stanowiło problemu, spacerkiem przemierzała pięć kroków po solidnie ułożonych

Jon Courtenay Grimwood

dachówkach, a potem schodziła po krótkiej, grubej rynnie z żelaza - wykonanej w tradycyjnym stylu, przymocowanej klamrami do ściany. Czasem los się do niej uśmiechał.

Jedynie tych morskich kąpeli brakowało jej w Nowym Jorku. Nie umywał się żaden basen. Dawniej wyobrażała sobie, że byłaby szczęśliwsza nawet jako dziecko ulicy, gdyby tylko mogła tu w nocy przychodzić. Teraz wiedziała, że wyłącznie pieniądze dawały tę swobodę, pozwalały kąpać się w stonej wodzie, bez świadków, nago... Ale nawet pieniądze miały swoje wady, choć trzeba było mieć ich w bród, aby w to uwierzyć.

Oto jej świat. Samotność, spokój i cały nieskończony przestwór Morza Śródziemnego jako rezerwar pokarmu dla ducha. Jej matka gardziła morzem.

Zara wpłynęła pod falę, rozkoszując się chwilą, kiedy ciepła, czarna toń zamykała ją w sobie, powietrze uciekało z ust, a ciało wolno opadało, aż stopy dotknęły dna. Skały były okryte kobiercem glonów, a wodorosty kotływały się wokół kostek jak ostra trawa.

\*\*\*

Raf krzyczał... czego właściwie nigdy nie robił... Przystał, przemyślał to w ciągu sekundy i znowu zaczął krzyzczeć. Odpowiedział mu chlupot fal na ciemnych skałach.

Triangulacja. Koncepcja zaświtała mu w głowie, nim znalazł dla niej nazwę. Określiwszy własne położenie, odwrócił się do miejsca, gdzie stał jeszcze niedawno, i spróbował przypomnieć sobie, gdzie dokładnie zobaczył głowę.

Powinna być...

Błądząc wzrokiem po czarnych falach, dostrzegł postać przebijającą się na powierzchnię. Gdzieś w pobliżu ponownie rozbrzmiały krzyki. W jego myślach powtarzała się w kółko litania złożona głównie ze słów: kurwa, cholera, jejku, Boże...

- Melduję się na rozkaz! - odezwał się lis.

Raf zdjął marynarkę z taką gwałtownością, że pękła pod pachą. Rękawy, wywrócone na drugą stronę jak skóra węża, odsłoniły swą czerwoną, jedwabną podszewkę. Zrzucając buty, ściągnął przez głowę czarną koszulkę i bez namysłu cisnął wszystko na mokre kamienie. Serce waliło mu młotem.

Pasza-zade

1

- Ochłoń! - zasugerował lis.

Rytm pracy serca natychmiast się uregulował. Raf nie widział zwierzęcia, ale odzywało się gdzieś z bliska. Wydawało się też wysokie, prawie takie jak on, a posługiwało się głosem, który wdzierał się pazurami w jego wspomnienia.

- Zmruż powieki.

Raf posłuchał rady lisa. Doświadczenie uczyło, że tak jest bezpieczniej.

- A teraz do wody!

Morze było nadspodziewanie ciepłe i słone jak krew. Nieszczęsny pływak wypuścił się dalej, niż to wyglądało z brzegu. Ciało Rafa delikatnie fosforyzowało. Niewygodne spodnie stawiały opór niczym czasza spadochronu, tym niemniej posuwał się do przodu, dystans systematycznie malał.

Oczyszczyć palcem jamę ustną, odchylić głowę ku tyłowi... zatkać nos, wziąć głęboki oddech i wdmuchnąć powietrze do płuc... Oderwać usta i poczekać, aż klatka piersiowa opadnie...

Sztuczne oddychanie metodą usta-usta nie sprawi mu problemu. Reanimacja też nie, jeśli do niej dojdzie. Dwa palce powyżej dołu mostka, nasadę dłoni na mostek, silny ucisk... Zdumiewała go zawsze liczba pozornie przypadkowych faktów, które mógł wydobyć z pamięci. Zwłaszcza że nie należał do tych, co uważają na lekcjach.

Zara wynurzyła się za nim. Ciągle chichotała, dopóki Raf się nie odwrócił i blask księżyca nagle nie oświetlił jego twarzy.

- To ty?! - Nie wierzyła własnym oczom, wstrząśnięta.

- Ano ja - odparł cierpko. Zamierzał jej dopiec jakąś kąśliwą uwagą, gdy wtem woda opadła i odstąpiła jej ramiona. Zobaczył nagą skórę, ani śladu kostiumu kąpielowego. Przez kilka sekund trawił to, co widziały jego oczy i na co gruczoł nadnerczowy już zareagował. Kąpała się nago. - A kogo się spodziewałaś?

Nie od razu odpowiedziała.

- To moja plaża. Wkroczyłeś na teren prywatny.

A to dopiero! Myślała, że ma przed sobą przygłupa, który wkradł się na cudzy teren?

Pokręcił głową.

- Twój ojciec mi kazał...

1

Jon Courtenay Grimwood

Cholera! Jasna cholera!

Czy Hamza na to liczył? A jeśli tak, to jaki miał w tym cel? Raf położył się na wodzie, odepchnął nogami i ruszył z powrotem do brzegu. Raz po raz przeklinał swoją głupotę. Na plaży dał sobie spokój z ubieraniem, po prostu zwinął koszulkę, marynarkę i buty w byle jaki tłumok i zamasztywnym krokiem udał się do willi. Miał w nosie to, ilu zebrało się tam prawników.

- A ty dokąd!? - zawołała z wody Zara.

- Poproszę, żeby ktoś mnie odwiózł do domu - odparł ze złością. - Kto mnie wpuści do taksówki w takim stanie?

- A przejść się to nie łaska? - krzyknęła. - Wszyscy normalni ludzie tak robią.

Raf odwrócił się i zmierzył ją twardym spojrzeniem.

- Hani na mnie czeka - rzekł chłodno. - Wczoraj zamordowano jej ciotkę. Żeby wziąć udział w pogrzebie, dziś rano po raz pierwszy w życiu wyszła z domu. Śpimy na dziedzińcu, bo boi się wejść do środka. Jest późno, a obiecałem, że długo tu nie zabawię. Tak trudno to zrozumieć?

Oblicze Rafa tchnęło lodowatym spokojem, słowa były praktycznie pozbawione intonacji. W ten sposób mógłby przemawiać do szczególnie tępego dziecka... tyle że do żadnego by tak nie powiedział.

- Daj mi pięć minut - odparła. - Spotkamy się przy bramie. - Wyszła na plażę trzydzieści kroków dalej, gdzie wcześniej poskładała ubranie. Wkrótce biegła w stronę willi, klnąc w duchu głównie na siebie.

\*\*\*

Wszystko przez słońce. W Afryce Północnej kabriolety sportowe były szczególnie duże, nawet te wytwarzane w miejscowych zakładach. Maroko miało swojego chłodzonego powietrzem atlasa, Algieria sprowadzała radzieckie trzykołowe felerne soviet benze, a kraje osmańskie zadawały się produkowanymi na podlicencji Forda gruchota-mi, znanymi z nieszczelnych silników i kłębów spalin z rury wydechowej; miały wszakże tę niekwestionowaną zaletę, że mógł je rozebrać na części dziesięciolatek, a kowal naprawić.

Pasza-zade

11

Oczywiście każdy, kto trochę lepiej zarabiał, decydował się na wóz importowany z Japonii. Były to przeważnie okrojone wersje dawnych amerykańskich potworów z chromowanymi wykończeniami, staroświeckimi statecznikami i wyłupiastymi reflektorami. Prezentowały się okazale, uprzedzały o konieczności uzupełnienia paliwa i praktycznie same zgłaszały się do serwisu. Mało tego, samodzielnie ściągały programy do podkręcenia osiągow, co - biorąc pod uwagę silniki z dwunastoma maleńkimi cylindrami i czterdziestoma ośmioma zaworami - miało duże znaczenie.

Samochód Zary pochodził jakby z innej bajki. Silnik V6 o mocy 240 KM dzięki turbodoładowaniu osiągał moc znacznie powyżej 300 KM. Silne, wielopunktowe przednie lampy wykorzystywały technologię diod świecących. Aerodynamiczny wlot powietrza do chłodnicy i zamocowany z tyłu dyfuzor sprawiały, że koła doskonale trzymały się nawierzchni.

Samochód był niski, srebrny, bez zbędnych upiększeń. Ściągnięty dach dwumiejscowej kabiny pasażerskiej odsłaniał przejrzysty układ przełączników i wskaźników, łączący w sobie elementy piękna i funkcjonalności. Deska rozdzielcza, osłona skrzyni biegów, szkielet kierownicy, wszystko zostało odlane z aluminium. Był to pierwszy sportowy jaguar F-type, którego Raf widział poza muzeum w Seattle.

- Wskakuj i trzymaj się!

Raf złapał się klamki w drzwiach, a Zara ruszyła z kopyta, szarpiąc lewarkiem w błyskawicznej serii zmienianych biegów. Wolała to robić ręcznie, niż zdać się na automatykę. Potem pędzili niemalże bezgłośnie. Silnik jaguara wydawał z siebie co najwyżej pomruk, gdy bolid pruć pustawą o tej porze promenadą i, zostawiając ślady opon na jezdni, ostro skręcał na Place Orabi.



Pomnik chedywa Muhammada Alego tylko mignął, rozmyty i przez to mało imponujący. Place des Consuls pozostał w tyle równie szybko. Skrót przez zaułek między katolicką katedrą i przybytkiem greckiego kościoła prawosławnego doprowadził ich do Rue Kemil. Nieoświetlone sklepy po obu stronach ulicy przeglądały się wzajemnie w ciemnych witrynach, póki wśród nich nie zjawiał się z jaguar, omiatający reflektorami złuszczone napisy nad zamkniętymi drzwiami.

16

Jon Courtenay Grimwood

- Nie robię tego ze względu na ciebie - oświadczyła twardo Zara, kiedy samochód z piskiem opon zatrzymał się przy wylocie Rue Cif. Już po chwili znowu przerzucała biegi.

Raf stał sam na rogu ulicy, pięćdziesiąt kroków od miejsca po drugiej stronie muru, gdzie czekała Hani.

Pasza-zade

Rozdział 29

Seattle

Materia była w ciągłym ruchu. U jej podstaw, tych najgłębszych, atomy z sobą współdrgały, elektrony przeskakiwały z orbity na orbitę. Gdy tymczasem oko karmiło się złudnym wrażeniem jednorodnej całości... Rzecz jasna, na poziomie człowieka ruch też odgrywał znaczącą rolę, jeśli bezmyślne typy nie potrafiły usiedzieć na swoim miejscu. Przynajmniej lis tak twierdził.

Dziki Chłopiec jechał hondą 650 z wykonanym na zamówienie tłumikiem sportowym, nie większym od tłumika do karabinka Ruger. Motocykl był japoński i sam Dziki Chłopiec był Japończykiem, co jednak nie miało większego znaczenia: podobnym motocyklem jeździł ZeeZee, ponieważ ten model stanowił standardowe wyposażenie komanda ulicznego Hu San.

Dziki Chłopiec udawał się na spotkanie z ZeeZee'em... Ogólnie, ubierał się w modne, choć krzykliwe jedwabne garnitury, które łagodziły efekt nastroszonych włosów, a zarazem podkreślały szczupłe ramiona i wąskie biodra. Z przodu - jak podobało się Hu San - miał równiutko przyciętą grzywkę, ujmującą w ramkę zielone oczy i odstające kości policzkowe. Na rękę zegarek z matowej stali: Tag Heuer; sznurowane buty: Louis Vuitton; bawełniana koszulka: Abercrom-bie&Fitch; na ciemnym garniturze biały płaszcz: Moschino; szerokie przyciemniane okulary: Alain Mikli. Palił wyłącznie papierosy Gitanes, przechowywane w czarnym, emaliowanym pudełku z zatrzaskiem od Gucciego. Otaczał się wyrobami przedniej marki...tyle tylko, że równie dobrą marką nie cieszył się w Bractwie Pięciu Wiatrów...

1

Jon Courtenay Grimwood

Dopiero po dwóch miesiącach ZeeZee zrozumiał, co robi Dziki Chłopiec. Początkowo sądził, że jest krewnym Hu San. Potem, że jej gorylem. Choć trochę powątpiewał, bo na co ochrona komuś, kto z taką wprawą posługuje się mieczem? Chyba że chodziło o prestiż. Koniec końców, sam tego nie wykombinował. Oświecił go dopiero Artan, chorwacki żołnierz Hu San.

- Przecież on ją bzyka, ciotku. To jej gaszek, nie wiedziałeś?

A więc Dzikie Chłopiec nie ochraniał Hu San. To ona chroniła jego.

ZeeZee był zniechęcony przez Dzikiego Chłopcę, może dlatego, że Hu San go przygarnęła. Bądź co bądź, tylko on reprezentował białą rasę w bractwie. Artana nie brał pod uwagę. Hu San używała tyle samo żołnierzy, co Dzikie Chłopiec zjadał chińskiego żarcia na wynos... które niejednokrotnie żołnierze przypominali po misjach we wrogich dzielnicach miasta. Choć "z każdym tygodniem tych dzielnic ubywało.

Jedyną markową rzeczą, jaką ZeeZee miał przy sobie, był mały taurus kalibru .357 cala z profilowaną rękojeścią, dwucalową lufą z redukcją odrzutu i szkieletem w kolorze matowego błękitu. Trzymał go jednak w taniej, bo kosztującej ledwie 10 dolarów neoprenowej kaburze z Gunmarta. Nie potrzebował rewolweru, a nosił go tylko na życzenie Hu San. W przeciwieństwie do spluwę Dzikiego Chłopcę na swoją broń miał pozwolenie, była czysta i jeszcze nie używana. I wolał, żeby tak zostało.

Robota, którą mu przydzieliła Hu San, była prosta jak drut. Przed stu laty w pewnym nadbrzeżnym barze angielski eks-policjant Charles Jardine spotkał prawnika z Seattle Angusa Bannermana. Po kilku wódeczkach skystalizowała się przyszłość firmy Jardine&Bannerman: agencja miała wyřęcać w śledztwie i potyczkach z prawem ludzi z problemami, a także - na marginesie swojej działalności - doręczać wezwania do sądu i składać poręczenia majątkowe.

Kiedy ZeeZee został przyjęty w szeregi organizacji, prawne i śledcze aspekty funkcjonowania firmy żyły już tylko we wspomnieniach lub dogorywały w pleśniejących księgach

w

Pasza-zade 165

w piwnicy. Czasem jeszcze zajmowano się poręczeniami majątkowymi, jednak głównym źródłem dochodów stało się wręczanie pozwów sądowych typom spod ciemnej gwiazdy, zwłaszcza takim, do których niebezpiecznie się zbliżyć. Na papierze - a w zasadzie na mikrofilmie w magazynie na obrzeżach miasta i w ratuszu na wypalcowanym krążku DVD - firma była określona jako samodzielna i niezależna, zarządzana przez udziałowców. W praktyce, przedsiębiorstwo należało do Hu San i to ona nim rządziła. Nieraz nazywała je w żartach, z uśmiechem, Jade&Bamboo. Jak to bywało z jej dowcipami, ZeeZee rzadko chwycił puentę dowcipu.

Jego praca wyglądała następująco: ładnie się ubierał, kierował swoje kroki do holu recepcyjnego w jakimś odpicowanym gmachu w Houston, Los Angeles lub Seattle (najczęściej w Seattle) i tam cwaną gadką torował sobie drogę na odpowiednie piętro. Niekiedy spacerkiem wchodził do ekskluzywnych klubów, jakby był stałym członkiem. Angielski akcent i nienaganne maniere ułatwiały mu sprawę.

Będąc w środku, przeproszał swą ofiarę za zamieszanie, wręczał wezwanie do sądu, wyciągał małeńkiego nikona i za chwilę raz jeszcze przeproszał, tym razem za zrobienie zdjęcia, na którym ofiara trzymała w rękach pismo. Następowo pstryknięcie, ciche i krótkie brzęczenie, a dowód kopiował się na firmowy serwer, nim wzywany osobnik zorientował się, co jest grane.

Wydawało mu się, że ludzie odnoszą się do niego z życzliwością, bo sam jest wobec nich życzliwy. Dopiero w Huntsville zdał sobie sprawę z jednej rzeczy: rewolwer zawieszony pod pachą robi lepszą reklamę niż szpanerska fryzura, eleganckie ubranie czy najlepsze karty kredytowe.

Mniej więcej rok daremnie starał się wykoncypować, co właściwie Hu San ma z tej firmy. Aż w końcu

zauważył, że na każde piętnaście, dwadzieścia teoretycznie trudnych do dostarczenia wezwań, z którymi sobie radził, trafiał się jeden przypadek, kiedy adresat ulatniał się jak nocna mgła o wschodzie słońca. Czasem jedynym śladem po delikwencie była niedojedzona kanapka bądź ubranie do prania. Innymi razy znikano z mieszkania dosłownie całe mienie, zostawały tylko gołe ściany.

1

Jon Courtenay Grimwood

Z początku nie dało się przewidzieć, która osoba z listy nagle zapadnie się pod ziemię, lecz z wolna ZeeZee rozwinął w sobie szósty zmysł. I tak pewnego jesiennego poranka, przestawiwszy kolejność dwóch wizyt, pojawił się w utrzymanym w klimacie art brut betonowym niby-bunkrze w okolicach Seattle.

Pozostawił czerwony motocykl Suzuki i swój czarny kask na szczycie wyboistej dróżki, która odchodziła od kruszejącej asfaltówki, by zbiec ku domowi i szarym wodom zatoki Puget Sound.

Facet na nabrzeżu najwyraźniej nie spodziewał się najścia. Zdębiał na jego widok, trzymając kurczowo swoją ciężką walizkę.

- Pan wybaczy, nie chciałbym przeszkadzać... - ZeeZee wyciągnął dłoń, a kiedy Micky O'Brian postawił walizkę, wsunął mu pozew do ręki i patrzył, jak palce zaciskają się instynktownie. Od tego ludzkiego odruchu wiele zależało w jego pracy. - Proszę o uśmiech.

Wczesnym popołudniem nieoczekiwane załamanie nerwowe Micky'ego OTBriana było głównym tematem lokalnych wiadomości, a na kanale Sky News tylko dwa tematy okazały się ważniejsze. Zniszczony przez narkotyki, cierpiący na wynikię z choroby AIDS zapalenie opłucnej, zatruty alkoholem, uzależniony od środków przeciwbólowych... Diagnozy dziennikarzy, wydumane i sprzeczne, zasadały się na kompletnej ignorancji. Krążyło tyle samo niesprawdzonych plotek, ilu było komentatorów zdarzenia.

Zdjęcia prywatnego ambulansu z przyciemnianymi szybami wyemitowano najpierw na kanale Celebrity Update, podobnie jak wywiad z siwowłosą kobietą w białym fartuchu, która przemawiała długo i namiętnie do kamery, nie udzielając żadnych wartościowych informacji. Padły oklepane w takich sytuacjach frazesy o tajemnicy lekarskiej, byciu dzielnym, nadziei, powrocie do zdrowia. Nazwa kliniki przewinęła się trzy razy, jakby to ona była gwoździem programu. Widzowie kanału poświęconego kręgom show-biznesu i tak wiedzieli, gdzie gwiazdom ratowano życie, zdrowie i karierę.

Wyglądało na to, że Micky OB pobędzie tam czterdzieści osiem godzin, w mocnych porywach siedemdziesiąt dwie.

Pasza-zade

1

Klinika z rozgłosem przyjmowała pacjentów, ale też zwalniała ich dyskretnie i szybko, jak żadna inna

na świecie.

Komentatorzy mieli słuszność tylko w jednej kwestii: agent O'Briana zarejestrował go w klinice, a dyrektor nie wpuszczał dziennikarzy na teren placówki. O tym, że Mic-ky'emu podrzucano wezwanie do sądu w sprawie nalotu na

handlarzy narkotyków, nikt jednak nie wspomniał.

\*\*\*

Dziki Chłopiec ostro zahamował przed mieszkaniem ZeeZee'ego, kiedy zmierzch na ulicach rozścielał mrok i opary mgły. Powiesił kask na ramieniu kierownicy i, pokonując po dwa stopnie naraz, ruszył po schodach na pierwsze piętro. Nie pukał, tylko wyważył drzwi wymyślnym kopniakiem i stanął w progu z zaciętym wyrazem twarzy.

- Hej, ciotku!

O, nie! Strach dławiał ZeeZee'ego, jakby gardło przemieniło się w zbiornik z rtęcią staroświeckiego termometru.

- Wydaje ci się, kurwa, że kim ty jesteś, co?

Bezsensowne pytanie. Ale tylko dlatego, że ZeeZee nie

umiał na nie odpowiedzieć. Wyręczył go wszakże Tiriganak, posługując się młodym Anglikiem jak marionetką.

- Dobrze wiem, kim jestem... - odparł głosem ZeeZee'ego. - I gównu mnie obchodzi, za kogo ty się uważasz.

Bez udziału własnej woli ZeeZee zeskoczył z łóżka i wyszarpnął z kabury taurusa.

Po ocknięciu się stał w pozie łudząco podobnej do zwykłej pozy Dzikiego Chłopca, z rozluźnionymi ramionami i ręką zwieszoną wzdłuż ciała. W tle, na ekranie przy sforsowanych drzwiach, wyświetlały się nie oglądane przez nikogo informacje; migwały niczym zbłąkane duszyczki na krawędzi pola widzenia. Był to archiwalny materiał filmowy o OBria-nie z czasów, kiedy grywał na scenie.

Dziki Chłopiec patrzył na broń z uśmiechem.

- Do tego trzeba mieć jaja.

W odpowiedzi ZeeZee głośno odciągnął kurek. Niektórzy ludzie Hu San spiłowali kurek na płasko, żeby ostrym końcem nie czepiał się ubrania. Ale nie ZeeZee. Jego rewolwer wyglądał jak fabrycznie nowy. Kiedy zaczynał pracować

16

Jon Courtenay Grimwood

dla Bractwa Pięciu Wiatrów, Dziki Chłopiec przyniósł mu pudełko z pięćdziesięcioma nabojami. Dziś w pudełku brakowało siedmiu. Znajdowały się w bębenku.

- Chcesz mnie wypróbować? - ZeeZee wycelował w niego lufę rewolweru. Pomruk arktycznego

lisa wystarczył, żeby świat zadrżał jak uderzony kryształ. Na jego twarzy rozlewał się uśmiech Tiriganaka.

- Mam dla ciebie wiadomość - powiedział Dziki Chłopiec i odgarnął znad oczu długi kosmyk czarnych włosów. - Hu San jest z ciebie niezadowolona. Uważa, że też powinienes być z siebie niezadowolony. - Przekazując wiadomość, próbował nie zwracać uwagi na dziwny uśmiech ZeeZee'ego. Potem wyszedł.

Pasza-zade

1

Rorbruł 30

8 lipca

Hamza dotrzymał słowa. Ekipa remontowa nadjechała o piątej rano dieslowskim maćkiem z logo HZ Industrial wymalowanym jak byk na boku ciężarówki. Kiedy zaparkowali na Rue Sherif, berbeijjski brygadzysta w pasiastej dżelabie obszedł dom i zaczął walić po drzwiach, póki nie zjawił się, mrużąc oczy, zaspany Raf.

Na dobrą sprawę, powinien wyjść Chartum, który jednak siedział nieporuszenie w kącie dziedzińca, niedaleko miejsca, gdzie spała Hani. Z jego słów można było wnosić, że boi się powrotu morderców.

Młody Berberys zdziwionym spojrzeniem ogarnął przydzwiewek Rafa; wyświechtany szlafrok, wygrzebany w starej szafie na pierwszym piętrze, świadczył o skąpstwie zmarłej lady Nafisy. Normalny człowiek wywaliłby taką szmatę do kosza.

- Wasza Ekscelencja?

- Aszraf al-Mansur - przytwierdził Raf z uśmiechem. - Hamza efendi pana przysłał?

- Tak, Waszą Ekscelencjo... - Robotnik ciekawym wzrokiem sięgał nad ramieniem Rafa ku wąskiemu wejściu z ławeczką odźwiernego i tradycyjnym ślepym zakończeniem. Wnoszenie materiałów budowlanych tą drogą granaczyłoby z niemożliwością. A co do usunięcia rozebranych ścian gabinetu na piętrze... - Czy Wasza Ekscelencja...?

- Od strony Rue Sherif - przerwał mu Raf. - Ale są zamurowane.

Po pięciu minutach brygadzysta wrócił z dwoma robotnikami, którzy wyglądali jeszcze młodziej od niego. Nie mieli przy sobie żadnych skomplikowanych narzędzi, jedynie łomy.

r

1

Jon Courtenay Grimwood

Następnie, równo ze świtem, zjawiła się policja: dwóch funkcjonariuszy. Musieli przejść po gruzie, bo przegroda w drzwiach frontowych została już zburzona. Nikt nie skarżył się na hałasy ani nie zadzwonił z donosem na parkującą ciężarówkę. I nie przyszli sprawdzać, czy przypadkiem nie rozbiera się ściany, aby zrobić przejście przed wynoszeniem fragmentów miejsca zbrodni. Chodziło im o Rafa. Przy czym

Felix nie pokazał się osobiście, co oznaczało, że wściekł się nie na żarty.

Pięć minut po policjantach przyjechała madame Mila długim, niebieskim mercedesem z przyciemnianymi szybami. Równie dobrze mogła przedstawiać się transparentem: ważny urzędnik rządowy. Raf odtwarzał w myślach cały łańcuszek zdarzeń. Hamza w towarzystwie prawnika przybył na posterunek i usprawiedliwił swą wizytę słowami Rafa. Potem wrócił do domu. Felix, wnerwiony, obudził ministra i poprosił o pozwolenie aresztowania Rafa.

Zastanawiał się tylko, czemu minister natychmiast skontaktował się z madame Milą i czego ona od niego chce. A chodziło o podpis.

- Tutaj, proszę. - Kobieta podsunęła mu notes elektroniczny i podała pióro.

Raf spojrział na wyświetlacz i pokręcił głową.

- Chciałbym wiedzieć, co podpisuję...
- A co, czytać pan nie umie? - zapytała z niedowierzaniem.
- Nie po arabsku. Ale mówić umiem. A jak pani idzie angielski?

Puściła pytanie mimo uszu.

- No dobra... - Wziął notes i podał go Hani. - Co tam napisano?

Dziewczyna przebiegła wzrokiem po arabskich zawijasach, potem raz jeszcze przeczytała treść, wolniej, bezgłośnie ruszając wargami.

- Ja tego nie chcę. - Skierowała na Rafa oczy szeroko otwarte ze strachu.
- Czemu nie? - niecierpliwił się. - Co tam w końcu pisze?

Zamiast niej odpowiedziała madame Mila:

Pasza-zade

11

- Wyznaczono mnie na kuratora Hani. Wniosę o ustanowienie opieki prawnej nad dzieckiem.
- Trafi do sierocińca?

Pani koroner popatrzyła na niego jak na wariata.

- Lady Dżalila zgodziła się zaopiekować dziewczynką.
- Zerknęła na Hani. - Możesz mówić o szczęściu, młoda damo.
- Skoro to decyzja sądowa - rzekł wolno Raf - to czemu potrzebny jest mój podpis?
- Formalności, wie pan.
- A jeśli nie podpiszę?

- Dziecko i tak będzie zabrane.
- Tylko nie od razu. - Raf pokiwał głową w zadumie i oddał notes. - Obawiam się, że nie mogę tego podpisać. Dziecko zostanie tutaj, z opiekunką. - Wskazał Donnę, starszą panią, która kręciła się u wejścia na dziedziniec i z przejęciem śledziła bieg wypadków. Pełniła funkcje kucharki, dbała o porządek w domu i sprzątała po Ali Dinie. Dodatkowe obowiązki oficjalnej opiekunki dziecka nie powinny być dla niej dużym ciężarem. - To co, jestem aresztowany? - rzucił pod adresem starszego z dwójki policjantów.
- Bo nie wiem.
- Ależ skąd, Wasza Ekszelencjo. Mamy rozkaz doprowadzić pana na posterunek na przesłuchanie.
- W takim razie, dołączę do was zaraz po śniadaniu.
- Zauważył wahanie na ich twarzach. - Spokojnie, możecie przedzwonić do szefa i powiedzieć mu, że nigdzie nie uciekam.

Donna przygotowała prosty posiłek. Na olejowym piecu w kuchni, gdzie jedli śniadanie, podgrzała chleb aisz sham-si, do którego dodawano odrobinę słodkiego masła i wielki kubek gorącej czekolady z cynamonową posypką. Donna nie zapomniała też o czekoladzie i ciepłym chlebie dla robotników. Na koniec poszła z tacą do czekającego na ulicy wozu policyjnego.

- Kobieta odjechała - oznajmiła dziewczynka z pełnymi ustami, tłumacząc z portugalskiego informację od Donny. Otrząsnęła się ze strachu, bo był jasny dzień i miała przed sobą talerz z ciepłym jedzeniem, lecz pomimo tego dręczył ją niepokój. - Naprawdę, musisz tam jechać?

12

Jon Courtenay Grimwood

Raf kiwnął głową.

- Ale wrócisz?
- Oczywiście - odparł zdecydowanym głosem. - Chyba chcą ze mną porozmawiać o tym, co robiłem w Ameiycie.
- Kiedy byłeś zamachowcem?
- Nie byłem żadnym zamachowcem.

Hani uśmiechnęła się blado, półgębkiem, jakby tylko ona zrozumiała podtekst szczególnie pokrętnego dowcipu.

- No tak, nie byłeś... - Chwyciła większy kawałek chleba i zaczęła odrywać z niego paski. - Idę nakarmić Ali Dina
- oświadczyła i zwiła od stołu.

Moment później Raf usłyszał tupot dziewczynki na schodach do kaa. Po raz pierwszy od śmierci ciotki

ośmieliła się wejść do budynku.

\*\*\*

Nie dało się ukryć, był wkurzony. Prasa bulwarowa we wtorek przepała morderstwo, w środę przegapiła sekcję zwłok i pogrzeb, dlatego w czwartek chciała nadrobić stracony czas, przedstawiając hurtem wydarzenia z dwóch dni, okraszone masą jałowych komentarzy i tylko garstką faktów. W zasadzie, niepodzielnie królowały natrętne dziennikarskie spekulacje. Po każdym akapicie następował drobny odsyłacz do strony internetowej, przypominający czytelnikowi, że może sobie ściągnąć więcej informacji na interesujący go temat.

Raf czuł się również samotny, zagubiony i dziwnie zgorzkniały. Choć wśród mieszkańców al-Iskandarijji był jeszcze postacią mało znaną, plotka głosiła, że jest jednym z najbardziej wpływowych hochsztaplerów w Afryce Północnej. Jego działania w Ameryce objęte były tak ścisłą tajemnicą, że nawet uzasadnione - zdawałoby się - prośby do ministra policji o podstawowe informacje rozбивały się o mur milczenia.

Oglądał siebie na panoramicznym zdjęciu, jak siedział z Hani na żwirze przed grobowcem al-Mansurów, a także na fotce zrobionej pod tak niespotykanym kątem, że chyba musiał go wysledzić satelita szpiegowski.

- Kłamstwa! - burknął Felix, zabierając ze stołu gazety.
- Tak samo jak kity, które mi wciskasz. - Kiwnął głową na

Pasza-zade

1

stojącego przy Rafie policjanta, który natychmiast się cofnął. Felix musiał powtórnie kiwnąć głową, nim zmieszany funkcjonariusz wyniósł się z celi.

Zostali więc sami w klitce o rozmiarach dziesięć na dziesięć kroków. Z góry, gdzie niezdarnie przykręcono śrubami do brudnego sufitu jedną jarzeniówkę, padało sztuczne światło. Ściana i podłoga wokół krzesła, na którym siedział Raf, były pochlapane krwią lub czymś, co ją przypominało. Pamiątka po dawnych przesłuchaniach.

Zaciśnięte pięści tłuściocha aż trzęsły się, tak się zdenerwował.

Raf wstał i odsunął się od stołu.

- Nic się nie bój - rzekł Felix zgrzyliwie. - Tutaj nikt nie będzie dobierał ci się do dupy. Aż tacy głupi nie jesteśmy.

Rzucił teczkę na stół i kazał Rafowi ją otworzyć. Wewnątrz znajdowała się kartka formatu A4. U góry widniało zdjęcie jego twarzy - jeszcze miał brodę i dredy - trochę niewyraźne, rozpikselowane.

- Otrzymaliśmy to, gdy do nas jechałeś - wyjaśnił Felix. - Plik był zaszyfrowany, dlatego nie mogliśmy go od razu otworzyć. Na szczęście pięć minut po twoim przyjeździe dostaliśmy klucz. 4096 bitów, całkiem niezłe. Poszliśmy po najmniejszej linii oporu, ale czego oczekiwać po durnych gliniarzach, co? - Grubas wyciągnął z kieszeni papierosa Cleopatra i popukał w paczkę, żeby wysunął



się jeden. Nie zważając na przyklejoną do drzwi tabliczkę z napisem Palenie wzbronione, błysnął zapalniczką Zippo, model 7th Cavalry, i już po chwili wciągnął w płuca końską dawkę substancji rakotwórczych. - To się w pale nie mieści, żeby w wieku dwudziestu pięciu lat mieć takie dossier na swój temat!

Raf przebiegł wzrokiem z góry w dół i sam się niezmiernie zdziwił. Faktycznie, nie chciało się wierzyć, że te informacje dotyczą jednego człowieka. Osobisty wysłannik sułtana w Istambule. Szkolenie w elitarnej akademii wojskowej w Sandhurst. Krótki okres służby w kontrwywiadzie, Les Halles w Paryżu. Stopień tajności tak wysoki, że nikt na posterunku nie był upoważniony, aby wiedzieć o istnieniu takowego. Na domiar wszystkiego, iloraz inteligencji genu-

174\_Jon Courtenay Grimwood

sza, pamięć ejdetyczna, fenomenalna umiejętność czytania cudzych myśli. Dane osobowe chyba nadczłowieka.

- Rzeczywiście - przyznał. - Sam w to nie mogę uwierzyć. - Każdy rok jego życia został opisany, począwszy od ukończenia szkoły, a skończywszy na przybyciu do al-Iskan-darijji. Tyle że były to brednie wysrane z palca.

- Może raczysz mi wyjaśnić, czemu ostrzegłeś Hamzę. - Felix zgniół papierosa na stole, prędko zapalił następnego i głęboko się zaciągnął. Jego marynarka śmierdziała dymem tytoniowym, wódką i, jeśli tak można powiedzieć, zapachem rozczarowania. - No, chyba że to tajemnica.

- Żadna tajemnica. On jest po prostu niewinny.

- A według ciebie, kto jest winny?

- Nie wiem. - Raf pokręcił głową. Tak czy inaczej, był przekonany, że Hamza nie jest mordercą.

- Niech no się zastanowię. Twoja ciotka przygotowuje małżeństwo, które się rozpada, nim do niego dochodzi. Hamza grozi jej śmiercią. Ona ginie. Postanawiamy wziąć go na przesłuchanie. Nadążasz?

Nadążał, jak najbardziej.

- Aż tu nagle, zgoła nieoczekiwanie, dajesz mu cynk. Po kilku godzinach jego chłopcy rozbijają się z kilofami po me-dresie al-Mansurów. Przy okazji, rzecz jasna, demolują miejsce zbrodni.

- Ba, to jeszcze nie koniec - dodał Raf. - Moja ciotka przyjęła od Hanzy 2.5 mln dolarów prowizji za pośrednictwo. Cała forsa zniknęła.

- Pieprzony świat! - Papieros został wgnieciony w stół i zgaś wśród iskierek. Światło dzienne ujrzała piersiówka. Felix obejrzał ją ze złością, jakby nigdy w życiu takiej nie widział, po czym wcisnął ją z powrotem do kieszeni. - Chcesz kawy?

Stara winda wywiozła ich z piwnic. Wychodząc z komisariatu, minęli przytłaczający swą wielkością portal wejściowy. Policjanci przy biurkach gapili się na Rafa, ale kiedy spojrzał w ich stronę, wszyscy jak jeden mąż, a było ich dziesięciu, odwrócili wzrok.

- Lepiej się przyzwyczajaj - rzekł Felix. - Gdzie idziemy?

- Do Le Trianon.

Pasza-zade

1

- Mogłem się domyślić. - Felix pstryknięciem przywołał taksówkę. Dochodziła dopiero dziesiąta rano, lecz facet już nie mógł siadać za kółkiem.

\*\*\*

Raf został zaprowadzony do swojego stolika, gdy tylko wysiudano stamtąd dwóch Amerykanów, aby zrobić mu miejsce. Nowojorczycy zatrzymali się po drugiej stronie czerwonego, jedwabnego sznura, gdzie burczeli ze skwaszonymi minami, póki Felix nie podszedł zamienić z nimi dwa słowa. Po rozmowie szybko się oddalili.

- Co pan im powiedział?

- Ja? - Felix poczekał, aż starszy kelner starannie ustawi talerz, tak by jedna z ośmiu krawędzi zrównała się dokładnie z krawędzią stolika.

- Co pan sobie życzy? - zapytał mężczyzna, wskazując wózek pełen ciastek.

- Najchętniej wziąłbym wszystko - nie ukrywał Felix. - Poproszę trzy takie. - Wybrał kawałki baklawy posypanej mielonymi migdałami. -1 chciałbym porządną filiżankę kawy...

- No więc? - zapytał Raf.

Felix patrzył na ulicę, jakby w ciżbie na chodniku wciąż było widać dwóch nowojorczyków.

- Ano powiedziałem im, że jesteś płatnym zabójcą na usługach chedywa, więc nie powinni zajmować ci stolika. Ale chyba nim nie jesteś, co? - Zanim Raf odpowiedział, Felix poderwał rękę. - Nie, w porządku, nie musisz odpowiadać.

W Huntsville było mu łatwiej. Tam przynajmniej znał reguły gry. Zwykle się do nich stosował, tylko niektóre złamał. Odpowiadał mu wizerunek, jaki wypracował sobie w areszcie, więc później go nie zmieniał, by nie utrudniać sobie życia. Ekscentryczna fryzura i broda włóczęgi były dla niego najlepszym kamuflażem. Jednakże próby odnalezienia się w nowej rzeczywistości wydawały się syzyfową pracą. Ilekroć wdrapał się pod sam wierzchołek, lis przyczajony w jego głowie ostrzegał, że to nie ta góra albo nie ten kamień. Odczuwał zmęczenie, strach (czy chciał, czy nie chciał) i samotność w mieście, które z czasem, zamiast być mu bliższe, przymnażało zagadek. Do tego jeszcze Hani...

176

Jon Courtenay Grimwood

- Mogę coś panu wyznać? - spytał.

Felix w najlepsze zajadał się baklawą. Nie musiał mówić, że się zgadza.

- Ten mój niby-życiorys jest gównem wart, kłamstwo goni kłamstwo. Nie szkoliłem się w

akademii wojskowej. Nie pracowałem u sułtana. Nawet nie byłem nigdy w Istambule...

- Założmy. - Felix przełknął kawałek ciastka. - A więc co porabiałeś w Ameryce?

Akurat na to pytanie Raf nie mógł odpowiedzieć.

Felix westchnął, lecz nie zdążył skomentować, bo we wszystko wmieszał się jego brzęczący zegarek.

- Najlepiej wracaj do domu - poradził Rafowi, wciskając guzik „Off”. - Madame Mila znów się pokazała.

- Dzwoniła do pana? - Brzmiało to dość nieprawdopodobnie.

- Dzwoniła Hani.

- Skąd wiedziała, że jestem z panem?

Grubas zgarnął ostatnie okruszyny i wsypał je do ust.

- Bardziej ciekawi mnie to, skąd dzieciak wziął mój numer.

Pasza-zade

1

Rozfzctel 31

Seattle

- A ty gdzie się wybierasz?

ZeeZee przystanął na schodach. Portier zlustrował go spojrzeniem, jakie personel każdego hotelu rezerwuje sobie dla włóczykiów, domokrażców i roznosicieli, którym pomyliły się adresy.

- Ja to niosę. - ZeeZee uniósł wyżej kartonowe pudło i czekał. Jeśli ludzie spodziewali się coś zobaczyć, zwykle im to pokazywał; inaczej zaczynali myśleć. Odkrył to już w wieku pięciu lat. Portier wychodził z założenia, że chłopcy na posyłki są zbyt głupi lub nieokrziesani, by szukać wejścia dla personelu na tyłach restauracji. I ten fakt właśnie ZeeZee wykorzystał. - Gdzie to zanieść? - Może wyrażał się, jakby spadł z księżycy, lecz był przy tym inteligentny, cholernie inteligentny... Mało rozgarniętym podwładnym Hu San prędzej czy później przytrafiał się nieszczęśliwy wypadek. Natomiast ludzie mądrzy, zdający sobie sprawę z tego, że zawiedli nadzieje, zazwyczaj wkładali sobie lufę w usta, aby oszczędzić jej fatygi.

ZeeZee postanowił znaleźć trzecie rozwiązanie, nie był jednak aż taki głupi, żeby wiać z Seattle z podwiniętym ogonem. Jeśli ceniał sobie życie, musiał postawić się Hu San, lecz w taki sposób, by wyjść z opresji nie tylko cało i zdrowo, ale też odzyskać utraconą pozycję. A ponieważ nie miał szans dojść do Hu San przed Dzikim Chłopcem, zdecydował się spotkać z nią później i w miejscu, do którego jej kochaś nie chodził.

Naturalnie, Hu San nie wiedziała, że czeka ją spotkanie. Wieczorami w hotelu znajdowała wytchnienie, był jej

Jon Courtenay Grimwood

prywatną świątynią spokoju. Nawet przez myśl jej nie przeszło, że ktoś odważy się ją tu nachodzić.

Ażeby dostać się bez przeszkód do hotelu, ZeeZee ubrał się w kombinezon, przekręcił daszek baseballówki Mariner-sów, nastawił się zadziornie do świata i zakupił skrzynkę szampana Mumm z dobrego rocznika. Generalnie, nie stać go było na tak drogie trunki, lecz jeśli za tę cenę zachowa życie, to zaiste tanio się wykpi.

- Przez zaplecze, buraku. - Portier mierzył go nieprzychylnym spojrzeniem, gdy raptem musiał się cofnąć, bo oto prędko weszła na schody szczupła kobieta. W futrze z arktycznych lisów i skinęła nań głową, by włączył drzwi obrotowe. - Dobry wieczór, madame. Życzę miłego... - Tyle tylko zdążył powiedzieć, nim ZeeZee wepchnął się przed niego.

- Powie mi pan jeszcze, kto ma to odebrać?

Zarówno kobieta, jak i portier przyglądali mu się, zdezorientowani.

- Słuchaj pan - ciągnął ZeeZee. - Ktoś musi potwierdzić odbiór tego syfu. - Jeszcze wyżej uniósł pobrzękujące pudło, aż zasłoniło mu pół twarzy. - To jak będzie?

Kobieta nie spuszczała z niego oczu. Zachowywała się sztywno jak prawniczka; może była wybijającą się specjalistką od spraw rozwodowych. Takie jak ona szczęśliwe karierowiczki oczekiwały dowodów szacunku od przedstawicieli niższych warstw społecznych, na przykład chłopców na posyłki.

- U kogo pracujesz?

- Bo co? - ZeeZee zmierzył ją spojrzeniem zapożyczonym od Dzikiego Chłopca. Wlepił w nią chłodny wzrok i uśmiechnął się z udawaną życzliwością. - Co to panią obchodzi?

Cieć w liberii udzielił mu wszystkich koniecznych wskazówek i nawet podał hasło, nim chłopiec zwrócił na niego spojrzenie.

- W porządeczku - podsumował ZeeZee. - Nie trzeba było tak od razu?

Mrok, cisza i koty. Jego trzy ulubione rzeczy. A może trzy, które dawały mu poczucie bezpieczeństwa. Choć w zupełności obyłyby się bez smrodu. Chude, szare kocięta z wście-

Waj w

Pasza-zade

179

kłością wyginały w łuk swoje patykowate grzbiety: walczyły o pustą puszkę po pasztecie z wątróbek, która wypadła z przegniłego kartonowego pudełka. Po jednej stronie dziedzińca znajdowała się pusta rampa przeładunkowa, po drugiej - przepełnione kontenery na śmieci. Albo strajkowały związki zawodowe śmieciarzy, albo nikt w hotelu nie słyszał o recyklingu. Tak czy owak, dziedziniec cuchnął nadpsutą żywnością i kocimi szczynami. Najbardziej ekskluzywny di-ning club w Seattle miał dwa oblicza i to było jedno z nich.

- Elmore! - odezwał się do starszego Latynosa, który siedział na skraju rampy i zaciągał się

papierosowym dymem. Stare niedopałki wały się pod jego rozkołysanymi nogami jak łuski naboju wystrzelonych w długiej serii z karabinu maszynowego.

Mężczyzna wskazał kciukiem za siebie, gdzie panowały ciemności.

ZeeZee dostosował wzrok. Ujrzał rozległą, pustą przestrzeń, okna w murze i ziemię uświnioną resztkami jedzenia i gumy do żucia.

Wybrał pierwsze lepsze drzwi, wyrznął w nie z buta i, trzymając kurczowo pudło, ruszył korytarzem. Po drodze minął otwartą kuchnię; owiało go gorące powietrze i zapach smażonej ryby. Gdzieś w środku grało radio; rockowe dźwięki leciwego przeboju Daniela Lanoisa ginęły wśród brzęku talerzy i szczękania sztućców.

Drzwi wahadłowe na końcu korytarza przeniosły Ze-eZee'ego do innego świata: odpadająca zielona farba ustąpiła sztucznie postarzonej drewnianej boazerii, a zamiast przy-tartego linoleum pokazały się dywany, może nie puszyste, lecz drogie i świetnie harmonizujące z ciemną barwą długich, ręcznie tkanych zasłon. ZeeZee stał w foyer i patrzył przez drzwi obrotowe na plecy portiera.

Najwyższa pora zmienić powierzchność.

Wcisnąwszy kombinezon pod wieko kosza na śmieci przy staromodnych porcelanowych pisuarach, schował kartonowe pudło do szafki pod zlewem jednej z kamiennych umywalek. Oczywiście, ostrzem szczyroryka musiał rozpracować mosiężny zamek, lecz niczego poważnie nie uszkodził i zwitkiem papieru przyblokował na powrót drzwiczki.

180\_Jon Courtenay Grimwood

Postać, która wyprostowała się w lustrze, prezentowała się naprawdę sztywnie. Młodzieniec, to oczywiste, lecz elegancko ubrany w białą koszulę i kupiony na tę okazję krawat z kolekcji Hermesa. Blond włosy może i trochę za długie, jednak odpowiednio rozczesane, przestały być zaniebane, a stały się zawiadackie. Jeszcze tylko grube cygaro i już wyglądał na bogatego dzieciaka, który rozbija się po lokalach.

- Nie chciałbym przeszkadzać, madame...

Hu San oderwała wzrok od notesu. Obok niej poruszał się nerwowo barman w garniturze od Armaniego.

- Jeden z naszych nowych członków uprzejmie pyta, czy może się do pani przysiąść. - Młody Turek kiwnął głową dyskretnie, lecz nie było wątpliwości, że mówi o młodzieńcu, który stał przy barze i trzymał w palcach dymiące cygaro Romeo y Julieta.

Spojrzenie jej ciemnych oczu spoczęło na twarzy Ze-eZee'ego. Nie zdumiała się ani nie rozgniewała, okazała ledwie zaskoczenie. Raf czuł się, jakby patrzył w głąb studni tak przepastnej, że nie sposób stwierdzić, czy na dnie jest woda.

- Niech podejdzie - powiedziała Hu San. - Ale niech najpierw pozbędzie się cygara.

Pod ścianami w czarnych, obitych skórą fotelach poroziadała się burżuazja z Seattle. Byli tu wysocy, jasnowłosi i przystojni oraz ci gorzej obdarzeni przez naturę w tym względzie. Elegancko odszykowani i zwracający na siebie uwagę wystudiowanym brakiem elegancji. Kobiety i mężczyźni prowadzili

ożywione rozmowy lub wstawali, aby wymienić uścisk dłoni lub musnąć policzek pocałunkiem. W każdym ruchu znamię dużych pieniędzy.

Kobieta w futrze z lisów opowiadała, jakiego to spotkała po drodze hardego chłopca na posyłki. Relacjonowała swoją przygodę po raz trzeci, a jej rozmówca nadal udawał wzburzonego.

Tylko kilka osób zdradzało swój wiek chirurgicznie naprężoną skórą wokół oczu, co było niestety ceną za wejście w średni wiek przed wprowadzeniem metod nanetycznych. Pozostali zachowywali świeżość młodości, ponieważ mogli sobie pozwolić na cerę na bieżąco odnawianą od wewnątrz.

Pasza-zade

181

Hu San zajmowała miejsce na środku sali, we własnej prywatnej strefie samotności. Droga fryzura, gustowna biżuteria. Ktokolwiek by usiadł na tyle blisko, żeby poczuć jej perfumy lub dostrzec na czarnym żakiecie jedwabne, haftowane postacie, usiadłby za blisko. Bo kto się do niej zbliżał, mógł za to słono zapłacić. Choć w przypadku ZeeZee'ego trzymanie się na dystans niosło z sobą jeszcze większe ryzyko. Chłopiec sam to wykombinował, należał mu się szacunek.

- Czego się napijesz? - zapytała.
- Budweisera.
- Proszę zieloną herbatę - zwróciła się do kelnera.
- I jeszcze lampkę białego wina dla naszego nowego członka.
- Kiedy ZeeZee przysunął sobie krzesło i przyniesiono im trunki, Chinka poprosiła: - Powiedz mi, co cię tu przygnało.

Uważając na ruchy, młodzieniec postawił na białym obrusie kieliszek z długą nóżką i, chociaż siedział, złożył dłonie i pokornie się ukłonił.

- Pragnę panią przeprosić. Haruki powiedział mi, że jest pani ze mnie bardzo niezadowolona. - W rozmowie z Hu San, podobnie zresztą jak wszyscy, używał prawdziwego nazwiska Dzikiego Chłopca. - Naprawdę, proszę o wybaczenie.

Hu San pokiwała głową.

- Pij wino - rzekła. - Muszę do kogoś zadzwonić.

Nie wolno tu było używać telefonów komórkowych, nawet przy barze. Co ZeeZee'ego raczej nie dziwiło w dining clubie, gdzie łazienki wyposażano w kamienne umywalki i nie sprzedawano piwa. Wnet jednak przerwał ten tok myślenia, bo oto Hu-San wróciła, sygnalizując to lekkim położeniem dłoni na jego ramieniu, właściwie delikatnym muśnięciem. Ten gest był chyba równie mało znaczący, co wyciągnięcie ręki do bezdomnego dziecka.

- Zarezerwowałam dla nas stolik na kolację - oznajmiła. - Kelner zanieś twoje wino. - Skinęła głową na chłopca z Turcji, który przyglądał im się zza baru. Może nie otwarcie, ale trochę tak, jakby to on był tu właścicielem, który z rozbawieniem spostrzeża, że w jego lokalu spiknęły się z sobą tak odmienne charaktery.

- No, no... - ZeeZee przystanął w progu sali jadalnej. Sufit obwieszono falującymi, kremowymi jedwabiami, przez

182

Jon Courtenay Grimwood

E

co wydawał się jeszcze niższy, niż był w istocie. Podłogę wykonano z jasnego drewna, na oko bukowego. Złote ściany nie zawierały w sobie ani jednej prostej powierzchni, miejscami pofałdowane tak fantazyjnie, że wydawały się dziełem szalonego artysty. W efekcie człowiek miał wrażenie przebywania w ogromnym, niewyobrażalnie drogim namiocie.

Hu San uraczyła go uśmiechem.

- Jestem właścicielką klubu i całego hotelu - odpowiedziała na pytanie, którego ZeeZee nie zadał. - Może i nie lubię mnie w mieście, ale bez moich pieniędzy byłaby tu zapyziała prowincja. - Skinieniem głowy wskazała okno i ciemną, połyskliwą wodę w basenie portowym. - Cztery piętra, zabytkowy budynek, blisko nabrzeża, niespełna dwustu członków... Tracę na tym ponad milion rocznie.

- To czemu pani to robi?

- Domyśl się. - Uśmiech Hu San już nie był ciepły.

- Wpływowi ludzie, rosnące ceny nieruchomości...

- Chłopak stał tuż za progiem i oczami wyobraźni widział, jak pieniądze, niczym para, ulatują z kieszeni pozostałych klubowiczów. - Także informacje z pierwszego źródła - dorzucił, obawiając się, że Hu San zezłości się na niego.

Ale ona jedynie pokiwała głową.

- No, proszę. Nie tylko ładna buzia. A więc dobrze...

- Lekko pstryknęła palcami. - Zjedźmy coś...

ZeeZee nie musiał niczego zamawiać, Hu San go wyręczyła. Wybrała dietetyczne jedzenie dla ascetycznego podniebienia. Rzeczy z pewnością nie serwowane w kawiarniach i restauracjach, do których czasem zachodził. Dostał zupę z kapustą włoską: jedna łyżeczka kwaśnej śmietany i łyżka stołowa lekko przetartej kapusty, całość posypana wiórkami czarnych trufli. Danie podano w dużej, białej misce, która wydawała się paskudnie odrapana na brzegach, ale zapewne z rozmysłem nadano jej taki wygląd. Po zupie przyszła kolej na kanapkę, tyle że Hu San jadła ją widelcem, zatem poszedł w jej ślady.

Upodabniał się, naśladował, zapożyczał wzory; dobrze znał swoje mocne strony. Nie miał w tym względzie żadnych wątpliwości, ponieważ były wyszczególnione w gwarancji pokazanej mu przez lisa - przejrzycie, w punktach i zaznaczo-

Pasza-zade

18

nych kwadracikach. Wszystko zapisał i poukładał sobie w głowie. Biorąc pod uwagę fascynację matki doskonałością natury, powinien się cieszyć, że nie poszła w swych planach na całego, bo skończyłby pewnie z owadziemi oczami. Na szczęście jego udoskonalenia miały swój pierwowzór u ssaków. Przynajmniej większość...

- Czemu nie jesz? - Hu San nabiła kawałek ciepłej wieprzowiny, ukrytej pod cienką jak bibuła kromką chleba; podsmażona na wolnym ogniu, tak wyschła, że kruszyła się pod dotknięciem widelca. Mięso z chlebem sklejała mieszanka majonezu, musztardy i siekanych listków rokiety.

Chinka piła najpierw kalifornijskiego chardonnaya do kapusty włoskiej, potem wybrała australijski shiraz do wieprzowiny i zakończyła dobrze schłodzonym winem z Sauternes, rocznik 38, którym przepłukała waniliowy kremik z suszonymi śliwkami w armaniaku na gorąco. Z każdej butelki upiła pół kieliszka i resztę zostawiła, nie proponując nic chłopcu, który siedział naprzeciwko i męczył swoje białe wino, aż zrobiło się ciepłe jak krew.

Raz po raz zerkąła na niego z uśmiechem. Ostatecznie pochyliła się nad stołem i palcem odgarnęła mu z czoła kosmyk włosów.

- Zbieraj się, czas na ciebie - powiedziała. - I pamiętaj, żebyś wyszedł w ten sam sposób, w jaki tu przyszedłeś.

\*\*\*

Czekali na niego na rampie. Co by z pewnością przewidział, gdyby w ogóle chciało mu się myśleć. Byli szybcy, sprawni i świetnie wyszkoleni. W tym fachu liczyli się tylko najlepsi. ZeeZee nie zdołał wymierzyć nawet jednego ciosu, jednego kopniaka... Za bardzo zajęty był szamotaniem się z drutem, którym owinięto go z tyłu i obezwładniono.

- Nasz ciołek!

Póki nie oberwał w brzuch, sądził, że to Dzikie Chłopiec trzyma drucianą pętlę. Ten jednak zakładał rękawice. Wszedł z cienia niczym klasowy zbior w mrocznym zaułku: włosy elegancko wzburzone, skórzany kołnierz postawiony dla ochrony przed wiatrem. Pięści wsadził w neoprenowe rękawiczki z ołowianymi wkładkami na knykciach.

184

Jon Courtenay Grimwood

- W niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze... - Dzikie Chłopiec chwycił w dwa palce policzek swej ofiary i zaczął się w niego sadystycznie wpijać. - Już wiesz, co zrobiłeś? Masz przejebane!



Pierwsze dwa ciosy trafiły w brzuch, trzeci wylądował między żebrami a biodrem. Krwistoczerwony mak bólu rozkwitł w głowie ZeeZee'ego i potem wolno więdnął, od płatków do środka. Gdyby nie drut, zwałiłby się na ziemię.

- Bandyta!
- A żebyś wiedział! - Dziki Chłopiec wziął zamach i wyszczerzył zęby.
- Tylko nie w mordę! - ostrzegł mężczyzna posługujący się drutem. W jego gniewnym głosie przebijał strach. - Pamiętaj, co powiedziała. Nie po twarzy.
- Szkoda - podsumował Dziki Chłopiec, patrząc na Ze-eZee'ego, i uderzeniem kolana wydarł mu z gardła świdrujący wrzask...

\*\*\*

Na początku była ciemność, której lis nie rozumiał. Przeprowadził więc pewne rozeznanie i stwierdził, że ciemność jest w gruncie rzeczy omdleniem, związanym z nagłym niedoborem krążenia mózgowego. Już pobieżne - choć niezbyt przyjemne - zagłębienie się w kwestię omdlenia i hipoperfu-zji przekonało lisa, że problem ma charakter lokalny i zanikający, toteż ponownie się wyłączył, aby nie marnować energii. Żywił się głównie neonem, gdy pozostałe alternatywne źródła, w liczbie dziewięciu, były niedostępne.

Oczywiście, posiadał urządzenia telemetryczne, funkcje autokontroli i rozmaite środki służące przedłużeniu czasu pracy. W razie awarii systemu nosiciela miało ostrzec pięć diod intraoptycznych, ale i one wysiadły. Z drugiej strony, Seimens-Oakley był jednym z pierwszych modeli i w założeniach miał działać góra siedem lat.

Teraz więc mechanizm pracował w uśpieniu, uruchamiany jedynie w przypadku konieczności. Włączał się, jeśli gospodarz chciał się czegoś dowiedzieć, natomiast milczeć mógł całymi miesiącami, a nawet latami. Lis mieszkał w czaszce ZeeZee'ego. Nie w mózgu, ale dosłownie w czaszce, zamknięty

Pasza-zade

18

w zwartej, ceramicznej obudowie - ponieważ tworzywa ceramiczne umożliwiały nieprzerwaną transmisję, odznaczały się wysoką wytrzymałością mechaniczną i twardością tego samego rzędu co kości.

Pełnił mnóstwo funkcji, wymienionych w osobnej karcie gwarancyjnej w obszernym zbiorze rozdziałów i podrozdziałów. Jednak najważniejsze zadanie lisa było oczywiste: istniał po to, żeby chronić od śmierci swego nosiciela. Nie wiedział, czym jest równowaga psychiczna i szczęście, pierwsze modele nie znały takich pojęć. Poza tym, nic za nic: wskaźnik geniuszu równał się wskaźnikowi zaburzeń. Ale o tym wspomiano na wstępie.

\*\*\*

ZeeZee wziął długi i gorący prysznic, który zdekonspiro-wał wszystkie siniaki, po czym stanął przed lustrem i przyjrzał się obrażeniom. Stłuczenia nad biodrem i na żebrach przybierały wygląd kwiatów. Jądra zdawały się napuchnięte do rozmiarów pomarańczy, choć nie było z nimi aż tak źle:

przypominały ciemne, nabrzmiące śliwy. Wysoko na rękach sine pręgi upamiętniały uścisk drucianej pętli.

Co go jednak najbardziej zaciekało, to niegojące się otarcie na policzku jego żenująco młodzieńczej twarzy. Była to tylko powierzchowna rana, której dorobił się przy upadku i na brudny beton, nim stracił przytomność. No bo jak inaczej? Tak czy owak, bez względu na jej pochodzenie... krwawiła.

W szafce w łazience znalazł ibuprofen. Zgodnie ze wskazaniami na buteleczce, powinien zażyć jedną tabletkę 200-miligramową, a dwie w razie nieustąpienia bólu. Połknął cztery, popił dwiema butelkami budweisera z lodówki i czekał na chwilę, kiedy piwo w połączeniu ze środkiem przeciwbólowym wezmą w obroty jego opróżniony po wymiotowaniu żołądek. Aż takim chojrakiem nie był, żeby walić się po twarzy na trzeźwo.

Po pierwszym uderzeniu, zupełnie nieudanym, oczy zaszyły mu łzami, więc wrócił do lodówki. Widocznie tylko w przystępie szaleństwa lub pijackim zamroczeniu można się przyzwocić okaleczyć.

18

Jon Courtenay Grimwood

Kiedy czwarty budweiser w ślad za trzecim zniknął w przełyku i alkohol wreszcie zaczął krążyć w żyłach, ZeeZee zebrał się na odwagę i wymierzył sobie solidny cios w twarz. Może i mu odbiło. Nieważne. Rzucił głową w dół ku nacierającej pięści i poczuł pęknięcie łuku brwiowego. Po kilku przekleństwach i krzykach zobaczył, jak oko zamyka się pod rozbitym łukiem. Nagi chłopak w lustrze wpatrywał się w niego przyćmionym wzrokiem. Teraz wypadłoby zawinąć trochę lodu w ścierkę lub przyłożyć do skóry paczkę mrożonego groszku. Ale ZeeZee miał inne plany. Z szufladki w kuchni wyciągnął nóż Opinel i otworzył ostrze. Bez chwili namysłu dwa razy chlasnął się po brodzie, z czego powstało dwucalowe rozcięcie, skręcające pod szczękę.

Potrzebował już tylko plastra i snu...

Obudził go zimowy deszcz, dzwoniący na szybach sypialni miarowo i zbyt szybko, żeby można było mówić o bębnieniu. Czasem hałas narastał, kiedy wichur miotał kroplami o szkło niczym żwirem. Zrobiło się tak zimno, że nawet pod kołdrą o wysokim wskaźniku izolacji cieplnej musiał się kulić.

Jedyny grzejnik stał zepsuty, to fakt, lecz zawiniło głównie otwarte okno. A wszystko przez lata spędzone w szkockiej szkole z internatem. W Szwajcarii każdy miał osobny pokój, maleńką kabinę natryskową i ogrzewanie podłogowe. Dla odmiany, w Szkocji w dormitoriach nie było nawet kaloryferów, a okien nigdy nie zamykano, nawet jeśli na zewnątrz padał śnieg. Więcej świeżego powietrza, zdrowy tryb życia - tłumaczono. Akurat! Przy zamkniętych oknach smród piętnastu wyrostków byłby nie do wytrzymania, można by się udusić w oparach taniego dezodorantu i mamucich ilości płynu po goleniu. Niedomyci, kąpiący się raz na tydzień, musieli się ratować otwieraniem okien.

ZeeZee wolno stoczył się z łóżka i rozsunął zasłony, aby wpuścić więcej światła i przywrócić biel ścianom, które jednak wychynęły z mroku w żółtej poświacie mokrych lamp sodowych. Potrzebował jedynie tyle światła, żeby się wysikać, no i kolejnej porcji leków przeciwbólowych. Może kiedyś będzie miał prawdziwe życie. Pewnie mniej więcej wtedy, gdy obmierzą go przed wybraniem trumny.

Pasza-zade

Rozcięcie pod plastrem czysto się zasklepiło, lekko pozszywane włóknami nierozpuszczalnej fibryny. A skoro już ręce się nie trzęsły, starannie pociął i ponakładał ładniutkie kawałeczki plastra opatrunkowego. Hu San lubiła ładne rzeczy, więc prosiła bardzo, niech podziwia. Plasterki, jak zresztą zapewniano na pudełku, upodobniły się barwą do skóry, aż stały się prawie niewidoczne. Pozostało jedynie waziutkie wyrzuczenie nad samą raną. Perfekcja.

Co dalej? Żebra, transport i ubranie. Owijanie pękniętych żeber długim bandażem z krepy nie było rzeczą godną polecenia. Najczęściej ból porażał płuca, lecz czasem, kiedy ZeeZee męczył się z odwijaniem bandaża, wwierał się również w serce. Pot gęsto zrosił mu czoło, a cały tułów zdawał się opięty gorsetem z pokrzyw. Wobec tego, ZeeZee połknął jeszcze parę tabletek ibuprofenu, choć tym razem zrezygnował z zimnego piwa.

Z ubieraniem się zazwyczaj nie miał problemu: kupował wszystko w pięciu egzemplarzach i zmieniał stare na nowe. Dziś jednak postanowił zerwać z tradycją. Hu San, nawet gdyby go oczekiwała - co było mało prawdopodobne - na porannym zebraniu, na pewno spodziewałaby się go zobaczyć w ciemnym garniturze, białej koszuli i czerwonym krawacie. Nic z tego. ZeeZee zdecydował się przystroić w te same piórka co Dzikie Chłopiec.

- Słucham, przedsiębiorstwo taksówkowe - odezwała się kobieta, gdy wstukał z pamięci dziewięciocyfrowy numer telefonu. - Czym możemy służyć?

- Zamawiam kurs ode mnie do Harbour Hotel. - ZeeZee podał swój adres i poprosił o natychmiastowe wysłanie taksówki.

Na chwilę po drugiej stronie zaległo milczenie.

- Zgoda, samochód w drodze. Będzie pan łaskaw włączyć wizję?

Normalna procedura. Chciała się upewnić, czy nie ma do czynienia z jakimś zakapiorem.

- Ależ oczywiście. - Wcisnął guzik aparatu.

- Pan jest goły! - krzyknęła kobieta.

- Owszem - przyznał. - Ale zdążę się ubrać do przyjazdu taksówki.

Zaśmiała się krótko, lecz nie było w jej głosie złości.

Jon Courtenay Grimwood

- Oby. Ma pan góra pięć minut.

W sam raz, pomyślał. I zaczęło się odliczanie. Pominął golenie, bo po pierwsze, byłoby bolesne, a po drugie, Hu San najwyraźniej preferowała ostre numery. Tylko pobieżnie przejechał maszynką po podbródku. Znalazł czarną, skórzaną kurtkę Paula Smitha (innych nie miał), sztytą na miarę w luźnym kroju. Z komórki wyciągnął stalowoszarą jedwabną koszulę, jeszcze nie noszoną: pasowała do ciemnoczerwonych spodni, które podarowała mu dziewczyna, Polka, dwa tygodnie przed rozstaniem. Jedwabną koszulę także jej zawdzięczał. Nazwisko wyleciało mu z głowy, ale pamiętał

torebkę z wężowej skóry, którą jej kupił, gdy - co mu się czasem zdarzało - napadły go z nagłą bezsensowne wyrzuty sumienia.

Czarne buty, czarny krawat i przeciwsłoneczne okulary od Armaniego, które ktoś zapomniał w kawiarni obok sklepu Hu San. ZeeZee ubrał się, nim przyjechała taksówka.

Kiedy portier podbiegł i otworzył drzwi auta, wsunął mu do ręki dziesięć dolców. Może powinien dać więcej, lecz tylko tyle miał przy sobie. Zresztą, manewr się powiodł.

- HS Export - powiedział dziewczynie w recepcji.
- Spotkanie już się zaczęło. - Starszy mężczyzna zjawił się za dziewczyną po wyjściu z jakiejś kanciapy, gdzie gnieździł się zastępca kierowników recepcji. Starał się jak mógł, choć bezskutecznie, omijać wzrokiem pociętą twarz gościa.
- Jakoś przeboleję - odparł ZeeZee lekkim tonem. - Podano już śniadanie?

Mężczyzna spojrzął na recepcjonistkę, która podniosła słuchawkę staromodnego telefonu.

- Niestety, tak. - Podkreśliła swoje słowa wymownym ruchem głowy.
- W takim razie, proszę zamówić earl grey z tostem i niech od razu podadzą... - ZeeZee odwrócił się z uśmiechem. Wiedział, do których drzwi skierować swoje kroki, ponieważ pisało na nich „HS Export, zebranie w toku”. Poza tym, co tydzień była to ta sama sala konferencyjna.
- Proszę mi wybaczyć.

Hu San podniosła wzrok i dostrzegła młodego Anglika, który stał sztywno w progu drzwi i silił się na uśmiech. Chciał uratować twarz, rzecz zrozumiała.

Pasza-zade 189

Za swoich ciemnych okularów ZeeZee rozglądał się po wnętrzu sali, ignorując wiktoriańskie pejzaże, perskie dywany, wielki srebrny samowar i inne dzieła sztuki użytkowej, zapewne kupione gdzieś w hurcie. Jego przede wszystkim obchodziła widownia, którą chciał zaszokować tym, że... po prostu nic nie robił.

Przeważnie były to szczy w garniturach. Dostrzegł też dwóch żołnierzy. No i, oczywiście, Hu San i Dzikiego Chłopca. Wszyscy siedzieli przy stole, kończąc śniadanie. Nic szczególnego.

- Spóźniłeś się...
- Zasnąłem - odparł, leniwie przeciągając sylaby. Za coś takiego sam nieraz prął dzieciaki w szkole.
- Zasnąłeś? - Hu San uśmiechnęła się sztucznie. - Siadaj! - rozkazała bez ceregieli.

ZeeZee zajął jedyne wolne miejsce. Na końcu długiego, orzechowego stołu, dokładnie naprzeciwko niej.

Lis powiedział kiedyś, że wycucie chwili jest w życiu rzeczą podstawową. ZeeZee więc czekał. Kiedy

Hu San streszczała ostatnie sukcesy i wymieniała nieliczne niepowodzenia, sypiąc jak z rękawa faktami i liczbami, powoli i w milczeniu zdjął okulary. Potem już tylko patrzył. Ona zaś mówiła coraz wolniej, zająknęła się i urwała.

Kiedy się ponownie odezwała, żadne uczucie nie gościło na jej obliczu. Po tym wszyscy obecni momentalnie poznali, że się zdenerwowała, aczkolwiek, jak sądzili, na ZeeZee'ego.

- Co ci się stało w twarz?

- W twarz? - ZeeZee palcami pogłaskał obtarcie na policzku, ukrytą bliznę na brodzie oraz ciemną śliwę nad okiem, wystawioną na widok publiczny po zdjęciu okularów. - Spadłem z motocykla.

- Czyżby? - Hu San wstała i przeszła na drugi koniec stołu, choć mogła młodzieńca wezwać do siebie. Chwyciła w dwa palce jego brodę, skierowała ją do światła... i zaraz cofnęła dłoń, gdy spod plastrów wysączyły się krople krwi. - Spadłeś z motocykla?

Pokiwał głową.

- Niestety. Zjadłem kolację u przyjaciela, trochę za dużo wypłem i wpadłem w poślizg, gdy wracałem do domu. Zdarza się...

VM

mf

1\_Jon Courtenay Grimwood

- Motocykl rozbity?

- Nie. - ZeeZee pokręcił głową. - Jakieś tam zadrapania. Nie stało mu się nic gorszego niż mnie.

Hu San otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, lecz uprzedziło ją pukanie do drzwi.

- Kto tam?

W drzwiach pokazała się twarz speszonej kelnerki. Oblała się czerwonym rumieńcem, nim weszła do pełnej sali. Niosła tacę.

- Przepraszam, madame. Mam herbatę i tosta, które...

- Tutaj! - zawołał ZeeZee z podniesioną ręką.

Dziewczyna podeszła do niego, bezszelestnie położyła

tacę i równie cicho odeszła. ZeeZee wiedział, że wszystkie oczy są zwrócone na niego. Szczególnie pilnie przyglądała mu się Hu San. Dlatego starał się powstrzymać drżenie rąk, kiedy ostrożnie nalewał do filiżanki małą porcją mleka, a potem earl greya. Następnie, bardzo powoli, rozsmarował masło na toście. Nie tylko Japończycy posiadali swój własny ceremoniał picia herbaty.

\* >

Pasza-zade

1

Rozdział 32

8 lipca

- Wszystko będzie dobrze, zobaczysz - obiecywał Raf.
- Wcale nie - sprzeciwiała się Hani, zagniewana. - Nie wierzę!

Madame Mila w końcu odjechała, zabierając ze sobą dwie policjantki i nakaz sądowy, którym zapalczywie wymachiwała przed Rafem. W celu pozbycia się natrętnej kobiety musiał uciec się do gróźb, nawet jeśli przeważnie kryły się wśród niedopowiedzeń i dotyczyły jej kariery, nie życia.

„Nie uda się pani” - stwierdził Raf, kiedy wkroczył na dziedziniec i rozdzielił rozsierdzoną madame Milę i berbe-ryjskiego brygadzystę z ekipy Hamzy, który uparcie zagrażał jej drogę.

„Zobaczymy”.

„No to zobaczymy. - Nachyliwszy się, ściągnął jej z nosa okulary RayBans i uśmiechnął się szeroko, kiedy zmrużyła oczy, porażona słońcem, - 'tylko przed następnymi głupstwami proszę się upewnić, z kim pani zadziera”.

„Że niby nie wiem? Pasza-zade, też mi coś!” - Złość wyczuwalna w jej głosie przemieszana była ze wzgardą, po tym jak Raf tak nietaktownie pochwalił się swoją rangą.

„Chodzi o coś innego. - Miał na myśli lisa. - O to, kim jestem, co robię, czemu tu przyjechałem. - Chwilę milczał. - Niech jedna z pani nieodłącznych policjantek zadzwoni na posterunek i się dowie”.

Na znak od swej przełożonej najbliższej stojąca funkcjonariuszka trąciła przełącznik na pasku i zastukała dwa razy w mikrofon krtaniowy. Raf nie słyszał pytań ani odpowiedzi,

12

Jon Courtenay Grimwood

za to widział, jak jej rysy tężeją. Pochyliła się i półszepem przekazała madame Mili złe nowiny.

O tej porze na posterunku musiało huczeć od plotek, Aszrafa al-Mansura uważano za agenta służb specjalnych. Zapewne niepoprawnym koleiizatorom już się przypominało, gdzie i kiedy się z nim spotykali. Kłamstwa, powtarzane często i do znudzenia, nabierały cech prawdy. Oczywiście teraz, jeśli ktoś zechce się z nim rozprawić, uzbroi się najpierw po zęby...

Po odjeździe pani koronef Raf wyjechał Windą do ha-ramliku. Chciał wiedzieć, jak sobie Hani wyobraża swoją przyszłość, skoro wzdragała się przed zamieszkaniem z lady Dża-lilą, a jej druga ciotka nie żyła. Zamierzał też zaproponować, aby Donna - dokądkolwiek pójdzie dziewczynka - nadal się nią opiekowała. Sam postanowił zatrzymać przy sobie Char-tuma: ktoś musiał dbać o medresę. Staiy znał od podszewki wszystkie miejscowe targowiska, ponadto Raf chciał mieć kogoś do towarzystwa. Podupadający budynek był zbyt wielki, żeby dobrze się w nim czuł jeden samotny człowiek, nawet taki mało towarzyski typ jak on.

Zanim doszedł do drzwi, dodał coś jeszcze do swoich planów: postanowił zasięgnąć rady lady Dżalili w

sprawie wyboru dobrej szkoły. Były gorsze miejsca niż mieszkania obcych ludzi. A w przypadku Hani w grę wchodziła przede wszystkim szkoła z internatem. Zwłaszcza że jedyne alternatywne rozwiązanie, jakie przychodziło mu do głowy, wiązało się z odesłaniem dziewczynki do jego ojca w Tunisie lub szukaniem dla niej rodziny zastępczej.

- A džinn, sługa jedynej prawdziwej wiaty, przyjrzał się uważnie dziewczynce śpiącej w złotym łożu i zachwyił się jej pięknymi włosami, jakby tkanymi z najgłębszych nocnych ciemności. Leżała na prześcieradle wyszywanym drobnymi perłami, czystymi niczym łzy, a jej koszula przypominała białe chmury w blasku księżyca.

Hani czknęła i ekran przestał nagrywać. Dwutlenek węgla ponoć leczył czkawkę, więc chuchnęła w splecione dłonie i szybko wciągnęła powietrze. Poczowała zapach cynamonu. Wprawdzie nie chciało jej się opowiadać bajek Ali Dinowi, ale już po raz drugi przeszła całą gierkę, Golden Road III,

Pasza-zade

1

i trochę się nudziła. Wyszukiwała sobie coraz to nowe zajęcia, inaczej popołudnie strasznie się ślimaczyło. Gdy mówiła do siebie, utrapienia trzymały się od niej z daleka.

Klasnęła w dłonie, aby zwrócić na siebie uwagę komputera.

- A kiedy džinn ją zobaczył, rozpostarł swoje ogromne skrzydła i powiedział: „Chwała Bogu prawdziwemu! Oto istota z raj! I wzbił się pod niebo, gdzie spotkał ifritę i zawołał: „Podziwiał to biedne dziecko, które tam śpi, niewinne. Albowiem nie spotkasz już nigdzie odważniejszej...”

Na talerzu przy ekranie leżały okruszki ciasta - praktycznie niewarte zachodu, a mimo to Hani pozbierała je ze zmarszczonym czołem, ugniotła w elastyczną masę i połknęła ze smakiem. Usłyszała hałaśliwy zgrzyt windy, a w zasadzie lin przesuwających się po nie naoliwionym kole u góry szybu. Ciocia Nafisa obiecała sprowadzić ekipę konserwacyjną. Również i to się nie spełni.

- Ifrita sfrunęła z usianego gwiazdami nieba, opadła na balkon w marmurowym pałacu starego Kairu i zrobiła tak, jak jej radził džinn. Chwała Bogu prawdziwemu, dziewczynka śpiąca niewinnie w złotym łożu była tak samo piękna i cudowna jak ubogi chłopiec w łachmanach, który spał na starym cmentarzu pod nagrobkiem ojca...

Hani wiedziała, kto stoi za nią, lecz nie przerywała opowiadania i nie patrzyła za siebie. W przeciwnym razie musiałaby pogodzić się z myślą, że w haramliku jest mężczyzna. Coś takiego nie zdarzyło się nigdy dotąd. Tak więc nadal przekazywała swą historię Ali Dinowi, a piesek potajemnie powtarzał ją ekranowi, który spisywał wszystko zawijanymi literami, stosując ozdobną kaligrafię w przypadku imion Boga i nie tak już ozdobne, lecz wciąż piękne znaki w imionach ludzi, ifritów i džinnów. Sama wybrała czcionkę w bibliotecznej bazie danych. Ściągnięcie pliku nie wymagało wysiłku: podszyła się pod profesora literatury z uniwersytetu w Kairze. Uwielbiała Kair. Nigdy nie była w tym mieście, ale w Księdze tysiąca i jednej nocy tam właśnie znaleziono najpiękniejszą dziewczynę na świecie, śpiącą obok džinna.

Ciocia Nafisa nie lubiła Ali Dina i wspomnianych baśni. Teraz jednak nie żyła. O czymś to świadczyło.

Jon Courtenay Grimwood

- Hani.

Raf też mógłby jej opowiedzieć parę historii. Może pewnego dnia opowie. Może już niedługo. Na posadzce z czerwonych płytek, obok dziecięcego krzeselka, w kałuży czegoś, co kojarzyło się z rozlaną herbatą, siedział pies-robot. Był cały ze srebra, skóry i potarganego filcu. Na końcach długiego ogona i klapniętych, plastikowych uszu znajdowały się szklane, niebieskie przyciski. Zamiast oczu, gdzie powinno być czoło, robot posiadał czarną przesłonę podobną do narciarskich gogli. Pod nią zamontowano bliźniacze kamery wideo.

Świat widziany oczami robota wyświetlał się w małym okienku w rogu ekranu. .

- Ali Din znowu napaskudził - stwierdził spokojnie Raf.

Hani pobiegła spojrzeniem do szmacianego pieska i pokręciła głową z powątpiewaniem.

- Przecież on nie jest prawdziwy.

- To widzę. Mój lis też nie jest prawdziwy.

Hani zerknęła na ekran, aby sprawdzić, czy nie ma do czynienia ze świrem. Byłem na twoim miejscu... - pomyślał Raf. Czuję to samo co ty...

- Musimy porozmawiać - rzekł przepraszająco.

Kosztowało ją to sporo wysiłku, ale zdołała się odwrócić

i zachować milczenie, kiedy Raf patrzył na nią z napiętą uwagą. I zadać pytanie, chociaż znała odpowiedź...

- Odeślesz mnie stąd, prawda? - Wypowiedziała te słowa cichutkim szeptem.

- Hani, nie wolno mi...

- Wiedziałam! - Miała ochotę tupnąć nogą, wzburzona. - Ale ja dam sobie radę. Nie będę ci się plątać pod nogami.

- Wiesz, że nie o to...

Dziewczynka nie pozwoliła mu dokończyć. Nie interesowały jej powody, tak samo jak jego by nie interesowały, gdyby się zamienili rolami. Po prostu dorośli potrafili na wszystko znaleźć odpowiedź. Nawet jeżeli sami nie wierzyli w to, co mówią. Obie strony o tym wiedziały.

- A więc czemu?

- Ponieważ... - Ugrzązł. A właściwie mógłby na dziesięć sposobów rozwinąć to zdanie, podpierając się, w miarę przekonująco, miejscowymi zwyczajami lub własnymi potrzeba-

Pasza-zade



mi, lecz byłyby to nieszczerze tłumaczenia. Słowa, w które sam by nie uwierzył. Z drugiej strony, lepiej w nic nie wierzyć, jeśli nie chce się być zranionym. A jeśli wierzy się w kogoś, to można nawet wylądować w więzieniu. - Później o tym porozmawiamy - rzekł, choć pamiętał, że kiedyś w ten sposób zbywali go dorośli.

\*\*\*

Nazajutrz był piątek i rano w mieście wszystko było pozamykane. Zebrani w kuchni, w chłodzie wczesnego poranka, Chartum, Donna, Raf i Hani jedli śniadanie. Raf i Hani mieli następnie zabrać się za uprzątnięcie bałaganu, który zrobili robotnicy Hamzy. Hani uparła się przy samodzielnym gotowaniu, czego skutkiem był talerz dla Rafa, naładowany cienkimi kromkami chleba i lepкими kawałkami miodu w plastrach. Na swoim, prawie pustym, położyła jedynie brzoskwinie i kiść winogron.

Kiedy Raf skończył posiłek, poskładała naczynia w zlewie. Potem zaparzyła jeszcze jeden dzbanek kawy, nawet jeśli Chartum i Donna pili tylko herbatę miętową, a Raf dowodził, że i bez tego czuje się pobudzony. Poszła więc po miotłę, głośno stukając obcasami.

Za kuchennym oknem Rue Sherif wydawała się niemal zupełnie wyludniona, odarta ze zwykłego sobie zgiełku i ludzkich okrzyków. Nieliczne kursujące taksówki poruszały się bez przeszkód opustoszałymi ulicami. Tramwaje były sparaliżowane, sklepy zamknięte na głucho. Z minaretów, sterczących w parnym mieście niby flotylla rakiet, natarczywe głośniki wzywały wiernych na modły. Raf ignorował te nawoływania.

- W al-Iskandarijji nie zawsze było tak cicho na ulicy

- stwierdziła Hani z absolutną pewnością siebie, jak to dzie-więciolatka. - Rok temu zmieniły się przepisy. Teraz nie wolno jeździć samochodem, chyba że jedziesz do meczetu.

- Ostrożnie zmiotła na plastikową łopatkę okruszki spod stołu, po czym, z nie mniejszą ostrożnością, nachyliła ją nad metalowym koszem. I wszystko skończyłoby się dobrze, gdyby w nagłym przeciągu kurz z okruszynami nie dmuchnął dziewczynce w twarz. - Co w tym śmiesznego?! - zdenerwowała się, kichając.

1

Jon Courtenay Grimwood

Robotnicy Hamzy nie narobili aż takiego bajzlu, zostawili po sobie tylko piasek, drobny gruz, nieduże kawałki cegły oraz białe kości zdechłych myszy i jednego pechowego kociaka. Nie znaleziono skarbu, lecz Hani próbowała ukryć rozczarowanie.

Podwójne drewniane drzwi, którymi wychodziło się na Rue Sherif, teraz prowadziły do świeżo odremontowanej sieni, wyłożonej czarnymi kaflami. Na lewo i prawo, obiegając ściany, wybijały się elegancją ogrodzone alabastrowymi ba-lustradkami, łączone u góry schody. Przestrzeń pod schodami wypełniało coś, co na pierwszy rzut oka przypominało gładkie lico lodowca, a w rzeczywistości było białym marmurem.

Ściany pozbawiono wszelkich malowideł i tkanin dekoracyjnych, które w przeszłości łagodziły

monochromatyczną surowość czarnej posadzki i białych schodów.

Wnętrze urządzono w stylu Trzeciego Cesarstwa, nie dziwota więc, że zamurowano wejście od ulicy. W czasach, kiedy chrześcijańska społeczność budowała luksusowe wille w stylu mauretańskim, rody osmańskie wyburzały własne starożytne rezydencje, aby na ich fundamentach wznosić budynki, których widok nie dziwiłby w paryskim Faubourg St Germain. Dwieście lat później obie grupy społeczne wstydziły się za swoich przodków i ich ówczesny entuzjazm. Sień jako jedyna część medresy al-Mansur nosiła na sobie piętno epoki Trzeciego Cesarstwa, lecz i te drobne wpływy europejskiej sztuki stały się dla lady Nafisy takim utrapieniem, że kazała zamurować do niej wejście. Ale przecież była to kobieta, która zawsze i wszędzie dawała wyraz swej bezkompromisowej uległości woli Bożej, inszallah - do tego stopnia, że nie używała publicznie czasu przyszłego, aby nie wchodzić na grunt postanowień Boga...

Nad marmurowymi schodami robotnicy wykuli jeszcze jedno przejście, tym razem do alkowy. Bez pytania zniszczyli ceglana ściankę między alkową a kaa. Po przyciemnianych oknach gabinetu nie pozostało nic prócz bolesnych wspomnień.

Raf nie miał pojęcia, jak bardzo musieli naharować się tu robotnicy, żeby tyle zrobić w tak krótkim czasie. W każdym razie, był im winien wdzięczność, bo kiedy rozglądał się

Pasza-zade

197

po odnowionej sieni, przebudowanej kaa i wymienionej ma-szrabijji, czuł się bardziej jak u siebie w domu niż...

Niż kiedykolwiek, jeśli miał być wobec siebie szczery. I czuł się wciąż tak samo dobrze nawet wówczas, kiedy ktoś zastukał łaską w nowe drzwi frontowe i do środka wkroczył wszystkim doskonale znany wysoki mężczyzna. Wkroczył na tyle zamasyście, na ile było to możliwe, biorąc pod uwagę łaskę i chorą nogę. Szybkim, ironicznym spojrzeniem objął wskrzeszoną sień.

- Nie marnował pan czasu.

Za Generałem Saidem Koenigiem Paszą nadeszła lady Dżalila z włosami skromnie okrytymi chustą. Następnie ukazali się dwaj ochroniarze z gwardii przybocznej Generała, którzy bez słowa stanęli na straży po obu stronach drzwi. Generał miał rysy jakby wykute z granitu, spotykane zazwyczaj na rzeźbach, cerę ciemną, lecz nie za sprawą opalenizny, a cech odziedziczonych po przodkach, policzki zaś zapadnięte na skutek braku snu i starości. Spod krzaczastych brwi spozierały na Rafa świdrujące oczy.

- Musimy porozmawiać. - Jego wzrok zatrzymał się na Chartumie. - Pan niech nas zostawi. I proszę zabrać dziecko. - Obrócił się twarzą do Rafa i huknął o ziemię rattanową łaską. - Zakładam, że tędy się idzie na górę. - Zanim Raf zdążył cokolwiek powiedzieć, na schodach rozbrzmiał stukot laski i twardych obcasów.

Lady Dżalila ruszyła za nim nieśmiało. Idąc za nią, Raf mógł sycić wzrok tanecznymi ruchami jej pośladków, które zginały się i ślizgały pod jedwabną spódnicą w piaskowym kolorze. Jeśli nosiła coś pod spodem, to chyba tylko figi. Co do tego nie miał wątpliwości, ponieważ w popołudniowym żarze wilgotnego powietrza materiał lgnął do ciała jak strój płetwonurka.

Kobieta wspinała się na schody powoli, stopień po stopniu, w dodatku takim krokiem, że Raf czasami dostrzegał wewnętrzny fragment uda i kryjącej się w głębi ciemności. Mięśnie nóg i pośladków wyróżniały się jędrnością, którą zapewne zawdzięczała osobistym trenerom i całodniowym ćwiczeniom w jakiejś ekskluzywnej siłowni, której nazwa nawet nie obita mu się o uszy.

0

198

Jon Courtenay Grimwood

Na szczycie schodów Generał Koenig Pasza minął miejsce, gdzie dawniej mieścił się gabinet lady Nafisy, i przykuś-tykał na balkon, skąd badawczo popatrzył na pociemniałe niebo. Nadciągała burza, choć z rozczarowaniem stwierdził, że trochę za wolno. Od nawiązywania towarzyskich rozmówek była tutaj lady Dżalila i to ona z krzywym uśmiechem zagaiła:

- No więc... jak ci się tu mieszka? - Wystudionowanym ruchem ściągnęła z głowy chustę i rozsypała swoje jasne włosy. Potem, niby od niechcenia, przyglądała przód żakietu, tak by na moment pod cienkim jedwabiem zarysowały się wyraźniej pełne piersi. Przechwyciła spojrzenie Rafa, ale mina jej zrzedła, gdy zrozumiała, że nic z tego nie wyjdzie. Milcząca propozycja, jeśli to faktycznie była propozycja, zaistniała i przestała istnieć, nim Koenig Pasza odwrócił się od balustrady.

- Myślałem, że porozmawiamy o pańskiej małej krew-niaczce - rzekł Generał.

- O Hani?

- A co, są tu jeszcze inne?

Przynajmniej o nich nie słyszał.

- Bo widzi pan, wyniknął mały problem. Okazuje się, że pańska ciotka zawarła umowę z lady Dżalilą. W razie gdyby coś złego spotkało lady Nafisę, jej kuzynka miała zaopiekować się Hani. Tak się składa, że minister i lady Dżalila obiecali adoptować dziecko.

- Lady Dżalila ma umowę na piśmie? - zapytał Raf grzecznym tonem.

Gdyby splunął jej w twarz, nie wzbudziłby w niej większego obrzydzenia.

- Nie - odpowiedziała cierpko. - Nie mam tego na piśmie. Nawet przez myśl nam nie przeszło, że taka rzecz może kiedyś okazać się niezbędną. Oczywiście, wtedy jeszcze o tobie nic nie wiedziałam.

- Ani ja o tobie - odparował Raf. Zaobserwował niepewność w jej zachowaniu.

- Dziecku będzie najlepiej u lady Dżalili - wtrącił Generał. - Posiadłość na wsi, elitarne szkoły... Nie zapominajmy, że od dawna się znają.

Pasza-zade

1

Gdy tymczasem Raf ledwo znał samego siebie. W porządku, o tym tylko on wiedział... Ale że posiadłość na wsi?

- Myślałem, że lady Dżalila mieszka w Quartier Greque
- rzekł wzgardliwie.

Miał na myśli snobistyczną dzielnicę wystawnych rezydencji kupieckich niedaleko ogrodów Szallalat. Na przestrzeni jednego stulecia duże i bogato dekorowane domy wyszły z mody, popadły w zaniechanie i z powrotem wróciły do łask. W al-Iskandarijji cokolwiek odchodziło w niepamięć, prędzej czy później znów się cieszyło popularnością. Z reguły, oczywiście.

- Sprzedajemy dom - oświadczyła chłodno lady Dżalila.
- Mój architekt rysuje plany letniej willei w okolicy Abu Kir. Mam już dość tego miasta, tej duchoty.
- A minister? - zapytał spokojnie Raf. - Czy iskandaryj-ski minister policji przeniesie się na prowincję?
- Ma mieszkanie na górze w budynku posterunku. Obok twojego kumpla, tego tłustego Amerykanina. Poza tym, wpadł mi w oko ciekawy domek zimowy, choć nie bardzo wiem, czemu cię to interesuje...

Gdy Donna przyniosła herbatę na tacy, Raf wstał. Wystarczyło na nią spojrzeć, aby się przekonać, jaką trwogą napełnia ją obecność Generała. Nie zamierzał więc pogarszać sprawy.

- Przepraszam, ale proszę to odnieść - zwrócił się do starszej kobiety. - Lady Dżalila już wychodzi.

Wówczas to człowiek, którego powszechnie bano się w całej Afryce Północnej, a który za młodu, dowodząc wojskiem, zastrzelił własnego brata za niewykonanie rozkazu wycofania żołnierzy, uniósł brew i ruszył cicho jak lampart za rozgniewaną kobietą. Kiwnięciem głowy pożegnał się z Rafem i potem z Donną, co omal nie przyprawiło portugalskiej służącej o utratę zmysłów. Nie było ani znaku tej osławionej złości, która - jak należałoby sądzić - powinna niczym wulkan wybuchnąć na jego arystokratycznym obliczu. Przeciwnie, wydawał się wręcz rozbawiony.

- Dzwonił Félix - oświadczyła Hani zaraz po odejściu lady Dżalili. - Chciał z tobą porozmawiać, ale mu powiedziałam, że ona jest u ciebie...

200

Jon Courtenay Grimwood

- Co mówił?
- Bardzo źle się o niej wyrażał. - Uśmiechnęła się promiennie. - Chyba jej nie lubi. Coś mi się zdaje, że nikt jej nie lubi.
- A więc jesteś absolutnie przekonana, że nie chcesz z nią zamieszkać?

Rafowi zaraz oberwało się za to pytanie, bo w odpowiedzi Hani z wielkim wzburzeniem zaczęła wyrzucać z siebie strumień gorzkich słów. Uciszyła się dopiero wtedy, kiedy chwycił ją pod pachy i gwałtownie podniósł, lekceważąc piąstki, którymi usiłowała okładać go po głowie. Gdy się odwrócił, Chartum stał w drzwiach i przyglądał mu się ponuro.

Teraz już wszystko wiedział.

- Musiałem cię o to spytać - rzekł łagodnie.
- Uciekłabym od niej i tyle! - zapowiedziała czupurnie dziewczynka z wysoko uniesionym czołem.
- Ale ona była najlepszą przyjaciółką cioci Nafisy.
- Nie moja wina! - odparła zawzięcie.

Pasza-zade

21

Rozfezfoł 33

Seattle

- Przepraszam, że przeszkadzam - odezwał się rozmówca ugrzecznionym głosem, z charakterystycznym akcentem. Zanim młodzieniec się przedstawił, Hu San już wiedziała, kto dzwoni.

Było późno. Lodowaty wiatr dął od zatoki, spryskując białą pianą falochrony w porcie. W swoim apartamencie na górnym piętrze Hu San słuchała koncertu fortepianowego Ny-mana i piła herbatkę jaśminową. Nie przejmowała się ani szumem deszczu za oknami, ani hukiem fal w dole. Podczas takiej pogody czuła się częstką natuiy.

Jakkolwiek ZeeZee nigdy do niej nie dzwonił, czy to do domu, czy do biura (tak w myślach nazywała swój sklepik na nabrzeżu), dzisiejszy telefon wcale jej nie zaskoczył. Czekala na niego od trzech dni, gdy w tym czasie chłopak z Anglii spokojnie robił, co do niego należało: rozwoził nakazy sądowe i przekazywał wszystkie informacje, z których mogło skorzystać Bractwo Pięciu Wiatrów.

Teraz pewnie chciał się poskarżyć na Dzikiego Chłopca. Wiedziała, że w bractwie za jej' plecami tak się nazywa Haru-kiego. Choć nie mieli pojęcia, że to ona wymyśliła tę ksywkę dawno temu, gdy Dzikie Chłopiec był jeszcze bezdomnym dzieciakiem, który ze spadochroniarskim nożem grawitacyjnym w jednej kieszeni i tubką żelu nawilżającego w drugiej włóczył się po ulicach. Łatwo się z nim dogadała. Jej przypadło do smaku jego ciało, jemu - pieniądze. Łapczywie rzucał się na ochłapy z jej życia, i tak lepsze od wszystkiego, co wcześniej było jego udziałem.

- Mam nadzieję, że nie będę miała przez ciebie problemu - powiedziała krótko.

202

Jon Courtenay Grimwood

- Na pewno nie. Gdybym tylko mógł dostać adres Haru-kiego.

Na poły pytanie, na poły prośba. Zbił tym Chinę z tropu.

-Co?

- Muszę go przeprosić.

Ciekawe za co, zastanawiała się. Może słyszał o jej kłótni z Dzikim Chłopcem i dręczyło go sumienie? I nic dziwnego, wszak był odpowiedzialny za to, że Dzikie Chłopiec popadł w niełaskę. Ale odpowiedzialny nie znaczy winny. Hu San miała doskonałą pamięć. „Tylko nie po twarzy” - ostrzegła. Dzikie Chłopiec nie posłuchał jej, a tego nie mogła tolerować.

Dzikie Chłopiec został odsunięty na boczny tor, póki się nie pokajał. Zaciskanie pięści, wrzaski i protesty - nie, w ten sposób nie mógł nic wskórać. Nawet swoimi dąsami. Chociaż, niestety, seks komplikował sprawy, tego nie dało się uniknąć. Pomimo to wymagała posłuszeństwa nawet od kogoś, kto od czasu do czasu rozkładał jej nogi.

- Powiedz mu, niech przestanie się dąsać - rzekła i wyrecytowała adres apartamentowca dwie ulice od portu. Płaciła mu czynsz, płaciła rachunki i płaciła kobiecie, która sprzątała raz w tygodniu. Płaciła jej podwójną stawkę, żeby prócz wypełniania zwykłych obowiązków przymykała oko na porzucane niedopałki jointów i spluwę, którą Haruki zawsze zapominał zamknąć w szufladzie.

Lepiej niech się zaprzyjaźnią, pomyślała, znużona. Inaczej obaj pójdą w odstawkę. Poza tym, jednemu i drugiemu powinny już poznikać siniaki. Złość przemijała tak jak one... jeżeli człowiek był na tyle mądry, żeby ją w sobie zdusić. Już niebawem powinna się dowiedzieć, czy Haruki jest równie mądry jak - najwyraźniej - młody Anglik.

Nadszedł czas zapłaty. ZeeZee uruchomił motocykl, puścił sprzęgło i poczuł, jak opony kręcą się z piskiem na mokrym asfalcie. Ze względu na ulewę na drodze do portu znajdowała się tylko ciężarówka dostawcza, wóz policyjny i on. Spod tylnego koła tryskała fontanna wody. Gdy dotarł pod blok, gdzie mieszkał Dzikie Chłopiec, wilgoć parująca znad

\*\*\*

WM ~

Pasza-zade

203

rury wydechowej ulatywała mglistym ogonem. Było zimno, świat tonął w strugach wody, a jednak ZeeZee naprawdę dobrze się bawił.

W holu paliły się mętnie jarzeniówki. Szklana ściana chroniła ciepłe wnętrze przed naporem chłodu i deszczu bębniącego o chodnik, na którym ZeeZee zostawił suzuki.

- Jadę na ostatnie piętro - oznajmił recepcjoniście, wskazując sufit. W windzie sprawdził rewolwer. Pełen zapas amunicji, siedem naboji. Wysunął i wsunął bębenek. Dopiero teraz zorientował się, że w górnym rogu windy wisi skierowana w jego stronę kamera wideo. Trudno. Miał pozwolenie na broń; kto doręczał pozwony sądowe, musiał się liczyć z niezadowolonymi adresatami.

ZeeZee liczył piętra, w miarę jak wyświetlały się kolejne numery. Winda mknęła na samą górę. Zaraz, jak to mawiał Dzikie Chłopiec? Kończę, gdy maciora kwiczy... Wyciągnął z kieszeni złożoną kartkę papieru. Dzikie Chłopiec brał to codziennie, to i meksykańską czerwoną marychę. Co brała Hu San, tego nie wiedział, lecz coś więcej niż tylko geny zwęzła jej oczy do rozmiarów główki od szpilki. On sam nie palił nawet papierosów. Lis tego nie pochwałał. Zwykle...

Zważył w dłoni towar, jakby mógł wyczuć jego ciężar, po czym wzruszył ramionami i ostrożnie

rozwinął swoje origami. W środku zobaczył szare kryształki wielkości ziaren soli.

- Miłego wieczoru - odezwała się winda.

- Dzięki. - ZeeZee zbliżył nos do papieru, aby wciągnąć proszek, i walnął od razu w obie lufy. - Postaram się, żeby był miły...

Skrzypienie drzwi wejściowych rozproszyło sny Harukie-go. Gdzieś daleko - w świecie stworzonym w jego głowie, jeszcze mniej bezpiecznym niż świat rzeczywisty - zarejestrował najpierw szcęk zamka, a potem skrzypienie zawiasów wymagających naoliwienia.

Następny hałas rozległ się bliżej i rozprawił się z resztkami snu jak wiatr z dymem. Ułamek sekundy później poczuł na czole zimny pocałunek żelaza. Rewolwery samopowtarzalne były coraz większą rzadkością, lecz Haruki znał

Jon Courtenay Grimwood

pewną osobę, która posiadała taki model. Anglika o zimnych oczach, stroniącego od ludzi i gadającego do siebie.

- Wstawaj!

Odemknął powiekę. Drugie oko, paskudnie podbite, jeszcze się nie otwierało. Wokół tego, któremu udawała się ta sztuka, uwidaczniały się ciemne siniaki: sprawka kościstej pięści.

- No, wyłaż z łóżka!

Wolno, ostrożnie, wysunął stopy spod kołdry, szukając palcami podłogi. A że było zimno, instynktownie sięgnął po jedwabny szlafrok.

- Nie będziesz go potrzebował. - Uderzono go w rękę, nim dotknął ubrania. - Podejdz do okna!

Słuchał poleceń, próbując nie zwracać uwagi na chłód i swą goliznę. Ale przede wszystkim bał się rewolweru. Ogarniał go strach, potęgowany pytaniami, na które, jak przypuszczał, lepiej było nie szukać odpowiedzi.

- Odsuń zasłony!

Zrobił to bez sprzeciwu. Poprzez deszcz dostrzegł maleńkie światełka Seattle. Dywan czepiał się bosych stóp. W sypialni śmierdziało dymem kadzidlany, resztkami piwa z otwartych puszek i niedojedzoną porcją singapurskich klusek. Pościel była brudna, na ściennym ekranie Toshiba śnieżyło, lecz panorama portu zapierała dech w piersiach. Jej piękno prawie że wynagradzało śmierć w scenerii bałaganu.

- A teraz otwórz okno.

Szyba odsunęła się bezszelestnie. Powiew zimnego powietrza przyprawił o gęsią skórkę.

- Czemu to robisz? - spytał głosem, który nawet jemu wydał się przygaszony. - Nie biliśmy cię po twarzy.

Anglik potrząsnął ramionami.

- A czy ja twierdzą, żeście bili?
- Postarałeś się, żeby Hu San tak myślała... - Dziki Chłopiec dotknął siniaka pod okiem, a kiedy cofnął dłoń, miał mokre palce.
- O jejku, jejku... - kpił ZeeZee. - Nie bądź beksą. - Uniósł rewolwer i wycelował w Japończyka, swego rówieśnika. - Ostatnie życzenie?

Haruki tylko spojrzał na niego spod grzywki.

Pasza-zade

25

ZeeZee westchnął. A więc się mylił, to lis miał rację.

- Nie wiem, jak ciebie - powiedział, opuszczając rewolwer - ale mnie ta zabawa nie kręci. Spodziewałem się większych emocji. - Podszedł do łóżka i rzucił szlafrok Harukiemu.
- Ty jej nie kochasz! - stwierdził zgryźliwie Dziki Chłopiec.
- A co, może ty ją kochasz?

Haruki przytaknął skinieniem głowy. Po kolei wsunął ręce w rękawy szlafrocka i luźno związał się w wąskiej talii.

- A ona mnie.
- Już nie.

Wychodząc z mieszkania, ZeeZee zamknął za sobą drzwi. Dzięki Chłopcowi pozostało domknąć okno i - jeśli miał nierówno pod sufitem - zadzwonić do Hu San. Ale nie, tego raczej nie zrobi; ZeeZee znał go na wylot. Spaliłby się ze wstydu.

W jednej kwestii musiał przyznać mu rację. ZeeZee nie potrzebował kochanki, a już na pewno nie chińskiej gang-sterki pod czterdziestkę. Co innego matka, lecz o tym wołał nie myśleć. Nikt, ale to nikt nie namówi go do powrotu do niej.

Schowawszy rewolwer do kabury, zasunął pod szyję kurtkę motocyklową i nacisnął guzik, aby przywołać windę. Nie wiedział, czy Dziki Chłopiec zaśnie jeszcze tej nocy, lecz sam po powrocie do domu zamierzał walnąć się na łóżko jak przysłowiowa kłoda - pal to lichu, może i na podgrzanej amfie. Nazajutrz skoro świt planował złożyć wizytę Mic-ky'emu O'Brianowi. Hu San chciała, żeby wręczył mu małą przesyłkę. Coś w charakterze przeprosin za wcześniejsze nieporozumienia...

1

\*\*\*

Siedząc na skraju łóżka z nożem w ręku, Haruki spędził pięć godzin na rozmyślaniach. Kontemplował ostatnie wydarzenia. Co powiedział i co jemu powiedziano. Zupełnie, jakby czarne z białym zamieniły się nagle miejscami. Może powinien być inaczej to rozegrać? Rzucić się na chłoptasia, nie bać się jego gnata?



Jon Courtenay Grimwood

Jeżeli jednak życie go czegoś nauczyło, to z pewnością sztuki przegrywania. Zazwyczaj bil się do ostatka i zwyciężał, lecz czasami wiedział, że lepiej sobie odpuścić. Dzięki temu przeżył dzieciństwo. Jego życie do spotkania Hu San nie przynosiło mu chluby, lecz ona zawsze okazywała mu współczucie. Do teraz...

Rozgoryczony, dotknął podpuchniętego oka i przyłożył do gardła ostrze noża. Nic z tego, nie potrafił się zdobyć na gest tej miary. Chwytnąjąc nóż tak, aby nie zadrżał mu w garści, rozorał nadgarstek czubkiem stali. Zrobiło mu się niedobrze. Rana byłaby głębsza, lecz na przeszkodzie stanęły dwa połyskliwe ścięgna.

Łzy stanęły mu w oczach i polały się ciurkiem po twarzy, niepowstrzymane. Siedząc na łóżku, zaciskał dłoń na okrwawionym nadgarstku i przytrzymywał brzegi rany. Mimo całej swojej wrodzonej buty nie umiał się nawet porządnie zabić. Musiał podjąć decyzję, nie orientując się, ile ma na to czasu... Koniec końców, zadzwonił z komórki do Hu San. Wydzwaniał długo, aż wreszcie odebrała. Przeprosił ją lub pożegna, w zależności od tego, jak rozmowa się potoczy.

Pasza-zade

Rozbrfoł u

10-11 lipc\*

Nastał skwarny sobotni dzień. Już wczesnym rankiem słońce zamieniło Corniche w rozgrzany pas srebra, błyszczący wzdłuż wybrzeża, oddzielający miasto od plaż i nisko położonych cypli. Wszelako nawet o tak wczesnej porze, kiedy tarcza słońca wisiła na wschodzie tuż nad Glimonopolo, ciężkie i parne powietrze pozwalało sądzić, że niebo już niebawem przestanie być błękitne.

Miastu, rzec by można, doskwierał ból głowy. Psy zachowywały się nerwowo, a zdziczałe koty przemykały z cienia w cień, między szopami i ruderami. Policjanci szarpali się za kołnierze, zirytowani swędzeniem, kobiety drapały się dyskretnie, a mężczyźni przy kawiarnianych stolikach bezwstydnie grzebali sobie w kroku. Zza tysięcy okiennic wydzierały się maluchy, które po paru klapsach jeszcze głośniejsze płakały-

Żar wypędzał ludzi z targowisk pod szklanymi dachami, na otwartych bazarach gnęły brzoskwinie, a na postoju taksówek na Place Orabi kierowca niezadowolony z napiwku zabił dwóch pasażerów.

Burza nadeszła w południe, kiedy muezin wzywał wiernych na wspólną modlitwę. Przetoczyła się nad al-Iskanda-rijją potężnym wałem ciemnych chmur, które sunęły olbrzymie, rozrośnięte, umalowane kolorem sadzy, ponakładane na siebie piętami, wyżej i wyżej. Kto patrzył w górę, temu się zdawało, że zagląda w czeluść bezdenne kanionu.

Równocześnie ochłodziło się. Żar ustąpił i wtórnym źródłem ciepła były już tylko nagrzane mury i parkujące samochody. Hani nie spostrzegła jednak raptownej zmiany, zaję-

Jon Courtenay Grimwood

ta w haramliku wrzucaniem do czarnego, plastikowego worka „bezużytecznych” ubrań. Do takich zaliczało się wszystko co eleganckie, co strojne, co kazała jej nosić ciocia...

Na strychu, gdzie odkładali do wyrzucenia niepotrzebne (nie mówili tego wprost) rzeczy, Raf postanowił do końca tygodnia oczyścić z duchów i przemeblować całą medresę al-Mansur. Niektóre duchy wymagają egzorcyzmowania. Inne giną, nikną w świetle dziennym lub pozwalają, by czas uwięził je w rzadko odwiedzanych zakamarkach pamięci.

Jego własne widma zostały w większości wysterylizowane, oznaczone etykietką i albo ukryte przez lisa, albo zamknięte za pancerną szybą wzmocnionej psychiki, którą zawdzięczał reżimowi w Huntsville. Ale duchy Hani... Raf zamierzał wymierzyć im sprawiedliwość kubłem, ścierką, czarnymi workami na śmieci i zgrzytem niezręcznie przesuwanych mebli.

- Ciemno...
- Wiem. - Raf rozejrzał się wkoło. - Znowu nie ma prądu.
- Nie o to chodzi. - Hani stanęła w drzwiach z latarką. - Na dworze pociemniało. Całe niebo jest czarne. Chcesz zobaczyć?
- Najpierw tu skończę. - Przesunął krzesło. Powoli robił porządek na strychu, skąd wychodziło się na płaski dach. Napchano tu chińskiej porcelany, tkanin ściennych, dywanów i starych krzesel: odpadów z gospodarstwa domowego, których ludzie z lenistwa lub przywiązania nie powyrzucali. Pomieszczenie okazało się również domem dla os (gniazdo namierzył w kącie) i kolonii myszy zostawiających po sobie ślady w postaci drobnych odchodów.

Właściwie, to przyszli tu po to, aby znaleźć inne meble do kaa, ponieważ Hani nie cierpiała tych, które lubiła ciocia Nafisa. Raf poparł jej postulat, dodając od siebie, że srebrne krzesła są wyjątkowo niewygodne.

Niewątpliwie, z psychologicznego punktu widzenia, Hani postąpiła źle, wyrzucając eleganckie ubrania i krzesła tylko dlatego, że lubiła je ciotka, której śmierć powinno się opłakiwać. Każdy lekarz znajdujący się na psychologii dziecka jednym tchem wymieniłby stosowne argumenty, ale ponieważ

Pasza-zade\_209

Raf po doświadczeniach z dzieciństwa nie chciał mieć już nigdy do czynienia z lekarzami, po prostu robił swoje.

Kiedy Hani czekała, o dach uderzyły pierwsze grube krople.

- Zaczęło się - oświadczyła i znikła za stalowoszarą ścianą deszczu, która pojawiła się za drzwiami niczym kotara z koralików.
- Hani!

Spóźnił się. Nim dobiegł do wyjścia, włosy dziewczynki lepiły się do twarzy, a przemoczona zielona koszulka pociemniała i oklapła.

Hani śmiała się głośno.

- Chodź!

Deszcz był ciepły, a krople olbrzymie; odbijały się z impetem od dachówek, ale gdy w końcu zaczęło się przelewać z rynien i na dachu powstała szeroka kałuża, tonęły w niej bezpowrotnie.

- Często tu leje? - Raf musiał krzyżeć, jeśli chciał przebić się przez szum deszczu.

Hani błysnęła zębami w uśmiechu.

- Nie aż tak. - Rozkładając szeroko ramiona, pławiła się w wodospadzie. - Cały świat zalewa.

Poniekąd miała rację. Podeszła nad skraj dachu i wychyliła się, aby popatrzeć, jak w dole woda spływająca rurą spustową bije szeroką strugą na ulicę. Środkiem jezdni, wymywając śmieci, przewalała się fala za falą.

- Dywany! - wpadł na porąsł Raf. - Pomóż mi!

Wspólnymi siłami wytaszczyli ciężką belę na zatopiony

dach medresy. Potem Raf rozpostarł bucharski kobierzec, zdjął buty i zaczął po nim deptać. Szara woda wypływała między palcami, natychmiast splukiwana. Zanim przyciągnął drugi dywan, Hani zdarła ze stóp reeboki, które kupił jej zeszłego dnia, i z wielkim zaangażowaniem grzmociła piętami przyniesiony przez siebie kilimek.

Padalo, padało, padało. Chmury upuszczały swe brzemie na al-Iskandarijję, lecz przybywały następne, ze świeżym ładunkiem wody. Wszystko ma swój koniec, zanim jednak burza ustała, cztery dywany były czyste, a dwa ścienna kilimy odświeżone na tyle, że ciemne, dotąd niewyraźne

2

Jon Courtenay Grimwood

smugi przeobraziły się w konnych łuczników polujących na, zdaje się, antylozę.

- Już po deszczu - stwierdziła Hani, obserwując przejaśniające się niebo.

Raf pokiwał głową. Po raz pierwszy, odkąd przyjechał do al-Iskandarijji, powietrze było chłodne i czyste. I ciśnienie już nie dokuczało. Wraz z burzowymi chmurami odeszła nerwowość. Nad ulicami pomykały jaskółki, śmiertelni wrogowie ledwo wyklutych owadów. Śmigały nisko, ze świrdrującym jazgotem, w bojowych formacjach.

\*\*\*

Następnego dnia pod wieczór przytoczył się Felix swoim cadillakiem. Zostawił wóz z kluczykiem w stacyjce, zaparkowany dwoma kołami na jezdni i dwoma na chodniku.

- Jeszcze ktoś go ukradnie - rzekł Raf, gdy otworzył drzwi frontowe i przywitał się z policjantem.

Felix popatrzył chmurnie na najbliższych fellahów, którzy woleli zejść na jezdnię, niż przepychać się obok niego i jego samochodu.

- Nikt się nie odważy.

Raf dopiero po chwili uświadomił sobie, że Felix nie żartuje.

- Otóż mamy problem. - Policjant wygrzebał z kieszeni czarny zegarek G-Shock, z rodzaju tych sprzedawanych w samolotach. - Poznajesz?

Raf potwierdził ruchem głowy. Nie było sensu zaprzeczać.

- Straszne badziewie, więc pomyślałem sobie, że twoje. Powiesz mi, gdzie i kiedy go zgubiłeś?

- Nawet nie wiedziałem...

- ...że zgubiłem, tak? Zatem nie przyznajesz się, żeś w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin zrobił sobie krótką wycieczkę do mojej kwatery?

Raf słuchał tego z konsternacją.

- Ulotniło nam się trochę plastiku - rzekł beznamiętnie Felix. - Trudno, zdarza się. Ktoś na posterunku dzieli kostkę na pół, fałszuje wpis w dokumentacji i zwykle sprzedaje łup rodzinie mafijnej. Albo komuś, kto ma żal do świata.

Pasza-zade

Raf uzmysłowił sobie, że Felix rozmawia z nim otwarcie. Jego prawdziwa osobowość została ubarwiona sfigowanym życiorysem i stąd gliniarz nieświadomie traktował go jak kogoś lepszego od siebie.

- Kłopot w tym, że plastik sprzątnięto z gabinetu Mu-szina beja. - Felix urwał, aby implikacje tego faktu dotarły do świadomości Rafa. - Przed gabinetem w korytarzu znaleziono twój zegarek.

- Cholera!

- To jeszcze nie koniec złych nowin - oświadczył grubas i ruszył na górę po niedawno odsłoniętych schodach.

Raf długo zachodził w głowę, jak to się dzieje, że każdy, kto tu zawita, od razu wie, dokąd iść. Aż nagle go oświeciło. Przy budowie wszystkich dużych domów z konkretnej epoki bezwzględnie przestrzegano określonych założeń architektonicznych. Te schody mogły więc prowadzić tylko w jedno miejsce.

- Kawy?

Felix odchrząknął niezrozumiale, w czym Raf doszukał się słów: Bardzo chętnie, dziękuję...

- Znalazłoby się jakieś ciasto? - zapytał Felix, gdy pojawiła się przed nim tacka. Kiedy Raf wrócił z baklawą, grubas wlewał już do mosiężnego dzbanka ostatnie krople ze swej największej piersiówki. - Bez tego nie da się żyć - skomentował spojrzenie Rafa. - Oficjalnie oczyszczam cię z podejrzeń. - Rzucił na stół g-shocka. - Sam Generał Koenig Pasza po koleżeńsku ci radzi, żebyś wreszcie, do cholery, zaczął być ostrożny. I wysłuchał uważnie, co mam ci do powiedzenia, zanim wyruszysz na prywatną

krucjatę przeciwko brygadam zwolenników RenSchmiss...

Raf zrobił wielkie oczy.

- Co, nie pamiętasz o rozbitej maszrabijji? - spytał Felix.

Oczywiście, że pamiętał.

- Dostaliśmy od robotników kilka kawałków i włożyliśmy je pod mikroskop elektronowy. Maszrabijję połamano od wewnątrz. Nie rozbił jej z zewnątrz włamywacz. Zdajesz sobie sprawę, co to znaczy?

O tak, Raf miał pewne, nie nastrajające optymistycznie, przypuszczenia w tej kwestii.

2

Jon Courtenay Grimwood

- Znów awansowałem na głównego podejrzanego?

- Nie. - Grubas pokręcił głową. - Wskazania wykrywacza kłamstw były jednoznaczne jak zamiary dziwki pod latarnią. - Wyciągnął oprawny w skórę notatnik i, grając na zwłokę, udawał, że czyta zapiski. W rzeczywistości, potrafił wyrecytować je z pamięci, co, prawdę mówiąc, zrobił w rozmowie telefonicznej z ministrem policji. - Maszrabijja została zniszczona od środka. Na piórze utrwaliły się wyłącznie odciski palców lady Nafisy. Pod paznokciami znaleziono szczątki skóry, ale jej własnej, a ta rana na dłoni...

- Pasuje do brakującej zakrętki pióra.

Felix przytaknął.

- A znak na lewej dłoni?

- Odcisk pierścienia z diamentem, który nosiła na palcu.

Raf położył na piersi prawą dłoń, a na niej z kolei lewą, lecz bezskutecznie próbował sobie wyobrazić pchnięcie na tyle silne, żeby ostre krawędzie pierścienia uszkodziły skórę wierzchniej dłoni, gdy pióro będzie wbijać się w serce.

- No i wiadomo, że się nie wahała, żadne rany o tym nie świadczyły - dodał Felix. - Ani o tym, że się broniła. Dłonie nie były pokłute, brak zranień między palcami. Miała rozdartą koszulę.

- No właśnie, co to znaczy?

- Morderca raczej nie zważa na ubranie. Samobójcy wolą gołe ciało... Przykro mi, naprawdę. - Felix oderwał wzrok od trzymanej w ręku filiżanki i rozejrzał się po starannie wysprzątej kaa. Na ścianie wisiał wypłukany dywan, w kącie stała błyszcząca, skórzana otomana. Na marmurowym stoliku Donna postawiła wazon dzikich róż. Umiał rozpoznać ślady egzorcyzmów. Nawet jeśli były nadaremne.

- Może cię to zdziwi, ale... w al-Iskandarijji samobójstwo jest przestępstwem. Za które grozi surowa kara.

- Przecież ona nie żyje.
- Wiem. Zginęła z własnej ręki. Jej majątek przechodzi na własność państwa, takie mamy tu prawo. Ten dom należy już do chedywa. Prawo pozwala ci mieszkać tu trzydzieści dni, nim znajdziesz sobie nowe mieszkanie.
- Nie.

Pasza-zade

213

- Prawo jest prawem. Ale rozmawiałem o tym z ministrem, a minister z Generałem. Gotowi jesteśmy uznać, że to nie było samobójstwo. Musisz tylko potwierdzić, że twoja ciotka w testamencie wyznaczyła chedywa na swojego jedyne go spadkobiercę.
- Powiedziałem „nie”, bo uważam, że ona nie popełniła samobójstwa. - Raf wiedział, że głos mu drży, lecz mimo wysiłków nie umiał nad nim zapanować. - Nie popełniła samobójstwa. Nie zrobiłaby tego... Po co miałyby rozbijać ma-szrabiję i zamiast noża brać pióro? - I pytanie zasadnicze: czemu sprowadzała go z Seattle, skoro planowała popełnić samobójstwo?
- Może dla zmyłki? - Felix bezradnie wzruszył ramionami. - Kto postanawia ze sobą skończyć, jest zdolny do najgłupszych pomysłów.
- Została zamordowana - obstawał przy swoim Raf.
- Niech pan to przekaże ministrowi.
- Muszin bej podejrzewał, że tak właśnie powiesz
- mruknął Felix. Nie znosił przyznawać racji swojemu szefowi.
- Tak? To proszę mu jeszcze przekazać, że dorwę morderców.

Felix miał skwaszoną minę.

- Mówił, że i to powiesz.

Jon Courtenay Grimwood

Rozdział 35

28 lipCA

Klub CdH powstał na dnie kamiennej studni. Podczas klubowej nocy na zatłoczonych spiralnych schodach śmierdziało tanim piwskim i drogimi kosmetykami. Oraz stę-chlizną wody gruntowej, jako że szyb zbiegał do ogromnej cysterny, usztywnionej żelaznymi pomostami na wciągnikach łańcuchowych. Bar wraz ze sprzętem nagłaśniającym JVC znajdował się na końcu, na podwyższeniu, gdzie połowę wypełnionej wodą cysterny wyłożono przed wiekami kamiennymi płytami.

Zamontowane na dnie podwodne reflektory podświetlały z dołu pływających, którzy rzucali na sklepiony sufit olbrzymie, czarne cienie. Tylko paru zatwardziałych pływaków kąpało się na golasa. Prezentowali swą nagość nie dlatego, że taka była specyfika klubu, ale ponieważ w osmańskiej Afryce

tego rodzaju zachowanie stanowiło obrazę moralności publicznej. Samo odwiedzenie CdH uznawano za wyraz politycznych przekonań.

W ten sposób tłumaczyłaby się Zara, gdyby ją spytano. Poza tym, każdy wiedział, że pochodne ecstazy ubarwiają świat. Tańczący pałali miłością do ludzi, choć potem przychodziło ostudzenie zapału i po miłości nie zostawał ślad...

Elektryka działała, na spragnionych czekały hektolitry stara, sprzęt mógł do rana grać zmiksowaną muzykę. O północy ludziska będą już tłoczy się pod samymi krokwiemi, a tłum podzieli się na większość wyżywającą się w tańcu i takich jak ona, którzy wolą pływać. Zara uśmiechnęła się szeroko i poprawiła słuchawki w uszach, wędrując po stacjach, aż znalazła to, czego szukała.

Pasza-zade

215

Av oczywiście głosił dobrą nowinę:

- ...Vertigo Voudun, mix w wykonaniu Blue Ice. A teraz przypomnę raz jeszcze: dziś w CdH wielka rozbieranka! - Mówił do miniaturowego mikrofonu, przymocowanego do gardła. Ze swoim hełmem na głowie, w którym rozprzewadzały dźwięk bruzdy wycięte w wyściółce, Avatar korzystał ze wszystkich dobrodziejstw kwadrofonii. W jednym z aerodynamicznie wyprofilowanych kufrów bocznych przerabianego motocykla Yamaha Wildstar zamontował superprosty w obsłudze sprzęt grający. Kufer po drugiej stronie zawierał zestaw pozwalający łączyć się z piracką radiostacją satelitarną.

Na Balearach sprzężenie tempa utworu z tętnem DJ-a było już oklepanym pomysłem, lecz Av nie znosił kalkowania i szukał własnych ścieżek. Licznik BMP podłączył więc bezpośrednio do silnika w motocyklu. Każde dodanie gazu podkręcało tempo i każdy skok tempa zwiększał szybkość jazdy. Hard trance dawał prawdziwego kopa dopiero po przekroczeniu dozwolonej prędkości.

- A teraz FNM 90-2 w zmiksowanej wersji „Escape Velocity” LuxPerpetuy. I pamiętajcie, dziś w CdH goło i wesoło. Miłej zabawy! - Avatar ostro dodał gazu. Wskazówka na liczniku przekroczyła czerwoną linię.

Zara zamknęła za sobą drzwi. Uwaga, ostrzegała zardzewiała tablica. Nie zbliżać się, napięcie 40 kV. Swego czasu Avatar zakosił ją z podstacji trakcyjnej nad samym morzem przy Rue Ras el-Tin, a Zara przytwierdziła ją klejem epoksydowym do drzwi, maskując wejście do studni. Jak na razie, nie pojawił się nikt z zakładu energetycznego, żeby odczytać licznik.

Kto chciał odwiedzić CdH, czyli Club des Hachichins, musiał zejść czerwoną spiralą schodów, które zaczynały się za tymi drzwiami. Same schody wykonano pół roku temu z tworzyw ceramicznych i skręcono zielonymi śrubami grubości ludzkiego palca. Mówiło się, że Av ukradł je z hotelu w Shatby, gdzie nadal ich szukano.

Zara nie miała pojęcia, jak stary jest kamienny szyb, lecz pięćset lat liczył sobie z całą pewnością. W al-Iskandarijji wszystko co młodsze uważano prawie za nowe. Gdyby

216\_Jon Courtenay Grimwood

studnię zbudowano później niż pół tysiąca lat temu, mogłaby jej szukać na mapie miasta.

Zara była promotorem, organizatorem i właścicielem klubu. Właścicielem o tyle, że nad średniowieczną cysterną stał wielopoziomowy parking należący do HZ International. Tak miał na drugie imię jej ojciec.

Niegdyś pod miastem znajdowały się setki sklepionych cystern z kamiennymi zbiornikami. Cysterne posiadała każda zamożna rodzina, medresa czy meczet. Czasem właścicielami byli mieszkańcy ulicy lub sprzedawcy na bazarze. Do dzisiaj w większości powysychały, pozapadały się lub zostały zapomniane. O dwunastu znanych z tego, że przetrwały do czasów współczesnych, wspominały foldery biur podróży. CdH okupował trzynastą.

Natrafiła na nią jeszcze przed wyjazdem do Stanów, lecz przedsięwzięcie rozkręciła dopiero po powrocie. Już teraz Avatar na czele brygady bramkarzy musiał zawracać chętnych do zabawy. Klubowa noc zdarzała się raz w miesiącu, przy czym dokładną datę losowo ustalał program zainstalowany w notebooku Zary. Prędzej czy później wszystkie kluby związały interes, lecz ona i Avatar starali się jak mogli, aby przebić konkurencję, mimo że i ta nie zasypiała gruszek w popiele.

Ale chociaż Av upierał się, że ktoś za nim łązi, Zara wiedziała, że nie ma co panikować. Tak czy owak, czekała ich następna klubowa noc, a jej zadaniem było załatwić coś na odprężenie.

Pasza-zade

1

RorbrUł 36

28 lipca

- Znajdzie pan tego człowieka i doręczy mu przesyłkę. Byle we właściwym czasie...

Edouard nie chciał dać plamy pierwszego dnia w pracy; jeśli się wykaże, może jutro też go wybiorą. W al-Iskandarij-ji bywały problemy ze znalezieniem zatrudnienia. Niech tylko podpadnie jednemu pracodawcy, dziesięciu następnych zatrzaśnie mu drzwi przed nosem. Starał się nie narażać ważnym osobom, bo w przyszłości mógł szukać u nich roboty. Właśnie taka ważna osoba, u której stawił się dziś rano, kierowała firmą kurierską w biurze nad pasmanterią, za przystankiem tramwajowym na Place Orabi.

Edouard miał przed sobą dzień pracy i kto wie, czy nie następne, jeżeli się sprawdzi. I nawet nie musiał zasuwać za darmo, aby udowodnić, że ma „elastyczne podejście”.

Zlecono mu zadanie doręczenia paczki, co jednak miał zrobić dopiero po 11:30. Podprowadził swoją starą vespę do stojaka i czekał. Zgodnie ze wskazówkami, odnalazł właściwą kawiarnię przy Place Gumhuriya i namierzył mężczyznę z fotografii. Teraz wystarczyło czekać na odpowiednią porę...

- To była LuxPerpetua, a teraz nasz przyjaciel z al-Iskan-darijji, Ahmed Szaabi i jego „Jules&Jeel”...

Klangowy bas raz za razem odskakiwał od rytmu perkusji, wyraźnie zaczerpniętego z tradycji muzycznej Beduinów. Dla Rafa była to tylko walnięta muzyka z radia, które jakiś szajbus przykleił sobie taśmą do siedzenia w skuterze stojącym gdzieś na światłach. Minęły trzy tygodnie, odkąd znaleziono



zwłoki jego ciotki. Za tydzień razem z Hani, Donną i Chartumem będzie musiał wyprowadzić się z medresy.

18

Jon Courtenay Grimwood

Starał się jednak o tym nie myśleć.

Przed sobą, w notesie, miał listę nazwisk. Dla bezpieczeństwa używał notesu tradycyjnego, z papierowymi kartkami. Jeśli nikt nie zajrzy mu przez ramię ani nie posłuży się najwyższej klasy satelitą, zapiski pozostaną jego tajemnicą. I miał jeszcze tę pewność, że kilka stolików dalej nie siedzi nasłany przez ministra cwaniaczek z ukrytym odbiornikiem podsłuchowym van Ecka, mogącym nagrać wszystko, co pojawia się na monitorze szpiegowanej osoby.

Większość nazwisk skreślił, lecz połowę z powrotem umieścił na liście. Pośrodku zaznaczył kółkiem ciotkę. Od niej rozbiegały się promieniście linie do Hamzy, Dżalili, Generała, Muszina beja, Zary... A od nich dalej, do innych nazwisk, przez co na stronie powstał zawity labirynt połączeń... wiodących na manowce.

Dysponował teraz schematem równie tajemniczym jak rysunki z księgi kabalistycznej i niewiele więcej mówiącym. Ostatecznie, chcąc nie chcąc, musiał pogodzić się z tą nieprzyjemną myślą, że żaden niezbity dowód nie wskazuje na morderstwo. A nawet jeśli ciotka została zamordowana, czy mógł się łudzić, że zaczynając od zera, rozwikła zagadkę zbrodni bez wiarygodnych śladów?

Brał pod uwagę wszystkich potencjalnie zamieszanych w tę sprawę, oprócz Generała, który od tygodni nie ruszał się z domu. W Radio Shack kupił sobie cyfrowy skaner (nie bardzo było go stać, ale trudno) i do pamięci urządzenia wprowadził numer Zary, a nawet, w akcie desperacji, numery ministra i Felixa. Minister szyfrował rozmowy potężnymi algorytmami, Felix rzadko włączał komórkę, a po złamaniu szyfru Zary okazało się tylko tyle, że prowadziła jakiś klub; wybranym klientom zdradzała współrzędne systemu GPS, które wskazywały, że klub mieści się w wielopoziomowym garażu. Informacja może niezbyt pomocna, ale dość ciekawa.

Była środa, 28 lipca, godzina 10:48. Bicie serca, ciśnienie krwi i liczba cząstek alfa prawie w normie, no, może lekko podwyższone. Nie dzwonił do niego jeszcze nikt z urzędu, więc od trzydziestu pięciu minut siedział w promieniach słońca przed kawiarnią na Place Gumhuriya - czyli, zważywszy na swój genetyczny makijaż, o trzydzieści pięć minut za dłu-

Pasza-zade

1

go. Temperatura wynosiła 34°C, a wilgotność nareszcie była niska. Wszystko to odczytał z zegarka i wszystko to niewiele go obchodziło.

W raporcie brakowało wzmianki o złożonych cząstkach organicznych, które przedzierały się przez niezliczone pęcherzyki płucne, zalewając układ krwionośny za każdym razem, kiedy zaciągał się z plastikowego ustnika małej szyszy.

Tetrahydrokannabinol.

Mosiężna fajka wodna błyszczała po brzegach. Zupełnie jakby ktoś delikatnie obrysował światłem jej poskręcany cybuch. Eukaliptus, którego cień padał na Rafa, był rozszczepiony na wysokości jego oczu, potem rozszczepiał się jeszcze raz i jeszcze, a przy tym rozgałęział na boki, aż zrodził się z niego świetlisty, trójwymiarowy schemat, będący odpowiedzią na jakieś ważne pytanie, którego nikt nie kwapił się zadać. Raf przeczuwał, że sam może być tym nikim.

Nie wiedział, czy dobrze zrobił, że przyjął fajkę wodną.

- Wszystko do dupy...

Chwilę później powtórzył te słowa.

A potem położył na stole fioletowy cybuch z ustnikiem i sprawdził, która jest godzina. Niestety, czas włókł się niemiłosiernie.

Rozmieszawszy łyżeczką chłodną herbatę w szklance, obserwował maleńki wir, który uspokajał się, aż zamarł. Entropia. Było mu gorąco, koszula lepiła się do ciała, a na szkieleku okularów chroniących go przed miastem widniał odcisk kciuka.

Jadł śniadanie w prowadzonej przez fellahów kawiarence na Place GH, gdzie wyróżniał się wśród krępych brodaczy w pasiastych koszulach lub długich dżelabach. Kawiarnię wypełniali sami mężczyźni, jeśli nie liczyć ubranej na czarno starszej Tunezyjki, która co parę minut wyłaniała się z kuchni, aby położyć talerze na kontuarze, skąd w dalszą drogę zabierał je kelner. Miasto ukazywało mu swe prawdziwe oblicze, gdy zamawiał obfite śniadanie w cenie połowy rogalika z Le Trianon, a pierwszą szyszą częstowano go za darmo.

Jedynie to, co miał na sobie, pozwoliło mu wkraść się w łaski tych ludzi. Choć dopiero po kilku takich porankach zrozumiał tę prawdę. Marynarka była długa i czarna, wytrza-

Pasza-zade

219

go. Temperatura wynosiła 34°C, a wilgotność nareszcie była niska. Wszystko to odczytał z zegarka i wszystko to niewiele go obchodziło.

W raporcie brakowało wzmianki o złożonych cząstkach organicznych, które przedzierały się przez niezliczone pęcherzyki płucne, zalewając układ krwionośny za każdym razem, kiedy zaciągał się z plastikowego ustnika małej szyszy.

Tetrahydrokannabinol.

Mosiężna fajka wodna błyszczała po brzegach. Zupełnie jakby ktoś delikatnie obrysował światłem jej poskręcany cybuch. Eukaliptus, którego cień padał na Rafa, był rozszczepiony na wysokości jego oczu, potem rozszczepiał się jeszcze raz i jeszcze, a przy tym rozgałęział na boki, aż zrodził się z niego świetlisty, trójwymiarowy schemat, będący odpowiedzią na jakieś ważne pytanie, którego nikt nie kwapił się zadać. Raf przeczuwał, że sam może być tym nikim.

Nie wiedział, czy dobrze zrobił, że przyjął fajkę wodną.

- Wszystko do dupy...

Chwilę później powtórzył te słowa.

A potem położył na stole fioletowy cybuch z ustnikiem i sprawdził, która jest godzina. Niestety, czas włócił się niemiłosiernie.

Rozmieszawszy łyżeczką chłodną herbatę w szklance, obserwował maleńki wir, który uspokajał się, aż zamarł. Entropia. Było mu gorąco, koszula lepiła się do ciała, a na szkiełku okularów chroniących go przed miastem widniał odcisk kciuka.

Jadł śniadanie w prowadzonej przez fellahów kawiarence na Place GH, gdzie wyróżniał się wśród krępych brodaczy w pasiastych koszulach lub długich dżelabach. Kawiarnię wypełniali sami mężczyźni, jeśli nie liczyć ubranej na czarno starszej Tunezyjki, która co parę minut wyłaniała się z kuchni, aby położyć talerze na kontuarze, skąd w dalszą drogę zabierał je kelner. Miasto ukazywało mu swe prawdziwe oblicze, gdy zamawiał Obfite śniadanie w cenie połowy rogalika z Le Trianon, a pierwszą szyszą częstowano go za darmo.

Jedynie to, co miał na sobie, pozwoliło mu wkraść się w łaski tych ludzi. Choć dopiero po kilku takich porankach zrozumiał tę prawdę. Marynarka była długa i czarna, wytrza-

Pasza-zade

219

go. Temperatura wynosiła 34°C, a wilgotność nareszcie była niska. Wszystko to odczytał z zegarka i wszystko to niewiele go obchodziło.

W raporcie brakowało wzmianki o złożonych cząstkach organicznych, które przedzierały się przez niezliczone pęcherzyki płucne, zalewając układ krwionośny za każdym razem, kiedy zaciągał się z plastikowego ustnika małej szyszy.

Tetrahydrokannabinol.

Mosiężna fajka wodna błyszczała po brzegach. Zupełnie jakby ktoś delikatnie obrysował światłem jej poskręcany cybuch. Eukaliptus, którego cień padał na Rafa, był rozszczepiony na wysokości jego oczu, potem rozszczepiał się jeszcze raz i jeszcze, a przy tym rozgałęział na boki, aż zrodził się z niego świetlisty, trójwymiarowy schemat, będący odpowiedzią na jakieś ważne pytanie, którego nikt nie kwapił się zadać. Raf przeczuwał, że sam może być tym nikim.

Nie wiedział, czy dobrze zrobił, że przyjął fajkę wodną.

- Wszystko do dupy...

Chwilę później powtórzył te słowa.

A potem położył na stole fioletowy cybuch z ustnikiem i sprawdził, która jest godzina. Niestety, czas włócił się niemiłosiernie.

Rozmieszawszy łyżeczką chłodną herbatę w szklance, obserwował maleńki wir, który uspokajał się, aż zamarł. Entropia. Było mu gorąco, koszula lepiła się do ciała, a na szkiełku okularów chroniących go przed miastem widniał odcisk kciuka.

Jadł śniadanie w prowadzonej przez fellahów kawiarence na Place GH, gdzie wyróżniał się wśród

krępych brodaczy w pasiastych koszulach lub długich dżelabach. Kawiarnię wypełniali sami mężczyźni, jeśli nie liczyć ubranej na czarno starszej Tunezyjki, która co parę minut wyłaniała się z kuchni, aby położyć talerze na kontuarze, skąd w dalszą drogę zabierał je kelner. Miasto ukazywało mu swe prawdziwe oblicze, gdy zamawiał obfite śniadanie w cenie połowy rogalika z Le Trianon, a pierwszą szyszą częstowano go za darmo.

Jedynie to, co miał na sobie, pozwoliło mu wkraść się w łaski tych ludzi. Choć dopiero po kilku takich porankach zrozumiał tę prawdę. Marynarka była długa i czarna, wytrza-

Pasza-zade

219

go. Temperatura wynosiła 34°C, a wilgotność nareszcie była niska. Wszystko to odczytał z zegarka i wszystko to niewiele go obchodziło.

W raporcie brakowało wzmianki o złożonych cząstkach organicznych, które przedzierały się przez niezliczone pęcherzyki płucne, zalewając układ krwionośny za każdym razem, kiedy zaciągał się z plastikowego ustnika małej szyszy.

Tetrahydrokannabinol.

Mosiężna fajka wodna błyszczała po brzegach. Zupełnie jakby ktoś delikatnie obrysował światłem jej poskręcany cybuch. Eukaliptus, którego cień padał na Rafa, był rozszczępiony na wysokości jego oczu, potem rozszczępiał się jeszcze raz i jeszcze, a przy tym rozgałęział na boki, aż zrodził się z niego świetlisty, trójwymiarowy schemat, będący odpowiedzią na jakieś ważne pytanie, którego nikt nie kwapił się zadać. Raf przeczuwał, że sam może być tym nikim.

Nie wiedział, czy dobrze zrobił, że przyjął fajkę wodną.

- Wszystko do dupy...

Chwilę później powtórzył te słowa.

A potem położył na stole fioletowy cybuch z ustnikiem i sprawdził, która jest godzina. Niestety, czas włócił się niemiłosiernie.

Rozmieszawszy łyżeczką chłodną herbatę w szklance, obserwował maleńki wir, który uspokajał się, aż zamarł. Entropia. Było mu gorąco, koszula lepiała się do ciała, a na szkieletku okularów chroniących go przed miastem widniał odcisk kciuka.

Jadł śniadanie w prowadzonej przez fellahów kawiarence na Place GH, gdzie wyróżniał się wśród krępych brodaczy w pasiastych koszulach lub długich dżelabach. Kawiarnię wypełniali sami mężczyźni, jeśli nie liczyć ubranej na czarno starszej Tunezyjki, która co parę minut wyłaniała się z kuchni, aby położyć talerze na kontuarze, skąd w dalszą drogę zabierał je kelner. Miasto ukazywało mu swe prawdziwe oblicze, gdy zamawiał obfite śniadanie w cenie połowy rogalika z Le Trianon, a pierwszą szyszą częstowano go za darmo.

Jedynie to, co miał na sobie, pozwoliło mu wkraść się w łaski tych ludzi. Choć dopiero po kilku takich porankach zrozumiał tę prawdę. Marynarka była długa i czarna, wytrza-

Jon Courtenay Grimwood

śnięta z zakamarków szafy na piętrze dla mężczyzn w me-dresie. Była też stara, a jej kołnier, zamiast układać się na ramionach, przejawiał tendencję do stawania na sztorc. Na ulicy przechodnie patrzyli na niego dziwnym wzrokiem, lecz grzecznie ustępowali mu z drogi.

Nowe ubranie. Myśl ze wszech miar słuszną, owszem, tylko że pewne rzeczy pozostawały poza jego zasięgiem: z chwilą śmierci ciotki straciła ważność jej karta kredytowa. O czym się przekonał we francuskim butik niedaleko Place Orabi. Drobna kwota, którą dysponował, była zaliczką z urzędu Trzeciego Rejonu Irygacyjnego. Z każdym dniem utwierdzał się w przeświadczeniu, że będzie tam zarabiał symboliczne pieniądze. Najwidoczniej praca w tym urzędzie była honorowym wyróżnieniem. Szkoda tylko, że na takie wyróżnienie nie mógł sobie pozwolić.

A gdyby zapytać Hamzę, czy nie znalazłaby się dla niego jakaś praca?

A może nie wypada?

Narkotyk w fajce, choć zaprawiony miodem, miał cierpki posmak. Wszystko się zgadza, pomyślał. Gorycz zatręła całe jego życie, kiedy przeszło dwa tygodnie temu do medresy wwalili się Felix, zasunął mu bombę i poszedł sobie, zostawiając go z przykrym obowiązkiem powiadomienia Hani, że po stracie ciotki dojdzie jej następna strata: domu. Paskuda myśl... zwłaszcza że jeszcze jej o tym nie powiedział. A powinien.

Niech Bóg ma ją w swojej opiece.

Zmartwienia odbierały mu apetyt. Pić też nie miał ochoty, nawet jeśli mógł kupić alkohol w co drugiej spelunie w promieniu pięciu minut drogi od Le Trianon. A co do narkotyków... Zioło zaprawione melasą lub miodem niepodzielnie rządziło w tej części miasta. Gotowe skręty kupowało się od dilerów na rogach ulic, a także jako duże, odciskane w drewnianych prasach bloki na targowiskach wokół al-Ma-gharby. Ale mimo dzisiejszego wysoku z szyszą palenie marihuany nie było w jego stylu; jeśli już chciał zaszać na przekór radom lisa, to sięgał po amfetaminę. Tę najprostsza, wytwarzaną w piwnicy. Na speedzie o wiele wyraźniej czuł obecność lisa.

Pasza-zade

Jednak w al-Iskandarijji amfa nie cieszyła się szczególnym wzięciem. Kokę można było bez problemu nabyć za czarnymi, szklanymi drzwiami drogich nocnych klubów. Podobnie dyskotekowe narkotyki w miejscach uczęszczanych przez turystów, gdzie nocą szwendały się grupki niemieckich wyrostków, naćpanych substancjami różniącymi się ledwie molekułą od MDMA. Jednak o paliwo ułatwiające kontakt z lisem było trudno.

Do tego lis umierał. Raf wiedział to na pewno. Lis bowiem mówił coraz rzadziej i rzadziej, a najczęściej po zmroku. Nie rozmawiał z nim w dawnym stylu i nie dawał żadnej rady w kwestii znalezienia zabójców ciotki Nafisy. Choćby i złej rady. Ilekroć Raf wypuszczał się na poszukiwania zwierzęcia, napotykał jedynie luźny zlepek faktów i pustkę tam, skąd wcześniej dobiegał głos. Szysza o tyle zmieniła ten stan rzeczy, że w pustce pojawiło się echo. Echo ciszy kontrastujące z otaczającym go

hałasem ulicy.

Nieopodal piętrzył się neobarokowy kolos: dworzec Misr, stacja końcowa dojeżdżającego tu z Kairu pociągu turbini. Z lotu ptaka tory wydawały się zabawkowe, a plac maleńki, zatłoczony i brudny, wciśnięty między przepelniony postój taksówek i szeregi płaskich dachów, przerywane gdzieniegdzie a to szpikulcem minaretu, a to cykiem koptyjskiej bazyliki, a to iglicą katolickiego kościoła.

Jeśli popatrzeć z większej wysokości, budynki zlewały się ze sobą; odślaniał się schematyczny plan miasta, siatka ulic i kompleksy tętniących życiem pudełek. Ciemniejsze zaułki, gdzie słońce codziennie przegrywało bitwę z cieniem, powoli zanikały, aż nawet najszersze aleje w al-Anfuzi jawiły się jako drobne zarysowania; i te w końcu rozmyły się i znikły. Raf czuł coraz silniejszy uciek w gardle, łapczywie chwycił oddech, próbował przeżyć w rozrzedzonej atmosferze.

- Wasza Ekscelencjo...

Miasto podskoczyło i wymierzyło mu siarczysty policzek. Musiał położyć dłoń na dłoni, aby powstrzymać drżenie. W tej chwili nie czuł się jak żadna ekscelencja.

- Nic panu nie jest? - Chłopak speszył się, gdy Raf uniósł głowę. - Najmocniej przepraszam. Znaczą się... może pan czegoś potrzebuje?

22

Jon Courtenay Grimwood

Pewnie: nowego życia, spokojnego dzieciństwa, odpowiedzi na pytanie, kto naprawdę zabił jego ciotkę. Bo, cholera jasna, nie zrobiła tego sama...

- Felix... - odezwał się do zegarka i włożył do ucha mini-słuchawkę. Usłyszał sygnał wybierania numeru. Chciał ob-gadać z nim parę spraw. Niedawno ostrzegł Muszina beja, że on i lady Dżalila będą musieli' pozwać go da' sądu, zanim przejmą władzę nad Hani. - Proszę o świeżą herbatę.

- Zerknął na kelnera. - A to zabierz. - Wskazał szyszę stygnącą na stole.

Felix zjawił się zaraz po herbacie. Wjechał na chodnik swoim różowym kabrioletem i wysiadł przy stoliku Rafa.

- Wyglądasz jak szmata. - Przysunął sobie krzesło.

- Pewnie nie trzeba ci tego mówić.

Bez pytania o pozwolenie wyciągnął Rafowi notes z ręki i parsknął na widok gąszczu liter i kresek.

- No pięknie... - Już zamierzał oddać notes, ale się rozmyślił i puknął palcem w jedno z nazwisk. - Wieczorem robimy nalot na jej tancbudę - dodał w zamyśleniu. - Może być przyszedł? - Charkot wydobywający się z jego gardła był świadectwem wypalenia setek paczek papierosów, wyżłopania galonów wody i tego, że nawet południe uważał za wczesny ranek. Zamówił gorącą czekoladę z bitą śmietaną i dwa rogaliki z migdałami. - Wszędzie falafel i ciastka... - stwierdził, zde gustowany. - Nikt w tej zapchlonej dziurze nie zna się na gotowaniu.

- To czemu pan się stąd nie wyniesie?

Felix zrobił zdziwioną minę.

- Myślisz, że gdzieś mi dadzą robotę za taką kasę? Jestem za stary na Los Angeles i za drogi na jakieś zadupie. A poza tym... - Grubas zawahał się, starannie dobierając słowa. - Mamy tu gównie nie bandytów...

Rafowi zbierało się na śmiech. A może na łzy. Lub po prostu na sen. Nie wiedział, na co bardziej. Pewnie na wszystko po trochu.

Żadnych bandytów?

- No tak - dorzucił Felix - dwa razy w roku zmienia się wiatr i podwaja się liczba zabójstw, ale rodziny wolą załatwiać to w swoim gronie, po cichu. Gwałty zdarzają się nie

Pasza-zade

22

częściej niż gdzie indziej. Skroją jakiegoś pijanego Ruska, ale tylko czasem, jeśli jest idiotą. Niekiedy ktoś komuś da w mordę, obrabuje drogerię, takie tam drobiazgi. Ale grubszy kaliber? Nie u nas.

- A gangi? Szmugiel narkotyków, zorganizowana przestępczość?

- Niby że co?

- No, przecież musi istnieć.

Félix się uśmiechnął.

- Chcesz wiedzieć, jak mój szef radzi sobie ze zorganizowaną przestępczością? Co rok zaprasza na obiad głowy rodzin mafijnych i przypomina o terminowym płaceniu podatków chedywowi.

Grubas zamknął się nareszcie, ale tylko dlatego, że przyniesiono mu czekoladę w kubku wielkim jak miska. Kiedy na koniec odessał się od naczynia, było puste; nad ustami pozostała mu szeroka pręga śmietany.

- A teraz wiadomość od samego Generała. - Wziął rogalik, obejrzał go sobie i odłożył. Potem strzepnął cukier z palców. - Uważa, że dobrze będzie, jeśli zwrócisz ten plastik.

- Nie zabrałem żadnych... materiałów wybuchowych - wydukał Raf.

- To kto zabrał?

- Skąd mam, do... - Wyleciała mu z głowy pozostała część zdania, więc przeszedł do następnego: - Kto... ukradł... mój... zegarek?

Coś się w nim zacięło? Félix nachylił się, zdjął mu okulary... i zaklął, zniesmaczony, kiedy bej raptownie podniósł rękę, aby osłonić oczy przez słońcem. Źrenice były szerokie i przyćmione, czarne jak wypalone gwiazdy.

Zapieprzyłem, nie ma co... I to ma być szef wydziału śledczego? Powiniennem prędzej zwracać uwagę na takie rzeczy.

- Niech cię diabli! - Pośpiesznie otworzył walizkę i wyciągnął inhalator firmy Bayer-Rochelle. Zaklął jeszcze parę razy. Inhibitor THC, standardowo na wyposażeniu policji, był prawie pusty. - Masz tu resztkę i idź do apteki. - Wskazał na budynek po drugiej stronie placu, gdzie zwracał na siebie uwagę zielony, neonowy znak krzyża. - Kup sobie drugi taki

Jon Courtenay Grimwood

sam. Potem pogadamy. - Rzucił Rafowi pustawy inhalator

i patrzył z westchnieniem, jak ten niezdarnie łapie urządzenie.

\*\*\*

- Przesyłka dla Aszrafa beja. - Edouard stanął przy grubasie, nerwowo przestępując z nogi na nogę. Mimo upału miał na sobie tani kevlarowy kombinezon i nosił na twarzy przeciwpyłową maskę. Na plecach wypisano odręcznym, staroświeckim pismem firmowe hasło „Atlas dba” na które zapewne jakiś drobny marketingowiec wpadł za trzecim podejściem po tygodniu rozmyślań.

Edouard znajdował się w rozterce. Kazano mu bezwzględnie stosować się do instrukcji. Ponad wszelką wątpliwość zbliżało się południe, bo plac rozbrzmiewał wołaniem muezi-na, a i kawiarnia była ta co trzeba. Niestety, ulotnił się adresat przesyłki. Edouard zdecydował się doręczyć ją we wskazanym miejscu o wskazanej porze i zaczekać na powrót właściwej osoby.

- Odbiorę - zaproponował Felix.

Edouard już miał odmówić, gdy raptem Felix otworzył portfel i mignął mu złotą odznaką.

- Powiedziałem, że odbiorę...

- W takim razie proszę podpisać.

Policjant podpisał się niechlujnie na pokwitowaniu i sięgnął po kopertę.

" - A teraz proszę rftnfe zostawić.

Edouard odszedł. Minę miał nietęgą, ale cóż więcej mógł zrobić? Kolejny dzień pracy wydawał mu się coraz mniej realny, w miarę jak odtwarzał w myślach całą sytuację.

Kierując wzrok na aptekę, Felix upewnił się, że Raf szybko nie wróci. Delikatnie potrząsnął brązową kopertą z ochronną folią bąbelkową. Kopertę chyba wysłano z jakiegoś ważnego urzędu państwowego. Z przyzwyczajenia trzymał ją ostrożnie za brzegi, aby nie zostawić odcisków palców. Jedyną osobliwością widoczną gołym okiem było skrzydełko: nie przyklejone na wierzchu, ale wsunięte do środka, jakby leniwy nadawca chciał pójść na łatwiznę.

- Co, u diabła... - Zagrzechotał zawartością przesyłki, aż na stół wypadła płaska bombonierka. Pierwsza klasa,

Pasza-zade



Charbonel et Walker. Do pudełka przyczepiono białą karteczkę z kotami na obrazku i wypaloną laserem wiadomością:

Jeśli to czytasz, ja nie żyję. Ciotka Nafisa.

Felix spodziewał się wszystkiego, tylko nie tego. W pierwszym odruchu chciał schować bombonierkę z powrotem do koperty, by potem przyglądać się bacznie twarzy Rafa, szukając na niej śladów trwogi albo zaskoczenia. Może dzięki temu zrozumiałby, co się dzieje. Nie miał do gościa ani w ząb zaufania, choć, swoją drogą, nawet go trochę polubił.

Ale żeby nawet nie zerknąć? Pokusa była zbyt silna. Gdyby dokładnie wiedział, co jest w środku, może miałby haka na Aszrafa. tym bardziej jeśli były tam listy, pamiętnik czy nawet fotografie...

Gdy otworzył pudełko, rozszedł się słodki zapach. Nie kwiatów, nie czekolady i nie marcepana. Poczł coś, co było mu znajome i czego intuicyjnie się przestraszył. Włosy zjeżyły mu się na głowie, nim mózg znalazł odpowiedź: hekso-

gen, C3. Materiał wybuchowy o wielkiej sile kruszenia...

\*\*\*

Szkló przysło diamentami. Sto ośmiomilimetrowych kulek łożyskowych zdarło pół twarzy z policjanta i wyrwało mu prawą rękę przy samym ramieniu, choć do niego to jeszcze nie dotarło. W miejscu policzka została goła kość, żółta i potyskliwa. Biało oka rozsmarowało się po oczodole. Ogromna jak pięść dziura w skroni odsłoniła mózg, na górnej części tułowia rany rozkwitały krwistą czerwienią maków. Pole rażenia było ograniczone i ściśle wyliczone, wszak bombonierka mieściła w sobie tylko jedną niewielką minę przeciwpiechotną.

Zmaltretowana szczęka otworzyła się nienaturalnie szeroko: grubas zdawał się wykrzykiwać światu swą niemą skargę. Spróbował wstać, ale nie utrzymał się na połamanych nogach i runął na bok, przewracając stół.

Wstrząśnięci ludzie stali jak sparaliżowani, dopóki nie przybiegł Raf. Wrzeszczał za siebie i za Felixa.

Nieszczęśnik, ślepy i prawie głuchy - mimo że siła grawitacji wywlekała mu z rozbitej czaszki pod postacią galarety ostatnie strzępy świadomości - zdołał jakimś cudem wspiąć

22

Jon Courtenay Grimwood

się na kolana, lecz zaraz wstrząsnęły nim konwulsje i padł na ziemię; odarte ze skóry ciało przylgnęło do kamienia.

Bezsensem byłaby próba nawiązania rozmowy z człowiekiem, któremu rozerwało krtań i mózg wypływał z głowy. Krew buchająca na chodnik spływała meandrami do studzienki ściekowej. Pomimo beznadziejnej sytuacji Raf potrząsał jednak Felixem. Krzyczał do niego.

W oddali wycie karetki walczyło z syreną pędzącego wozu policyjnego. Sanitariusze z pogotowia tak czy inaczej byli skazani na porażkę. Grubas już nie żył, tylko ciało jeszcze

0 tym nie wiedziało.

- Zrób to! - Słowa padły nagle, wyrażone tonem chłodnym i zdecydowanym.

Raf najchętniej by je zignorował. Udał, że niedosłyszał.

- Zrób to! - powtórzył lis, który nie miał w zwyczaju budzić się w dzień.

Więc Raf go posłuchał.

Odpinając kaburę od pasa policjanta - razem z odznaką

1 zapasowymi nabojami - wyciągnął taurusa i sprawdził bębenek. Zobaczył ceramiczne półpłaszczkowe pociski z wydrążonym wierzchołkiem.

- Do tyłu! - rzucił.

Pod okiem cofających się gapiów wyplątał marynarkę Felixa z połamanego krzesła, zwinął ją i podłożył mu pod głowę w charakterze poduszki. Potem przewrócił go na wznak, jakby chciał, żeby policjant porządnie się wyspał. Przystawił mu do potylicy lufę rewolweru i wolno pociągnął za cyngiel. Pokiereszowana głowa Felbca rozprysła się na drobne kawałki wraz z fragmentem płyty chodnikowej. Raf mógł mówić o szczęściu, że odłamki nie trafiły go rykoszetem w oko.

Przyjaźń kosztuje i właśnie obaj uiścili rachunek.

Syreny nadjeżdżających pojazdów brzmiały wyraźniej wśród ciszy zszokowanych ludzi. Ciekawscy w dżelabach rozpierzchli się jednak na boki, gdy policyjny radiowóz gwałtownie zahamował na przeciwległym rogu Place Gumhuriya. Z wozu wyszło dwóch uzbrojonych po zęby funkcjonariuszy w kamizelkach kuloodpornych, z gotowymi do strzału karabinkami pneumatycznymi. Ale Rafa już nie było: zniknął w tłumie z wciśniętym do kieszeni rewolwerem Felbca.

Pasza-zade

22

Wskoczył na tylny pomost tramwaju, by zeskoczyć na skrzyżowaniu, gdzie smyknął w wąski zaułek pełen pustych sklepów i domów zabitych dechami. Tablica informacyjna obiecywała kompleksową przebudowę okolicy. Zgodnie z wpisaną datą, termin oddania inwestycji upłynął dwa lata przed przybyciem Rafa do al-Iskandarijji.

Przykry zapach moczu i mokrej ziemi drażnił w nosie, a dolatywał z budynków, które zawałyły się i tym oryginalnym sposobem przeistoczyły w ogrody, użyźniane ściekami wypływającymi z dziurawej rury. Wokół mnożyły się ślepe uliczki i zagracone podwórka. Czasem po przejściu zaledwie dwóch przecznicy miejsce luksusowych willi zajmowały budzące litość rudery - i vice versa. Pieniędźmi pachniały głównie bulwary i wybrzeże. Gdyby ich nie było, w mieście niepodzielnie panowałyby nędza.

Miasta występku, burdeli i zakłamania... Pamięć ludzka nie sięga ich początków. Harde w swym zepsuciu, ustanawiają niepisane reguły.

Raf zaczął czuć się, o zgrozo, jak u siebie w domu.

Wkroczył przez otwarte drzwi do opuszczonego domu i nie zatrzymywał się, póki nie dotarł do zaryglowanych drzwi z drugiej strony. Jednym kopniakiem sforsował tę zaporę. Obserwowany przez starą kobietę, przeszedł przez jej dziedziniec i znalazł się na gwarnej ulicy.

Dopiero kiedy przystanął, rozejrzał się i poczuł słodki smak krwi w kąciку ust, uświadomił sobie, że odprysk kamienia rozciął mu policzek niczym ostrze noża.

RenSchmiss...

Jon Courtenay Grimwood

Rozdział 37

28 lipCA

Podwodne światła zgasły, lasery obumarły. Na drugim końcu sklepionego pomieszczenia kapela miała próbę. Tutaj, gdzie drobne fale z pluskiem uderzały o nierówną, kamienną ścianę, Zara chowała się w mroku. Pod jej stopami powinien być spód cysterny, lecz jej się zdawało, że wisi nad bezdenną przepaścią.

Przed trzema miesiącami pewien młody Duńczyk, zimny jak lód i zawsze nienagannie ubrany, chwycił ciężki kamień i zanurzył się pod wodę. Po niedługim czasie odrzucił balast i ze strachem wypłynął na powierzchnię. Przysięgał, że widział na dnie szkielet z rękami złożonymi na piersi. To prawda, w al-Iskandariji znikali ludzie, i to znikali bez śladu. Mimo to Zara nie uwierzyła w opowieść o szkielecie. W tym miesiącu przysłała jakaś felerna partia klonów ekstazy.

Z drugiej strony, wiedziała, że coś czyha w ciemnościach. Gdy oddalała się od reszty pływających osób, zaglądając do mrocznych zakątków, daleko od schodów prowadzących na parkiet taneczny, wyraźnie czuła, że jakaś istota na dole dostrzega nad sobą jej obecność.

A może i to zawdzięczała ubocznemu działaniu tych zasranych klonów...

Teraz wreszcie mogła się wyciszyć. Stanowisko Avatara opustoszało. Światło z olbrzymiego zestawu inteligentnych lamp falowało raczej, niż mrugało, uspokojone brakiem ostrych bitów, z którymi mogłoby się zsynchronizować. Na scenie, poza zasięgiem jej wzroku, czterech starszych Murzynów kończyło już swą akustyczną wiązkę. No, prawie akustyczną... Automat perkusyjny wydawał z siebie jakiś

Pasza-zade

2

miarowy stukot, prawie zagłuszony bębnieniem sabara i ba-łafonu. Muzyka o ewidentnie zachodnioafrykańskich korzeniach łączyła w sobie elementy stylów mbalax, soukous i cape verde.

Dźwięki zdawały się luźno z sobą związane, lecz było na odwrót. Po raz pierwszy od wielu tygodni Zara czuła się zrelaksowana. .. choć może tak wpływała na nią mieszanka meksykańskiej i marokańskiej trawki...

Westchnęła raz i drugi, nim zanurzyła się w toni. Umykające z ust bańki powietrza przypominały duże perły, kiedy uniosła ramiona, aby zejść w głębinę. Gdyby nie to, że bańki się skończyły, nie wracałaby jeszcze. A tak musiała odbić się nogami i płynąć z powrotem ku powierzchni.

- Zanurzasz się i wypływasz... Ktoś by powiedział, że masz kompleks Ofelii - rozległ się czyjś głos nad jej uchem. - Nie, nie powiedziałby - sprostował ten sam osobnik. - Przecież nie jesteś ubrana.

Zara instynktownie zakryła piersi, przez co załapa ją wzburzona woda. Zaczęła się krztusić. Kiedy jej przeszło, skupiła się na przekleństwach. Wiedziała, kto ją odwiedził.

Nie poznała za to głosu następnej osoby,.

- Nieładnie cię podszedł.

Rączki Hani wystartowały z pluskiem do szyi Zary i dziewczynka przywarła do niej jak pijawka. Uśmiechała się promiennie w ciemności. I ciężko dyszała, co początkowo Zara składała na karb jej zmęczenia. Ale chyba nie o to chodziło. Dziecko po prostu było podekscytowane. Zara postanowiła mieć się na baczności.

- On zbił dryblasza przy drzwiach - obwieściła dziewczynka z niepokojącą fascynacją w głosie.
- Nie chciał nas wpuścić - rzekł Raf tytułem wyjaśnienia.

Zara prychnęła. Jej twarz kryła się w cieniu, dopóki Raf nie wyregulował wzroku. Cała jej postać ukazała mu się tak wyraźnie, jakby ktoś wzmacnił kontrast obrazu na monitorze.

- Chyba jeszcze tam leży - dodała Hani.
- Stracił przytomność - wtrącił szybko Raf. - Nic mu się nie stało. Musiałem się z tobą spotkać...

Jon Courtenay Grimwood

- Po CO?

Ze wszystkich możliwych pytań to najłatwiej było zadać i na to najtrudniej było znaleźć odpowiedź. Gdyby myślał trzeźwo albo w ogóle myślał, może by się kapnął, że jest w lekkim szoku po śmierci Felixa. Po takich zdarzeniach ludzie zachowują się podobnie, ale on przecież miał być odporny na wstrząsy, przynajmniej zgodnie z tą parszywą gwarancją genetycznej doskonałości. Poza tym, którą odpowiedź wybrać?

Klub. Felix. Hani. Co najpierw?

Przypomniał sobie, że Zara nic nie widzi w ciemności, a słuch ma zapewne przeciętny. Bramkarze łatali po klubie, szukając go, ale ona prawdopodobnie nie dosłyszała jeszcze tupotu twardych butów. Niebawem karki użyją mózgu i zapalą lampy w wodzie.

Tyle że zaraz sami mogli zostać wyłapani, jeśli dobiegające z dali łomotanie w drzwi i świdrujące wycie radiowozów cokolwiek znaczyło.

- To nalot - poinformował Zarę.
- Cholera! - Wydawała się wręcz wdzięczna. - Przyszedłeś, żeby mi to powiedzieć?

Nie, nie dlatego. Chciał ją poprosić, aby zaopiekowała się Hani, i powiadomić, że Felix nie żyje. Tak samo, jak nie żyła jego ciotka. Przez miasto przechodził niewidzialny front działań wojennych, a on jeszcze nie zdołał zlokalizować wroga-

Pokręcił głową, ale ponieważ nie mogła tego widzieć, otworzył usta... lecz było już za późno. Wysoko

na spiralnych schodach gliniarz z brygady antyterrorystycznej - posługując się mikrofonem krtaniowym podłączonym do tego rodzaju tuby, której basowy ryk wywraca kiszki i zatyka dech w piersi - wrzeszczał, aby „ktoś niezwłocznie włączył światło”.

- Ile wyjść stąd macie? - Raf czuł, jak adrenalina wściekle pobudza jego ciało. I lis się już meldował.

- Jedno.

Nawet Hani jęknęła.

- Dwa - poprawiła się Zara. A potem jeszcze dodała: - Trzy. Liczą się kanały burzowe?

Pasza-zade

21

\*\*\*

Hani porwała koszulkę z kąta, gdzie ją zostawiła, i wzięła na ręce Ali Dina. Zara udała się po swoje ubranie, które leżało poskładane pod ławką. Raf miał przemoczony garnitur, ale przynajmniej nie musiał go wkładać.

- Ubierzesz się inaczej! - zdecydował.

Zara chciała zaprotestować, lecz on już szarżował ku młodej blondynce w sprayowych rajstopach, kamizelce z wężowej skóry i długim płaszczu ze sztucznej skóry ocelota. Zara nie słyszała, co powiedział, w każdym razie dziewczyna oddała mu płaszcz bez słowa sprzeciwu.

- Włóż to na siebie! - Stał między Zarą a największą ciżbą ludzką, kiedy mocowała się z płaszczem.

Błyskały policyjne latarki, jednak oświetlenie w klubie nie działało. Jeśli Avatar ma głowę na karku, pomyślała Zara, to na pewno wykręcił bezpieczniki.

- Tam! - Wskazała ścianę, która rozjaśniła się na krótką chwilę, gdy snop ręcznej latarki prześlizgiwał się po kamieniach, by wpaść w tłum niespokojnych ludzi. Antyterrorysty nadal szukali wyłącznika prądu. - Musimy się tam dostać.

Część muru zasłaniała wzorzysta kotara, migocząca absurdalną masą niewiarygodnie maciupkich odblaskowych paciorków, uwięzionych między wątkiem i osnową. Raf nawet nie miał czasu podziwiać malowniczego efektu. W korze mózgowej aktywowały się fale theta, pobudzające neurony. W wyobraźni ciągle widział nagą Zarę: miękko zarysowane biodra, wygolone łono, długie nogi, brzuszki prawie płaski. Między pełnymi piersiami sływały strużki wody.

Dzięki tym słodkim wspomnieniom na chwilę zapomniał o wstrętnych rzeczach. O prawie czarnej krwi w ścieku albo niesionym przez wiatr kawałku wstążki, frunącej do niego przez drogę.

- Chyba nie usłyszał - powiedziała Hani.

Zara cmoknęła na znak niezadowolenia.

- Tędy! - rozkazała i wbiegła pod kotarę. Wygięła coś w rękach i oto rozbłysnął złamany świetlik. Znaleźli się w zapuszczonej alkwie, zamkniętej u góry kruszejącym ceglany m sklepieniem. Wszędzie walały się śmieci, głównie po-

232

Jon Courtenay Grimwood

łamane skrzynki na piwo i ogromne butelki po niegazowanej wodzie mineralnej. Na ziemi leżały czyjeś majtki.

W głębi alkwy ziała dziura, którą woda z ulicy wypływała z kanału do cysterny. Na ścianie widać było starą, pordezwiątą drabinkę.

- Idziesz pierwsza - poleciła Zara dziewczynce. - Ja druga, Raf ostatni...

W tej właśnie kolejności wchodzili do kanału i w tej kolejności funkcjonariuszki obyczajówki aresztowały ich w bocznej uliczce, gdzie znajdował się wlot studzienki. Zanim Raf wynurzył się na światło dzienne, dziewczynce zatkano ręką usta. Zara wściekłym spojrzeniem mierzyła służbistkę o skórze barwy ciemnej czekolady, ubraną w butelkowiezielony mundur, który wyglądał jak świeżo wyciągnięty z opakowania.

Posowiecki śmigłowiec z reflektorem zamontowanym przy kopolce strzelca przygwoździł Rafa snopem światła, po czym - gdy policjantka pewnym ruchem wydobyła kolta - skierował swą uwagę na inną ulicę.

- Aszraf bej! - Patrzyła w osłupieniu na ociekający wodą garnitur Rafa.

- Ano ja - odparł lakonicznie.

Za nią stały dwie policjantki w stopniu szeregowca. U wylotu uliczki parkowała zielona więźniarka w tym samym kolorze co jej umundurowanie. Tylne drzwi były otwarte, czekały na gości.

Już to przerabiałem, pomyślał Raf. Jeden raz w zupełności wystarczy.

Przewidywał trzy scenariusze wydarzeń: policjantka puści ich wolno, spróbuje go aresztować lub wezwie wsparcie w celu wyjaśnienia wszystkich okoliczności. Tylko pierwszy scenariusz był do przyjęcia, ale nie zanosilo się na to, żeby się sprawdził. Zwłaszcza jeśli to, co zobaczył przelotnie na ekranie w medresie, pokrywało się z prawdą i miejscowa policja rzeczywiście przykleiła mu śmierć Felixa do czoła niczym znamię Kaina.

Kluczowa chwila nadeszła, kiedy policjantka uniosła nadgarstek do twarzy, aby porozmawiać z dowódcą operacji.

- Nawet o tym nie myśl! - Z mokrej kieszeni Raf wyciągnął spluwę, gdy tymczasem ona zdążyła tylko się wzdry-

m %

Pasza-zade

gnąć. Lufę kolta wciąż trzymała skierowaną ku ziemi. Owszem, miała szykowny mundur, ale brakowało jej doświadczenia. - Spróbujcie się ruszyć, a rozpieprzę ją bez wahania! - krzyknął do dwóch niższych stopniem policjantek.

- Zrozumiano? - Nie tylko rewolwer zawdzięczał grubasowi. Zapożyczył od niego także niedbałe przeciąganie sylab.

- Dawaj zegarek! - zwrócił się do stojącej przed nim funkcjonariuszki.

Butelkowozielona usłuchała go z chmurnym obliczem, na którym odmalowała się bezsilna nienawiść, kiedy wrzucił jej bajeranckie urządzenie do studzienki ściekowej. Teraz dowództwo mogło ją sobie namierzać do woli.

- Mnie też zastrzelisz? - zapytała oschle, z nieskrywaną pogardą.

Nie miał pojęcia, co widziała, patrząc na niego, ale z pewnością budziło to w niej wstręt. Przypuszczalnie sam byłby zde gustowany.

- Felix umierał - wyjaśnił lapidarnie. I mówił prawdę. Facet stracił pół czaszki, jego mózg jak tłusty ślimak wypływał na chodnik.

- Ten człowiek zamordował Felixa beja!

Policjantka najzupełniej ignorowała rewolwer, jak dziecięcą pukawkę. Aresztowanie podejrzanego uważała widocznie za rzecz łatwą i przyjemną.

- Wybuchła bomba - powiedział, widząc grozę w oczach Żary. - Felix oberwał najgorzej.

Zara odgarnęła włosy z twarzy. Patrzyła uważnie na Rafa.

- Dobijeś go?

- Tak. - Pokiwał głową. - A co miałem zrobić? Pozwolić, żeby do końca życia leżał w szpitalu, podpięty do aparatury, sparaliżowany, karmiony słodką wodą i witaminami? - Bez kropli alkoholu, dostępu do nielegalnych programów pornograficznych i sprawnego narzędzia, nawet gdyby ten dostęp miał. - On by tego nie chciał.

- Więc postanowiłeś wyręczyć Boga, co? - rzekła z przekąsem policjantka.

- Ktoś musiał... - Obrócił gnata wokół palca, podszedł bliżej i przystawił jej lufę do gardła.

- Aszraf... - wydukała Zara. - Stój...

Jon Courtenay Grimwood

- Nie zabiłem lady Nafisy - wycedził. - I nie zamordowałem Felixa. - Mówił do policjantki, ale wszystko słyszała Zara, a także dziewczynka. A więc w gruncie rzeczy mówił również do nich. - Ale dorwę gnoja, który to zrobił, choćby nie wiem co. I niech ktoś spróbuje mi wejść w drogę. Zastrzele jak psa. Postaraj się, żeby do wszystkich dotarła ta przestroga.

Wyciągnąwszy kolta z jej bezwładnych palców, wrzucił go do ścieku w ślad za zegarkiem i zaprowadził ją do samochodu. Szeregowe policjantki dreptały posłusznie za nimi. Nie musiał jej nawet prosić, żeby wsiadła z tyłu do więźniarki.

- A teraz wy! - rozkazał.

Funkcjonariuszki wdrapały się do środka w takim pośpiechu, że się potraçały. Czuć było od nich nieprzyjemną woń potu, strachu i marihuany. Tak to już jest, gdy werbuje się fellahów, którzy po prostu nie chcą tej roboty.

Nadal uśmiechnięty, Raf zatrzasnął drzwi i je zaryglował. Zaraz też elektroniczny klucz zniknął pod kratką studzienki ściekowej.

- Idziecie?

Zara pokręciła głową z nieszczęśliwą miną.

- Nie - powiedziała. - Uciekanie tylko pogarsza sprawę.

Raf skwitował to drwiącym śmiechem.

- Widać, że nigdy nie próbowałeś.

Pasza-zade

2

Horfezfoł

29 lipca

Nagły i brutalny kopniak Rafa odbił się echem od ścian podupadłego budynku terminalu celnego. Hałas poniósł się nad rdzewiejącymi torami i zginął w pustce spowitego nocnym mrokiem portu. Nigdzie nie zapaliło się światło. Żaden stróż nie wyczłapał z ciemności, żeby sprawdzić, co się dzieje.

Tak wyglądała rzeczywistość w tej umierającej okolicy na południe od Dworca Morskiego. Niskie baraki z betonu, okna zabite płytami wiórowymi, zardzewiałe pręty zamiast okiennic. W porównaniu z tymi ohydnyimi zabudowaniami najgorsze osiedla domów czynszowych, jakie dotąd widział, wydawały się Rafowi oazami luksusu.

- Niestety... - oświadczył, wymierzając drugiego kopa żelaznym drzwicom opuszczonego magazynu, na których złuszczona tablica informowała: Pascarli&Co, eksport bawełny - ...trudno się połapać, co kiedy się stało. W tym kłopot.

Komentując dwa szkice ze swego notatnika (opuścił nieprzyjemne dla Hani wyniki sekcji zwłok), próbował uszeregować we właściwej kolejności zdarzenia i bohaterów dramatu.

Rozmawiał z Hani, ponieważ w ten sposób opędzał się od absurdalnych pomysłów. Lis wrócił do swojej kryjówki albo umarł. Lub jedno i drugie. Dziewczynka mogła przynajmniej pogadać z Ali Dinem, aczkolwiek ostatnimi czasy odzywała się rzadziej do swego szmacianego pieska.

Martwiła się o coś, lecz bezpośrednio pytana, uchylała się od odpowiedzi. Próbował nakłonić ją do



zwierzeń wiele razy, poczynawszy od tamtej chwili w medresie, gdy wrócił po zamachu na Felbca. Zbываła go jednak ponurym milczeniem.

26

Jon Courtenay Grimwood

Wówczas nie powiedział dziewczynce o strasznym losie grubego policjanta, tak samo jak przedtem nie powiadomił jej, że muszą opuścić dom. Po prostu zadał pytanie i daremnie czekał na odpowiedź. Trudno. W pewnym okresie swego życia sam zamykał się w sobie, aż dorośli zaczęli mówić, że palą się światła!, ale w domu nikogo nie ma. Oczywiście, był w domu... tyle że nie otwierał drzwi, gdy dzwoniли.

- Bo widzisz - ciągnął - o dziesiątej rano ciocia Nafisa poszła na zebranie zarządu w C&C. Wyszła z zebrania o jedenastej, ale do domu dotarła dopiero o pierwszej. - Wybrał ten rodzaj określania czasu, żeby Hani się nie pogubiła. Lady Nafisa gardziła 24-godzinnym zegarem. - A więc gdzie była wcześniej? Oczywiście, mogła robić zakupy - odpowiedział sam sobie i po raz ostatni rypnął w drzwi. Rozwarły się i odsłoniły mrok wnętrza, skąd tchnęło stęchłą stęchlizną. - Ale jeśli tak, gdzie podziały się paczki?

Zakupy nie wchodziły w grę, ponieważ lady Nafisa niczego nie kupowała, gdy wokół niej byli inni ludzie. Na jej życzenie sklepy otwierały swoje podwoje nocą, kiedy właściciel mógł się oddać całkowicie do jej dyspozycji.

- Tędy. - Wprowadził dziewczynkę w mrok i piętą zatrzasnął drzwi.

Jej palce zdawały mu się kruche jak patyczki i prawie tak samo suche. Nie spytała go jeszcze, czemu naprawdę zastrzelił policjanta. Ale gdy żwawym krokiem ciemnymi ulicami maszerowali do portu, dziecku musiały cisnąć się do głowy najróżniejsze wyjaśnienia, i to przeważnie dość ponure.

Zadaniem Ali Dina było szukanie magazynu. Odbywało się to w ten sposób, że przed każdym skrzyżowaniem Hani patrzyła w oczy szmacianemu pieskowi, po czym - zależnie od tego, które oko mrugnęło - kierowała się w lewo lub prawo. Jeśli nie mrugnęło żadne, szli prosto przed siebie. Robot łączył się z jakimś satelitarnym systemem pozycjonowania, korzystającym z mapy al-Iskandarijji.

Hani powoli, bo powoli, ale jednak się uspokajała. Wreszcie dotarli do Fuad Premier, gdzie zwężający się bulwar krzyżował się z Rue Ibrahim, a tramwaje, których dudnienie o północy słychać było z daleka, przetaczały się z Place Orabi ku pętli przy składowiskach rafinerii Midas.

Pasza-zade

23

Zara dała Rafowi pewien adres po drugiej stronie torowiska - w tej części miasta, gdzie liche budy bazarów ustępowały plugawym zabudowaniom, wśród których cuchnęło ściekami, gnijącymi rybami i ropą wyciekającą z przerdzewiałych dźwigów portowych, straszedeł mieszkających na betonowym bezludziu w południowo-wschodnim zakątku Portu Zachodniego.

Doprawdy, sracz tej aglomeracji. Smród, bród i ubóstwo. „Rough Guide” ostrzegał turystów niejako mimochodem, żeby w dzień trzymali się głównych tras, a nocą w ogóle tu nie zaglądali. W oficjalnych przewodnikach próżno by szukać najdrobniejszej wzmianki o tym zapuszczonym rejonie miasta.

W pewnym sensie, puste magazyny i rudery slumsów nie istniały dla mieszkańców al-Iskandarijji. Udawali, że są niewidzialne. Pałętali się tutaj jedynie fellahowie; tych nawet pozbawiono prawa do głosowania, żeby nie mieszały przy wyborach. W amerykańskich miastach pakowano biedotę do nędznych klitek w wysokich blokach, lecz w Afryce Północnej spychano ją na margines w dosłownym znaczeniu tego słowa. Ubodzy mieszkali na brzydkich rubieżach miast lub zajmowali nieużyteczne przestrzenie jak ta, wciśnięta między torowisko tramwajów a nadbrzeżną drogę kolejową. Częściowo przylegała do kanału i tylko z jednej strony przechodziła korzystne przeobrażenie: ze smrodliwej w zwyczajnie biedną i - potem, gdzie zaczynały się targowiska dzielnicy al-Gomruk - prawie malowniczą:

- A teraz do góry. - Raf podszedł do drabiny. Jego głos odbijał się w pustym magazynie takim samym echem, jakie słyszał na zewnątrz, gdy kopał w drzwi.

Na pięterku mieściło się prowizoryczne biuro z prefabrykatów zamocowanych na dwóch stalowych dźwigarach, mających pierwotnie uchronić przed zawaleniem ceglanych ścian budynku. Brakowało spiralnych schodków, które powinny prowadzić na górę, a zatem opowieść Zary o hoteliku należało włożyć między bajki.

- Ale ja nic nie widzę! - zdenerwowała się Hani. Gniew gniewem, ale najważniejsze, że zaczęła mówić.

- Za to ja tak. Teraz się tam wdrapię, a ty pójdziesz za mną. - Rozsądek podpowiadał, żeby wystać przodem dziewcz-

2

Jon Courtenay Grimwood

czynkę: mógłby ją złapać, gdyby się pośliznęła i spadła. Nie dało się jednak przewidzieć, co zastaną na piętrze, więc ruszył pierwszy. Oczywiście, kazałby jej poczekać na dole, lecz taka propozycja spotkałaby się na pewno ze spontanicznym sprzeciwem.

- Jak to możliwe, że coś widzisz? - zapytała z niedowierzaniem. - Przecież tu jest ciemno.

- Ali Din widzi w ciemności.

- To co innego.

- Czemu?

- Bo Ali Din jest tylko...

Urwała w pół zdania, a Raf rozpoczął wspinaczkę. Za pomocą lewej ręki dźwigał się na kolejne szczeble, gdy w prawej trzymał rewolwer zamordowanego policjanta.

W prefabrykowanym biurze nikogo nie było, za to leżało tu sporo sprzętu. Ściany dusiły się w objęciach tanich regałów z Ikei, tych do samodzielnego montażu. Do półek przysunięto metalowe stoliki. Jeden jedyny prześwit zaplanowano dla okna, skąd można by patrzeć na północ w kierunku nadbrzeża i Dworca Morskiego, gdyby nie zasłonięto go smołowanym papierem i nie oklejono taśmą po brzegach. W pomieszczeniu unosił się cierpki, nieprzyjemny zapach urządzeń mechanicznych, a nawet chemikaliów, przemieszany z wonią starego tytoniu.

Jeśli chodzi o sprzęt, to większość dało się natychmiast zidentyfikować, jak na przykład dwa niezależne komputery Median PC i laptop Apple'a z rozkładaną anteną satelitarną, będącą do zdobycia wyłącznie na czarnym rynku. Obok stołu mikerskiego Blaupunkta piętrzył się stos płyt winylowych. Reszta sprzętu budziła już zdziwienie. Choćby pełen ekwipunek płetwonurka, zestaw czterech butli z tlenem czy stojąca przy włączniku, opakowana folią skrzynka ze sterylizowanymi zlewkami o pojemności 1000 ml.

Komuś chciało się wtaszczyć na piętro plastikowe beczki z destylowaną wodą. Ale to jeszcze nic. W kącie stała zamrażarka Braun zasilana z połączonych szeregowo akumulatorów samochodowych. W przeciwnym kącie między szklanymi szafkami wisiał przyklejony do nich okap wyciągu, z którego para uchodziła rurą za ścianę.

Pasza-zade

2

Na stole przy szafkach do zamkniętej zlewki uchodziła długa spirala ze szklanych rurek, której każdy pierścień łączył się z następnym za pomocą złączki ze szkła ręcznie toczonego. Między dwa pierścienie wsadzono niepełną paczkę papierosów Cleopatra, zaś o zlewkę opierał się wysłużony egzemplarz Chemii organicznej wujka Festera - tanie wydanie z czaszką na okładce.

Na podłodze obok stołu stała apteczka z bandażami, maścią na oparzenia, skórą w sprayu, klejem chirurgicznym, małym pojemnikiem z japońskim tlenem i pudełko z gumowymi rękawiczkami. Było też kilkanaście paczek papierosów bez filtra.

- I co znalazłeś? - zapytała Hani.

- Kuchnię. - Raf odwrócił się do włącznika i wyciągnął rękę, aby ją podciągnąć do góry. - Jeszcze nigdy takiej nie widział. - Próbował nie przejmować się tym, że gwałtownie cofnęła dłoń, gdy ją dotknął.

\*\*\*

- Obudź się! - powiedziała Hani.

Raf musiał zasnąć na stojąco. Gdy się błyskawicznie obrócił, wyrzwał głową o regał. Dłoń już biegła do kabury pod pachą, nim się połapał, że nosił ją tam dawno temu. Teraz spluwę trzymał w kieszeni. Machinalnie sprawdził stan rewolweru. Szybkim ruchem wysunął i wsunął bębenek. Broń była lżejsza o jeden nabój. O tym, rzecz jasna, nie mógł zapomnieć.

Mimo to, jeśli dopisze mu szczęście, ów typek, przed którym ostrzegwał Ali Din, nigdy się tego nie dowie.

Przystanął.

- Skąd Ali Din wie, że ktoś idzie?

W odpowiedzi, Hani położyła pieska na stole przy zaklejonym oknie. Szmaciany zwierzak niezgrabnym krokiem obrócił się i zakotłosał wielką głową. Jego oczy skierowały się ku zabudowaniom różowiejącym w promieniach wschodzącego słońca, niestety niewidoczne, ponieważ szkło zastępowały sklejka i smołowany papier. Gdy głowa znieruchomiła, ogon z niebieskim guziczkiem

zaczął się kiwać niczym rozregulowany metronom.

- Tylko mi nie mów - rzekł Raf - że im bliżej ten ktoś jest, tym szybciej pies merda ogonem.

2

Jon Courtenay Grimwood

Hani potwierdziła kiwnięciem głowy.

- A więc to przyjaciel?

Dziewczynka szeroko otworzyła oczy, zaskoczona jego domyślnością.

- Przyjaciel? - powtórzył, chociaż znał już odpowiedź.

Ktokolwiek dał jej tę zabawkę, wybrał naprawdę drogi

model. Choć zasada działania nie musiała być szczególnie skomplikowana. Aby odpowiednio powitać nadchodzącą osobę, urządzenie nie potrzebowało nawet łączności z satelitarnym systemem śledzenia, a przynajmniej śledzenia w zakresie fal widzialnych. Proste przeszukiwanie pasma pozwalało wykryć numer telefonu komórkowego, a program rozpoznania wizualnego pobudzał urządzenie do machania ogonem lub warczenia w zależności od tego, jak dziecko w przeszłości reagowało na widok danej osoby. A jeżeli zabawka naprawdę kosztowała kupę forsy, potrafiła odczytać wielkość stresu i poziom fal beta.

Następowałyby tylko kilkusekundowe, w sumie nieistotne opóźnienie reakcji.

- Powiedz, merdał czy warczał? - Schował rewolwer do kieszeni i ruszył do włazu. - Jak się zachowywał Ali Din, gdy przychodziła ciocia Nafisa? - Zszedł z drabiny, lecz nie doczekał się reakcji Hani. - O, w mordę! - Zapomniał przywitać się z Zarą. Oślepił go ranek, więc prędko sięgnął po ciemne okulary. Jeszcze się nie przyzwyczał do afrykańskiego słońca, mając żywo w pamięci szare niebo nad Seattle czy pochmurną, pogodę w Szwajcarii i Szkocji.

Zara miała na sobie białą, jedwabną koszulę z długim rękawem i czarne, obcisłe dżinsy. Nie nosiła stanika. Na nogi włożyła proste japonki. Raf jednak zwrócił uwagę na rozciętą wargę.

- Daj spokój... - zachnęła się, kiedy chciał sprawdzić opuchliznę. Ostentacyjnie odsunęła się od drzwi magazynu. - Lepiej gadaj, czemu zastrzeżiłeś Felixa!

- Facet umierał. Skróciłem jego cierpienie.

Prychnęła.

- Uważasz się za macho? - Wyciągnęła spod pachy najświeższe wydanie „Iskandryia Today”. - A może strzelałeś, bo powiedział prawdę o samobójstwie lady Nafisy?

Pasza-zade\_241

-A ty skąd...?

- Całe miasto o tym mówi. - Podsunęła mu pod nos stronę tytułową.

Na zdjęciu Felix wydawał się piętnaście lat młodszy i ze sto funtów szczuplejszy niż ostatnim razem, kiedy się widzieli. Raf siebie nie zobaczył, lecz na dwóch kolumnach tekstu gęsto przeplatały się z sobą słowa „samobójstwo”, „lady Nafisa” i „Aszraf bej”.

- Nafisa nie popełniła samobójstwa - stwierdził kategorycznie Raf. - Była zbyt pobożna, za bardzo jej zależało na opinii ludzi. - Położył szczególny nacisk na ostatnie słowa, bo wiedział, że ma rację. Wymazywanie wspomnień było funkcją, której jego podświadomość nie potrafiła opanować. Wyobrażenia podsuwała mu obrazy lady Nafisy: jak żywa w jego myślach, wracała do swego pokoju zmówić modlitwę, co czyniła pięć razy dziennie. Albo ochrzaniała Hani za zabawę z Ali Dinem w tamten piątek, kiedy dziewczynka powinna czytać w ciszy lub ćwiczyć szydełkowanie.

Samobójstwo stanowiło ciężki grzech. W dodatku lady Nafisa była doskonałym przykładem egoistki, nazbyt zakochanej w swoich osiągnięciach, żeby po dobroci rezygnować z doczesnych przyjemności. Nie przeniosła się na tamten świat z własnej woli. Ktoś jej pomógł opuścić ten padół...

- Fakt, niektórzy mówili w radiu, że to nie było samobójstwo - powiedziała Zara. - Mówili, że ty ją zabiłeś.

- Ja? - Przystanął, pokręcił głową i wlepił wzrok w zdjęcie Felixa. Nie zamordował grubasa i nie zabił ciotki. Nie musiał nawet przyrzekać, że dałby głowę, bo mógł ją dać i bez tego. .

Nalot ,na CdH także trafił na pierwsze strony gazet, lecz nie robiono z tego aż takiej afery. Paparazzi sfotografowali Zarę pod posterunkiem policji, kiedy wysiadała tyłem z więźniarki.

Dziennikarze nie musieli pisać, że gdyby nie płaszcz, byłaby zupełnie naga podczas aresztowania, ponieważ sztuczna skóra ocelota odsłaniała pewne strategiczne fragmenty ciała. Pomimo tego nie omieszkali przypomnieć o jej nagości w trzech akapitach.

2

Jon Courtenay Grimwood

- Co ci zrobili? - Raf zbliżył się do Zary, delikatnie ujął w dwa palce jej podbródek i obrócił policzek do światła. Mimo użycia sporej ilości korektora znać było cień solidnego siniaka. Oko też miała lekko podbite i zaczerwienione, choć w tym przypadku zrezygnowała z kropel belladonny. Żaden rozjaśniacz do oczu nie zamaskowałby napuchniętych powiek czy czerwieni w miejscach, gdzie łyły płynęły rzęsiście.

Niewiele myśląc, otoczył ją ramieniem, chcąc pomóc jej wejść do magazynu. Bardziej poczuł, niż usłyszał, jak gwałtownie wciąga powietrze i syczy z bólu.

- A, szkoda gadać - powiedziała, reagując na jego przeprosiny kwaśnym uśmiechem. - Nikogo to nie obchodzi. No więc, podoba ci się tutaj? - Minęła go i weszła do środka.

- Cała paka tu przychodzi. Ja tylko płacę czynsz.

- Paka?

- Przyjaciele...

- Przecież wszyscy mają z tego pieniądze.

Pokręciła głową.

- Pozwałam im handlować w klubie, robią to na własne ryzyko. Klub nie musi na czymś takim zarabiać... Nie musiał

- poprawiła się.

- Zdaje się, że to bez różnicy. - Raf przesunął palec po nie zagojonej ranie, ciemnej prędze na jej szyi. Brzegi były nierówne, poznaczone kropeczkami skrzętej krwi. Tym razem Zara nie odskoczyła.

- Gnojki - podsumował.

Parsknęła śmiechem.

- Myślisz, że włąli mi na policji? - W jej głosie tliło się zarzewie gniewu, jakby iskry padały na czarny, wilgotnawy proch, który lada moment mógł zasyczeć, zapalić się i wybuchnąć z hukiem. - Policjantki z obyczajówki były dla mnie grzeczniutkie i milutkie. Nawet odwiozły mnie do domu nieoznakowanym wozem. Niestety, potem wzięła mnie w obroty mamunia.

- Bo cię aresztowali?

- Bo byłam gołą. Bo byłam z tobą. Bo teraz nie ożeni się ze mną żaden szanowany mężczyzna. Wystarczy jej każdy zasrany powód! - Odetchnęła głęboko, aby ochłoniąć z gniewu.

Pasza-zade

2

wu. - Twoim zdaniem, dlaczego tak bardzo chciałam spieprzać do Nowego Jorku?

Pytanie przebrzmiało bez echa.

Raf zerkał z ukosa na drabinę. Hani siedziała w kucki u góry, skąd baczenie im się przyglądała.

- Tu jestem! - krzyknęła do Zary. - Chcesz, żebym zeszła?

Zamiast odpowiedzieć, Zara zaczęła wspinać się po drabinie. Pokonanie każdego szczebla pieczętował grymas bólu. Pod koniec tej mordęgi ból tak się nasilił, że oddychała już tylko przez usta. Usilnie próbowała ukryć drżenie rąk.

- Masz tu środek antyseptyczny - zwróciła się Hani do Rafa - i trochę waty. - Jedno i drugie dała mu do rąk i po chwili przyniosła aerozol z napisem Plastikowa skóra, drugi podobny z analgetykiem oraz buteleczkę wody mineralnej. Ściągnąwszy poplamiony koc z przekrzywionego łóżka polowego, skinieniem głowy poprosiła Zarę, by się położyła. Młoda kobieta nie miała sił się sprzeciwić.

- Będzie bolało - ostrzegła Hani fachowym tonem.

- Co ty powiesz - zadrwiła Zara. - A to ci niespodzianka...

Po raz pierwszy od wielu godzin na buzi dziewczynki pojawił się blady uśmiech. Zniknął jednak od razu, kiedy Zara próbowała zdjąć koszulę i okazało się, że trudno ją odlepić od pleców.

W kwestiach opatrywania ran Hani dała się poznać z jak najlepszej strony. Zabrała się do rzeczy z maksymalnym skupieniem, bez nerwowych ruchów. Przerywała pracę za każdym razem, kiedy Zara przeklinała lub szarpała się z bólu. Ponieważ jedno pryśnięcie środkiem przeciwbólowym nie mogło zakończyć sprawy, Hani popsikała całe nagie plecy Zary i policzyła do piętnastu, nim zaczęła usuwać przyschniętą krew mokrą watą.

Jednakże przedmiotem największego zainteresowania Rafa nie był wcale profesjonalizm dziewczynki. Jego uwagę - rzecz dziwna, bo przecież widział już Zarę nagą, nie tylko bez koszuli - pochłaniał bez reszty kontur pełnej piersi, widocznej z boku, gdy tak leżała na brzuchu na rozchwianym łóżku. Owszem, napatrzył się już w życiu na nagie kobiety,

2

Jon Courtenay Grimwood

Ileż chyba nie widział dotąd równie pięknej. Teraz jednak czuł dziwną boleść w sercu, a kształt piersi wrzynał mu się w pamięć jak cierni.

Być może wyjaśnienie kryło się w Huntsville, gdzieś w jego kartotece, w analizie profilu psychologicznego. Dr Millbank, wiadomo, miałby w tej materii wiele do powiedzenia. W tamtych czasach o seksie często dyskutowano, rozkładano go na czynniki pierwsze, najczęściej na otwartych spotkaniach. W rezultacie, w Huntsville opracowano plan tak zwanych „weekendowych kontaktów”, odbywających się w drewnianym, wielopokojowym domostwie, które przypominało prymitywny nadmorski pensjonat. W oknach wisiały zasłony w biało-czerwoną szachownicę, na dwóch rabatach pod frontowymi drzwiami rosły piękne nasturcje, a w środku regały ugięły się pod ciężarem starannie ułożonych książek. Zdjęcia w ramach przedstawiały ośnieżone szczyty gór, lodówki pełne były miller lite'a i ciemnego meksykańskiego piwa. W tak tandetnej scenerii trudno się było nawet upić.

Ale któżby się przejmował naprawdę otoczeniem? Każdemu podobały się przede wszystkim duże, sprężyste łóżka z jednorazowymi prześcieradłami, które rano lądowały w koszu.

Na nic zdały się tłumaczenia, że Raf nie miał nikogo, kto mógłby go odwiedzać. Dr Millbank wnioskował o poddanie go długotrwałej terapii psychoseksualnej. Do opieki nad nim przydzielono pewną nauczycielkę akademicką, blondynkę, lekko po trzydziestce, która pisała pracę naukową na temat regresywnej instytucjonalizacji. Aż którejś soboty nie przyjechała, za to pojawiła się jej studentka, poważna, czarnowłosa Kanadyjka. Ta chciała spędzać czas na wyuzdanych pieszczotach i - w przerwach - na robieniu notatek. To od niej dowiedział się, że jego terapeutka pisze swoją pracę już od jedenastu lat. Ot, ofiara instytucjonalizacji.

Kiedy blizny na ciele Zary zostały oczyszczone, Hani natarła je środkiem odkażającym. Zaczekała, aż wyschną, po czym wymalowała na nich grube graffiti plastikową skórą. Twarz dziewczynki kryła się za kamienną maską, choć w każdej chwili mogła wybuchnąć płaczem.

Pasza-zade

2

- Hej, już w porządku! - niecierpliwiła się Zara. - Trochę popiekło i tyle.

Hani wolno pokiwała głową. Ten jeden ruch wystarczył, żeby spod oczu wypłynęły łzy i pocieki po policzkach. Raf poczuł się nagle daleko na uboczu, choć nie wiedział dlaczego.

Dziewczyny popatrzyły na siebie, a potem w jego stronę.

Odezwała się Zara:

- Na południe stąd, zaraz przy nadbrzeżnej rampie kolejowej, znajdziesz łódź. - Podźwignęła się na łokciu. Sięgając po coś do kieszeni w spodniach, pokazała mu drobny fragment piersi. - Masz, bez tego ani rusz. - Dała mu szarą kartę, z dwóch stron pustą, porysowaną i zmatowiałą ze starości. - Niedługo do ciebie dołączymy.

- A co z...

- Hani umyje mi twarz. Umyjesz, skarbie? Potem porozmawiamy sobie w cztery oczy, zmówimy modlitwę i pójdziemy za tobą.

\*\*\*

Pierwsza łajba, do której podszedł, śmierdziała smarem i cumowała tak głęboko zanurzona, że teoretycznie jedna w miarę przyzwoita fala powinna wdrzeć się na pokład i dokonać dzieła zniszczenia. Następne dwie były małymi jednostkami do połowu tuńczyka: czerwone kadłuby sfatygowane, dębowe pokłady odrapane, powykrzywiane i popękane w słońcu. Drzwi do kabin strzegły staroświeckie żelazne kłódki.

Dalej przy pirsie była już tylko pustka; rdzewiejące pachołki nadaremnie czekały na liny kontenerowców. Nowe łodzie cumowały po drugiej stronie na głębokim basenie. W moło Dworca Morskiego wczepiały się linami promy i towarowce z Marsylii i Syrakuz. Za nimi stały na kotwicy piękne szare statki wycieczkowe. Na brzegu, nieopodal wejścia do bazy morskiej Ras el-Tin, znajdował się stary hangar dla samolotów. Podobno Generał trzymał więźniów na statku „Ali Pasza”; wprawdzie pod pokładem opływali w luksusy, lecz nie mogli się stamtąd nigdzie ruszyć.

Daleko przed Rafem, gdzie mielizny odstraszały większość jednostek pływających, główna część portu urywała się

2

Jon Courtenay Grimwood

gwałtownie, a nabrzeże zwężało i zakręcało w postaci pirsu, który po zatoczeniu niepełnego koła wskazywał ostrym końcem środek portu. Błysk rozjeżdżonych szyn świadczył o tym, że z tej drogi nadal korzystano. Zapewne do transportu towaru na sowieckie kontenerowce, którym ogromne rozmiary nie pozwalały kotwiczyć przy nabrzeżu Dworca Morskiego.

Raf ciągle rozglądał się za właściwą łodzią, gdy wtem uświadomił sobie, że patrzy na nią już od dobrej chwili. Cumowała na tłustej wodzie w zacisznym miejscu, gdzie nabrzeże zaczynało się ostro odginać w morze. Aczkolwiek to, co za łodzią wydało mu się zrazu obszarem martwej wody, okazało się ujściem Kanału Mahmudijja, wpadającego do basenu portowego szeroką wyrwą w nabrzeżu.

Przed dwoma wiekami dwadzieścia tysięcy fellahów umarło podczas trwających trzy lata robót, związanych z kopaniem koryta drogi wodnej, łączącej dziś al-Iskandariję ze stolicą kraju. Chedyw



Muhammad Ali kazał wybudować kanał, aby z Kairu do największego portu Afryki Północnej mogły płynąć towary, a w odwrotnym kierunku słodka woda do nawadniania ziem w głębi lądu. Prace ruszyły w 1817 r., a przewodził im francuski architekt. W tamtym okresie al-Iskan-dariję rozbudowywali głównie Francuzi.

Przez pierwsze sto lat wzdłuż kanału - a właściwie tej jego części, która otaczała miasto - wyrastały prześwietne rezydencje, każda ze wspinałym ogrodem schodzącym do samej wody. Z czasem domy zamieniły się w ruiny, bogacze odeszli. W czystej toni rozpleniła się roślinność, potem znalazły się w niej ścieki przemysłowe i wreszcie ciała ludzi zabitych przez gripę hiszpankę, gdy w ciągu mniej więcej dziesięciu tygodni wymarli prawie wszyscy mieszkańcy miasta.

Czarna łódź Zary kryła się w cieniu skarpy kanału, tak głęboko zanurzona, że zdawała się wolno tonąć. Tylko pozornie: konstruktorzy zaprojektowali ją do ślizgania się prawie równo z falami. Jednostka szturmowa, niegdyś w służbie publicznej, mierzyła piętnaście stóp długości i dziesięć szerokości za superopływowym dziobem, gdzie kadłub rozchyłał się wreszcie na boki. Niewykrywalna dla radarów, niewidzialna w podczerwieni.

Pasza-zade

27

Wysuwana szklana antena była ledwie widoczna na rufie. Wyłączona, nie obawiała się radarów. Jedynie w tych krótkich momentach, kiedy nadawała lub odbierała sygnały, wewnątrz pustego, szklanego pręta wypełniało się plazmą; metalowa elektroda u jego podstawy wymiatała wówczas elektrony z gazu.

Raf dawno już nie widział łodzi VSV. Po raz ostatni oglądał taką dziesięć lat temu na CNN-ie, gdy maszyną o mocy 15 tys. KM transportowano na pokład samolotu McDonnell Globemaster V, przed przetruciem jej drogą lotniczą na Indonezję, gdzie doszło do jakiejś katastrofy. Jeśli dobrze pamiętał - a zawsze pamiętał dobrze - po wyjęciu z wody wyglądała jak cygaro spłaszczone w przedniej części. Pamiętał jeszcze, że kiedyś był to najszybszy pojazd pływający po oceanach.

- No dobra... - Przyjrzał się szarej karcie, którą trzymał w ręku. - Czemu nie? - Na razie prawie nic nie wiedział o Żarze. Ale też podejrzewał, że mało jest takich, co wiedzą o niej więcej, przy czym jej rodzice do nich z pewnością się nie zaliczali.

Czytnik przy niedużych drzwiach z tyłu długiego kokpitu połknął kartę i po chwili ją wypluł. Dosłownie nic - ani żaden dźwięk, ani nawet jedna mrugająca dioda - nie wskazywało na to, by komputer pokładowy zarejestrował obecność człowieka, a jednak czujniki w ramie drzwi prześwietliły go pod kątem posiadanej broni i stwierdziły autentyczność karty. Odbyło się porównanie wielu zapisanych w pamięci sum kontrolnych z wynikami odczytów, w rezultacie czego rewolwer Felbca nie został zakwalifikowany do broni niebezpiecznych.

Szczękniętą zamek i drzwi się otworzyły. Środek kabiny był uderzająco czysty w porównaniu z ufajdanym kadłubem. Najprawdopodobniej celowo nie usuwano śmieci na pokładzie, tłustych plam i śladów po brudnej wodzie. Ktoś powyrywał oryginalnie montowane fotele kubekowe i zamiast nich wstawił metalowe łóżka z dwóch stron kabiny, małą lodówkę, dodatkowe urządzenia systemu łączności oraz, co zastanawiało najbardziej, kabinę prysznicową.

Oprócz tego w ogołoconym z pierwotnych sprzętów wnętrzu rzucała się w oczy tylko jedna rzecz:

biały, staroświecki

2

Jon Courtenay Grimwood

aparat telefoniczny ze słuchawką, którą trzeba podnosić. Telefon właśnie przyjmował wiadomość, przy czym wyświetlacz u dołu urządzenia informował, że zapisało już w pamięci dziesięć podobnych wiadomości. Pewnie wystanych przez tę samą osobę...

- Zara! - Złość mieszała się z troską w głosie dzwoniącego. Przeważała troska. - Wyłączyłaś komórkę! Wszędzie już próbowałem, ale nie można cię złapać. Jeśli tam jesteś, odbierz! Zara, jesteś tam? Zar;a!

Raf początkowo nie zamierzał ruszać słuchawki z widełek: niech Zara sama wojuje z ojcem, kiedy już się pokaże. Zakładał, że tak się stanie - że nie wysłała go przodem tylko dlatego, by fortelem wyrwać małą Hani z rąk niebezpiecznego maniaka. Jednak w ochrypłym głosie Hamzy przebijało wyraźne udręczenie. Wściekłość była tylko nieudolną przykrywką miłości, której co prawda nigdy nie wyrażał słowami, ale też nigdy nie wyrzucił z serca.

Raf podniósł słuchawkę.

- Tu jej nie ma.

- Nie ma? - Hamza był chyba zbity z tropu. - W ogóle, to kto...? - Urwał, gdy przyszło zrozumienie.

Zara nie nazywałaby tego karą. Dorośli bili dzieci albo ich nie bili, proste. Nadawanie temu innej nazwy {»zwaląo dorosłym zachować czyste sumienie, ale dzieci nie widziały różnicy.

- No już dobrze, skarbie. Teraz możesz mi wszystko powiedzieć.

Hani uparcie milczała. Po części z tego powodu, że nigdy tak naprawdę nie widziała golasa; patrzyła na Zarę z mieszaniną konsternacji i zaciekawienia, przeczuwając, że pewnego dnia także z jej ciałem złączą się dzieć dziwne rzeczy. A po części dlatego, że nie wiedziała, co mówić.

Bardzo się starała udzielać właściwych odpowiedzi, nawet jeśli ludzie myśleli, że to nieprawda. Tymi innymi ludźmi dotąd byli ciocia Nafisa i Donna, lecz teraz ciocia nie żyła, a Donna była w medresie. Zastąpił je Aszraf i stojąca przed nią kobieta, która próbowała włożyć brudną koszulę, ale tak, żeby nie podrażnić ran na plecach.

Pasza-zade

249

- Mam ci pomóc? - zaofiarowała się Hani.

Zara zgodziła się i usiadła na skraju łóżka polowego.

- Najpierw jedna ręka - powiedziała dziewczynka.

Zara posłusznie wsunęła ramię w podany rękaw.

- A teraz druga...

- No więc jak? - Zara delikatnie odwróciła dziewczynkę, by ta stanęła twarzą do niej. Dziecko z niewiadomego powodu splonęło rumieńcem. - Biła, co?

Hani wolno pokiwała głową.

- Często?

- Czasem. - Mała rozglądała się na boki, byle uniknąć jej wzroku. Każde uderzenie piekło stokroć bardziej, gdy biła osoba, która miała kochać i którą miało się kochać... a właściwie kochało się, póki nie stało się to zbyt trudne...

- Coś się stało, prawda? - zapytała Zara ciepłym głosem.

Hani pokręciła głową.

- Stało się - ciągnęła Zara. - Kiedy lady Nafisa wróciła do domu... Zobaczyłaś, jak wchodzi, i wtedy coś się stało? Była zła?

- Nie - odparła Hani, kręcąc głową. Miała odpowiedź na czubku języka, lecz gorycz sznurowała usta, a w nich tajemnice zbyt bolesne, żeby je odśłaniać.

- No powiedz - nalegała Zara. - Wróciła do domu... a ty gdzie wtedy byłaś?

- U niej w gabinecie - odpowiedziała dziewczynka szeptem. - Zabrała mi Ali Dina. - Tuliła do piersi pieska, jakby ktoś tylko czekał, żeby go skonfiskować.

- I wtedy cię uderzyła? - Zara rozumiała wielki żal dziecka. Do dzisiejszego ranka sama zamieszkiwała w podobnym świecie. Teraz jej świat będzie inny.

- Nie trafiła. Wtedy uciekłam.

- Jak to, nie trafiła?

Hani się zastanawiała. Usiłowała coś sobie przypomnieć, coś trudnego do zrozumienia.

- Ciocia Nafisa nie mogła ustać na nogach. Krzyczała, bo bolała ją głowa.

- Co takiego krzyczała? - spytała od razu Zara.

- Żebym wezwała lekarza... i dała jej święty spokój.

Pasza-zade

249

- Mam ci pomóc? - zaofiarowała się Hani.

Zara zgodziła się i usiadła na skraju łóżka polowego.

- Najpierw jedna ręka - powiedziała dziewczynka.

Zara posłusznie wsunęła ramię w podany rękaw.

- A teraz druga...

- No więc jak? - Zara delikatnie odwróciła dziewczynkę, by ta stanęła twarzą do niej. Dziecko z niewiadomego powodu splonęło rumieńcem. - Biła, co?

Hani wolno pokiwała głową.

- Często?

- Czasem. - Mała rozglądała się na boki, byle uniknąć jej wzroku. Każde uderzenie piekło stokroć bardziej, gdy biła osoba, która miała kochać i którą miało się kochać... a właściwie kochało się, póki nie stało się to zbyt trudne...

- Coś się stało, prawda? - zapytała Zara ciepłym głosem.

Hani pokręciła głową.

- Stało się - ciągnęła Zara. - Kiedy lady Nafisa wróciła do domu... Zobaczyłaś, jak wchodzi, i wtedy coś się stało? Była zła?

- Nie - odparła Hani, kręcąc głową. Miała odpowiedź na czubku języka, lecz gorycz sznurowała usta, a w nich tajemnice zbyt bolesne, żeby je odsłaniać.

- No powiedz - nalegała Zara. - Wróciła do domu... a ty gdzie wtedy byłaś?

- U niej w gabinecie - odpowiedziała dziewczynka szeptem. - Zabrała mi Ali Dina. -- Tuliła do piersi pieska, jakby ktoś tylko czekał, żeby go skonfiskować.

- I wtedy cię uderzyła? - Zara rozumiała wielki żal dziecka. Do dzisiejszego ranka sama zamieszkiwała w podobnym świecie. Teraz jej świat będzie inny.

- Nie trafiła. Wtedy uciekłam.

- Jak to, nie trafiła?

Hani się zastanawiała. Usiłowała coś sobie przypomnieć, coś trudnego do zrozumienia.

- Ciocia Nafisa nie mogła ustać na nogach. Krzyczała, bo bolała ją głowa.

- Co takiego krzyczała? - spytała od razu Zara.

- Żebym wezwała lekarza... i dała jej święty spokój.

20

Jon Courtenay Grimwood

- A ty co zrobiłaś?

Hani patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami.

- Zamknęłam drzwi na klucz. Ona była pijana. Niedobrze jest tyle pić. - Pokiwała głową w skupieniu, jakby sama siebie utwierdzała w tym przekonaniu. - Kiedy raz Donna się upiła, ciocia Nafisa zbiła ją po twarzy i powiedziała, że następnym razem zadzwoni po policję.

Więc nie wezwałam lekarza, bo nie chciałam, żeby zjawiała się policja. A gdy potem ciocia została zamordowana, policja i tak przyjechała. Nic dziwnego, że nie możesz otrząsnąć się z szoku.

- Postuchaj, skarbie. - Zara pogłaskała ją po policzku. - Nic złego już się nie stanie. Zrobiłaś, co mogłaś. Obiecuję

nikomu nie mówić, że ciocia była pijana.

\*\*\*

Głos w słuchawce dosłownie buchał jadem. Strach Ham-zy nareszcie znalazł swoje ujście i przerodził się w nienawiść.

- Zginiesz marnie, jeśli zrobisz krzywdę mojej córce!

- Miałbym jej zrobić coś złego? Myślałem, że to działka pańskiej żony.

Raf zyskał tyle, że odpowiedziała mu martwa cisza. Jeśli ktoś niesłusznie wylewał na niego żółć nienawiści, potrafił mu za to dosolić. Ich bądź co bądź rozmowa nie trwała jeszcze dwóch minut, a już przypominała walenie grochem o ścianę.

- Zastrzelił pan Felixa beja - odezwał się w końcu Hamza. Jakby na tej podstawie miał prawo podejrzewać, że Raf krwawo rozprawi się również z jego córką.

- Wieści szybko się rozchodzą... - Ścigały go wspomnienia całkiem niedawnych zdarzeń. Felix komentuje decyzje Generała. Felix oczernia ministra. Felix opowiada bez ogródek, jak to opłacają mu się ludzie pokroju Hamzy. W al-Iskan-darijji każdy mógł podrzucić mu tę bombę.

Apatycznie przecesał dłonią swoje krótkie włosy. Już dawno powinien je umyć, a właściwie cały się wyszorować. Czuł się wyczuty z sił i stary, jakby przyjechał do tego miasta wieki temu. Od tamtego czasu wyszczuplał na twarzy, a ciem-

Pasza-zade

25

noblond broda zwęziła mu usta i wydłużyła podbródek. Na jego twarzy zarysowało się maskowane okrucieństwo, którego dotąd tam nie było.

Książę musi wzbudzać strach, ale w taki sposób, że nawet jeśli go nie pokochają, także nie znienawidzą.

Wspomnienie z przeszłości.

Dobra, lisie, skoro tak twierdzisz...

- Coś panu powiem o Feliksie! - warknął ze złością. - Rak zżerał mu resztki płuc, wątrobę miał

dziurawą jak sito. Codziennie żopał wódkę, a córki od lat nie widział na oczy. Szkoda tylko, że kiedy ostatni raz się spotkaliśmy, nie był ubezpieczony od skutków nałogu i wylewu mózgu na chodnik! - Jego słowa były zimne jak lód, a jednak płonęły żywym ogniem. Nie znał osoby, która je wypowiadała, i dziwił się, z jakim temperamentem wygarnia je multimilionerowi po drugiej stronie linii telefonicznej. Domyślał się tylko, że stanowi jedność z tą osobą. - Powiedział mi, że oprócz niego nie ma tu uczciwych gliniarzy i ja mu wierzę. Zastrzeliłem go, nie wypieram się tego. Przyłożyłem spluwę do resztek jego głowy i pociągnąłem za spust. Gdybym musiał, znowu bym to zrobił. Teraz, jutro, za rok, kiedykolwiek... Jeśli kogoś miałbym nazwać przyjacielem w tym zeszmaconym mieście, to chyba tylko jego. Byłem jego dłużnikiem. Może coś powtórzyć, może pan nie rozumie?

Jego rozmówca bez słowa przerwał połączenie. Kilka sekund później za oknami zapadły nieprzeniknione ciemności, a wewnątrz łodzi rozjaśniło się: zapaliły się lampy, a pulpit sterowniczy błysnął dziesiątkiem wielokolorowych odczytów. Jedno z okien ożyło barwnym przekazem serwisu informacyjnego. Aszraf bej w pułapce. Zamontowana w ścianie klawiatura wydała z siebie piknięcie, sygnalizując swoją gotowość.

Cichy głos z konsoly oświadczył, że łódź jest otoczona polem ochronnym, włączone są obwody zakłócające i została uruchomiona procedura wielostopniowego maskowania. Raf dowiedział się także, że ma gości.

- No, no... - powiedziała Zara, kiedy otworzył drzwi i zobaczyła za nim uruchomioną konsolę. - Może mi łaskawie powiesz, jak sobie z tym poradziłeś?

Pasza-zade

25

noblond broda zwęziła mu usta i wydłużyła podbródek. Na jego twarzy zarysowało się maskowane okrucieństwo, którego dotąd tam nie było.

Książę musi wzbudzać strach, ale w taki sposób, że nawet jeśli go nie pokochają, także nie znienawidzą.

Wspomnienie z przeszłości.

Dobra, lisie, skoro tak twierdzisz...

- Coś panu powiem o Feliksie! - warknął ze złością. - Rak zżerał mu resztki płuc, wątrobę miał dziurawą jak sito. Codziennie żopał wódkę, a córki od lat nie widział na oczy. Szkoda tylko, że kiedy ostatni raz się spotkaliśmy, nie był ubezpieczony od skutków nałogu i wylewu mózgu na chodnik! - Jego słowa były zimne jak lód, a jednak płonęły żywym ogniem. Nie znał osoby, która je wypowiadała, i dziwił się, z jakim temperamentem wygarnia je multimilionerowi po drugiej stronie linii telefonicznej. Domyślał się tylko, że stanowi jedność z tą osobą. - Powiedział mi, że oprócz niego nie ma tu uczciwych gliniarzy i ja mu wierzę. Zastrzeliłem go, nie wypieram się tego. Przyłożyłem spluwę do resztek jego głowy i pociągnąłem za spust. Gdybym musiał, znowu bym to zrobił. Teraz, jutro, za rok, kiedykolwiek... Jeśli kogoś miałbym nazwać przyjacielem w tym zeszmaconym mieście, to chyba tylko jego. Byłem jego dłużnikiem. Może coś powtórzyć, może pan nie rozumie?

Jego rozmówca bez słowa przerwał połączenie. Kilka sekund później za oknami zapadły nieprzeniknione ciemności, a wewnątrz łodzi rozjaśniło się: zapaliły się lampy, a pulpit sterowniczy

błysnął dziesiątkiem wielokolorowych odczytów. Jedno z okien ożyło barwnym przekazem serwisu informacyjnego. Aszraf bej w pułapce. Zamontowana w ścianie klawiatura wydała z siebie piknięcie, sygnalizując swoją gotowość.

Cichy głos z konsoly oświadczył, że Łódź jest otoczona polem ochronnym, włączone są obwody zakłócające i została uruchomiona procedura wielostopniowego maskowania. Raf dowiedział się także, że ma gości.

- No, no... - powiedziała Zara, kiedy otworzył drzwi i zobaczyła za nim uruchomioną konsolę. - Może mi łaskawie powiesz, jak sobie z tym poradzisz?

2

Jon Courtenay Grimwood

Rozdział 39

30 lipca

Fellah za prymitywnym stoiskiem wydawał się stary jak poskręcane drzewo oliwne, dopóki człowiek nie pochwycił jego spojrzenia. Zauważał wówczas, że chociaż upalne lata i gwałtowne zimowe burze zostawiły na tej twarzy wyraźne piętno zniszczenia, z oczu wyzierała mądrość przeżytych lat: zapewne widziały już wszystko, co w tym szczególnym mieście było do zobaczenia... z wyjątkiem policji otaczającej otwarcie, za dnia, medresę beja.

Owszem, zezwolenie na handel nie uwzględniało pracy w piątkowe popołudnie, jednakże na ulice wyległy tłumy, a skoro tak, należało je nakarmić.

- Taamijja! Taamijja! - Czyli z egipska falafel. Przed nim na wózku piętrzył się stos aluminiowych półmisków, stały trzy butelki po winie wypełnione sosem i leżała łycha. Nad płaską pokrywą wózka sterczała szeroka szyjka blaszanego gara, w którym wolno stygły gorące falafle.

Na drugim wózku, w żelaznej kadzi z wrzącym olejem, podskakiwały następne taamijje, gotowe do wyłowienia i przeniesienia do sąsiedniego pojemnika. Obok smażących się placuszków stała miska z ubitymi jajkami, gdzie były uprzednio maczane, nim obtoczono je w tartej bułce i wrzucono na olej. Tutaj też ułożono stos chlebków pita, które jeden ruch noża przekształcał w chlebowe kieszonki, wypełniane ta-amijją, siekaną sałatką i sosem.

Młody mężczyzna odebrał falafel, płacąc garścią drobnych monet, na których widniał profil chedywa albo wizerunek Jego Cesarskiej Mości. Tylko biedacy używali jeszcze takich drobników; im nie zależało, kogo zobaczą na mone-

Pasza-zade

23

tach, byle było wiadomo, ile dokładnie wart jest każdy metalowy pieniążek.

- La. - Raf machnięciem ręki zrezygnował z przyjęcia najdrobniejszej z monet, którą sprzedawca chciał mu wydać, i szybko wgrzył się w ciepły chlebek. Od razu wyczuł smak świeżej kolendry. Tłuszcz spływał mu po brodzie. Zamawiając coś do jedzenia, nie był głodny, po prostu szukał jakiegoś rekwizytu, umożliwiającego wmiśnięcie się w poruszony tłum, blokujący zagrodzone taśmami wejście na Rue Cif. Teraz jednak, ubrany w swoją pasiastą, podniszczoną dżela-bę, pelerynę-niewidkę popularną wśród nędzarzy na całym afrykańskim wybrzeżu Morza Śródziemnego, mając w rękach falafel, Raf gotów był dać nura w ciżbę.

Czuł ucisk w żołądku. Winien był temu - między innymi

- głód. Od ostatniego posiłku minęła przecież okrągła doba. Może nawet więcej, skąd miał wiedzieć? Nie nosił zegarka, co również ułatwiało mu wsiąknięcie w tłum. Chętnie by kupił na straganie fałszywego rolexa - takiego, który z daleka wygląda na tandetę, nie budzącego podejrzeń u fellaha w nędznym przyodziewku. Może podróbę z Tajlandii lub debilnego g'schlocka, którego na stacji benzynowej dostaje każdy, kto tankuje paliwo. Tak samo, jak kupił sobie najtańsze okulary przeciwsłoneczne na Place Orabi, które nadawały ludziom w tłumie wygląd bursztynowych upiorów. Wielu ciekawskich, podobnie jak jego, przygnały tu dzienniki radiowe i sieciowe serwisy informacyjne. Pozostali zlecieli się za sąsiadami lub wpadli po drodze z meczetu.

- Co tu się stało, do cholery? - Wręczył drobny pieniądz kobiecie sprzedającej śliwki z plecionej torby. - Wypadek?

- O ile było mu wiadomo, fellahowie rozmawiali między sobą z wyszukaną grzecznością, ale nawet jeśli tak, kobiecina nie zwróciła uwagi na jego zachowanie. Popatrzyła na człowieka w wyświechtanej dżelabie ze zdumieniem, które jednak brało się stąd, że pytał o rzecz tak oczywistą.

- Przeszukują dom Aszrafa beja.

- Nie znajdują go tam...

Splunęła.

- Pewnie, że nie znajdują! Siedzi w pudle, świnia. Zabił ciotkę dla pieniędzy. Na razie szukają dowodów.

Jon Courtenay Grimwood

- Dla pieniędzy?

- A jakże, była forsa - stwierdziła krótko. - Wyznaczyli nagrodę za informację. Tak słyszałam.

Nim Raf się spostrzegł, już przepychała się ku policjantowi w mundurze, nie zwracając uwagi na wyciągnięte ręce amatorów śliwek.

- Zmywaj się stąd.

Raf kierował się w przeciwną stronę, zanim uświadomił

sobie, czego lis od niego wymaga.

- Nie tak szybko! - przestrzegł lis cichym głosem.



Raf przestał uciekać truchcikiem, opanował strach i już wolniej przeciskał się na czoło tłumowi. Żyłował lisa przez to, że zmuszał go do działania w świetle dnia, obaj o tym wiedzieli. Lis jednak nigdy się nie skarżył, nigdy nie krytykował.

- Teraz idź do Muszina.

Człowiek, za którym się rozglądał, stał niczym struty karzeł u wylotu Rue Cif, nie spuszczać wzroku z tylnego wejścia do medresy. Ubzdurało mu się, że coś tutaj znajdzie? Ot, zagadka. Chyba że ministrowi zależało jedynie na tym, aby pokazać się sprawozdawcom w helikopterach i dziennikarzom z ekip naziemnych.

- Odznaka - rozbrzmiał cichy głos w jego głowie, nim przeszedł w szum i zrobiło się cicho.

Rzuciwszy na ziemię niedojedzoną pitę, Raf błysnął złotą odznaką Felixa przed zaskoczonym sierżantem policji i przeskoczył taśmę, nim ten sprawdził jego nazwisko czy cokolwiek powiedział. Sam fakt, że Raf zmierzał wprost do Muszina beja, przyczynił się do tego, że sierżant cofnął się o krok, przeklinając pod nosem porąbanych tajniaków.

- Hej tam! - warknął minister. - Za taśmę! - Niewysoki mężczyzna wyglądał na woźnego w kinie: gdy się odzywał, wrażenie jeszcze się pogłębiało.

Raf wyszczerzył zęby i otworzył legitymację z odznaką. A gdy minister wybałuszył oczy, dźgnął go w udo lufą rewolweru.

- Mam też jego spluwę! - Polegał na odległości od tłuszczy i długim rękawie dżelaby, którym zakrywał broń.

- Pan się nie ośmieli!

Pasza-zade

255

- Już się ośmieliłem. - Głową wskazał odciętą od reszty miasta Rue Cif, pustą i mroczną. Tłum pilnowany przez policjantów wydawał się bardzo odległy. - Przejdźmy się.

Muszina beja miał ochotę nawrzucać Rafowi, zagrozić mu, obiecać, że wytropi go jak psa... lecz gdy spojrzął w oczy młodemu bejowi, ujrzał wypisaną w nich zawziętość i pohamował się od pochopnych reakcji. Ten facet zastrzeliłby go w razie konieczności.

Z kolei Raf wszystko, co wiedział o ministrze, mógł teraz wyczytać z jego szczerzej twarzy i wydedukować z paniki wyraźnej w tysach, które nie wyrażały nawet cienia odwagi. Był równie marnym naczelnikiem policji, co Raf - bejem. Udzielał się w polityce, a to skreślało go z listy podejrzanych o zamordowanie Felixa. Potrzebny mu był ten policjant, nawet z przeżartą wątrobą i dziesiątkiem nałogów.

- Dobra - powiedział Raf. - Odkąd śmierć Nafisy można powiązać ze mną, twierdzi pan, że to morderstwo, gdy wcześniej była mowa tylko o samobójstwie. Kogo pan kryje?

- Nikogo - odparł minister. - To chyba oczywiste.

- Z tonu można by sądzić, że mówi szczerą prawdę, ale choć próbował nadrobić miną, unikał

wzrokiem ciemnej krechy okularów Rafa. Wrzał gniewem, lecz przeważył strach.

Raf dobrze znał to uczucie. Kiełkowały już w nim zalążki niepokoju: zastanawiał się, czy nie cofnąć broni i zaprzestać walki. Czy nie oddać się w ręce władz - jak to zawsze czynił, gdy krótkotrwały płomień złości gasł, pozostawiając w ustach smak porażki. Zamierzał jednak pertraktować, mimo że w al-Iskandarijji, podobnie jak we wszystkich osmańskich miastach, nawet tych wolnych, egzekwowano karę śmierci.

- Wiemy, że Felix sfałszował wyniki sekcji zwłok - rzekł twardo minister. - Co pan miał na niego? Jakiego haka? Małe dziewczynki, narkotyki, długi?

- Nikt nie sfałszował wyników sekcji zwłok - odparł porywczo Raf, spychając ministra ku pustym rejonom ulicy.

- Chyba że... pan.

Muszin bej odruchowo pokręcił głową, choć był to ruch tak drobny, że prawie niedostrzegalny. Raf mu wierzył, aczkolwiek w duchu podejrzewał, że ten człowiek tai przed nim prawdę.

r

26

Jon Courtenay Grimwood

- Proszę mi powiedzieć, kiedy przestał pan twierdzić, że to było samobójstwo i zaczął rozpowiadać, że to jednak morderstwo?

- Kiedy kazał pan zabić Felixa. Prawdopodobnie zrozumiał pan nagle, że tą gadką o samobójstwie Félix panu zaszkodzi.

- Kiedy kazałem...? On umierał. Dobiłem go z litości.

I wtedy minister zdradził mu coś, co wyrzuciło do góry nogami cały jego obraz sytuacji. Pokreślony i skomplikowany schemat powiązań i zależności, który trzymał głęboko w kieszeni, nadawał się teraz do kosza. Muszin bej nie mówił o zastrzeleniu policjanta. Miał na myśli bombę. Odnalazł się człowiek, który wręczył przesyłkę... i który zgodził się złożyć szczegółowe zeznania. Wspominając o tym, minister urwał na chwilkę i poprawił: bardzo szczegółowe zeznania. Co najbardziej zaimponowało ministrowi (nie wahał się przyznać), to pomysł z wysłaniem bomby do samego siebie. Czy można skuteczniej wykluczyć się z kręgu podejrzanych?

- Była wysłana do mnie?

- Tylko niech... - Minister przerwał w pół zdania, ponieważ Raf uniósł wyżej rewolwer.

- Wie pan, co sobie myślę? - Raf odwiódł kurek i wcisnął lufę broni ministrowi pod brodę, co gwarantowało, że wystrzelona kula zmasakruje czaszkę. - Myślę sobie, że pan wie, kto zabił lady Nafisę.

- Ja miałbym to wiedzieć? - Paniczny strach wykrzywił oblicze Muszina beja, który lada moment mógł się zsikać lub błagać o darowanie życia. Wszystkie tętniące w nim uczucia znajdowały

swoje odzwierciedlenie w jego zachowaniu... wszystkie prócz tego jednego, którego doszukiwał się Raf.

Gdyby wyczytał poczucie winy, pociągnąłby za spust.

- Nie zamordowałem Felixa ani, zapewniam pana, lady Nafisy. - Raf mówił chłodnym, stanowczym tonem. - Czy pan ich zabił, tego jeszcze nie wiem. Proszę się cieszyć, że mam wątpliwości. - Tego rodzaju teksty nieraz padały z ust dra Millbanka. - Ale zostali zabici, więc jeśli się okaże, że pan maczał w tym palce... I proszę pamiętać - dodał - że szkolono mnie w takich miejscach, gdzie panu by nie pozwolono nawet postać pod zasranymi drzwiami. - To mówiąc, pochylił się i wrzucił ministrowi coś miękkiego do kieszeni. Potem

Pasza-zade 257

wygładził mu marynarkę. - To resztki plastiku, którego nie wziąłem - powiedział poważnie. - Po wybuchu nikt nie znajdzie pańskich bioder. - Włożył rękę tym razem do swojej kieszeni i objął palcami tubkę z przyciskiem. - Teraz odejdę. Jeśli będzie mi pan przeszkadzał, zrobię z pana kotlet siekany. Zrozumiano?

Minister zrozumiał.

Raf z uśmiechem wcisnął przycisk miętowego odświeżacza do ust i odszedł - ciekaw, kiedy Muszin bej w końcu odkryje, że przedmiot ciężący mu w kieszeni jak ołowiana

kula jest w istocie nadgryzioną śliwką.

\*\*\*

Zastrzeliłem go, nie wypieram się tego...

Tempo na dwa koła i motocykl frunął. Gorące powietrze wciskało się w kanały wentylacyjne perfekcyjnie wyprofilowanej owiewki, chłodząc japoński klasyczny V-twin, gdy DJ > Avatar pędził promenadą Corniche.

Gdybym musiał, znowu bym to zrobił...

Był zbyt pochłonięty mixem, zbyt podkreślony, żeby przyglądać się swojej sylwetce w ciemnych szybach mijanych restauracji.

Teraz, jutro, za rok, kiedykolwiek...

Av nie znał głosu tego faceta, ponieważ nigdy z nim nie rozmawiał, lecz wiedział, kto to taki. Podobnie jak wiedział z całą pewnością, że to Zara wysłała plik na jego skrynkę. W ten sposób przeproszała za to, że gliny z obyczajówki odwiozły ją do domu, a jego zapuszkowały na 48 godzin w piwnicznej celi, gdzie towarzyszył mu jedynie dół kloaczny. Gdzie zamiast niego powinni się znaleźć morderca i jego przyrodnia siostrzyczka. O nie, nie chciałby spędzać wakacji w takim miejscu.

Tak czy owak, mix wyszedł cacy, a słowa powalały. Najwyższa próba, towar stricte nielegalny... jak resztki speeda piekące go jeszcze w przełyku. Policja rozwalila klub, za co spotka ją kara.

Bas prosty, lecz dudni bez zwalniania. Ścieżka syntezatora bezduszna i chłodna jak ciekły azot, wzbogacona o trzaski i szумы.

258

Jon Courtenay Grimwood

- Uwierzycie? Mówi do was DJ Avatar, a słuchaliście beja, jego głosu z drugiej strony lustra. - Chłopak walnął w guzik na kierownicy; opętańczy śmiech zagłuszył utwór, który jednak po chwili rozbrzmiał z dawną siłą, wciskając się do mózgu jego i wszystkich słuchających... a słuchało już prawie całe miasto. - Życzę miłych wrażeń...

Bas ucichł, zastąpiony szybkim biciem serca, fachowo zmiksowanym z głosem wściekłości: Coś panu powiem o Feliksie...

258 Jon Courtenay Grimwood

- Uwierzycie? Mówi do was DJ Avatar, a słuchaliście beja, jego głosu z drugiej strony lustra. - Chłopak walnął w guzik na kierownicy; opętańczy śmiech zagłuszył utwór, który jednak po chwili rozbrzmiał z dawną siłą, wciskając się do mózgu jego i wszystkich słuchających... a słuchało już prawie całe miasto. - Życzę miłych wrażeń...

Bas ucichł, zastąpiony szybkim biciem serca, fachowo zmiksowanym z głosem wściekłości:

Coś panu powiem o Feliksie...

258

Jon Courtenay Grimwood

- Uwierzycie? Mówi do was DJ Avatar, a słuchaliście beja, jego głosu z drugiej strony lustra. - Chłopak walnął w guzik na kierownicy; opętańczy śmiech zagłuszył utwór, który jednak po chwili rozbrzmiał z dawną siłą, wciskając się do mózgu jego i wszystkich słuchających... a słuchało już prawie całe miasto. - Życzę miłych wrażeń...

Bas ucichł, zastąpiony szybkim biciem serca, fachowo zmiksowanym z głosem wściekłości: Coś panu powiem o Feliksie...

Pasza-zade

2

Rorbzfoł 4o

31 lipca

Było południe. Fala przetoczyła się po ramieniu Rafa, zostawiając tam krople błyszczące w słońcu jak opale. Skóra, choć natarta kremem z filtrem 40, swędziała w kontakcie ze słońcą wodą. Coś panu powiem o Feliksie...

Słów z tego mixu nie potrafił wyrzucić z myśli, lecz nauczył się nimi nie przejmować.

Cumująca za nim łódź VSV pozostawała w trybie częściowej niewykrywalności, widoczna na radarach jako mały kuter rybacki. Raf nie wiedział nawet, gdzie są. Widział jedynie z dwóch stron skaliste cyple płaskiej wysepki, pozbawionej wody pitnej. Ale brak wody im nie dokuczał: Zara wzięła całkiem spory zapas, a poza tym w łodziach VSV w części rufowej instalowano małe agregaty odsalające.

Morze było ciemne, a niebo miało tak osobliwie niebieską barwę, że nawet okulary przeciwsłoneczne nie psuły wrażenia, jakby ktoś niewidzialną ręką wyłączył wartości domyślne i zaczął bawić się równocześnie z jasnością i nasyceniem kolorów. Bure krzewy porastały podnóża maleńkiego wzgórzka, łakomie zapuszczając korzenie w cienką warstwę ziemi między olbrzymimi głazami. Ciepły wiatr przynosił stamtąd zapach lawendy.

Byli tu, bo Zara powiedziała, że taki rejs dobrze im zrobi. Podejrzywał, że dziewczyna wiele razy odwiedzała tę odludną wysepkę, ale z kim, tego nie chciała zdradzić. Wiedział tylko tyle, że wyspa jest oddalona o trzy godziny drogi od al-Iskandarijji... jeśli podróżowało się łodzią prującą fale z tą samą chyżością, z którą gna światło w mroku.

- Hej, popatrz na mnie!

260

Jon Courtenay Grimwood

Spojrzał więc na Hani, która z pokładu VSV wskoczyła na główkę do wody i znikła wśród rozprysków piany. Do tej pory ciągle „nurkowała”, jeśli można tak powiedzieć o kimś, kto siedzi na skraju pokładu i pochyla się, żeby ramiona dotykały fal.

- Widziałaś?

Pokiwał głową. Brodził po wodzie, gdy Hani, nieudolnie młóćąc rękami, podpłynęła do niego.

- Mam cię! - Zarzuciła mu ręce na szyję, tak że musiał nagle dźwigać jej wątłe ciało. Włosy mokrymi puklami zaślaniały jej buzię, którą rozpromienił domyślny uśmiech. - A więc uciekamy?

- Tylko na jeden dzień.

Hani skinęła głową w zamyśleniu.

- To może jeszcze trochę „ponurkuję”.

Na pokładzie VSV Zara uśmiechała się, patrząc, jak dziewczynka rozplata ramiona i chwiejnym krokiem wraca na łódź. Jej ojciec unikał odpowiedzialności w zupełnie inny sposób: rzucał się w wir interesów.

Widok Rafa i Hani był dla niej niczym wyrwa w wale chmur burzowych. Doskonale wiedziała, co spowodowało tę wyrwę, ponieważ chmury były jej własnym dziełem. No, poniekąd... Zaczęło się od tego, że gdy Raf wyszedł, aby sprawdzić, co dzieje się w medresie, odświeżyła w pamięci swoje perypetie z mężczyznami, których bliżej poznała. Nie było ich wielu. Nie wnikając w przyczyny, ojciec nie utrzymywał kontaktów ze swoim bratem, zatem nigdy nie spotkała kuzynów z jego strony. Matka zaś była jedynaczką, co w zasadzie przejawiało się na każdym kroku.

Chłopcy. Miała dwóch w Nowym Jorku. Jednego rzuciła i jeden ją rzucił, ale w obu przypadkach

powód był ten sam. W murach uczelni, rozmawiając ze studentami, wyjaśniała z eufemistyczną przesadą, że na przeszkodzie stanęły różnice kulturowe.

Obaj chłopcy - biali, protestanci - o byle co się obrażali i wszystko ich denerwowało, lecz tłumili w sobie uczucia, nie chcieli otwarcie pogadać, tylko robili smętne miny i burczeli pod nosem. Podobne reakcje zaobserwowała u Rafa, aczkolwiek, podobno, był półkrwi Berberyssem. Tak więc albo

Pasza-zade

2

całkowicie zamykał się w sobie, albo walił śmiało, co mu leży na wątrobie. Raz usuwał się w cień, a raz przystępował do frontalnego ataku. Ale żeby wyklócać się, machając rękami, podnosząc głos? Chyba nie miał w zwyczaju tego robić. Dlatego właśnie, kiedy zeszłego wieczoru wrócił po rozmowie z Muszinem bejem, nie dała mu możliwości wyboru...

Choć były chwile, że wątpiła w słuszność swej decyzji.

Port Zachodni powoli tonął w mroku. Siedząc na pokładzie łodzi, Raf ospale podrapał się po karku i zadał pytanie, które powinien zadać każdy, kto słyszy, jak ze wszystkich radioodbiorników we wszystkich taksówkach w mieście płyną jego pełne gorzycy wynurzenia. Kto wracając do domu po cichu, przez nikogo nie rozpoznany, spotyka na ulicy małych obdartusów, którzy cytują jego słowa.

Było za późno, żeby coś zrobić w sprawie utworu wpeł-zającego jak robak do świadomości mieszkańców miasta, ponieważ numer „InnerSense Fight Bac” cieszył się niesłabnącą popularnością i pojawiał się w eterze średnio co cztery kawałki. Pomimo to Raf chciał wiedzieć jedno:

- Skąd on to wziął, do cholery?

Zara odgarnęła włosy z oczu i mocniej przytuliła śpiącą Hani. Dziewczynka zwinęła się w kłębek z głową na jej kolanach i szmacianym pieskiem w rękach.

- Zjednaj sobie ulicę, a miasto będzie twoje - powtórzyła za pewnym nawiedzonym wywrotowcem, który w Istambule odsiadywał wyrok dwudziestu pięciu lat w więzieniu o zaostrowym rygorze. - Z tyłu na motocyklu ma zainstalowany nadajnik. Nie dlatego, że musi; jakoś samo tak wyszło.

- Kto niby?

- Avatar, mój brat... - Przyrodni, ale tego Zara z zasady nikomu nie mówiła.

-Twój...?

Pokiwała głową.

- Nie przesyłałeś się. Spotkałeś go nawet w tramwaju. Dałam mu plik dźwiękowy.

- Żartujesz!

Od tego zaczęła się sprzeczka. Kiedy Hani zsunęła się z kolan Zary i skuliła pod drzwiami, gdzie podciągnęła pod brodę chude nogi i wytrzeszczyła oczy z przestachem - wy-

Jon Courtenay Grimwood

wlekaniu na światło dzienne wszystkich żalów już nie wydawało się Żarze tak dobrym pomysłem. Cóż, znowu narozrabiła.

Wykrzyczała Rafowi, jakim jest psychicznym wrakiem i rozkapryszonym bubkiem, niedorostym do życia między ludźmi, ten zaś wyjaśnił jej w prostych słowach, czemu to nie jego wina, że jest bogatą, rozpieszczoną siksą, którą gliny zgarnęły za paradowanie nago w nielegalnym klubie. A jeśli chodzi o ślub...

- Przestańcie! - zawołała piskliwie Hani z zadartą brodą i ustami ściągniętymi w wyrazie zdecydowania. Była tak zła, że nie zauważyła nawet łez spływających po jej twarzy. - Przestańcie!

W małej kajucie zapadła cisza, od której aż w uszach dzwoniło.

- Przepraszam - powiedział spokojnie Raf i wstał, żeby zejść z łodzi.

- Nie odchodź daleko - przestrzegła go Hani. - Bo zabłądzisz.

Lubił ciszę, dobrze się czuł w ciemnościach. Mógł się cieszyć jednym i drugim, patrząc na czarny, cętkowany światłkami ogrom Portu Zachodniego. Od strony Dworca Morskiego dobiegały pijackie wrzaski: grupa sowieckich marynarzy w eskorcie policji wracała na pokład niszczyciela. Rozpędzone motorówki służb celnych reflektorami rysowały na wodzie malownicze zygzaki. W końcu marynarze ucichli na okręcie, a łodzie motorowe punkt dwunasta zakończyły służbę patrolową i wróciły do bazy. Małe, nieoświetlone stateczki mogły teraz cichaczem wymykać się z basenu portowego.

- Noc ma to do siebie - odezwała się za nim Zara. - Nawet takie paskudy jak Dworzec Morski wyglądają pięknie. - Podała mu do ręki zimne piwo.

Udawał, że nie słyszy otwieranych drzwi, z czego teraz się cieszył.

- Wiesz - powiedział - wpakowali mi do głowy sprzęt, o który nie prosiłem. Przez niego, hm, widzę w ciemności, ale nie mów, że jestem rozkapryszony. Choć z psychiką u mnie nie najlepiej, to fakt...

Pasza-zade

26

Zamiast odpowiedzi Zara otworzyła piwo. W miarę jak padały kolejne przeprosiny, pytania pojawiały się szybciej, niż ich ubywało, ale i tak szło im nadspodziewanie dobrze.

- Coś mi się zdaje, że nie jestem prawdziwym bejem

- rzekł Raf. - Nie szkoliłem się w grupie elitarnych komandosów i nie pracowałem w konsulacie w Seattle, ani kiedy wybuchły bomby, ani wcześniej.

Wyciągnęła do niego piwo. Nie od razu się zorientował, że ma je wziąć. Potem cierpliwie czekała, póki

się nie kapnął, że powinien jej oddać swoją zamkniętą puszkę. Napój był zimny jak woda z topniejących śniegów i miał wyśmienity, słodkawy smak. Dlatego wziął drugi tyk po chwili zwłoki, gdy nacieszył się smakiem pierwszego.

- Co robiłeś w Ameryce?
- Siedziałem w więzieniu - odpowiedział bez ogródek.
- Niedaleko Seattle. Dostałem wysoki wyrok.
- Za co? - spytała ostro.
- Oskarżyli mnie o morderstwo.
- Tylko mi nie mów, że...
- Spokojnie, nikogo nie zabiłem.

Zara poczuła, jak jej usta układają się w coś na podobieństwo uśmiechu.

- A jednak cię przymknęli.

Pokiwał głową.

- Rzecz w tym, że nie bardzo wiem, co tu robię. I jeszcze jedno. Czemu ty mi...?
- Czemu ci pomagam? Niech no pomyślę. - Zaczęła wyliczać na palcach: - Publicznie mnie upokarzasz, strzelasz do policjanta, nie mam nic na sobie w czasie aresztowania, ciebie oskarżają o zamordowanie ciotki. Doprawdy, nie wiem. Może ty mi wytłumaczysz. - Spojrzała na niego raz i potem drugi. Zauważyła, że jej nie rozumiał. - Jestem jak czarna owca - powiedziała cierpko. - Nikt się ze mną nie ożeni. Pewnie już nawet wyleciałam z pracy. Dla mnie to ważne, żebyś był niewinny...
- I to mi chciałaś powiedzieć?
- Nie. - Pokręciła głową. - Przyszedłam ci powiedzieć, że Hani chce z tobą porozmawiać.

2

Jon Courtenay Grimwood

\*\*\*

Hani zdradziła, że ciotka Nafisa strasznie się pokłóciła z kimś przez telefon - dawno, kilka miesięcy przed pojawieniem się Rafa. Dziewczynka wiedziała z kim, albowiem raz po raz wykrzykiwała „Generale” albo „Wasza Ekscelencjo”.

- Jak myślisz, o co się kłócili? - zapytała Zara przyciszonym głosem.

Wzruszył ramionami. Dyskutowali o tym przez cały dzień, gdy tylko mieli chwilkę dla siebie. Owszem, przyszedł mu do głowy pewien pomysł, lecz zbyt absurdalny, żeby miał się nim dzielić.

- Co tak milczysz? - dodała. - Twoim zdaniem, mogła być pijana?

Łódź oddalała się już od wysepki, kierowana autopilo-tem, z włączonymi wszystkimi systemami



obronnymi, które miała w swoim arsenale. Tym razem to Zara wspierała się na ramieniu Rafa; Hani spała na sąsiednim łóżku, przykryta sarongiem jak kołderką.

Czy jego zdaniem, ciotka mogła się upić? Nie. Nawet jeśli dzieciak zaświadczał, że chodziła po domu chwiejnym krokiem. Narkotyki nie wchodziły w grę i tak samo nie wierzył w samobójstwo. A zatem morderstwo. Jeżeli z kręgu podejrzanych wykluczyć Thiergarten (a wątpił, by zginęła na rozkaz doradców chedywa), motyw zbrodni pozostawał nieznany. Chyba że był to któryś z szurniętych uczniów ze Szkoły Niemieckiej w al-Iskandarijji, jednak nie uważał ich za takich idiotów.

Generał Koenig Pasza był zwolennikiem niemieckich porządków, ale - jak twierdził Felix - tolerował działalność Thiergarten i nic więcej. A uczniowie ze Szkoły Niemieckiej, beztraska młodzież zawsze przy forsie, nie byli za bardzo lubiani w mieście. Musieli polegać na protekcji ze strony Koeniga Paszy.

- Czy mogła być pijana? Nie wiem - odrzekł. - Zaczynam gubić wątek.

- Jeśli jest jakiś wątek.

Za niespełna dwie godziny mieli wejść do Portu Zachodniego. Płynęli wzdłuż wybrzeża, sunąc między lądem i olbrzymim falochronem trasą wpisaną na stałe do pamięci

Pasza-zade

265

komputera. Zapewne do tego czasu, pomyślała Zara, rozmowa o Nafisie nie posunie się naprzód.

VSV będzie się trzymać blisko skalistego brzegu, płynąc cicho z mocno zanurzoną kadłubem, możliwie daleko od bazy morskiej Ras el-Tin. Mimo to pojawi się na ekranach w bazie.

Nic im nie zrobią. Jak już wyjaśniła Rafowi, łódź należała do jej ojca, który w tej sprawie porozumiał się z samym Generałem. Przy Dworcu Morskim dziennie cumował tuzin pasażerskich okrętów liniowych, jednakże w Porcie Zachodnim głównym motorem napędowym handlu był przemysł. Haszysz, alkohol, lucky strike, nubijskie dziewczęta... Wszystko. Towar wchodził i wychodził z portu, a siłwa Generała zgarniała 10% zysków. Aby życie było prostsze, cechy charakterystyczne wszystkich łodzi zapisywano w komputerach w bazie Ras el-Tin, a w jakimś głęboko zakopanym podzbiorze programu administracyjnego marynarki wojennej regularnie aktualizowano liczbę kursów poszczególnych łodzi.

Dzięki temu nikt się nie wyłamywał.

- Opowiedz mi o tym sprzęcie, który masz w głowie? - poprosiła Rafa.

Czasami miał wątpliwości, czy lis istnieje naprawdę. Choć bezsprzecznie dogorywało w nim jakieś psujące się urządzenie. I gdzieś w biologicznej części mózgu przetrwało wyraźne wspomnienie obietnic, jakimi szastano w klinice bioinżynierii na Płw. Kalifornijskim, która zbankrutowała dwa lata po jego urodzeniu. Widzenie w podczerwieni i ultrafiolecie, siedem barw głównych, szybko mrugające powieki. W opastej, wielostronicowej polisie obszernie rozpisywano się o praktycznej zdolności widzenia w ciemnościach i na marginesie wspominano o nadwrażliwości siatkówek na światło słoneczne.

Ludzie pierwotnie posiadali cztery receptory barw, tyle że wtedy nie byli jeszcze ludźmi ani nawet

ssakami. Lis kiedyś mu to wytłumaczył - tonem, w którym przebijała duma. Większość ssaków z rzędu naczelnych posiadała obecnie trzy receptory, czyli i tak o jeden więcej w porównaniu z dwoma receptorami prowadzących nocny tryb życia prymitywnych ssaków. Rafa wyposażono dodatkowo w czwarty receptor,

266

Jon Courtenay Grimwood

odpowiedzialny za ultrafiolet. Pod tym względem był dalekim krewniakiem szpaków, kameleonów i karasi złocistych.

W następnych rozdziałach była mowa o dodatkowych żebrach do osłony delikatnych organów i maleńkich mięśniach do zamykania uszu. Uznał, że nie jest to najlepszy moment, by się nad tym rozwodzić.

Przelotnie musnął wargami włosy Zary i uśmiechnął się, kiedy łagodnie odsunęła go od siebie. Gdyby rzeczywiście chciała go powstrzymać, powiedziałałaby to wyraźnie. Jej czoło miało słony smak, podobnie jak spuchnięte usta, gdy je wreszcie uniosła, rozchylone. Wyczuł w jej oddechu zapach alkoholu i oliwek.

- Poczekaj! - odezwała się nagle.

Kiedy skończyła układać Hani w łóżku, dziewczynka leżała całkowicie przykryta cienkim sarongiem. Materiał układał się luźno na jej twarzy i trzepotał niczym skrzydło motyla przy każdym oddechu.

- No, teraz lepiej - oznajmiła Zara. - Światło minimalne - dodała i w kajucie pociemniało.

Następny pocałunek trwał dłużej, póki Raf nie spróbował ostrożnie położyć dziewczyny na plecach. Na jej twarzy pojawił się grymas bólu.

- Jejku, przepraszam. - Wcześniej, kiedy przez krótki czas kąpała się w morzu, pozwalając soli zdezynfekować blizny, po raz drugi miał okazję przyjrzeć się siniakom.

Wzruszyła ramionami. Bywało gorzej.

- Wiesz co - powiedziała wesoło. - Nie miałam jeszcze randki z takim starym facetem.

- Mam dwadzieścia pięć lat!

- Wyglądasz starzej.

- Ale czuję się młodo. Może oprócz tych dni, kiedy przybywa mi nagle tysiąc lat.

Nie nosiła stanika, a kiedy pod koszulką dotknął piersi, wydały mu się pełniejsze niż ostatnim razem, gdy je widział. Miękkie sutki prędko nabrzmiały i wypięły materiał.

Pocałował ją w usta, jakby tym podstępem chciał odwrócić jej uwagę od swoich wędrujących dłoni. Kiedy jej wargi poddały się pieszczocie, zaryzykował i delikatnie, jak piórkiem, pogłaskał skryty sutek.

Pasza-zade

267

- Długo będziemy płynąć? - zapytał.
- Nie za długo - odparła z uśmiechem.

Nie wiedział, o co jej konkretnie chodzi, lecz domyślał się, że nadszedł ten moment, kiedy zwykle dochodziły do głosu „różnice kulturowe”. A jednak mocowała się już z perłowymi guziczkami, żeby móc rozchylić koszulę i w pełni odsłonić jedną pierś.

Smakowała mu morzem, więc malował językiem słone kóleczo wokół sutka. Czuł, jak jej ciało napina się i twardnieje, a potem - gdy przetoczył się po wzgóreczku niczym morska fala - odpręży się.

Zadrzała.

Zabrał się do odpinania reszty guzików, a gdy się z nimi uporał, łakomie chwycił jej obnażone piersi. Czuł płomień w kroku i szum w głowie, do którego przyczyniły się pospołu alkohol, tanie narkotyki i nic niewarte wspomnienia. Wiedział jednak, że dopiero na pokładzie tej łodzi, z tą osobą, odnalazł swoje miejsce na ziemi, cel swej długiej tułaczki.

- Co powiesz na to? - Zara przewróciła go na bok, aż zsunął się z fotela i znalazł na klęczkach między jej szeroko rozłożonymi kolanami, z biodrami wciśniętymi w jej ciało. Szybko splótła nogi i objęła go ramionami, sycąc się jego bliskością. Wykonywała ruchy przemyślane, drapieżne, a jednak świadczące o tym, że przebywa daleko w swym osobistym świecie. Jakby niezależnie od klęczącego przed nią mężczyzny, który pieścił jej nagą pierś, znajdowała się gdzieś indziej, sama sobą.

Raf nie dostrzegał w jej oczach znanej sobie Zary. Nie było jej też, tak naprawdę, w przyzywającej, rozkołysanej ciemności między jej udami. W ciemności nieprzejrzanej, gdzie wyczuwał mącący zmysły inny rodzaj słoności. Kołysała się, napierała na niego, chciała go zmiążyć. Każdy ruch coraz szybszy, mocniejszy. Oddychała z sykiem przez zaciśnięte zęby, jakby szarpały ją bóle. Raz po raz mruczała coś do siebie. Był to może rozkaz, może polecenie. W końcu głośno jęknęła. Jęk został natychmiast stłumiony, przeszedł w słabe westchnienie i ucichł całkowicie. Przestała się kołysać. Płakała.

Jon Courtenay Grimwood

Rozdział 41

1 sierpnia

W niedzielę rano w powietrzu było więcej zapachów niż na bazarze korzennym. Tu pachniało świeże pieczywo, tam kurkuma w zamkniętym magazynie, gdzie indziej szedł smród ze studzienki lub buchał z hammamu dym palonego drewna. Cała ta mieszanka woni otaczała Zarę, która brnęła przez miasto nędznymi uliczkami, wijącymi się w lewo i prawo. Szła dnem głębokiego jaru. Nie kierowało nią światło dzienne - ograniczone do małych skrawków nieba w prześwitach między krawędzią dachów a lasem antenowych czasz i prętów - ale świetny, wrodzony zmysł orientacji. Można by jeszcze dodać złość, ledwo hamowane zniecierpliwienie i dobijające napięcie przedmiesiączkowe.

Al-Iskandarijja: 150 dzielnic. Miasteczka w mieście, wioski w miasteczkach. Jedne bogate, drugie przeludnione, inne niemal zupełnie wymarłe, stanowiące doskonałą scenerię do filmu grozy. Rozpadające się domy i gnijące targowiska opustoszały wskutek epidemii grypy w roku 28. Od zarazy nie uciekły babcia i ciotka Zary. W tym, że zmarło tak niewiele osób z jej rodziny, głównie starzy i chorzy, ojciec upatrywał Bożej łaskawości.

Pewne dzielnice były tak ubogie, że nie zaznaczano ich nawet na mapach. Z biedaków nie ściągano podatku, ponieważ nie zarabiali aż tyle, żeby opłacało się egzekwować należności. A jeśli już zjawiał się poborca, to taki, który ściąga daninę na cele religijne, na ochronę lub w imię szerzenia zakazanych nacjonalistycznych idei - padających na podatny grunt wśród zatłoczonych mieszkań i cuchnących rynsztoków, gdzie męczyły ludzi przerwy w dostawie wody i brak opieki medycznej.

Pasza-zade

269

Poborcy opłacali się swoim opiekunom, oni z kolei odprowadzali haracz tym stojącym wyżej od siebie. A gdzieś wysoko, wysoko nad nimi wszystkimi, niby jastrząb patrzący z odrazą na robactwo w dole, unosił się cień jej ojca...

Aszraf bej nie rozumiał duszy tego miasta. Zdawało mu się, że je zna, bo potrafi odróżnić Place Zaghloul od Place Orabi i dojść z kawiarni Le Trianon na Rue Cif bez zerkania na mapę i trzymania się szerokich alej. W jego oczach, al-Iskandarijja była europejskim miastem przeniesionym na wybrzeże Afryki Północnej.

Ktokolwiek lepiej obeznany z tymi rzeczami wiedział, że takie mniemanie jest przynajmniej tyle samo mylne, co prawdziwe. Bo rzeczywiście, powstało tu eleganckie miasto w europejskim stylu: apartamentowce z czerwonej cegły, okazałe wille i wystawne pałacyki. W istocie, stanowiły tylko jedną z warstw tutejszej rzeczywistości, upodobały sobie jedynie promenadę Corniche, aleje w rodzaju Fuad Premier oraz okolicę ogrodów Szallalat, gdzie systemy nawadniające pomagały w utrzymaniu nienaturalnie zielonych trawników.

Prawdziwa al-Iskandarijja składała się z większej liczby warstw niż bakława, równie złożona co same dzieje świata. Było miasto greckich ekspatriantów i miasto zaludniające się z początkiem lata przez całe rodziny z Kairu. Również miasto żydowskich sklepów i synagog, zamożnych Niemców

i nieporównywalnie mniej zamożnych Rosjan. A poniżej kryło się niewidoczne miasto Arabów, z którego jej ojciec wy-dźwignął się wraz z rodziną. Pomogły mu pieniądze, którymi umiał się posługiwać. Od fellaha do efendiego w trzy pokolenia...

W metropolii przeplatały się ze sobą epoki i kultury. Wystarczyło skręcić z uliczki1 w uliczkę, aby cofnąć się o sto lat między bazyliki korzenne i ciemne magazyny, w których na drewnianych żerdziach schły zioła. Następny zaułek, następny zakręt i oto czas cofał się jeszcze bardziej: aromat ziół ustępował smrodliwym woniom kwasu moczowego, wyprawionych skór rozwieszonych w garbarni i tych surowych, deptanych w kadziach z uryną przez stopy mężczyzn w podkasa-nych dżelabach.

I

270

Jon Courtenay Grimwood

Kochała al-Iskandariję, jej sprzeczności i niespodzianki. Na zewnątrz hardą, wewnątrz ponurą. Tylko polityki nie lubiła. Ale w życiu pewnych rzeczy nie dało się zmienić; tak mawiał jej ojciec. Miała nadzieję, że kiedyś wyprowadzi go z błędu.

Pokręciła głową, ciągle zasepiona. Uwierzyła Aszrafowi bejowi, kiedy wyznał, że zamiast pracować w konsulacie, siedział w pace. W tej kwestii rzadko dręczyły ją wątpliwości. Nie wierzyła jednak, że jego ojcem nie jest emir. Owszem, podwójne przeczenie, ale co tam. Chciała porozmawiać ze swoim ojczulkiem, a ponieważ nie mogła wrócić do domu, postanowiła spotkać się z nim na Hamza Płaza, choć on

o tym jeszcze nie mógł wiedzieć.

Miała elegancką fryzurę i umiejętnie dobrany makijaż, który maskował wszystkie siniaki. Nawet wargi wyglądały normalnie.

Prostując ramiona, poprawiła klapy zakietu od Diora, dopiero co kupionego na kartę w Marshall&Snellgrove (obudziła swego osobistego sprzedawcę, aby wcześniej otworzył butik), i pewnym krokiem ruszyła przez płac w stronę gmachu, który dotąd omijała z daleka.

Czarny budynek głównej kwatery ojca zdobiły białe, marmurowe kolumny. Wysokie na trzy kondygnacje wejście wyciosano z czerwonego piaskowca na podobieństwo podkowiego łuku w maltańskiej M'dinie. Ojciec z dumą patrzył na swój gmach, lecz krytycy i znawcy architektury wytykali mu brak gustu. Jeden z łagodniejszych komentarzy brzmiał: żenująca imitacja stylu mauretańskiego.

Plusk kojarzący się z deszczem okazał się szumem wody, która tryskała z alabastrowej fontanny, wybudowanej pośrodku ogrodu w sztucznym zagłębieniu terenu. To arcydzieło sztuki kamieniarskiej, zdumiewające prostotą i elegancją kształtów, wykonano tysiąc lat temu dla księcia Granady. Ojciec słowem nie wspomniał, że je kupił, więc i cena pozostawała tajemnicą.

Zara minęła fontannę i drzwi obrotowe, które zaczęły się kręcić dopiero, gdy do nich podeszła. Przed sobą ujrzała rząd wind z błyszczącymi, mahoniowymi wykończeniami

1 mosiężnymi drzwiami, wypucowanymi na wysoki połysk. Każda mogła ją zabrać na najwyższe piętro.

Pasza-zade

27

- Proszę pani... - Zbliżający się pośpiesznie pracownik ochrony lekko podniósł głos, ale uważał, by się nie zagalopować. Przecinał hol z niezłomnym zamiarem zagrodzenia jej drogi do windy. Na jego twarzy uprzejmość zmagiała się z rozdrażnieniem. Zwyciężyła uprzejmość. Wprawnym wzrokiem oszacował wartość kostiumu młodej kobiety i zwrócił uwagę na jej pewność siebie. Z bliska raz jeszcze zlustrował ją od stóp do głów. Nie, nie znał tej osoby.

Zara przystanęła.

- Każdy, kto tu wchodzi, wpisuje się na listę. - Gestem ręki wskazał odległe stanowisko recepcji, spod którego obserwowała ich pilnie kobieta w średnim wieku. - Jest pani umówiona?

- Nie, nie jestem. Ale ojciec na pewno mnie przyjmie.

Wcisnęła guzik windy. Drzwi rozsunęły się niemal bezszelestnie. Kiedy weszła do środka, ochroniarz wyglądał oczywiście na przestraszonego. No tak, zapewne miał dzieci, żonę myślącą o następnej ciąży, raty do spłacenia... Bez pracy mógłby tylko sięść i płakać, a ona właśnie załatwiła mu zwolnienie.

- Zadzwoń pan do mojego ojca - powiedziała - i uprzedzi go, że jadę na górę. Jakby co, wyrwałam się panu.

Mężczyzna kiwnął głową i cofnął się z uczuciem ulgi. Zapamięta sobie jej życzliwość, a to, że natrętnie wpakowała się do windy, szybko wyleci mu z głowy. I nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, o czym ją właśnie powiadomił. O tym mianowicie, że jej ojciec jest u siebie w gabinecie...

Był to znak, że pokłócił się z matką. Ta myśl wywołała uśmiech na jej usta. Ojciec przychodził tu z rana wyłącznie po awanturze w domu. Czasem tygodniami nie zaglądał do biura. Bo i po co, skoro każdemu, z kim pragnął się spotkać, mógł kazać przyjść do siebie. Gabinet na najwyższym piętrze w założeniu miał uświadamiać ludziom, kto tu naprawdę rządzi.

Hamza nie zapraszał na lunch cudzoziemców przybywających w delegacji: wyręczali go w tym pracownicy. Nie jeździł taksówkami i z rzadka wsiadał do swojej luksusowej limuzyny z szoferem. Chodził pieszo, gdyż dzięki pieniądzom miał więcej wolnego czasu, poza tym lubił spacer. Przynaj-

27

Jon Courtenay Grimwood

mniej ludzie mogli go częściej widywać. I przypominać sobie, że zaczynał od zera, tak jak oni.

Kochała go, jakżeby inaczej. Ale też się go bała. Szczerze mówiąc, bardziej niż matki. Przyjrząwszy się włosom .w lustrze, strzepała brud z ramienia, którym otarła się o mur na ulicy. A gdy winda dojechała do celu i drzwi się otworzyły, wyszła na korytarz z podniesionym czołem. Przypuszczała, że spotka tu ojca, lecz się zawiodła. Zamiast niego stanęła przed nią niska kobieta z krótko przyciętymi siwymi włosami i bursztynowymi koralami.

- Panna Zara?

- Olga Kaminsky?

Kobieta zrobiła zdziwioną minę, na co Zara przywołała na usta swój najcieplejszy uśmiech.

- Tata często mówi o pani - powiedziała lekkim tonem. - Same komplementy.

Olga badawczym spojrzeniem ogarnęła kostium dziewczyny, jej misternie ułożoną fryzurę, dyskretną i gustownie dobraną biżuterię oraz gazetę pod pachą. Zara nie wyglądała na rozpuszczonego bachora, który stał się bohaterem serwisów informacyjnych za spięcie z obyczajówką. I o to chodziło.

- Przepraszam, że przychodzę tak bez zapowiedzi, ale pragnę zobaczyć się z ojcem.

Olga Kaminsky pokiwała głową.

- Czeka w gabinecie.

Drzwi były zdobione hebanowymi arabeskami, wzbogaconymi liśćmi z różowego i bladoniebieskiego marmuru. Olga zapukała i weszła, nie czekając na odpowiedź.

- Panna Zara - oznajmiła przed olbrzymim biurkiem. Po wykonaniu swojej powinności, odwróciła się do dziewczyny z uśmiechem. - Napije się pani kawy? Może z rogalikiem?
- No, proszę... - rzekł Hamza, gdy drzwi się za nią zamknęły. - Kawa i rogalik. A zawsze odnosiłem wrażenie, że ona nie bardzo cię lubi.
- Czemu miałyby mnie lubić? Nigdy mnie nie widziała.

Hamza parsknął śmiechem. Póki co, nie dotykali tematu jej zniknięcia na trzydzieści sześć godzin. Tak czy inaczej, przyglądał się uważnie córce, gdy dostojnie i bez zaproszenia siadała na dużym, obitym skórą fotelu.

Pasza-zade

273

- Ładnie tu.

Wnętrze gabinetu w całości potwierdziło jej przewidywania. Przestronne, z dwiema przeszklonymi ścianami. Jedno wielkie okno wychodziło na północ, na Corniche i niebieską taflę Morza Śródziemnego. Za drugim widniało gmaszysko z czerwonej cegły: college św. Marka, gdzie Hamza zamiatał podłogi po przyjeździe do al-Iskandarijji.

Na jednym skórzanym fotelu piętrzył się stos komputerowych wydruków, opodal na kanapie leżał stary notepad Toshiba. Na ścianie za biurkiem, na dwóch gwoździach, balansował wiekowy karabin szturmowy: zardzewiały, wytłoczony z taniej cienkiej blachy. Kałasznikow AK49. Zara nigdy dotąd go nie widziała, podobnie jak fontanny na zewnątrz.

W pomieszczeniu panował bałagan, co wcale jej nie zdziwiło. Jedynie do gabinetu w tym gmachu nie wolno było wchodzić matce z zamiarem posprzątania. Tutaj nikt nie miał prawa wytykać mu nieporządku... chyba że pozwalał na to Oldze.

- Kawa... - Drzwi swoim otwarciem wyprzedziły pukanie i do gabinetu weszła osobista sekretarka z tacą. - Wasza Ekscelencjo... - Olga podała Hamzie maleńką filiżankę kawy po turecku, a na talerzyku pachnące wodą różaną kostki ra-chatlukum z migdałami. - A tu proszę, dla pani.

Zara otrzymała wysoką filiżankę cappuccino i rogalika na płóciennej serwetce.

Gdy kobieta odwróciła się, aby odejść, Zara zauważyła ceglaste rumieńce na policzkach ojca. Przez chwilę myślała, że - o zgrozo! - coś więcej łączy jego i Olgę. Szybko jednak połapała się, że chodzi o tytuł. Tak bardzo mu zależało na tym „Wasza Ekscelencjo”, że się przy tym czerwienił. Zara uśmiechnęła się. Ojciec przywyknie do honorowego „efen-di”, tak samo jak przywykł do mieszkania w willi, w otoczeniu europejskich antyków. A kiedy się przyzwyczai, wtedy i polubi. Tak to już z nim było.

- Pewnie chcesz mi powiedzieć, że nie wrócisz do domu,

co?

- Nie. Przyszłam prosić o pomoc... Ale masz rację - dodała, zdając sobie sprawę ze słuszności jego przypuszczenia. - Nie wrócę.

Jon Courtenay Grimwood

- Odwiedzisz przyjaciół w Ameryce?
- Nie. - Pokręciła głową. - Nigdzie stąd nie uciekam, nawet jeśli byś się z tego ucieszył. To również moje miasto.

Hamza pokiwał głową z aprobatą.

- Ciężko niezamężnej kobiecie mieszkać samej. Potrzebujesz mieszkania, szofera. Jakoś to załatwię.
- Zostawmy to na później - powiedziała głosem, po którym poznał, że córka nie wróci już nigdy do tego tematu.
- Wolałabym porozmawiać o Aszrafie beju.

Hamza miał już wyrazić swoje zdziwienie nagłym rumieńcem na twarzy Zary, lecz powstrzymał się od komentarza. Nie umiał wyrzucić z pamięci zdjęcia córki w tym idiotycznym płaszczu, który widział w serwisie informacyjnym. Spojrzał więc tylko w okno i sięgnął po filiżankę. Kawa była trochę za gorąca, ale i tak ją wypił. Stłumił gorycz słodkim przysmakiem.

- Zjedz rogalika - powiedział. - Inaczej Oldze będzie przykro...

Wiedział, że trwają negocjacje - takie ciche, bez słów. Nawet w al-Iskandarijji pomiędzy tym, co można, a czego nie można powiedzieć, ziała wielka przepaść. A przecież to miasto w imperium osmańskim uchodziło za ostoję swobody. Wolny port i minipaństwo. Wyłączne lenno chedywa... w przeciwieństwie do Kairu, którym ten zarządzał w imieniu sułtana Istambułu.

Wolność jednak była rzeczą względną, a dystans między ojcem i córką olbrzymi. W wielu rodzinach nie do pokonania. Kobieta siedząca naprzeciwko wiedziała o nim jeszcze mniej niż on o niej, czyli praktycznie nic.

Obawiał się, że w Nowym Jorku znajdowała sobie kochanków. Być może. Wszelako jedyna rzecz, którą o niej wiedział z całą pewnością, wyszła na jaw wieczorem przed odlotem, kiedy oględnie rozmawiali o jej trzymiesięcznym pobycie w szwajcarskiej klinice. Oświadczyła wtedy, że wprawdzie nie jest aniołkiem, ale też nie zrobiła prawie nic, czego mogłaby się wstydzić.

- Mogę dać mu pieniądze - powiedział prosto z mostu.
- Lub umożliwić wyjazd z al-Iskandarijji, jeśli to pomoże. Ale nie mogę go chronić... - Chciał powiedzieć coś więcej,

Pasza-zade

zadać parę oczywistych pytań, ale Zara uznała, że tylko jedna kwestia jest warta rozstrzygnięcia.

- Czemu policja upiera się, że to on zabił ciotkę?



- Może i zabił - odparł Hamza, rozgryzając kostkę racha-tłukum. Uśmiechnął się smutno, kiedy Zara oddała mu serwetkę. - Nie myślałaś o tym?

- Przysięga, że jest niewinny.

- A ty mu wierzysz?

Zagryzła wargę i kiwnęła głową, nie umiając tego bliżej wyjaśnić. Co było dla Hamzy prawdziwym powodem do zmartwienia.

- Olga. - Wcisnął guzik na pulpicie. - Dawaj prawnika na linię.

Po kilku sekundach ekran piknął i na Hamzę spojrzął, mrużąc oczy, niewysoki, tysięjący mężczyzna.

- Słucham, Wasza Ekscelencjo. - Mówił głosem piskliwym, z pedantycznym kairskim akcentem.

- Beja chroni bezwzględny immunitet, mam rację? Nie wolno go aresztować?

Starszy prawnik się zawahał.

- Zależy, co zbroi, Wasza Ekscelencjo.

Przelotny uśmiech rozświetlił oblicze Hamzy. Ruchem brody wskazał córce ekran, sugerując, by uważnie słuchała.

- Są wyjątki?

- Dwa rodzaje morderstwa: zabicie mułły lub członka rodziny. Rażące bluźnierstwo w obecności dwóch świadków o dobrej reputacji oraz poważne przestępstwo na nieletnim, świadkowie jak wyżej.

- A więc można aresztować Aszrafa al-Mansura?

- Owszem, jeżeli zamordował ciotkę.

Hamza uniósł rękę, widząc rosnące oburzenie Zary. Nagle uzmysłowiła sobie, że znajduje się poza polem widzenia kamery przy ekranie. Prawnika jej nie widział, zatem nie zdawał sobie sprawy z jej obecności.

- Dziękuję. - Hamza wygasił ekran. - A teraz pytanie zasadnicze - zwrócił się do Zary. - Czemu ktoś chce przyskrzynić Aszrafa al-Mansura? I pytanie drugie: kim jest ten ktoś? Coś ci świta? - Rozsiadł się wygodnie w fotelu. - Nie? W takim razie, radzę ci się dowiedzieć. Niech twój przyjaciel powęszy.

276

Jon Courtenay Grimwood

A więc spotkanie dobiegło końca. Co jednak w największej mierze zdumiało Zarę, to wcale nie fakt, że ojciec traktował ją jak osobę dorosłą, ale że traktował ją jak równą sobie. Zadała mu pytanie, na co odpowiedział dwoma własnymi pytaniami. Jedno z nich mogło zawierać wskazówkę. Wyjazd do Ameryki był dobrym posunięciem niezależnie od tego, co mówili koledzy w pracy. Tak samo jak powrót, choć czasem różnie o tym myślała.

- Co mam powiedzieć matce, kiedy spyta, czemu nie wracasz do domu?

Hamza pytał obojętnym tonem, lecz zdziwienie odmalowało się w jego oczach, kiedy Zara zdjęła jedwabną chustę i okazało się, że nie ma koszuli pod żakiem od Diora. Potem zaczęła odpinać czarne, szklane guziki. Na koniec odwróciła się do niego plecami i zsunęła z ramion żakiety. Ukazały się pęgi.

- Nie obchodzi mnie, co jej powiesz.

\*\*\*

Dziesięć minut po tym, jak Zara udała się do biura ojca, kierując się pieszo w stronę rezydencji Generała, Hani zwlokła się z łóżka, rozejrzała, stanęła nad Rafem i nim potrząsnęła.

- Zary nie ma - oświadczyła.

- Naprawdę? - Raf usiadł i z głośnym westchnieniem postawił stopy na ziemi. Bardzo się starał ukryć ciekawość, lecz chyba niepotrzebnie się wysilał, bowiem Hani z zaskoczeniem wskazała jego stopy.

- Nie zdjąłeś butów!

Fakt, nie zdjął. Był to jeden z warunków koniecznych do tego, żeby mógł z Zarą dzielić wąską koję na pokładzie VSV: oboje mieli zostać w ubraniu. Aczkolwiek niewiele by to zmieniło, gdyby Hani wygadała się, że spali na wspólnym materacu. Zara nie ukończyła dwudziestego pierwszego roku życia, więc zachowanie graniczące z deprawowaniem nieletnich pogrążyłoby go z kretesem.

- Kłóciliście się, kiedy spałam?

- Nie. Rozmawialiśmy. - 1 do niczego nie doszliśmy, dodał w duchu. Przynajmniej tak mu się wydawało. Trudno było

'ěj if

Pasza-zade 277

połapać się we wspomnieniach, w których dominował widok jej nagich piersi i smak ciała. Może w jej odczuciu nie był odpowiedzialny za śmierć Nafisy. A może był. Postanowił wy badać sprawę, kiedy kac przestanie go męczyć.

Tajemnicze zniknięcie dziewczyny wyjaśniło się już niebawem, po telefonie od Hamzy.

- Zara wpadła do mnie na chwilę - oświadczył z niejakim rozbawieniem. - Powiedziała, że powinienem dać to panu. - Wyrzucił z siebie potok cyfr, a na końcu liter. - Konto bankowe pańskiej ciotki - wyjaśnił, widząc konsternację na jego twarzy. - Dałem jej zaliczkę, więc znam numer.

- Gdzie Zara?

- Nie wiem. Teoretycznie, rzecz jasna. W zaufaniu mogę panu zdradzić, że poszła w stronę ogrodów Szallalat i domu Generała. - Stuknęła palcami i obraz znikł.

Raf jęknął.

- Kawy... - poprosił Hani.

- Strasznie gorzka - odpowiedziała, niemniej wyruszyła na poszukiwania. Wreszcie natknęła się na puszkę z cappuccino w szafce na rufie łodzi. Zdarłszy blaszane wieczko, napiła się i zaraz wszystko wypłuła. - Skoro chcesz. - Z westchnieniem wzruszyła ramionami, przełała zawartość puszkę do rondelka i zapaliła mały palnik składanej kuchenki. Po podgrzaniu słodkiego napoju wlała go z powrotem do puszkę.

- Proszę.

Raf pił pod czujnym okiem dziewczynki, która próbowała wysledzić w jego ruchach choćby najdrobniejszą oznakę wahania.

- Znakomita... - Przyłożył dłoń z tyłu do obolałej głowy, rozmyślając o koncie bankowym ciotki. - Jeśli dobrze pamiętam, miałaś komputer w medresie.

- LuxorEon pod Linuxem - potwierdziła. - Z szerokopasmowym dostępem do sieci. - Jej głos był dzieciinną imitacją głosu Nafisy, gdy uderzała w protekcyjny ton. Potrząsnęła chudymi ramionkami. - Czemu pytasz? Potrzebujesz czegoś?

Liczby przewijały się w górę po ekranie tak szybko, że Raf znów się poczuł drakońsko skacowany. Miał przed sobą puste konta w Banque de Lesseps. Nagryzł na kartce

1

278

Jon Courtenay Grimwood

szczegóły rachunku lady Nafisy, lecz Hani z nich nie korzystała. Liczby na ekranie były zaszyfrowane i w rogu działał animowany asystent pomocy, który sprawdzał kolejne algorytmy z prędkością światła, gdy trwały poszukiwania starego konta lady Nafisy.

Komputer pokładowy łodzi był niezależną jednostką, która korzystała z modemu satelitarnego i pojemnością pamięci nadrabiała niedostatki szybkości i zdolności połączeniowych. W ciągu dwóch minut Hani usunęła większość ustawień domyślnych i dostosowała konfigurację do własnych potrzeb. W sumie jednak, co stwierdziła z zaskakującą obojętnością, jeśli człowiek przez dziewięć lat będzie siedział w domu, nigdzie się z niego nie ruszał i przebywał jedynie z komputerem, to albo go rozpracuje, albo się nim znudzi.

- No, mam... - oznajmiła, kiedy 28-cyfrowa liczba rozbłysła czerwienią i ekran zamarł. Cała reszta zniknęła, a w liczbie nastąpiło przetasowanie znaków, co w efekcie dało ten sam numer konta z ośmioma cyframi i trzema literami, który Raf zapisał sobie na kartce. Wykonała kilka ruchów kursorem, wolno suwając kciukiem po trackballu. Numer zniknął. - Nie martw się - uspokoiła Rafa, który rzeczywiście zaczął się już niepokoić. - System sprawdza, czy mamy uprawnienia.

Spróbował odpowiedzieć uśmiechem na jej uśmiech. Nie miał pojęcia, co ona robi.

- Załatwione! - oświadczyła, kiedy ukazało się animowane logo banku wraz z numerem konta.

W jej głosie pobrzmiwała nutka dumy, gdy dała dowód swoich kompetencji, jakimi mógłby się pochwalić ktoś trzy razy starszy od niej.

- Dobra jesteś.

Kiwnęła głową, jakby nie komplementował jej, ale stwierdzał coś oczywistego. Palce tańczyły nad klawiaturą, kciuk obracał kulę trackballa. Otwierała i zamykała strony, zbierała hasła, łamała zabezpieczenia, a wszystko z prędkością myśli. Jej dłonie, jak zahipnotyzowane, bębniły w jednostajnym rytmie, aż nagle zamarły.

Raf wyczuł, że opuszcza ją pewność siebie. Kiedy się odwrócił, ujrzał na ekranie - wpatrzoną w niego hardo i wyniośle - twarz lady Nafisy.

m

Pasza-zade

279

- Muszę skorzystać...

Hani ześliznęła się z fotela, nim cokolwiek powiedział. Czekał więc cierpliwie, próbując nie słuchać, jak dziewczynka zwraca w łazience śniadanie. Rozległ się plusk wody w kranie, potem drugi. Dziewczynka wróciła, wycierając usta. Panowało obopólne milczenie, kiedy po powrocie na fotel wymazywała z ekranu zdjęcie cioci.

- Mówiła, że żyje z oszczędności. - Hani wskazała nieskończony słupek czerwonych liczb. - Ona zawsze kłamała.

Historia rachunku lady Nafisy była trudno czytelna i niezrozumiała, lecz Raf po chwili zaczął dostrzegać pewne prawidłowości. Może i miał pochrzanioną psychikę, umiał jednak szukać logicznych powiązań, gdzie na pierwszy rzut oka nie było żadnych. W medresie obok reprezentacyjnych komnat, bogato urządzonych, znajdowały się ogołoczone z mebli pomieszczenia prywatne i podobnie rzecz miała się z jej kontem. Pieniądze płynęły szeroką strugą na stroje, ale prawie w ogóle na żywność. Ani śladu pensji Donny i Chartuma. Symboliczne opłaty za elektryczność i ani jednej za szerokopasmowy dostęp do sieci dla Hani. Co oznaczało, że albo podpięta się nielegalnie, albo kto inny płacił rachunek.

Póki co, żadnych rewelacji.

Zrobiło się ciekawiej podczas przeglądania informacji przesuwających się w nawiasie na dole ekranu. Po wybraniu jako odniesienia daty 1 stycznia cofali się rok za rokiem, by dowiedzieć się, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat (dalej nie chciało im się sprawdzać) lady Nafisa zawsze była na debecie. Nie zadłużała się co prawda na duże sumy, przynajmniej w pojęciu kogoś takiego jak Hu San, lecz na coraz większe, zaznaczane ostrzegawczym czerwonym drukiem. Coś się zmieniło dopiero niedawno, w kwietniu.

- Cholera... - mruknął Raf, gdy Hani z grymasem na twarzy podświetliła liczbę. A więc Hamza kłamał. Nie wzięła od niego 2,5 mln zaliczki, zgarnęła całe 5 milionów. Przelewem z cypryjskiego Banque Leventine. Wpłacone i zaraz wypłacone, chociaż w dwóch częściach: 4,5 mln poszło na konto w al-Iskandarijji, 500 tys. do Hawany.

- Czekaj... - Małe paluszki szalały nad klawiaturą. Pojawiały się nowe liczby, a w końcu nazwa nic nie mówiąca

280

Jon Courtenay Grimwood

Rafowi: Caja de Cuba. - Idziemy tym tropem? - spytała Hani nonszalanckim tonem.

- Jeśli można. - Nie zamierzał pytać, kiedy i jak nauczyła się omijać zabezpieczenia plików. Byłoby gorzej, gdyby się zatrzymała w pół drogi.

- Dobra. - Hani z lekkim uśmiechem przygotowała się na drugą rundę i, rzuciwszy się ponownie na klawiaturę, najeżdżała na kolejne odsyłacze, sprawdzała słowa w wyszukiwarce i odpalała programy, które brała na pozór nie wiadomo skąd.

Obok siedział jej szmaciany piesek. Z jego wnętrza dolatywał mechaniczny dźwięk podobny do cichego warczenia prawdziwego zwierzęcia.

-Co...?

- Kopiuje - ubiegła pytanie dziewczynka. - Ekran mówi do Ali Dina, a on wszystko zapamiętuje. - Cmoknęła przez zęby, dając do zrozumienia, że nie powinien jej męczyć pytaniami i przeszkadzać w pracy. - Gotowe - obwieściła po chwili. - Forsa poszła stąd i trafiła do Seattle. Chcesz wiedzieć, gdzie zawijała po. drodze?

Nie było to istotne, więc Hani odnalazła informacje o koncie odbiorcy w bazie danych jego banku, co zajęło dosłownie chwilkę, ponieważ - w odróżnieniu od Banque de Lesseps - dane w Seattle nie były podwójnie szyfrowane. Tym razem pojawiło się znajome nazwisko. Ciem Burkę, ostatnio zamieszkały w Huntsville, jedyny właściciel nowo powstałej agencji detektywistycznej w Seattle.

- A teraz drugi trop - zwrócił się do Hani.

Ta jednak robiła już swoje, pochylona tak bardzo, jakby zamierzała przeniknąć za ekran. Uświadomił sobie, że przestał dla niej istnieć. Utraciła więc z zewnętrznym światem. Na jej twarzy malował się przemożny głód wiedzy, wyraz niesamowitej koncentracji umysłu. Ściągnęła brwi i mocno zacisnęła usta. Była to druga rzecz w jej życiu, nad którą miała całkowitą kontrolę. Rezerwowała sobie bowiem prawo do decydowania, co je i co robi na komputerze. Ów drobny wycinek życia chroniła przed ingerencją dorosłych, nachalnie chcących zapewnić jej lepszą przyszłość.

Ali Din był dla niej sprawą drugorzędną.

Pasza-zade

281

- W porządku - oświadczyła.

Wyświetlały się wciąż nowe liczby, w miarę jak ekran za pośrednictwem łączy satelitarnych komunikował się z rdzeniem danych w Banque de Lesseps i ściągał informacje; surowe i anonimowe, napływały w postaci naprzemiennej obecności lub nieobecności ładunku elektrycznego, póki wiązka elektronów nie omiotła szklanego ekranu.

- O, kurde... - zdziwiła się Hani.

H.E. Said Koenig Pasza. Osobiste konto bankowe Generała. To dopiero wdepnęli. Ostrzeżenie zabrzmiało w głowie Rafa jak gwizd wiatru na pustym dziedzińcu, którego tak naprawdę nie słychać, póki człowiek nie potknie się i nie klapnie na ziemi. Hani bez zastanowienia przerwała połączenie.

Następnie sprawdzili wpłaty na konto lady Nafisy. Od razu rzucił się w oczy fakt, że nim zasilono je 5 min od Ham-zy, przez dziewięć miesięcy nie było żadnych wpływów. Wcześniej, sięgając pięciu czy sześciu lat wstecz, na koncie pojawiały się pieniądze: regularnie co cztery lub pięć miesięcy, początkowo większe sumy, później coraz skromniejsze.

Wyglądało to tak, jakby ktoś wyprzedawał srebra rodowe, by obudzić się któregoś ranka i stwierdzić, że nie ma już nawet widelca. Może wydatki odstonią jakiś sekret?

- Spróbuj tutaj - zasugerował dziewczynce, wskazując na mały, dość regularnie pojawiający się debet na koncie. Ostatnim razem spłacony w dniu jego przylotu do al-Iskan-darijji.

Hani skupiła się na ekranie.

Jon Courtenay Grimwood

Rozdział 42

1 sierpnia

- Zara bint Hamza, mam rację? - odezwał się chłopak, który otworzył drzwi.

Zanim go spytała, skąd mu to wiadomo, cofnął się i kurtuazyjnym gestem zaprosił ją do pałacowej rezydencji Generała przy Rue Riyad Pasha. Był mniej więcej w jej wieku, może troszkę młodszy, ubrany w prostą koszulę i ja-snobrązowe drelichy. Na twarzy ledwie się zaznaczał cień zarostu.

- Zaprowadzę panią tam, gdzie zawsze zaprowadzam ludzi, którzy na pytanie, czy są umówieni, mówią, że nie. Inaczej nie można...

Pokiwała głową.

- Przykro mi. Bo widzi pani, Generał nie przyjmuje nikogo bez wcześniejszej zapowiedzi. Taką ma zasadę.

- Myślałam, że każdy może zwrócić się z petycją do Generała. - Starła się ukryć rozczarowanie jego słowami.

- Oczywiście, że może - odparł z uśmiechem. - Nie ma problemu. Proszę napisać list i zostawić go u mnie. Za pięć tygodni, kiedy dokopią się do niego w sekretariacie, ktoś go przeczyta i przedłoży Generałowi, jeśli to konieczne.

- Jak to, konieczne? Od czego to zależy?

- Przekażą list, jeśli napisze pani o grożącym mu niebezpieczeństwie. Jemu albo chedywowi. Albo o planowanych rozruchach... Dostajemy mnóstwo tego typu ostrzeżeń. - Wprowadził ją do kolejnego pomieszczenia, przypominającego pokój jadalny, a następnie do niedużego gabinetu. Na ścianie wisały dwa obrazy olejne: portret starego chedywa i nieznacznie mniejszy portret Generała w

mundurze galo-

Pasza-zade

2

wym, z szablą u pasa. Wspomniana szabla stała w kącie gabinetu, podparta w pozycji pionowej jak popsuty parasol.

- Lepiej nie stójmy tu za długo - poradził chłopak. - On nie przepada za obcymi w gabinecie. - Z górnej szufladki wytworzonego biurka wybrał kluczyk, którym otworzył przeszklone drzwi, wychodzące na ogród. - Chodźmy - rzekł i zawahał się. - Była tu pani wcześniej?

Patrzyła na niego w milczeniu.

Wzruszył ramionami.

- Rozumiem, że pani nie była.

Na szmaragdowozielonym trawniku rosły cedry. Trawnik pasował do opisów starych ludzi, kiedy wspominali o rezydencjach położonych niegdyś przy Kanale Mahmudijja, nawet jeśli nie widzieli ich nigdy na własne oczy, tylko słyszeli o nich od swoich dziadków.

- Podziemny system nawadniania - powiedział chłopak. Wybrał ścieżkę przy rabatach czerwonych i niebieskich kwiatów, które Zara widziała pierwszy raz w życiu. - To jak, idziemy?

Nie zwlekała dłużej. Przystanęli pod żelazną ławką w cieniu krzewów przystrzyżonych w kształt muru z piękną zębatą koroną. zaproponował jej, żeby usiadła.

- Wolałabym gdzie indziej - pokręciła głową. Szybkim, niemalże wstydlwym gestem oznajmiła mu, a po chwili sobie, że ławka znajduje się w zbyt odludnym miejscu. - Nie wypada mi...

Zdziwił się, ale nie obruszył.

- Możemy się spacerować.

Tak właśnie zrobili. Skręcili w drugą dróżkę i doszli do sadzawki z fontanną. W wodzie stały trzy rzeźby skąpo odzianych niewiast, zwróconych do siebie plecami. Jedna z nich, owinięta skrawkiem ubrania, trzymała jabłko, gdy pozostałe, zupełnie nagie, zaślaniały rękami swe kamienne łona.

- Nagość nie zawsze jest. grzechem - stwierdził chłopak lekkim tonem. Zaraz jednak wzruszył ramionami i z uśmiechem dodał: - Lepiej tego nie powtarzać, bo wezmą mnie za heretyka.

Oprowadził ją wokół fontanny i weszli na dróżkę, która następnie zwracała na skrawku ozdobnej zieleni, gdzie Generał wydzielił dla siebie część publicznych ogrodów.

28

Jon Courtenay Grimwood

- Proszę mi powiedzieć - zapytał - co takiego ważnego ma pani do powiedzenia Generałowi?

- Wolę z nim osobiście rozmawiać na ten temat.

- Pani mnie źle rozumiała - powiedział z powagą. - Generał nie jest w stanie spotkać się z panią, więc ja go reprezentuję. A zatem co chce mu pani powiedzieć?

Rwanym głosem, często podenerwowana swoją nieśmiałością, opowiedziała mu o Aszrafie. Oczywiście, nie zwierzała mu się ze wszystkiego; zataiła chociażby to, że siedział w więzieniu i nie uważał siebie za beja. Mówiła jednak szczegółowo o sprawie z Felixem i o tym, jak Aszraf zarzekał się na wszystkie świętości, że lady Nafisa ani nie popełniła samobójstwa, ani nie zginęła z jego ręki. Mówiła też o porządkach w medresie, wspominając, że prosił jej ojca o pomoc w usunięciu gabinetu ciotki, który stresował małą Hani. Nie zapomniała dodać, że dziewczynka przywiązała się do Aszrafa i na krok się od niego nie rusza.

W połowie opowiadania chłopak kategorycznie stwierdził, że muszą usiąść. Skręcił, nie czekając na Zarę. Na szczęście wybrał ławeczkę nie zasłoniętą żywopłotem, ustawioną na terenie otwartym, skąd widać było dom w pełnej krasie.

- Wie pani, gdzie on się ukrywa? - spytał chłopiec, gdy skończyła opowieść.

Odpowiedziała milczeniem.

- Cóż. - Wzruszył ramionami. - Nie wie pani, a nawet gdyby pani wiedziała, niczego bym się nie dowiedział?

- Zgadza się.

- Nieprawda. Pani wie i nie chce mi powiedzieć. - Przewiercał ją wzrokiem. - To się nazywa miłość.

Kiedy wysłuchał wszystkich argumentów, mających przemawiać za tym, że jednak nie ma mowy o miłości, zmienili temat. Odprężyła się.

- Ameryka - rzekł. - Jaka ona jest? Niedawno pani tam była.

- Byłam w Nowym Jorku - uściśliła i zaczęła drobiazgowo tłumaczyć, skąd się bierze różnica. Jej zdaniem, Nowy Jork stanowił fragment Europy, do którego Europa nie chciała się przyznać. Wyjaśnienia trwały dłużej, niżby tego pragnęła.

fit

Pasza-zade

285

Później, u frontowych drzwi, kiedy ją zegnał, Zara się zawahała.

- Powtórzy pan Generałowi, co mówiłam o niewinności Aszrafa?

- Naturalnie.

- I naprawdę nie ma możliwości, żebym spotkała się z nim osobiście?

Chłopak westchnął.



- Czego jeszcze pani chce od Koeniga Paszy, skoro rozmawiała pani z chedywem? - zapytał z zadumaną miną. Po tych słowach zatrzasnął jej drzwi przed nosem. Grzecznie, lecz stanowczo.

Jon Courtenay Grimwood

Rozdział 43

1 sierpnia

- Aszraf bej - odezwał się Raf do domofonu zainstalowanego w białym słupie przy wielkiej, żelaznej bramie. Nad domofonem ekskluzywny handlarz nieruchomości z Rue de l'Église Copte przykleił prostą, elegancką tabliczkę: Na sprzedaż. Po obmacaniu tabliczki Raf stwierdził, że klej jeszcze dobrze nie wysechł.

Zapewne kamery przemysłowe rejestrowały jego najdrobniejsze ruchy. Jeśli zamontowano je na drzewach, to były świetnie zamaskowane. No chyba że, czego nie należało wykluczać, minister łączył się bezpośrednio z satelitą szpiegowskim. Podobno co najmniej dziesięć prywatnych domów w al-Iskandarijji korzystało z tego udogodnienia.

Fakt, że tak mało, też o czymś świadczył. W nowojorskiej dzielnicy Upper East Side w ochronie całych kwartałów uczestniczyły satelity szpiegowskie i prywatne elitarne jednostki policji. Matka rozpisła się o tym szczegółowo w jednym z ostatnich przeczytanych przez niego e-maili. Przed wielu, wielu laty. Może i pisała coś później, ale nie chciało mu się zaglądać na skrzynkę.

Głościczek domofonu zachrobotał.

- Aszraf bej - powtórzył Raf po raz trzeci. Na razie nikt się nie fatygował, żeby mu otworzyć. Też coś! Jeśli chcą, to przelezie przez bramę! Nie zatrzymałyby go nawet kolce na górze, chyba że nadziałyby się specjalnie. Pogoda, wiek, niezliczone warstwy farby: wszystko to stępiło dawniej ostre szpice.

- Ministra nie ma w domu.

- To wiem. Chciałbym porozmawiać z lady Dżalilą.

Pasza-zade

27

Znów rozbrzmiały szumy i trzaski, a potem nastąpiła cisza.

- Pytanie, czy lady Dżalila chce rozmawiać z panem... - odezwał się w końcu głos innej osoby. W chłodnych słowach kryło się szyderstwo.

- Skąd mam wiedzieć? - odparł Raf. - Ty wiesz najlepiej.

Szczęk zamka rozstrzygnął tę kwestię. Aczkolwiek nie

ukazał się nikt, kto mógłby wprowadzić go na posesję. Na domiar złego, mastiffa, który przydreptał zwirową ścieżką, chyba nie powiadomiono, że człowiek za bramą może wejść na podwórze.

- Do nogi! - Pogłaskawszy po głowie psa, Raf rażno szedł przed siebie, słysząc, jak czworonóg

podąża za nim krok w krok. Nie panikował, przynajmniej przed zwierzętami. A lady Dżalila niech sobie myśli o tym, co chce.

Stary dom został wyremontowany w nowoczesnym stylu. Ściany otłuczono z tynku do samego kamienia, a na dachu położono szarą dachówkę. Staromodne okna odarto do gołych metalowych ram, wstawiono w nie przyciemniane szyby i kraty z kutego żelaza... wprawdzie pięknie wykonane przez artystę kowala, ale zawsze kraty.

Ciężkie drzwi frontowe z intarsjowanego drewna błyszcząły jasnym orzechem. Mogły, choć nie musiały być wyrazem gustu właścicielki domu. Wydawały się jakieś... natrętnie nowoczesne i amerykańskie, nie pasujące do ministra, ale może Raf źle go oceniał.

- Wasza Ekscelencjo, uprzejmie witam. - Pokojówka drzeniem głosu zdradzała, że nie jest tu uważany za miłego gościa.

- Spokojnie, nie gryzę - odrzekł. - Wbrew temu, co piszą w gazetach.

Czekał, aż młoda Francuzka pozwoli mu przejść, ale ponieważ nie ruszała się z miejsca, delikatnie odsunął ją na bok i automatycznie dostosował wzrok do półmroku. Wystrój wnętrza też raził ostentacyjną nowoczesnością. Czarna posadzka, szklane ściany. Jedynym ukłonem w stronę klasycznych klimatów były dwa duże obrazy, przykłady malarstwa abstrakcyjnego, zawieszane po obu stronach holu na skądinąd nagich ścianach.

28

Jon Courtenay Grimwood

- Rothko - oznajmiła lady Dżalila. - Dojrzały okres twórczości. Nie są to jego najlepsze dzieła, bo te są zamknięte w muzeach. - W jednej ręce niepewnie trzymała szklankę jakiegoś bezbarwnego napoju, w drugiej rewolwer z rękojeścią z masy perłowej. - Lekarstwo. - Przypatrzyła się szklance pod światło. - Możesz spytać mojego lekarza.

- A broń po co? .

- Ostrożności nigdy za wiele. Jesteś niebezpiecznym mordercą. Co, nie słuchasz wiadomości?

- Ostatnio bywam zajęty.

- Co ty powiesz. Pewnie ta dziewczuszka, której o mało nie poślubiłeś, uważa cię za niewiniątko. - Lady Dżalila opuściła rewolwer i przytknęła szklankę do ust. Kiedy się od niej oderwała, była pusta.

Raf nawet z daleka wyczuwał woń dżinu.

- Ale przecież wiemy, że jest inaczej, co? - dodała. Raf wiedział tylko tyle, że ma przed sobą kobietę pijaną

i uzbrojoną. Gdyby ktoś wpadł na groźniejszą kombinację niż alkohol i spluwa, Raf gotów byłby dla niego wejść na posterunek policji z zamkniętymi oczami.

- Posłuchaj, miałbym kilka pytań w sprawie ciotki.

- Mówisz o Nafisie?

- Tak. O innych rzeczach też bym chętnie pogadał. Wy buchnęła śmiechem.
- Ubóstwiam rozmawiać o innych rzeczach, wiesz?
- Delikatnie przyłożyła lufę rewolweru do policzka Rafa.
- Chodź ze mną na górę. - Skierowała się w stronę schodów, by za moment znowu się odwrócić. -  
Masz wolne popołudnie
- powiedziała do pokojówki.

Po wyjściu na górę rozwarła szeroko drzwi i Raf znalazł się w salonie z białą, zamszową kanapą i długim stolikiem z onyksowym blatem. Podłogę wykonano z cedrowych paneli. Jedną ścianę zdobił małeńki obrazek: dwie zwyczajne, krzyżujące się smugi w kolorach czerwonym i niebieskim, farba rzadka i nierówno nałożona, gdzieś tam prześwitująca faktura płótna.

- Unikat - stwierdziła dobitnie. - Wart więcej niż te w holu razem wzięte. On się na tym nie zna. Myślał, że powinien kosztować taniej, bo jest mniejszy.

Pasza-zade

29

Chodziło o ministra, rzecz jasna, nie o Rothka.

Lady Dżalila westchnęła.

- Nawet nie wiesz, jakie życie może być męczące.

Raf odwrócił się i spojrzał na zawieszony w kącie nieduży, lecz bezcenny perski kilimek. Potem na misternie zdobioną skórzaną poduchę w krwistych marokańskich odcieniach czerwieni, zdatną dla olbrzyma. I na skromny bukiet kwiatów w weneckim wazonie, skąd roztaczał się zapach silniejszy niż aromat kadzideł.

- Może i nie wiem.

Zrobiła mu drinka: załała trzy kostki lodu dżinem Bom-bay Sapphire i dodała nieadekwatnie małą odrobinę toniku. Jeszcze kilka kropel angostuiy z buteleczki bez nalepki i drink był gotowy. Nieopodal na talerzyku leżały świeże plasterki limonki, którymi się nawet nie zainteresowała.

- Poprosiłabym cię, żebyś sam je zrobił, ale na pewno by ci nie wyszły. Facetom nie wychodzą. -  
Siadając wolno na miękkiej kanapie, założyła nogę na nogę. Miała na sobie obcisły niebieski żakiet i taką samą spódnicę, która podciągała się z boku i odsłaniała długi odcinek nylonowej rajstopy od kolana do biodra. - 1 co, podoba ci się?

Raf oderwał spojrzenie od nóg.

- Co ty na to? - Niby od niechcenia zdjęła nogę z nogi i z twarzą skierowaną na obrazek Rothka odchyliła się na oparcie kanapy. Rozsunęła kolana. Nie aż tak bardzo, ale i to wystarczyło, żeby wyraźnie dostrzegł białe figi pod rajstopami.

- Ciekawe.

- Noo... - Uśmiechnęła się półgębkiem. - Męczą mnie wystąpienia publiczne, ale mały pokaz w miłym towarzystwie... - Osunęła się na siedzeniu kanapy i dotknęła się zmysłowo. Dłonie powędrowały ku piersiom, ścisnęły je i wypięły.

Raf miał zamiar mówić dalej, zachować pozory zwykłej rozmowy, lecz słowa stanęły mu w gardle i tylko pokiwał głową jak mędrzec. A lady Dżalila nie przestawała miętosić piersi i wić się na kanapie, aż zarówno stanik, jak i figi wsunęły się głębiej między nabrzmiałe fałdy ciała.

- Ten Rothko - odezwał się Raf niepewnie. - Gdzie go kupiłaś?

290

Jon Courtenay Grimwood

Jednakże ona wcale go nie słuchała. Sutki jej sterczały; za każdym razem, kiedy ścisnęła piersi, szurały o materiał zakietu. Wtedy spomiędzy jej rozchylonych ust wydierał się cichy jęk.

Nagle potarła stopą o jego tydkę i, nim zdążył zaprotestować, przesunęła piętę wyżej, wsparła ją na jego kroczu i zaczęła lekko uciskać. Mógł wyciągnąć rękę i dotknąć wilgotnych miejsc między jej udami, lecz ograniczył się do roli widza. Ona tymczasem tak się skręcała, że w końcu naciągnięte figi całkowicie zniknęły. Ciężko dysząc, niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w wentylator na suficie. Oddała się we władanie dżinu, rozkosznych dreszczy między nogami i lubieżnych myśli w głowie.

Doszła do orgazmu prawie bezgłośnie, dusząc w sobie okrzyk. Spazm szarpnął nią do przodu i do tyłu, aż znieruchomiła z szeroko rozłożonymi nogami i ramionami zaciśniętymi na piersi.

\*\*\*

Dał się słyszeć plusk wody splukiwanej w klozecie, a potem płynącej z kranu. Lady Dżalila na pewno nie myła się w umywalce: hałas w rurach trwał zdecydowanie za długo. Kąpała się w wannie lub brała prysznic. Raf chwilę dumał. Może czekała na niego w łazience? Doszedł do wniosku, że to mało prawdopodobne. Kto wie, czy całkiem o nim nie zapomniała. Tak czy owak, nie zabrała z sobą rewolweru, który leżał na białej kanapie obok plamy potu w kształcie kobiecych pośladków. Nie wzięła też torebki, porzuconej na podłodze przy butach.

Prawo jazdy, portfel z wężowej skóry z banknotami o średnich nominatach i trzy karty kredytowe. Złote, ale nie platynowe. Albo więc nie byli tacy bogaci, za jakich by chcieli uchodzić, albo też minister szastał forszą w mniejszym stopniu, niż mógłby wnioskować ten, kto widywał ich razem. Były także kosmetyki Dior i Chanel; łatwe do przewidzenia. Paczka chusteczek higienicznych, opakowanie Durex Vapour z jedną brakującą prezerwatywą i do połowy zużyta plastikowa tubka drażetek miętowych.

Raf zapisał numery kart kredytowych, zastanawiając się, czy Hani coś z nich znowu wyczaruje. Zajrzał do portfe-

Pasza-zade

291

la. Chciał popatrzeć na zdjęcie ministra, ale nie nosiła żadnych sentymentalnych pamiątek prócz jednej kolorowej fotografii, na której stała na promenadzie Corniche. Miała wtedy kilkanaście lat, a

towarzysząca jej dziewczyna wyglądała dziwnie znajomo. Dopiero po schowaniu zdjęcia do portfela uzmysłowił sobie, że tajemniczą dziewczyną jest lady Nafisa, aczkolwiek młodsza, szczęśliwsza i jakby zawstydzona.

Odłożywszy portfel, przepatrzył w pośpiechu pozostałe drobiazgi: organizer Lotusa, scyzoryk z rączką z masy perłowej, gaz pieprzowy i maleńkie zamszowe etui. Wewnątrz znalazł jej trzy wizytówki (Lady Dżalila, wiceprezes fundacji Cross&Crescent), oficjalną kartę umożliwiającą wejście na posterunek, jedną z kart ministra, oraz wystrzępioną na brzegach i jeszcze bardziej podniszczoną kartę Felixa.

I wreszcie Raf zdobył informację, na której mu zależało. Nie musiał już o nic pytać. Ostatnia wizytówka w etui zawierała namiary na centrum medycyny niekonwencjonalnej i pięć terminów dopisanych odręcznie, z których cztery zostały przekreślone, a piąty przypadał na nadchodzący tydzień.

Schował do kieszeni wizytówkę. Zaledwie powrzucał do torebki rozsypane rupiecie, a samą torebkę cisnął na podłogę, gdy otworzyły się drzwi.

- Ale jestem bezmyślna - powiedziała lady Dżalila. - Anna zapomniała ci przynieść kawę.
- Dałaś jej wolne popołudnie.
- Naprawdę? - Wydawała się zmieszana. Miała na sobie czarne spodnie i białą bluzę, która spodobałaby się napako-wanemu mięśniakowi z ulicy. - Dziwne... A zatem, co chciałbyś wiedzieć o 'Nafisie?

Mógł poruszyć bardzo wiele tematów. A chociażby sprawę osobistego konta swej ciotki, uzupełnianego pieniędzmi organizacji charytatywnej, którą obecnie zarządzała siedząca naprzeciwko niego kobieta. Pierwsza suma została zwrócona z odsetkami. Druga po prostu zwrócona. Trzecia już tylko w połowie. Prawdopodobnie sama Nafisa przestała wierzyć w swoją wyfalcalność.

- No więc słucham - dodała lady Dżalila. - Możesz pytać.

292

Jon Courtenay Grimwood

Raf nie widział w jej oczach żadnej ze znanych mu osób. Ekshibicjonistka, która niedawno rozchyłała przed nim nogi, odeszła, zastąpiona zrównoważoną, choć nieco kiwającą się na boki kobietą, która pachniała mydłem, płynem do płukania ust i pastą do zębów.

- A, taka tam błahostka, niepotrzebnie zawracam ci głowę. Bo widzisz, próbuję połapać się w tym wszystkim, szukam tropu. Zastanawiałem się, czy mówi ci coś nazwisko madame Sosostriś.
- Przykro mi, ale nie. - Pokręciła głową. Jasne loki, chociaż jeszcze wilgotne, układały się perfekcyjnie wokół buzi niewinnego anioła. - Żadnych skojarzeń.

Wzruszył ramionami.

- Cóż, trudno... - Potem zdradził, że już wie, kto zamordował jego ciotkę. Poprosił też, żeby umówiła go na spotkanie z ministrem. Gdzieś na neutralnym gruncie.

Kiedy opuszczał dom, lady Dżalila wciąż recytowała cy-fiy przed telefonem na ścianie.

Pasza-zade

29

Rorfczteł 44

1 sierpnia

- Mam broń! - ostrzegła Hani. - Jeszcze krok i strzelam!

Dziewczynka w drżących rączkach trzymała toporny pistolet z gumową rękojeścią i czerwoną, pękatą lufą. Używaną do wystrzeliwania rakiet sygnalizacyjnych. Gdyby pociągnęła za spust, siła odrzutu pchnęłaby ją na drugi koniec kajuty, może nawet połamała ręce w nadgarstkach. Oczywiście, nie ulegało wątpliwości, że osoba za drzwiami padłaby z wielką dziurą w ciele.

Drzwi znieruchomiały, uchylone.

- Hani! - Zara raptownie otrząsnęła się z resztek szoku po spotkaniu z chedywem. - To ja...

Drzwi ponownie zaczęły się otwierać. Zara ostrożnie zajrzała do środka, obejmując spojrzeniem raketnicę i spleknaną twarz dziecka.

- Hani, odłóż to natychmiast!

Dziewczynka pokręciła głową.

- Wejdz, ale powoli! - Polecenie wydawało się cytatem z jakiejś gry w stylu Killer Kop IV.

Zara weszła do kajuty, trzymając ręce tak, aby mała mogła je widzieć.

- Teraz zamknij za sobą drzwi! - rozkazała Hani, patrząc, czy ktoś się nie skrada za Zarą. - Jesteś sama - dodała tonem ni to stwierdzenia, ni pytania. W zasadzie, nie czekała na odpowiedź, jakby wszystko wiedziała. Klapnąwszy na ziemię, podsunęła kolana pod brodę i objęła je ramionami. Wciąż nie wypuszczała z rąk pistoletu.

Cokolwiek ją przeraziło, spowodowało, że dziewczynka kołysała się w przód i w tył z zamkniętymi oczami.

29

Jon Courtenay Grimwood

- Skarbie. - Zara kucnęła przed nią. - Co z tobą?

Otworzyło się oko.

- D...długo cię nie było! - stwierdziła z wyrzutem dziewczynka. - Myślałam, że nie żyjesz. - Przeszła się kołysać, lecz jej nagły bezruch napawał tym większym lękiem. - Dzwoniła do mnie lady Dżalila...

- Tutaj?

- Dzwoniła do Ali Dina. - Ruchem głowy wskazała szmacianego pieska leżącego w kącie. -

Nadchodzą Niemcy, żeby mnie zabić. Masz mnie natychmiast zawieźć do niej do domu...

Jacy znowu Niemcy?

- Nikt nie chce cię zabić - stwierdziła kategorycznie Zara. - Coś jej się pomyliło.

Rakietnica nie była nawet nabita, co okazało się, kiedy Zara w końcu wykombinowała, jak złożyć lufę. Łkająca dziewczynka znalazła broń w wodoszczelnej szafce wmontowanej w przegrodę. Nie udało jej się wszakże odnaleźć rakiet, choć może ich w ogóle nie było, ponieważ i Zara na próżno ich szukała.

- Lepiej się stąd zmywajmy - powiedziała po wytarciu szmatką pistoletu i odłożeniu go do szafki. Otworzyła drzwi lekkim pchnięciem. Ba, tylko dokąd się udać? Jedno było pewne: jak najdalej od lady Dżalili.

Pasza-zade

295

1lozt>zfoł

1 «ierptiiA

Brak sygnału. Brak połączenia z satelitą. Nic...

Dopiero później Raf uświadomił sobie, że już wtedy powinno go zaniepokoić dziwne zachowanie omegi, która przestała odbierać sygnały. Wówczas jednak podejrzewał, że jak zwykle wyniknęły jakieś problemy techniczne.

Szukając adresu zapisanego na wizytówce schowanej na dnie kieszeni, zawędrował na północny zachód od Place Orabi, gdzie ongiś znajdowały się dziecięce burdele - w czasach, kiedy Constantine Cavafy pisał swoje poematy, a do al-Iskan-darijji przybywali turyści z Nowego Jorku, Berlina i Londynu, właściwie każdy, kto mienił się miłośnikiem egzotycznego piękna i kultury Wschodu. Które to upodobania ograniczały się często do młodych arabskich chłopców, ścinającego z nóg araku i opium.

Obecnie w dzielnicy przeważały modne butikiki, gdzie - już bez narażania się na kolizję z prawem - włożenie karty do czytnika i kupno po zaniżonej cenie najnowszych nike'ów dawało podróżującym amatorom taniochy podobny dreszczyk emocji.

Tracąc nadzieję na uzyskanie połączenia, Raf ruszył boczną uliczką w stronę Corniche. Po minięciu meczetu i szkoty wyszedł na targ rybny, gdzie niedaleko brzegu, wśród podskakujących na wodzie pław z dmuchanego szkła, cumowały malownicze łodzie. A telefon jak nie działał, tak nie działał.

Łodzie miały przeważnie drewniane kadłuby, budowane metodą na zakładkę, jaskrawo pomalowane na kolor krwistej czerwieni lub żywego błękitu. Malowano im oczy na dzió-

29

Jon Courtenay Grimwood

bach. Pomimo tego niektóre korzystały z echolokacji przy połowach rekinów i tuńczyków, inne zaś z nawigacji satelitarnej. Cóż, każdej rodzinie zależało, by łódź bez przeszkód wróciła po ciemku do

portu.

Raf wcale się temu nie dziwił. Stał teraz odwrócony plecami do targowiska, zerkając to na wizytówkę w rękę, to na rząd dzwonek w ścianie. Czymże był Tiriganak, jeśli nie jego odpowiednikiem tamtych oczu na łodziach?

Nacisnął prawidłowy guzik, ale ponieważ nikt się nie odzywał, wybrał na chybił-trafił pięć czy sześć innych. Ignorował opryskliwe pytania, aż w końcu ktoś, jak to się zwykle działo, otworzył drzwi. Tylnymi schodami wdrapał się na trzecie piętro, ponieważ przeciętny człowiek na jego miejscu pojechałby windą. Za to wsiadł do niej na górze, by zjechać piętro niżej.

Zastukał w puste drzwi, pomalowane kremową farbą. A że nadal nikt mu nie odpowiadał, wyciągnął z opakowania nowy śrubokręt i skierował go nad miejsce, gdzie kawałek drewnianej futryny zasłaniał zamek yale. Wystarczyło już tylko pacnąć dłonią w narzędzie i zamek przeskoczył. Co świadczyło o dwóch rzeczach. Po pierwsze, nie wszystko, czego się nauczył na uniwersytecie w kiciu, było gównem warte. Po drugie, madame Sosostriś nie odeszła daleko. Może wyskoczyła na kawę, może do pralni, dokądkolwiek... Kto wychodzi na dłużej, raczej pamięta o dwukrotnym przekręceniu klucza w drzwiach.

Raf znalazł się w pomieszczeniu, które już na pierwszy rzut oka wyglądało na poczekalnię w burdelu, gabinecie terapeuty lub kręgarza. Można tu było przejrzeć czasopisma ilustrowane i garstkę folderów reklamowych, przeważnie o akupunkturze. Na ścianie znajdował się zgaszony ekran; u dolnych rogów wisały na rzemykach dwa kryształ. Wiklinowe fotele sprawiały wrażenie w miarę nowych, lecz w istocie już swoje odsłużyły.

Sam gabinet zabiegowy zdawał się rajem koprofilów. Raf ruszył w stronę szafy na dokumenty, nie przejmując się małym metalowym rusztowaniem z czterema plastikowymi beczułkami, podłączonymi do rurek, które opadały prawie do ziemi i kończyły się skręcanymi złączkami ze stali chirurg-

Pasza-zade

29

gicznej. Tak samo zignorował leżącą przy kozetce nerkę: pojemnik na chromowane wzierniki, każdy z dwiema rurkami, po jednej na wprowadzanie wody i na odprowadzanie ludzkich nieczystości.

Potrzebował jednoznacznych dowodów na to, że lady Dżalila kłamie, jedna wizytówka nie przesądzała sprawy. Wreszcie znalazł to, czego szukał: w dolnej szufladzie z napisem „martwe dusze”. Nie sądził, żeby ktoś sobie zażartował. Lady Nafisa przychodziła tu regularnie od dziesięciu lat, co poświadczała szalenie długa lista wizyt, sporządzona tym samym charakterem pisma, tylko różnym atramentem. Raf zauważył pewną prawidłowość, nietrudną do wyłapania. Otóż piórem, którym odnotowywano pobranie pieniędzy, równocześnie wpisywano termin następnej wizyty. A jednak adnotację mówiącą o zamknięciu teczek i krechę na nazwisku Nafisy wykonano tym samym atramentem, co ostatni zapisek o przyjęciu zapłaty. Data: godziny ranne w dniu zabójstwa. Madame Sosostriś wiedziała, że Nafisa już jej nie odwiedzi.

Sam już nie wiedział, czy to go powinno dziwić, w każdym razie ten, kto po raz pierwszy przyprowadził do kliniki jego ciotkę, był tą samą osobą, która - jeśli jej wierzyć na słowo - nigdy nie słyszała o madame Sosostriś.



Teraz więc pozostało mu znaleźć...

- Pan tu czegoś szuka?

Pytanie doleciało z tyłu, wypowiedziane swobodnym tonem. Właściwie, to czego miałby się bać blondyn, biorąc pod uwagę fakt, że trzymał w ręku automat? Ale może dodawała mu otuchy obecność kobiety stojącej obok ze spluwą? Oboje byli wysocy, jasnowłosi. Raf już ich kiedyś widział przy portowym falochronie, gdy studiowali składaną mapę z nagłówkiem Ägypten - Kairo & Alexandria. Choć uśmiechami zdradzali, że świetnie znają drogę. Co więcej, swoją i jego.

Hu San nazwałaby ich tancerzami. A ściślej mówiąc, tancerzem i baletnicą.

Kobieta zatrzasnęła drzwi piętą. Nosiła słomkowy pa-namski kapelusz, przekrzywiony nad jedno oko, oraz bladą chustę wsuniętą pod jedwabną bluzkę. Charakteryzowali się tą samą szczupłą, lecz mocną budową ciała i mieli tak samo

Pasza-zade

29

gicznej. Tak samo zignorował leżącą przy kozetce nerkę: pojemnik na chromowane wzierniki, każdy z dwiema rurkami, po jednej na wprowadzanie wody i na odprowadzanie ludzkich nieczystości.

Potrzebował jednoznacznych dowodów na to, że lady Dżalila kłamie, jedna wizytówka nie przesądzała sprawy. Wreszcie znalazł to, czego szukał: w dolnej szufladzie z napisem „martwe dusze”. Nie sądził, żeby ktoś sobie zażartował. Lady Nafisa przychodziła tu regularnie od dziesięciu lat, co poświadczała szalenie długa lista wizyt, sporządzona tym samym charakterem pisma, tylko różnym atramentem. Raf zauważył pewną prawidłowość, nietrudną do wyłapania. Otóż piórem, którym odnotowywano pobranie pieniędzy, równocześnie wpisywano termin następnej wizyty. A jednak adnotację mówiącą o zamknięciu teczki i krechę na nazwisku Nafisy wykonano tym samym atramentem, co ostatni zapisek o przyjęciu zapłaty. Data: godziny ranne w dniu zabójstwa. Madame Sosostriś wiedziała, że Nafisa już jej nie odwiedzi.

Sam już nie wiedział, czy to go powinno dziwić, w każdym razie ten, kto po raz pierwszy przyprowadził do kliniki jego ciotkę, był tą samą osobą, która - jeśli jej wierzyć na słowo - nigdy nie słyszała o madame Sosostriś.

Teraz więc pozostało mu znaleźć...

- Pan tu czegoś szuka?

Pytanie doleciało z tyłu, wypowiedziane swobodnym tonem. Właściwie, to czego miałby się bać blondyn, biorąc pod uwagę fakt, że trzymał w ręku automat? Ale może dodawała mu otuchy obecność kobiety stojącej obok ze spluwą? Oboje byli wysocy, jasnowłosi. Raf już ich kiedyś widział przy portowym falochronie, gdy studiowali składaną mapę z nagłówkiem Ägypten - Kairo & Alexandria. Choć uśmiechami zdradzali, że świetnie znają drogę. Co więcej, swoją i jego.

Hu San nazwałaby ich tancerzami. A ściślej mówiąc, tancerzem i baletnicą.

Kobieta zatrzasnęła drzwi piętą. Nosiła słomkowy pa-namski kapelusz, przekrzywiony nad jedno oko, oraz bladą chustę wsuniętą pod jedwabną bluzkę. Charakteryzowali się tą samą szczupłą, lecz mocną

budową ciała i mieli tak samo

Pasza-zade\_\_297

gicznej. Tak samo zignorował leżącą przy kozetce nerkę: pojemnik na chromowane wzierniki, każdy z dwiema rurkami, po jednej na wprowadzanie wody i na odprowadzanie ludzkich nieczystości.

Potrzebował jednoznacznych dowodów na to, że lady Dżalila kłamie, jedna wizytówka nie przesądzała sprawy. Wreszcie znalazł to, czego szukał: w dolnej szufladzie z napisem „martwe dusze”. Nie sądził, żeby ktoś sobie zażartował. Lady Nafisa przychodziła tu regularnie od dziesięciu lat, co poświadczała szalenie długa lista wizyt, sporządzona tym samym charakterem pisma, tylko różnym atramentem. Raf zauważył pewną prawidłowość, nietrudną do wyłapania. Otóż piórem, którym odnotowywano pobranie pieniędzy, równocześnie wpisywano termin następnej wizyty. A jednak adnotację mówiącą o zamknięciu teczki i krechę na nazwisku Nafisy wykonano tym samym atramentem, co ostatni zapisek o przyjęciu zapłaty. Data: godziny ranne w dniu zabójstwa. Madame Sosostriś wiedziała, że Nafisa już jej nie odwiedzi.

Sam już nie wiedział, czy to go powinno dziwić, w każdym razie ten, kto po raz pierwszy przyprowadził do kliniki jego ciotkę, był tą samą osobą, która - jeśli jej wierzyć na słowo - nigdy nie słyszała o madame Sosostriś.

Teraz więc pozostało mu znaleźć...

- Pan tu czegoś szuka?

Pytanie doleciało z tyłu, wypowiedziane swobodnym tonem. Właściwie, to czego miałby się bać blondyn, biorąc pod uwagę fakt, że trzymał w ręku automat? Ale może dodawała mu otuchy obecność kobiety stojącej obok ze spluwą? Oboje byli wysocy, jasnowłosi. Raf już ich kiedyś widział przy portowym falochronie, gdy studiowali składaną mapę z nagłówkiem Ägypten - Kairo & Alexandria. Choć uśmiechami zdradzali, że świetnie znają drogę. Co więcej, swoją i jego.

Hu San nazwałaby ich tancerzami. A ściślej mówiąc, tancerzem i baletnicą.

Kobieta zatrzasnęła drzwi piętą. Nosiła słomkowy pa-namski kapelusz, przekrzywiony nad jedno oko, oraz bladą chustę wsuniętą pod jedwabną bluzkę. Charakteryzowali się tą samą szczupłą, lecz mocną budową ciała i mieli tak samo

29

Jon Courtenay Grimwood

jasne, prawie białe włosy, przycięte krótko nad uszami i dłuższe nad czołem, gdzie spadały grzywką do jasnoniebieskich oczu.

Po prawdzie, byli bardzo podobni do niego. Gdyby mu nieco skrócić włosy i zgolić bródkę...

- W czym mogę służyć? - zapytał grzecznie.

Intruzi nie odpowiedzieli mu, nawet się nie ruszyli. Nie obchodziło go to jednak, albowiem obudził się lis.

- Rozbroisz siebie, rozbroisz wroga - usłyszał zmęczony głos w swoich myślach. Słowa wydawały

się puste i banalne, lecz Raf rozpoznał w nich jedną z filozoficznych zagadek starego rastafarianina, z którym trenował w areszcie.

Zatem podniósł ręce, obserwując nagłe odprężenie na twarzach tancerza i baletnicy.

- Pięknie - odezwał się mężczyzna i podszedł bliżej.
- Powiedziano nam, że jesteś rozsądny. - Był chyba rozczarowany.
- Bo jestem.

Robiąc krok do przodu, lewą ręką odtrącił w bok automat napastnika, a jego samego wyrzucił w krtań prawym łokciem. Czasem po prostu trzeba umieć tańczyć. I drugi ruch: tym samym prawym łokciem w drodze powrotnej rozpląszczył nos na do niedawna przystojnej twarzy. Następnie pozbawił faceta równowagi, trzepnąwszy go z dwóch stron w uszy. Nie musiał już wciskać kciuków w oczy przeciwnikowi, który prze\* wracał się do przodu z rozerwanymi bębenkami. Obaj runęli na ziemię. W trakcie upadku Raf przebił łokciem klatkę piersiową tancerza, aż ostry kawałek żebra rozorał nagle zastygłe serce. Gabinet wypełniła woń rozprutych wnętrzości, lecz Raf już się przetoczył po dywanie, pochwycił porzucony automat i zatrzymał się pod szafką z dokumentami - która albo da mu osłonę, albo obsypie go odłamkami - w zależności od tego, jakiej amunicji używała baletnica. Dała osłonę, a zapach kordytu, który rozszedł się przy okazji wystrzału, zabił smród leżącego ciała.

- Hej! - Raf zdziwił się czystym brzmieniem swego głosu w sytuacji, kiedy wykorzystywano go w charakterze tarczy strzelniczej. - Dowiem się, co to wszystko ma znaczyć?
- Nie przejmował się tym, że zdradza swoją pozycję. Prze-

Pasza-zade

29

ciwniczka doskonale wiedziała, gdzie on jest, tylko nie mogła go dosięgnąć. - No słucham!

W odpowiedzi kolejna kula trafiła szafkę. Dzięki Bogu z przodu, a nie z boku. Kobieta miała pecha, strzelała amunicją małego kalibru, lecącą z prędkością prawie że poddźwiękową. Przyszła tu z przeświadczeniem, że wystarczy postać delikwentowi kulkę, a potem na spokojnie poszatkować mu łeb jak mikserem.

- Rzuć broń albo zginiesz! - krzyknął Raf. Prawdopodobnie nie miał powodów do szczególnej radości, ale nawet świadomość tego nie wytrącała go z równowagi. Umysł pracował na najwyższych obrotach. I po raz pierwszy od wielu lat nie przyglądał się sobie z boku. - Wybieraj! - Hałaśliwie szarpnęła suwadłem świeżo pozyskanej broni automatycznej. - Dla mnie to bez różnicy!

W efekcie szafka zarobiła następną kulę.

Raf strząsnął kurz z włosów i rozejrział się pobieżnie. Baletnica miała za sobą drzwi, gdyby więc chciała, w każdej chwili mogła salwować się ucieczką. On natomiast widział koło siebie tylko ścianę, szafkę i pusty kąt. Żadnych drzwi czy okien. Kiepska sprawa...

Z drugiej strony... Uśmiechnął się.

- Mam nadzieję, że dobrze ci płacą! - Starał się powiedzieć to z maksymalną troską w głosie. - I że

jesteś ubezpieczona. Bo w tutejszych szpitalach potną cię na przeszczepy, jeśli się pokapują, że nie masz czym zapłacić. - Poczekał, aż cisza się odpowiednio przedłuży. Usilnie próbował wczytać się w jej myśli, aż przez moment wydawało mu się, że zamienili się miejscami. - Daję ci szansę! Doceń to, bo twój przyjaciel jej nie miał. - Nie nastąpił strzał, którego się spodziewał. Nie wyglądało też na to, by baletnica zmieniła pozycję czy robiła cokolwiek, ponieważ wciąż panowała cisza, niezmacona nawet delikatnym szuraniem stóp na dywanie. Kobieta go słuchała, czyli popełniła swój pierwszy błąd; być może ten jeden mu wystarczy. - Posłuchaj, wrobili cię!

- Urwał, jakby przyszła mu do głowy niespodziewana myśl.

- Masz tam może telefon komórkowy?

Na pewno miała komórkę. Może seiko, model na rękę, albo chromowany, zatraskiwany portfel Paula Smitha. Apa-

0

Jon Courtenay Grimwood

rat z klasą, lecz nie rzucający się w oczy, pozwalający wezwać sprzątaczy po skończonej robocie.

- Dzwon do bazy - poradził jej. - Niech twój szef przejrzy akta na posterunku. Nazwisko Aszraf al-Mansur.

Dziewięć, trzy... trzy, dziewięć, dwa... dwa, dwa, pięć, cztery, zero, trzy. Korzystała z czegoś, co miało klawiaturę. Numer miejscowy, wywnioskował, wsłuchując się w ton wybieranych cyfr. Uzyskała połączenie za pierwszym razem, co pozwoliło mu zorientować się lepiej we własnej sytuacji.

Kobieta mówiła prędko, coraz natarczywiej. Dwa razy się zająknęła. Powodowana strachem, była zdolna do rzeczy nieprzewidywalnych, tym bardziej więc musiał na nią uważać. Wolałby się nie znaleźć oko w oko z lufą spanikowanej balet-nicy. Zwłaszcza że statystycznie częściej pociągano za spust w popłochu, aniżeli z rozmysłem.

- Scheissen... - Powiedziała to bardzo cicho, lecz z odpowiednim ładunkiem emocji.

- Aszraf al-Mansur - podpowiedział Raf. - Agent służb specjalnych, ekspert od materiałów wybuchowych i zaawansowanych systemów bojowych... - Próbował sobie przypomnieć, co jeszcze dzieciak wrzucił na listę, bo nie miał wątpliwości, że to Hani sprokurowała jego CV. - Umiejętności snajperskie, doskonała znajomość sztuk walki wręcz. - Do tego dochodziły rzeczy sprawdzone i prawdziwe, o których dziewczynce nawet się nie śniło. - Wyostrzony słuch, rozbudowany zmysł wzroku, pamięć ejdetyczna... Jak mi idzie? - Oczekiwał odpowiedzi, lecz kobieta milczała. Tylko jej oddech stał się płytszy, bardziej rwany. Chyba zaczynała się zastanawiać, jak się z tego wykaraskać. - Masz drzwi za sobą. Proszę bardzo, uciekaj.

- Żebyś mnie załatwił kulką w plecy? - warknęła. - Żeby do końca życia musiała oglądać się za siebie? - Gorycz walczyła w niej ze strachem. - Zabiłeś Marcusa!

- Przykro mi. - Tym razem nie ściemniał. Oczywiście, nie zabił blondasa przez przypadek, ale też nie było to w gruncie rzeczy jego celem. - Zostaliście wrobieni, niestety. Bo ten, kto was przysłał, wiedział, że żywi stąd nie wyjdziecie. Przemyślił to sobie. - Wstał z plecami przy ścianie.

Pasza-zade

1

- Słuchasz tylko rozkazów. Twój przełożony zastąpi cię kimś innym, nic dla niego nie znaczysz.

- Tu chodzi o terytorium.

- Dobra, ale jaki ci dano wybór? Zabijesz mnie albo sama zginiesz? Przemyśl to sobie - powtórzył.

Rezygnując z osłony, jaką dawała szafka z dokumentami, ostrożnie przestąpił nad mężczyzną leżącym na wznak i patrzącym pustym wzrokiem na spękany sufit. Kula, na którą Raf czekał całe swoje dorosłe życie, jeszcze go nie dosięgła.

Była niższa, niż mu się przedtem wydawało. No i starsza. Kątem oka zerknęła na jego pistolet.

- Twój mąż?

- Brat. - Odrzuciła broń na krzesło i zdjęła gumowe rękawiczki. Miną zapytała, czy może podejść do trupa.

Nie dotykała ciała, tylko przyklęknęła obok i uważnie mu się przyjrzała. W oczach nie miała łez, za to na twarzy wyraz bóleści. Kiedy się jednak odezwała, w głosie dało się wyczuć napięcie i falę gniewu. Ale złość nie była skierowana przeciwko niemu.

- Dranie!

Raf poczuł ulgę. W duchu westchnął przeciągle i wsunął automat zabitego do kieszeni w marynarce. To co udało mu się osiągnąć, nazwałby odwróceniem chwytu zapaśniczego, aczkolwiek na płaszczyźnie inteligencji.

- Możesz mi powiedzieć, kto cię nastął?

Nie chciała i wcale się nie dziwił. To byłoby zbyt proste, a w tych sprawach nic nie szło łatwo. Zresztą, i tak by jej nie uwierzył.

- A więc nie mów. Tylko jedno weź sobie do serca. Ja nie żyję. I chcę, żebyś przekazała to dalej...

Baletnica podniosła wzrok i dostrzegła uśmiech na jego ustach. Uśmiech tak lodowaty, że ciarki jej przeszły po plecach. Przez krótką chwilę zastanawiała się, jak jego twarz wygląda bez ciemnych okularów. Wolała jednak nie wiedzieć. I nigdy, przenigdy już się z nim nie spotykać.

Z podziurawionej kulami szafki Raf wyciągnął teczkę Nafisy i Dżalili, z terminarza wyrwał kartkę z zapiskiem ostatniej wizyty ciotki i na koniec, odruchowo, zabrał szarą ko-

2

Jon Courtenay Grimwood

perkę. Gdy zamykał za sobą drzwi, baletnica skrupulatnie zbierała mosiężne łuski po nabożach. Eksperci z dziedziny medycyny sądowej i tak tu znajdą całą kupę śladów.

Cóż, pora zmienić skórę, zdecydował Raf. Winda docierała tylko do czwartego piętra; stamtąd na górę, do siódmego, trzeba było wspinać się po schodach. Na piątym piętrze mieściła się wspólna łazienka dla mężczyzn i osobna dla kobiet. Prawdopodobnie z tego względu brakowało ciepłej wody na wyższych kondygnacjach, gdzie na korytarzach dywany były brudne, farba się łuszczyła, a drzwi stawały się wąskie. Ale najważniejsze, że zamki w tych drzwiach należały do najtańszych i najstarszych...

Raf wysłał teczkę i kartkę z terminem wizyty ciotki Nafisy na adres Zary w Villa Hamza. Potem, paradując już w świeżo wypranej i nie potarganej dżelabie, zamówił kawę w kawiarni pod apartamentowcem i tam czekał. Kiedy wystygły fusy pierwszej, zamówił drugą, nie odmówił też przyjęcia ozdobnej szyszy i wieczornego wydania gazety. Po raz pierwszy nie zobaczył siebie na pierwszej stronie, ani też na drugiej i trzeciej. Na czwartej była o nim drobna wzmianka, ale bez zdjęcia. Widocznie ktoś postanowił wyciszyć hałas wokół całej sprawy.

Uśmiechnął się.

Godzinę po jego wyjściu z kliniki podjechała pod budynek czarna furgonetka. Duża, stara, nieoznakowana... Z szoferki wygramolił się facet w brudnym, niebieskim kombinezonie, z którego strzepał jakieś okruszyny. Od środka na przedniej szybie umieścił nalepkę z informacją, że przyjechał na wezwanie. Potem, taszcząc okazałą teczkę z narzędziami, skierował się ku wejściu do budynku.

Pogotowie elektryczne, fachowcy od systemów wentylacyjnych, naprawa sprzętu domowego... Jak świat długi i szeroki, maskowali się mniej więcej tak samo. Furgonetka przyjechała dopiero po godzinie i tylko to mogło budzić jakiegokolwiek zdziwienie. A ponieważ wydawało się mało prawdopodobne, żeby ludzie, dla których pracował zabity tancerz, byli aż tak słabo zorganizowani, narzucał się jeden wniosek: kobieta chciała w spokoju pożegnać się z bratem. Raf uważał to za dobry znak.

Pasza-zade

Kawa była gorzka, a odrobina otrzymanego domowym sposobem haszyszu za słodka, lecz kiedy pojawił się z powrotem osobnik w kombinezonie, Raf wiedział, że opłacało się czekać. Rzucił na stolik dwa banknoty i odsunął krzesło.

Poćwiartowane zwłoki zabitego zamachowca wnoszono w czarnych workach. Wyraz udręki na twarzy jasnówłosej .baletnicy, smętnie idącej za mężczyzną do samochodu, wskazywał wyraźnie, że była obecna przy krojeniu ciała.

Kochała go i nie opuściła do końca...

Kobieta i mężczyzna zamienili parę słów na chodniku. Padło chyba jedno krótkie pytanie i jedna stanowcza odpowiedź. Facet w kombinezonie wrzucił ramionami i włączył na siedzenie kierowcy. Baletnica nie zareagowała, gdy kiwnął głową na pożegnanie. Nawet nie spojrzała na samochód, który włączył się do ruchu i przyhamował za dudniącym, zielonym tramwajem.

Świetnie nad sobą panowała, to jej musiał przyznać. Mignęła mu przed oczami paczka miejscowych papierosów Cleopatra. Tylko która kobieta kurzy fajki bez filtra? Z drugiej strony, która kurzy na ulicy? Ale przecież była turystką, czyż nie? A turystki z gapiostwa popełniały gafę za gafą. Paradowały

publicznie z odstąpionymi ramionami, nie zakrywały głowy, paliły między ludźmi. Tak, z wkomponowaniem się w otoczenie miała pewne problemy.

Musnęła spojrzeniem Rafa. Arabska kawiarenka, mężczyzna w pasiastej dżelabie, na stole wypalona szysza, obok rozmawiający z nim kelner. Nie tego szukała, więc jej wzrok powędrował dalej. Ludzie niezdolni do ejdetycznego zapamiętywania mieli taką niedorozwiniętą korę mózgową...

Z petem w ręku otworzyła portfel i zaczęła dzwonić. Zapaliła i wyrzuciła drugiego papierosa, nim szef dostarczył jej informacje, o które prosiła. Pewnie adres, biorąc pod uwagę to, że natychmiast wyciągnęła z torebki mapę.

Raf i baletnica oddalili się razem, połączeni niewidzialną nicią złości i poczucia obowiązku. Raf śledził ją w odległości dwudziestu kroków z nosem schowanym w gazecie. Dynamo Moskwa wygrała z Belgrade Eagles. Danzig zremisował z Napoli. Czarnogóra dostała baty od Tunezyjczyków. Na ekranach we wszystkich kawiarniach pokazywano właśnie powtór-

0

Jon Courtenay Grimwood

kę tego meczu i chociaż każdy znał wynik, kibice dawali głośny wyraz swemu oburzeniu, kiedy tunezyjski piłkarz został sfaulowany na polu karnym.

W prowincjach Imperium Osmańskiego nie uzewnętrzniała się jakaś szczególna niechęć do Niemców, za to wzdarda wobec Austro-Węgier była powszechna i nietajona. Różnica wynikała z tego, że cesarz miał niewielu muzułmańskich poddanych, gdy tymczasem islamskie społeczności zamieszkiwały duże obszary Austriackich Bałkan.

Kobieta weszła na halę targową el-Meghreb jednymi drzwiami obrotowymi i zaraz wyszła drugimi. Sprawdzała, czy ktoś za nią nie idzie, lecz Raf trzymał się tak daleko z tyłu, że zanim zbliżył się do wejścia, ona już wychodziła, mrużąc gniewnie pod nosem.

Odczytywał targające nią emocje. Wstrząśnięta, przepełniona gniewem i goryczą, do tego stopnia zapomniała o zdrowym rozsądku, że w pewnym momencie uderzyła się w wypchaną kieszeń i odruchowo wyrzuciła mapę do kosza. Zawróciwszy, po zaledwie pięćdziesięciu krokach skręciła w lewo w wąską ślepią uliczkę, będącą właściwie prześwitem między halą targową i sąsiednim magazynem.

Raf nie mógł jej dłużej śledzić, bo od razu by go namierzyła. Minął zatem przecnicę, odliczył sześćdziesiąt kroków, zawrócił i zajrzał w głąb uliczki. Baletnica zniknęła, zaułek był pusty.

Wnioski z tego płynące nie przypadły mu do gustu, ponieważ wiedział, że weszła gdzieś na schody i przyjdzie mu wspinać się za nią.

Pasza-zade

Rozfezfoł 46

i «Ierpula

Jedynie turyści decydowali się na przejażdżki czarnymi powozami, które pomykały ostatnim zakolem promenady. A to oznaczało, że na targu rybnym nikt nie zwracał większej uwagi na staroświecką bryczkę, ciągniętą przez leciwą szkapę. Wiele takich jak ona spotykało się na Złotym Półksiężycu, odcinku Corniche pomiędzy nową biblioteką a cyplem i potężną bryłą Fortu Kait Beja.

- I co teraz zrobimy? - zapytała Hani. Na brukowanej nawierzchni resory powozu piszczały niczym szczury. - Co?

Zara milczała. Patrzyła, jak łodzie rybackie wypływają w morze z podniesionymi sieciami i lampkami, którymi będą wabić ryby. Hani jednak nie zamierzała tak łatwo dawać za wygraną.

Z tyłu, na Placu Orabi płonął wieczny ogień w grobowcu nieznanego żołnierza, natomiast przed nimi znajdował się meczet Szorbagi, znany z braku minaretu. Tamtejszy mu-ezin zwoływał ludzi z wysokich arkad, zwróconych na targowisko. Był to jeszcze jeden fakt, który ciocia Nafisa kazała jej zapamiętać. Wzruszyła ramionami. Bez sensu...

- Co tak nic nie mówisz? - zapytała.

- Bo nie wiem. - Zara odparła z rozdrażnieniem, ale jednak odparła.

Kierowały się wszakże na podany adres. Może powinna zawieźć Hani do domu lady Dżalili, kiedy przysłała pierwsza wiadomość? Wtedy Raf mógłby uniknąć... Ukradkiem zerknęła na tekst przekazany kwadrans temu przez Ali Dina, mimo że znała go na pamięć. Raf zamordowany. Hani grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Spotkajmy się w... Nie było żadnej

0

Jon Courtenay Grimwood

adnotacji, a na górze w miejscu nadawcy puste pole. Jednakże inicjały podpisu, LD, pasowały do lady Dżalili. Została ostatnią krewną Hani, teraz gdy Raf...

- Znowu płaczesz - odezwała się dziewczynka.

Zara wzruszyła ramionami. Co z tego, że płakała? Aż takie to dziwne?

- Tak właśnie myślałam. - Hani przesiadła się na inne miejsce, bliżej Zary, i położyła rękę na jej obolałych ramionach. - Przepraszam...

Co robić, co robić? - rozmyślała Zara. Najchętniej powiedziałaaby Hani, że płacz nie jest niczym złym. Wtedy jednak obydwie załatyby się łzami, pokazując światu swoje nagie dusze. Było w tym sporo egoizmu, lecz chciała się uchronić przez kompletnym załamaniem.

Za meczetem znajdował się targ rybny, który już zwiżał się na noc. Bruk polewano wodą z węży, budy zamykano. Furgonetki czekały na nadejście poranka i świeży towar z morza. Szum chłodziarek przypominał, że skoro świt cały raban zacznie się na nowo. Ryby zostaną wypatroszone, wsadzone do lodu i pustynną drogą przewiezione do Kairu, a tam wystawione na sprzedaż w tego rodzaju sklepach, gdzie ekspedienci noszą pasiaste fartuchy i nadają wszystkiemu francuskie nazwy. Matka Zary często o nich opowiadała, choć nigdy nie widziała ich na własne oczy.

- Szybciej! - rozkazała Zara.



Woznica ściągnął brwi, lecz posłusznie podciął batem kobyłkę. Już od dobrej godziny jeździł promenadą wte i we-wte, a tej nagle gdzieś się spieszyło!

Siwa szkapa niechętnie przeszła w kłus.

- Tu skręcamy! - zakomunikowała Zara, ale woznica pokręcił głową i zatrzymał powóz.
- Nie mogę zjechać z promenady - zaprotestował. - Takie są przepisy. Mogę was zabrać dalej, mogę zawrócić, ale nie mogę skręcać w inne ulice.
- No to świetnie... - bąknęła pod nosem.
- Trudno. - Hani wcisnęła Ali Dina do kupionego rano plecaka. - Spacer dobrze nam zrobi. - Dziewczynka miała na sobie nowe dżinsy, pasujące do plecaka, i białą koszulkę z nadrukiem Hello Kitty, trochę wymiętą po wyjęciu

Pasza-zade

307

z opakowania. Buciki z klamerką, jakie zwykle nosiła, zostały zastąpione pomarańczowymi japonkami na niedużym obcasie. Swoje długie włosy ściąła na podobieństwo włosów Zary.

Ten ostatni pomysł wydawał się kontrowersyjny, lecz Hani trwała w uporze; siedziała na stołku w kajucie VSV, póki Zara nie porachowała się z jej czarnymi lokami, które spadały garściami na ziemię. Poniekąd ta rzecz spodobała się Żarze, wyglądały teraz jak siostry. Dzięki czemu robienie zakupów wiązało się z mniejszym ryzykiem.

Zara przekonała się, że normalne życie wiąże się dla nich z trudnościami. Prawie wszystkiego, co Hani wiedziała

o świecie, dowiedziała się z ekranu. Tłum ją niepokoił, hałas przerażał, a smród na ulicy dręczył tak bardzo, że stale zatykała nos. Zara zganiła ją za to, bo przecież ludzie na nie patrzyli. Mała nie pojmowała, że pieniądze muszą przejść z rąk do rąk, nim coś się kupi w sklepie. Zupełnie, jakby w podręczniku autor pominął kilka podstawowych reguł. Z drugiej strony, patrząc na cegły, umiała powiedzieć, z jakiego okresu pochodzi dany budynek. Orientowała się, komu albo czemu ulice zawdzięczają swe nazwy. A mijając Radio Shack z ekranem migającym w witrynie, wpadła do środka

1 zresetowała go bez zastanowienia.

Jeśli chodzi o Zarę, to wiedziała, że jej miastem jest al-Iskandarijja, lecz jej al-Iskandarijja jeszcze nie istniała. Albowiem w jej mieście ludzie nie będą od niej oczekiwać, że zejdzie na jezdnię, aby mogli przejść. W jej mieście kapłani nie będą patrzeć spode łba na kobietę i dziecko, idące samotnie ulicą. A sprzedawcy patrzeć jej za ramię, szukając osoby, która zapłaci za towar.

Mimo to ze wszystkich sił starały się zachowywać normalnie i nie wyróżniać się w tłumie. Zupełnie jak turystki, objadały się francuskimi naleśnikami z budki, piły ciepłą wodę mineralną ze spienionej butelki i tłuściły sobie ręce kleistymi migdałami. Odwrócone plecami do Place Zaghoul, patrzyły, jak dorosłe osoby rzucają na fale latawce akrobatyczne i podrywają je w górę; trzepoczące ogony bryzgały deszczem srebrnych kropel.

W tamtej chwili niewiele im brakowało do szczęścia.

Jon Courtenay Grimwood

Aż raptem przyszła wiadomość o śmierci Rafa i ich kruche niby-szczęście prysło jak bańka mydlana. Zara poczuła lęk i bolesną samotność, z którą trudno jej było się pogodzić...

Siedemdziesiąt dolarów za przejażdżkę bryczką, rozbój w biały dzień! Zamknąwszy portfel, Zara chwyciła Hani za rękę i, nie oglądając się do tyłu, ruszyła rażnym krokiem. Niespełna pięć minut później stały pod dębowymi drzwiami - tak spieczonymi przez słońce, że po złuszczeniu się farby pozostało wyblakłe drewno z ciemnymi pręgami słoju.

- To tutaj? - zapytała Hani z powątpiewaniem.

Zara sprawdziła adres.

- Tak. - Siliła się na spokój. - To tutaj. Chcesz zadzwonić?

Hani pokręciła głową.

- Lepiej ty zadzwoń.

Zara nie знаła ponurej, jasnowłosej kobiety, która im otworzyła. Jednak nie twarz rzucała się w oczy, tylko nóż sprężynowy z zakrwawionym ostrzem.

Pasza-zade

9

Rorbret 47

i »ierjmfo

Piekło nie powstało w otchłani, tak samo jak raj na górze - niezależnie od bredni, którymi dziewczynka karmiła szmacianego pieska. Piekło istniało w zawieszeniu, jak ból, między ziemią a ciemniejszym niebem.

Z wysoka dolatywały krzyki, lecz Raf wmawiał sobie, że nie zna tych głosów. Krwawiąca rana zniekształcała mu usta, odkąd z nerwów przegryzł dolną wargę. Chciał się wspinać wyżej, mało tego, musiał, ponieważ baletnica, jak ją zwał, tam właśnie mu uciekła. Jednakże ręce odmawiały posłuszeństwa, a nogi były zbyt zajęte utrzymywaniem ciała w pozycji równowagi, żeby jeszcze zważać na rozkazy z mózgu.

Raf nie bał się wysokości. Nigdy się jej nie bał. Trwogę budziła w nim myśl o spadaniu. O spadaniu i paleniu się żywcem. Ale co tam strach, co tam świadomość grożącego mu fiaska: przede wszystkim

chciał się dowiedzieć, gdzie, do jasnej cholery, zawieruszył się lis!

Włamywał się do składu z przyprawami, wspinając się wąskim prześwitem między tym właśnie domem a ścianą hali targowej. Jak powiedziałby niefachowiec, rzecz jasna. Zawodowi wspinacze wiedzieli, jak nazywają się takie szczeliny. Aczkolwiek profesjonaliści dysponowali porządnym sprzętem i nie drżeli od urodzenia przed spadnięciem z wysoka.

Na koszuli pojawiły się ciemne plamy. Czuł pot na czole, pod pachami i w kroku. Wilgoć długim jęzorem oblizwała kręgosłup.

Przewycięzanie strachu przychodzi niewiele trudniej od przewycięzania wstydu. Ale trudniej na pewno. W pomiesz-

1

2J

310

Jon Courtenay Grimwood

czeniu na górze była Hani. Także Zara. Po usłyszeniu ich głosów wiedział, że musi tam się jakoś dostać, bez względu na przeszkody. I tylko wspomnienie srebrnego deszczu go powstrzymywało.

Głupi dowcip polegał na tym, że nie miał nawet pewności, czy srebrny deszcz istnieje naprawdę. On, który nigdy o nikogo się nie troszczył, o nikogo się nie bał, teraz trzął się ze strachu o życie Hani. A co do Zary...

Jeżeli jeszcze nie wymiotował, to pewnie za chwilę rzy-gnie. Pod nim, między ścianami, biegła ślepa uliczka, w której zniknęła baletnica. Uliczka kończyła się na maleńkim podwórku, należącym do magazynu. Tylne drzwi, kłódka, jedna czuwająca kamera przemysłowa, nic specjalnego. Choć wyteżał wzrok, nastawiając oczy na odbiór fal w całym zakresie widma, nie wypatrzył żadnych promieni.

Kamerę zrobił w konia w ten sposób, że stanął pod murem z czerwonej cegły, niezgrabnie podwinął dźelabę i rozpiął rozporek. Równocześnie rozejrzał się pobieżnie. Podwórko było zaledwie namiastką większego podwórza, którego sporą część przeznaczono pod budowę hali targowej. Hen w górze ze ściany magazynu sterczał wysięgnik stalowego żurawia z krążkiem zardzewiałym na amen. Otwarte okno pod nim wydawało się niewyobrażalnie odległe.

Wycofał się następnie spacerowym krokiem, aż wyszedł poza zasięg kamery. Wtedy podskoczył i wparł się stopami w ściany. Nieraz widział na filmie alpinistów, którzy instalują się nad wąską szczeliną i wspinają bez wysiłku, mimo otwierającej się pod nimi przepaści. Zdołał wykonać cztery, może pięć niezdarnych skoków.

Jego najgorszym przeciwnikiem okazał się nie ból w kostkach ani brak wprawy, lecz spoglądanie w dół. Znajdował się nie więcej niż trzy metry nad ziemią, ale i to wystarczyło. Wymiociny podeszły mu do gardła jak rtec w barometrze, bry-znęły z rozwartych ust i spadły na bruk, pozostawiając gorzki posmak na podniebieniu.

Otwieraj drzwi!

Nie mogę!

Otwieraj!

Nie!

'gfm

Pasza-zade 311

Szum fal, krzyki dzieci. Później, już w innym miejscu, musiał zepchnąć jednego ze schodów, żeby dali mu spokój. A na stołówce, pełnej do ostatniego stolika, rzucił nożem, który wbił się w drewnianą belkę obok głowy chłopaka. Czysty przypadek, ale zrobił wrażenie...

Lęk wysokości czy strach przed spadnięciem? Dwie różne rzeczy. Różnicę wytłumaczyła mu w Huntsville pani psychiatra, która walczyła ze smrodem wodą toaletową i przechodziła przez drzwi bokiem, stylem kraba, żeby w nich nie utknąć.

A zatem wysokość i spadanie to nie to samo. Dopóki nie nauczył się rozróżniać, co jest co, nie można go było wyleczyć z właściwie prostej, wręcz banalnej fobii. Zaordynowano mu obejrzenie paru filmów, po których miał opowiedzieć grubasce, jak się czuł.

Niestety, nie czuł najzupełniej niczego, gdy patrzył na scenki z uśmiechniętymi szczeniakami, wążącymi na trzepaki i zjeżdżalnie, wspinającymi się po linach i skaczącymi z murków. Nie znał tych zabaw. A tego, jak się czuł, kiedy patrzył w dół, nie dało się opisać. Nie słowami dziecka i z pewnością nie słowami osoby dorosłej, która z tego dziecka wyrosła.

Gdyby teraz oderwał się od ściany i przetoczył się przy zeskoku, mógłby spokojnie odejść z kilkoma siniakami. Ale pełzną do góry, zwiększał ryzyko. Jeszcze się trochę poprze-suwa i skończy się nie na siniakach, a na złamanej nodze w kostce. Potem trzaśnie kolano, następnie biodro... A później to już kręgosłupłoży się jak harmonia. Jeśli dojdzie do mety, skąd przez otwarte okno dolatywały zduszone krzyki, i stamtąd zleci, rozsypią mu się wszystkie kręgi. Inaczej być nie mogło.

Z największą ostrożnością obrócił się, aż plecy przyłgnęły do ceglanej ściany hali targowej, a stopy zaparły się mocno o przeciwległy mur. Od razu poczuł się bezpieczniej. Jeśli będzie umiejętnie przemieszczał plecy i podpierał się nogami, powoli dotrze do celu. Wystarczy jedynie pokonać prymitywny, irracjonalny strach.

Tak, wystarczy... Mrok wdzierał się na rubieże jego myśli, ilekroć patrzył w dół. Uliczka drapieźnie pochłaniała jego

312

Jon Courtenay Grimwood

uwagę, niczym czarna dziura światło. Oderwanie od niej wzroku graniczyło z niemożliwością, to samo dalsze wspinanie.

Aż łzy mu pociekły, tak się zdenerwował. Z wysiłkiem przeniósł spojrzenie na okno. Okiennica poruszała się wolno w podmuchach wieczornej bryzy. Wszystko, co chciał osiągnąć, osiągnie po

drugiej stronie. Bo tam się kryła Zara, Hani, baletnica... Nie wiedział, co robi ta ostatnia, ale rad by się dowiedzieć.

Hej, truposzczaku! - szdyził głos w jego myślach. - Poznajesz, gdzie jesteś? ,

Oczywiście, że poznał. Już tu kiedyś był.

Pasza-zade

Rorfcruł 4S

Szwajcaria

Na zewnątrz padał srebrny deszcz.

Wewnątrz mały lisek zakasłał, kuląc wąskie ramionka z głową przy samej ziemi. Drzwi tylko czekały, żeby je otworzyć, wykrzywione hałasem i gniewem kipiącym z drugiej strony. Chłopiec dotknął klamki. Skóra zwęgliła się, opuszki palców wyparowały. Gdy wyszarpnął rękę, na rozgrzanej do czerwoności gałce pozostały spieczone fragmenty ciała. Wiedział, że się rozplącze... ale przecież już płakał.

Nie ma się czym przejmować, wmawiał sobie. Nic nie przeciska się pod drzwiami, nie wnika między mokre ręczniki, którymi zatkał szparę. Czy jednak mógł dłużej udawać? Łzy niezauważenie kapały na czerwony, wełniany szlafroczek.

Czuł swąd spalenizny... i to od niego szedł zapach. Jeśli chciał żyć, musiał przekręcić klamkę i szarpnąć drzwiami. Niby nic trudnego. Drugie wyjście? Wyzbyć się resztek nadziei, poddać się śmierci. Umrzeć albo wyjść w strugi srebrnego deszczu. Ku piekielnym demonom, o których tyle się mówiło w kaplicy.

Woda nadal ciekła z kranu, lecz zamiast zimnej wrząca. Kiedy odkręcał kurek, para buchała z umywalki. A więc zbiornik grawitacyjny w dachu dostarczał jeszcze wodę, choć szum urządzenia nie docierał do tej części poddasza.

Rozebrał się, pozwijał szlafrok i włożył go pod wodę, przez co oparzył i tak już poparzone ręce. Kiedy ubranie przemokło, owinął się nim. Szlafrok był kusy, sięgał ledwo za kolana, lecz resztę ciała powinien w jakimś stopniu ochronić. Oby.

3

314

Jon Courtenay Grimwood

Chwycił gałkę przez materiał szlafroka, przekręcił ją i otworzył drzwi. Gdy jednak spomiędzy palców uszła z sykiem para, uświadomił sobie, że powinien zająć się drzwiami wcześniej, przed namoczeniem szlafroka. Czasem miewał kłopoty z logicznym myśleniem, na przekór oczekiwaniom przyjaciół matki.

Ale to nie był sprawdzian. Biorąc głęboki wdech, otworzył drzwi na oścież i wyszedł na zewnątrz. Nie

zobaczył ani ziemi, ani ścian, ani dachu nad sobą. Jedynie porażającą czerwień. Czerń nocnego nieba ginęła za płomieniami. Srebrny deszcz niemal ustał; grube krople ołowiu spadały z iynien i rozmazywały się ciemnymi smugami na okopconych ścianach. Przed sobą miał pozostałości poddasza. Między nim a następnym ocalałym poddaszem ziała ognista otchłań, przedzielona czarnym, stalowym dźwigarem, który pozostał samotny w pustej przestrzeni.

Huk pożaru przycichł. Ogień dogorywał, podobnie jak zachodnie skrzydło szkoły. Za nim też się paliło; tam ogień, niczym zaraza, przemieszczał się jeszcze po budynku: rozsadał ściany, topił ołów i pożerał drewniane belki, a szczątki zrzucał w iskrzące popielisko.

Strażacy już go wypatrzyli. Nie mógł mieć w tej kwestii żadnych wątpliwości, gdy nagły snop światła reflektora poraził go tak, że omal nie zatoczył się do tyłu. Ktoś rzucił przekleństwo, z daleka dobiegły strzępy rozmów, zgasło światło. Z zamkniętymi oczami dostosowywał wzrok do nowych warunków, marząc o ciemności, dopóki hałas z zewnątrz nie ucichł, a pomarańczowy blask wciskający się pod powieki nie przygasł.

Kiedy spojrzał na świat, znowu zobaczył przepaść, lecz wokół niej mrok nocy. Wysoko w powietrzu fruwały szare nietoperze z popiołu.

- Nie ruszaj się stamtąd! - Słowa na tyle głośne, że mogłyby pochodzić od samego Boga, buchnęły z tuby trzymanej przez strażaka na dole. - Nic ci tam nie grozi!

Chłopiec pokręcił głową. Strażak kłamał, a przynajmniej nie mówił prawdy. Ale w sumie, to skąd miałby wiedzieć, jak to tutaj wygląda? Musiałby być na górze.

Życ albo umrzeć, wybór należał do niego. Nie oni wybiorą, on wybierze. Razem z lisem przejdzie nad otchłanią.

Pasza-zade

315

Po drugiej stronie zrujnowanego poddasza płynnym ruchem pięta się w górę, poruszana niezawodną hydrauliką, wysoka drabina. Siedział na niej mężczyzna w ciemnoniebieskim kombinezonie i żółtym hełmie z wyraźnym grzebieniem. Nos i oczy miał zasłonięte przyłbicą z noktowizorem, na plecach zaś dźwigał owalny pojemnik z tlenem, nowoczesny model w kształcie pączka z dziurą w środku. Poruszał ustami, lecz chłopiec nie słuchał jego słów, nie miał na to czasu.

- No to się zbieramy - powiedział.

Pazury wpijały się w ramię, gdy trzymał mocno wczepione w niego zwierzę. Oczywiście, lisek też chciał uciekać, mimo że oznaczało to przejście po żelaznej belce. Nie obwiniał liska za brak entuzjazmu, ale to niczego nie zmieniało.

Stalowy dźwigar nie był stary. Zamontowano go jakieś siedemdziesiąt lat temu, aby wspierał wewnętrzne ściany rezydencji szwajcarskiego handlarza broni, wybudowanej bardziej na pokaz, niż do użytku. Tylko dzięki tej belce skrzydło szkoły się nie zawaliło.

Płomienie błyskały w dole, trzymane w szachu węzami gaśniczymi, lecz jeszcze gotowe kąsać,

wybuchnąć do góry i strawić ostatnie resztki poddasza. Samo życie.

Potrząsnął głową, sfrustrowany. Jasne włosy wpadały do łzawiących oczu. Nie lubił tej szkoły, zawsze chciał się stąd wynieść. Nie rozumiał, na co komu bezsensowne sprawdziany i bieganie w deszcz przez jeżyny. Ale już nawet pal sześć ćwiczenia. Najgorsi byli uczniowie. Ci, którzy nie widzieli tego co on.

Popłakiwał, owszem, lecz sam nie wiedział dlaczego. Może po prostu się bał. Co, nie wolno się bać?

Właśnie że nie wolno. Chłopcy tacy jak on bez zbędnego gadania robili rzeczy zwariowane, imponujące, niemożliwe. Wchodzili na rozgrzaną do czerwoności...

- Dość tego - przerwał mu lis. - Idziemy.

Dźwigar wydawał się lepki, lecz prawda była taka, że topiły się podeszwy pantofli. Gdzie stąpał, tam zostawały czarne ślady. Żar buchał jak z pieca, podwiewając szlafrok, który przypominał sflaczały balon. Nie umywała się do tego nawet fala gorąca, z jaką się zderzył po wyjściu z boeinga na lotnisku w Singapurze.

Jon Courtenay Grimwood

Jego matka fotografowała w tamtym czasie tygrysy. Nie oryginalne singi, którym wyspa zawdzięczała swą nazwę, ale ich następców, sprowadzonych tam przez naukowców i ginących na wolności z braku pożywienia. Reżyser zaproponował, że zapłaci za podróż dziecka, aby chłodny reportaż zyskał ludzkie oblicze.

Jeden krok, skwierczenie. Drugi krok, skwierczenie. Zaraz się znajdzie na samym środku rozpalonej belki. Potem, niestety, będzie już musiał zrobić to, co radził lis. Zresztą, nawet gdyby zechciał się wycofać, jak by się odwrócił? Z równym powodzeniem mógłby ratować pantofle, których stopiona guma parzyła stopy.

Iść dalej, tylko to mu zostało. Ognistej przepaści nie ma. Belka jest zwykłą kreską, którą dla zabawy namalował na podłodze. Albo szczeliną między deskami. Rzeczywistość była taka, jaką chciał widzieć, jaką sam sobie stworzył.

Ze wzrokiem wbitym w dal przytulił do piersi wyrwijącego się lisa, przyłożył policzek do ciepłego futerka i pokonał resztę drogi, do samego końca, prosto na pierwsze strony gazet.

„Lis ratuje chłopca” - tylko „The Enquirer” trafił w sedno.

Strach, łyzy i gra cieni, wszystko to nadało dziecięcej twarzy wyraz udręczonego piękna. Był świętym z obrazów El Greca. Nikt nie zauważył, że za ból widoczny w grymasie ust odpowiada przerażony lis, który wbijał zęby w jego ramię.

Kiedy wyzyskiwana siła robocza szła w Karaczi koszulki ze zdjęciem chłopca, sprzedawane potem na ulicach w Londynie i Paryżu, jego nie było już w szkole. Nie przejmował się zamieszaniem wokół swojej osoby, nie oglądał programów. Miał ważniejsze rzeczy na głowie: myślał już o matce, która osobiście odbierze go z lotniska.

Poleciała do Zurychu pierwszą klasą, liniami Lufthansa. Bilet nic jej nie kosztował, podobnie jak

taksówki i hotele. Dziennikarze czekali na nią na lotnisku Kloten. Zdjęcia, na których chłopca ścisnęła szczupła kobieta w ciemnych okularach i długim, czarnym płaszczu, obiegły świat. Do tego doszło (gdy na moment zatrzymali się u George'a V w Paryżu) parę fotek pstrykniętych przez paparazzich z teleobiek-

Pasza-zade

317

tywami (kiepska jakość, marna głębia ostrości). Nikogo jednak nie dopuszczała do siebie, co uległo zmianie dopiero w Londynie.

W fotelu w studiu BBC na obrzeżach miasta siedział nieznany mężczyzna, który jego matkę nazywał Sally i co chwila zerkał na jej tydki. Z góry na chłopca padało gorące światło, przez co czuł pot na starannie ostrzyżonej głowie. Lisek leżał mu na kolanach, przygwożdżony ręką do szarej flaneli szkolnych spodni.

Spodnie i tweedowa marynarka stanowiły efekt kompromisu. Zobowiązał się mieć na sobie szkolny mundurek podczas wywiadu, a szkoła w Zurychu przyrywała oko na fakt, że nie została uprzedzona o jego odejściu w regulaminowym terminie.

Wszyscy byli zadowoleni... oprócz niego.

Na ścianie w studiu wisiał duży, niebieski ekran. Widzowie w domach będą oglądali na nim to, co sobie zażyczy producent. Na pewno długie ujęcie z chłopcem, który wysoko nad ziemią balansuje na stalowej belce, z twarzą zadartą do nieba.

Prowadzący zapytał, jak się czuje matka, której dziecko jest bohaterem...

Cieszyła się, że uratował lisa...

Co teraz fotografowała?

Zagrożone kolonie fok na Falklandach...

Jakie są ich plany na najbliższą przyszłość?

Spędzą trochę czasu razem. W mieszkaniu u przyjaciela w Nowym Jorku.

Kiedy pierwsza część dobiegła końca, mężczyzna odwrócił się do chłopca, przywołał na usta życzliwy uśmiech i spytał o wspomnienia z wędrówki po belce. Był trochę poirytowany jego zachowaniem, ponieważ producent musiał na chwilę przerwać nagrywanie, gdy dźwiękowiec się poskarżył, że mały gość programu bawi się mikrofonem przypiętym do kołnierzyka.

- No więc?

Co wtedy czuł? Czy czuł cokolwiek? Martwił się głównie tym, żeby jak najmniej myśleć.

- Bałeś się?

Jon Courtenay Grimwood



Tylko tego, że coś się stanie lisowi. Choć solennie przyrzekał sobie, że się nie rozklei, oczy mu się zamgliły i po raz pierwszy od wejścia na drabinę wozu strażackiego zadrżały mu usta.

Jak za dotknięciem niewidzialnego przycisku, z trudem powstrzymywane rozdrażnienie prowadzącego program przerodziło się w serdeczne współczucie. Twarz mu złagodniała. Powtórzył pytanie, przy czym tylko raz spojrział w stronę kamery.

Chłopiec próbował sobie przypomnieć. Nie wiedział, jak się czuje nawet teraz, gdy wszyscy czekali na jego słowa. Matka pobladła i patrzyła na niego z niepokojem.

- Nie mogę zasnąć - odparł wreszcie. Zawsze tak było. Przynajmniej powiedział prawdę. Ciemność ogarniała go bardzo wolno, minuty się dłużyły, jakby spędzał życie w stopklatce.
- No tak, sny - rzekł mężczyzna. - Można się było spodziewać. - Ze starannie wyważoną dozą współczucia popatrzył na matkę Rafa. Zadał jej nieme pytanie.
- Będzie chodził do najlepszego terapeuty dziecięcego w Nowym Jorku.

Mężczyzna pokiwał głową. Zastanawiał się nad swoim następnym pytaniem, czy wypada je zadać. W końcu się zdecydował.

- Co widzisz, kiedy zaśniesz?

Nic, tak powinna brzmieć prawidłowa odpowiedź. Mrok pochłaniający uczucia, tłumiący strach i wyrzuty sumienia. Gdy jednak rozejrzał się po studiu, zrozumiał, że nie takiej odpowiedzi od niego oczekują. Nie zawsze chodziło o mówienie prawdy.

- Płomienie - skłamał. - Widzę tylko płomienie.

W tym momencie producent zrobił małą przerwę. W mon-żołowni potrzebowali czasu, żeby aktor z National Theatre podłożył głos do materiału filmowego przedstawiającego pożar.

Później, w pokoju dla gości, rozkλιwione dziennikarki obcałowywały spiętego chłopca i zachwycały się jego odwagą. On tymczasem zaciskał palce na szklance soku z pomarańczy i zachodził w głowę, czemu nikt nie pyta, co było przyczyną pożaru.

Pasza-zade

1

Uotbzizi 49

1 sierpni\*

Może i coś dałoby się z tego wyłowić. Ze zwierzęcego wycia, które przechodziło w rżenie. Wszakże niemiecka baletnica ani myślała na tym poprzestać. Bardzo chciała się dowiedzieć, dlaczego ją wynajęto, więc uparła się wydusić tę informację od madame Sosostriś. Ta jednak uparcie milczała, bo tylko dzięki uchylaniu się od odpowiedzi jeszcze żyła. Aczkolwiek w ostatnich minutach jej życie zamieniło się w koszmar.

Baletnica z westchnieniem zapaliła następną cleopatrę i mocno się zaciągnęła. Po chwili uleciał z ust cienki wężyk dymu. Zaciągnęła się raz jeszcze i zgasiła papierosa na pępku wrzeszczącej kobiety.

Zara zatkała uszy.

Aszraf nie żył. Ktoś, kogo znała i lubiła, został zamordowany. Lubiła... właściwie to mało powiedziane. Na domiar nieszczęścia, zaciągnęła Hani w pułapkę. Miała łeb na karku, nie brakowało jej odwagi, powinna obmyślać sposoby ucieczki, a jednak...

Najchętniej by się rozplakała. Sama do siebie czuła wstręt, do tego odkrytego w sobie tchórzostwa. A dziewczynka na odwrót, wydawała się na wszystko bimbać; siedząc w kucki z Ali Dinem, okazywała ciekawość tylko w tych momentach, kiedy gasł kolejny papieros.

Na dworze wraz z zapadającym zmierzchem ubywało światła. Nad promenadą pewnie zapalały się latarnie, a w restauracjach rybnych przestawiano stoliki, gdy turyści wychodzili po kolacji, a na ich miejsce przybywali miejscowi z dziećmi. Jej ojciec, sam w swoim gabinecie, zapewne

20

Jon Courtenay Grimwood

popijał whisky z przemytu, przeglądał wiadomości i próbował zapomnieć o troskach. Potrafiła o siebie zadbać - tak będzie sobie wmawiać ojciec, albowiem od pięciu lat, przy każdej sposobności, dawała mu to do zrozumienia.

Przykro jej było, że go zawiodła.

- Nie przejmuj się. - Hani ścisnęła jej rękę. - Raf niedługo przyjdzie.
- Raf nie żyje, skarbie.
- Nie. - Mocno tuliła wiercącego się szmacianego pieska, głaszcząc go po uszach. - On się po prostu spóźnia, jak zwykle...

Obie czekały na brzegu prostej platformy, pełnej schnących korzeni - ni to poddasza, ni to antresoli - zajmującej trzecią część długości budynku, podwieszanej do sufitu i przymocowanej do ściany. Małe okienka, którymi wpadało świeże powietrze, wychodziły na ulicę, lecz nie dało się jej dojrzeć, tak była wąska i tak daleko w dole. Dziewczyny siedziały w miejscu, gdzie dochodziły zdezelowane schody z parteru. Na drugim końcu platformy zwyczajna barierka chroniła nieuważnych przed spadkiem z wysokości.

Światło dawała żarówka podobna do ogromnej kropli wody, ucapiona pętli poczerńniętego z wiekiem kabla. Rozjaśniała pomieszczenie ze wszech miar funkcjonalne. Cierpką woń wydawały tu liście suszące się na płóciennych serwetach i powiązane szorstkim sznurkiem pęki ziół aromatycznych, wiszące pod surowymi krokwiemi. Zielarce takim samym sznurkiem skrępowano w łokciach wykręcone do tyłu ręce. Leżąc na wznak na kozetce, dygotała z szeroko rozchyłonymi kolanami i kostkami przywiązany do łokci. Wygięte ciało przeżyło się w krótkim podkoszulk, który stanowił całe jej ubranie. W Berlinie tę formę przesłuchania nazywano „drażnieniem szczura”.

Im bardziej Zara starała się nie myśleć, co dzieje się na kozetce, tym gorsze podejrzenia podsuwała jej wyobraźnia. Obrzezanie faraoniczne, zwane również infibulacją, było w al-Iskandariji zabronione. Ale też aborcja była zakazana, i co? Chirurgiczny wózek ze srebrnymi tackami mógł być przydatny do obu zabiegów.

Hani nagle kichnęła, podrażniona kurzem.

Pasza-zade

2

Baletnica znieruchomiła.

- Gesundheit! - powiedziała jakby w zamyśleniu, lecz po chwili wróciła do swojego zajęcia, czyli podgrzewania zapalniczką noża sprężynowego.

Szarańczyn, henna, oregano, chili oraz imbir. Ich zapachy zmagaly się z sobą oraz z przemieszaną wonią kminku, kolendry i przysmażanego czosnku, która napływała z ulicznych kramów. Były to wprawdzie silne aromaty, lecz i tak słabsze niż odór strachu, rozchodzący się wokół związanej madame Sosostriś.

- Niech pani jej powie - poprosiła Zara.

Baletnica się uśmiechnęła.

- Proszę - dodała dziewczyna.

- Ja. - Blondwłosa Niemka przyłożyła rozgrzane żelazo do wewnętrznej strony uda skrepowanej kobiety. - Wyjaśnij mi, kto mnie naprawdę wynajął, a daruję ci życie. Chociaż nie obiecuję... - Szarpnęła nożem.

Krew spływała po nogach madame Sosostriś niby szkarłatne łzy.

- To jak, powiesz? - indagowała baletnica.

- Co... chcesz jeszcze? - wystękała madame przez poobijane usta. - Ja cię wynajęłam. Nie wiedziałam, że jest niebezpieczny... Pomyliłam się...

- Nie, to nie byłeś ty. Ktoś dał ci zlecenie. - Obróciła się na pięcie i ostro wpiła palce w bok wyprężonej kobiety. Nie zważała na mocz, który rozlewał się kałużą na śliskiej dermie kozetki i skapywał na ziemię, gdzie razem z krwią wpływał w szczeliny podłogi.

Aż raptem w ciszy między pluskiem kropel Zara usłyszała pukanie na dole. Jazgotliwy dzwonek rozbrzmiał z taką siłą, że nawet baletnica się wzdrygnęła.

- Czekasz na kogoś? - Przybliżyła nóż do oka ofiary.

Madame Sosostriś zaprzeczyła ruchem głowy.

- A ty? - Pytanie zostało skierowane do Zary.

- Nie - odparła dziewczyna.

Baletnica popatrzyła na madame.

- Hm... - odezwała się, słuchając drugiego dzwonka, bardziej natarczywego. - Może i będę mogła cię zabić. Dobra, ty tam!

Jon Courtenay Grimwood

Zara czekała na rozkazy.

- Zrobimy to w ten sposób: idziesz otworzyć drzwi, dziecko zostaje. Jeśli coś sknocisz... - Wykonała szybki ruch nożem, nie pozostawiając cienia wątpliwości, co ewentualnie stanie się z gardłem Hani.

Zara schodziła wolno po zdradliwych schodach. W końcu stanęła przed głównymi drzwiami magazynu. Z jednej strony marzyło jej się wyjście na zewnątrz i zniknięcie w świetle, gdzie na te schody nie trzeba już się wspinać... a jednak, może to i głupie, wolałaby raczej zginąć, niż porzucić Hani.

- Kto tam? - zapytała.

- Ja - odparła lady Dżalila głosem wystraszonym lub gniewnym; stal grubości paru centymetrów nie pozwalała tego dokładnie oszacować. - Otwieraj, szybko! - Pchnęła drzwi i omalże podskoczyła na widok Zaiy. - Gdzie madame Sosostris?

Zara wskazała palcem platformę.

- Przyprowadziłaś Hani?

Oczywiście, że ją przyprowadziła. Przecież właśnie ten adres dostała. Kiwnęła głową twierdząco.

- To dobrze. - Kobieta minęła Zarę i, nie pytając o drogę, dziarsko ruszyła ku schodom. - Zabieram ją z sobą.

- Proszę pani...

- Co znowu?

Dobre pytanie. Zara pomyślała o Hani oraz jasnowłosej kobiecie z gorącym nożem i zimnymi oczami osoby urodzonej daleko na północy. Nic nie powiedziała. Poza tym, coś tu było nie tak. Czemu lady Dżalila pytała o Hani? Jakby dziewczynka mogła gdzieś pójść sama.

- Proszę pani...

- No co? - Jej wzrok spoczął na ciemnych kroplach na podłodze. A ponieważ dziewczyna nic nie mówiła, westchnęła. - Już ja się tym zajmę. - Sięgnęła do kieszeni. - Ty się o nic nie bój.

Wypadki potoczyły się błyskawicznie, wręcz trudne do spamiętania. Zara i Hani w żadnym programie nie widziały akcji tak szybkiej i brutalnej.

Prędkość dźwięku nie jest imponująca, jednak pierwsza kula lady Dżalili poruszała się jeszcze wolniej, wobec czego

Pasza-zade 323

nie była dla baletnicy aż takim zaskoczeniem. Choć kiedy Hani spojrzała w stronę Niemki, jej jasne włosy przestały się już rozsypywać w pióropuszu białych, szarych i czerwonych szczątków głowy.

Pocisk z wydrążonym wierzchołkiem kalibru .33 cala trafił ofiarę tuż poniżej szczęki, przebił miękkie podniebienie i usunął to, co wcześniej zwało się tyłem głowy, wysysając tamtędy krew, kawałki kości i szarą galarete. Wszystko to rozpaćkało się na ceglanej ścianie.

Ułamek sekundy po tym, jak siła rozpedzonej kuli szarpnęła głowę, popuściły pęcherz i jelita kobiety. Wybałuszone oczy patrzyły pustym wzrokiem, a ciało cofnęło się i rąbnęło na podłogę z takim hałasem, że w pustawym budynku rozniosło się echo.

- Środek epoki - mruknęła lady Dżalila, przyglądając się ścianie. - Może nawet faza późniejsza... - Jej wzrok wędrował po poddaszu: ominął Hani ze szmacianym pieskiem, zabitą Niemkę i w końcu przywarł do madame Sosostriś, spętanej jak prosię na kozetce.

- Morderczyni! - rzuciła ze wzdrganiem.

Nim Zara zdążyła zaprotestować, lady Dżalila uniosła rewolwer i trzykrotnie pociągnęła za spust. Pociski trafiły kobietę w tułów, łamiąc żebra. Płuca się zapadły, kiedy pierwsze dwie kule wyrwały szerokie dziury z drugiej strony ciała. Trzecia trafiła z boku w serce i zmiotła ofiarę z kozetki.

Charczenie ustało.

- Wynajęła Niemkę, żeby zabiła Aszrafa - odezwała się lady Dżalila, jakby to miało wszystko wyjaśnić, choć nie wiadomo, czy mówiła do siebie, czy do Zaiy. Podszedłszy do zabitej kobiety, wzięła skalpel z blaszanego naczynia i przecięła szpagat na jej nogach i rękach. Lepki sznurek zwinęła potem w kłębek i schowała do kieszeni. Na koniec wsunęła rewolwer w dłoń zabitej zielarki. - Powiemy na policji, że do siebie strzelały.

To nie była sugestia.

- Zajmę się formalnościami - dodała. - W porządku? - Nie czekając na odpowiedź, podeszła do miejsca, gdzie tuląc pieska z podkulonymi kolanami, siedziała Hani. - Pora do domu, Ali Din.

## 2\_Jon Courtenay Grimwood

Dziewczynka pokręciła głowę.

- Pani ją zabiła - powiedziała, zszokowana.

- Oczywiście, że ją zabiłam - odparła lady Dżalila. - Miałam wybór?

Zara zorientowała się jednak, że dziewczynce nie chodziło o jasnowłosą Niemkę, a o madame Sosostriś. I nagle wszystkie fragmenty układanki znalazły się na właściwych miejscach, Zara odkryła prawdę.

Gorączka, dreszcze, przywidzenia...

- To pióro to zmyła! - palnęła Zara bez namysłu. - Lady Nafisa została otruta. - Olśniło ją. Doskonale wiedziała, jakim sposobem stojąca przed nią kobieta dopięła swego.

Lady Dżalila prędko pochyliła się nad zwłokami zielarki i wzięła swój rewolwer. Następną kulą, którą wystrzeliła, roztrzaskała głowę szmacianemu pieskowi.

Pasza-zade

2

Rorfcrteł so

1 sierpni\*

Zawsze liczył broń. Pochylony nad oknem w kompanii gru-bopalczastych gekonów, przywykłych do jego bezruchu, powtórzył to raz jeszcze. Albowiem liczenie broni miało kapitalne znaczenie w przekonaniu Hu San, zaś wszystko, co mówiła, brał sobie głęboko do serca.

Pistolet automatyczny należał do baletnicy, tylko że ta już nie żyła. Raf słyszał, jak to się stało. Lady Dżalila posiadała rewolwer wystrzeliwujący pociski z prędkością poddźwiękową. Nie stosowała tłumika, ponieważ zakładanie tłumika na rewolwer miało się z celem. Bo czy to będzie pusta plastikowa butelka po coli, przyklejona taśmą do lufy, czy najdroższa, ręcznie toczona wolframowa nakładka, nic tak naprawdę nie zda egzaminu. Fale wstrząsowe zawsze wtargną między bębenek i szkielet broni.

Jeśli chce się wyciszyć działanie rewolweru, należy używać mosiężnych łusek do samodzielnego napełniania i decydować się na słabszy ładunek. Tak właśnie postąpiła lady Dżalila. Czy zrobiła to w celu naśladowania zasad obowiązujących w Thiergarten, tego Raf nie wiedział, ale już sam fakt, że znała się na tym, wykluczał ją z grona amateerek.

Zlikwidowana baletnica miała broń, tak samo jak on i Dżalila... Trzy spluwy... jeśli nie liczyć tej, która dostała mu się po zabiciu tancerza. Podsumowując, były więc cztery nabite pukawki. Ale w jakim stopniu miała mu pomóc ta wiedza, nie do końca wiedział.

- Jeden pistolet to już dużo...

Słowa stare, lecz prawdziwe. W ciepłym, nocnym powietrzu nietoperze za pomocą echolokacji namierzały ćmy, do-

2

Jon Courtenay Grimwood

padając je w locie, przeprowadzając ataki z niemalże chirurgiczną precyzją. Echa pisków odbijały się od okiennic, załamywały się na murach i wpadały przez otwarte okna, by wrócić po paru milisekundach. Dźwięki zimne i tajemnicze niczym melodia odległych sfer.

Daleko w dole myszkował barczysty kocur z pochyloną głową i mięśniami naprężonymi z myślą o pościgu. Nie zdając sobie sprawy z obecności Rafa, przechadzał się wokół porzuconej dżelaby i okularów. Próbował wysledzić paskudztwa pałętające się w śmieciach. Nawet jeśli wiedział o fruujących w powietrzu niby-myszach, wolał się zająć zdobyczą, którą miał na wyciągnięcie pazurów.

Jeszcze jedno miasto w mieście, świat w świecie. Metropolia bezpańskich psów i zdziczałych kotów, szczurów mnożących się pod zbożowymi silosami i myszy gryzących bele bawełny, składowane w porcie przed załadunkiem do kontenerów. Były też pająki, skorpiony i grube, pancerne stonogi, bezpiecznie ukryte przed polującymi na muchy gekonami, które grasowały po ulicach w mglistym

półświatle latarni.

Raf przekrzywił głowę, aby zmniejszyć ból szyi. Samo utrzymywanie ciała w prześwicie między ścianami wymagało sporego wysiłku. Jeśli dłużej będzie tu tkwił, zabraknie mu siły na decydującą rozgrywkę.

Truposzczaku... Dziwne, że facet dał dziecku taką ksyw-kę. Dobrze go pamiętał, jego szwankujące monitory i aparaturę do badania reakcji nerwowych organizmu. Raf nigdy nie miał kłopotów z zapamiętywaniem. Wszystko doskonale pamiętał: swój pierwszy numer identyfikacyjny, wzór marmurowych płytek w szpitalnym korytarzu, tabliczkę nad starym żelaznym hakiem, na którym w szkole wiesział marynarkę. Szkoda, że równie dobrze nie znał siebie... Bał się, że nie ma w nim nic wartego poznania.

Każdy z nas w środku jest pustym człowiekiem... Może teraz, ale nie dawniej, kiedy był po prostu dzieckiem. Ani Anglikiem, ani Amerykaninem. Ani biednym, ani bogatym. I nikt by go nie chciał, gdyby nie pewne właściwości jego umysłu. Bez trudu zdałby ten sprawdzian. Jednak miał nadzieję, że jeśli nie zda, puszcza go do domu.

Musisz się z tym pogodzić, mawiał nieraz lis.

Pasza-zade

327

Srebrny deszcz przestał padać prawie dwadzieścia lat temu. Teraz powinien myśleć o Hani. I o Żarze. Były w środku. Gdy on tutaj, na zewnątrz.

Z pewnością w przeświadczeniu obu dziewczyn już nie żył - także w swoim, takie dni też bywały. Dni, kiedy dziwił się na widok swego cienia i z zaskoczeniem patrzył w lustro, gdzie odbijała się twarz zdeorientowanego człowieka. Na szczęście, takie chwile zdarzały się coraz rzadziej.

Strach minął, wypalił się. Lis również umierał. Teraz musiał sam podejmować decyzje. Pierwszą już za chwilę...

Chwyił się zardzewiałego pręta, do którego kiedyś umocowany był blok, odbił się od ściany magazynu i poczekał, aż siła grawitacji zakołysze nim i wrzuci go do środka przez otwarte okno.

Są rzeczy do zrobienia i ludzie, jakimi trzeba się stać.

Hani wydawało się, że na platformę wskakuje ciemnoszare zwierzę, by przetoczyć się po podłodze i przeobrazić w Rafa. Kiedy wstał, miał już w ręku rewolwer, a na celowniku brzuch lady Dżalili.

- Ty!? - zdziwiła się. - Przecież ty...

- ...nie żyjesz! - dodała Hani.

Raf pokiwał głową, patrząc na rewolwer wymierzony w jego pierś. Mały, elegancki, z perłową rękojeścią i wymyślnym niebieskim wykończeniem, kłócącym się kolorystycznie z ciemnofioletowymi paznokciami dłoni, która go trzymała.

Lady Dżalila uśmiechnęła się i powabnie wykrzywiła swoje pełne usta.

- Kochanie, jeśli mnie zabijesz, ja zabiję ciebie. Szkoda by było, prawda?

Uzmysłowił sobie, że mówiła serio. Nie wyczuł fałszu w jej słowach. Na swój chory sposób cieszyła się ze spotkania z człowiekiem, którego rano zaplanowała uśmiercić.

- Zamordowałaś Felixa - oskarżył ją.

Pokręciła głową.

- Nie, bo nie zrobiłam tego umyślnie. Zginął przez przypadek.

- Myślisz, że się z tego wywiniesz?

- Nie żartuj. Już się wywinęłam. Tak samo nic mi się nie stanie za to, co tu zrobiłam. Tobie też się upiecz. Bo my

2

Jon Courtenay Grimwood

się od nich różni. - Spojrzeniem swoich niebieskich oczu zmierzyła martwą baletnicę, potem zielarkę i na końcu Zarę.

- Ludzie tacy jak ona...

- Co ludzie tacy jak ja!? - oburzyła się Zara.

- ...są do zastąpienia. - Lady Dżalila lekko wzruszyła ramionami. - Skądże ci przyszedł do głowy ten szalony pomysł, że jesteś godna wyjść za pasza-zade?

- A kto powiedział, że chcę?

Lady Dżalila ignorowała jej słowa.

- Wiesz, czego ci brakuje? - spytała, gdy dziewczyna odwróciła się od niej. - Dobrych manier. Ludzie twojego pokroju nic w życiu nie znaczą. Za to Aszraf... Kto wie, z moją pomocą może zostać następnym szefem wydziału śledczego.

Raf badawczo patrzył jej w oczy, aż wreszcie poznał prawdę. Była zdrowo szurnięta, jej odchyły nie mieściły się w skali Richtera. Pewnie miała zaburzenia osobowości, jakieś zwidy, idiotyczne mniemanie o ludziach. Właśnie takiego sprzymierzeńca potrzebował, jeśli chciał się w życiu piąć wyżej.

Dyskretnie kiwnął głową, wskazując krawędź platformy, gdzie światło żarówki ledwie docierało.

- Powiedz mi, Dżalila, co muszę zrobić, żeby dostać robotę Felixa - rzekł cicho, kiedy stanęli w półcieniu. - I ile mnie to będzie kosztować. - Nadal trzymali rewolwery, lecz skierowane lufą w dół.



- Pytasz ile? - Policzyła w głowie koszt pudełka z nabojami, uwzględniła 10% rabatu należnego jej w sklepach państwowych i wynik podzieliła przez pięćdziesiąt. - Jeśli masz na myśli pieniądze, to 35 centów. - Oblizła się po dolnej wardze, zwilżając koniuszkiem błyszczącą szminkę. - A co musisz zrobić? To chyba oczywiste. - Spojrzała na jego broń.

- Mam zabić Zarę?

- To byłoby za łatwe. Sama się z nią rozprawię.

Parter tonął w mroku. Pusty. Niczego tam nie widziała

i niczego nie widział on, choć miał więcej receptorów i lepszą ostrość wzroku.

- Czemu tylko szefem wydziału śledczego? - spytał.

- Czemu nie od razu ministrem policji?

- A co z moim mężem?

- Wypadki chodzą po ludziach. Felix wie najlepiej.

Pasza-zade

29

- Zabiłbyś Muszina, gdybym poprosiła? - Cień zainteresowania przemknął po jej twarzy.

- Czemu by nie? - udał zdziwienie. - Facet nie jest znowu aż taki bogaty. I niewielki z niego pożytek w łóżku. Co masz do stracenia?

Wybuchła śmiechem.

- Daj mi szansę - zaproponował poważnym tonem.

- Może i ją dostaniesz - odparła z wesołością. - Jeśli spełnisz moje warunki.

- Nie widzę problemu. - Otworzył rewolwer, jakby chciał sprawdzić komory nabojoye. Matowoniebieski, lekki, praktycznie niezniszczalny taurus był naprawdę piękną bronią. Ale też bężytecznym przedmiotem z wolframu i tworzyw ceramicznych, gdy wysunąć bębenek. Dawał jej okazję: jeśli chciała, mogła strzelać.

Ona wydawała się jednak rozbawiona.

- Od kiedy wiesz?

O czym? O tym, że Dżalila nie mogła się powstrzymać przed nadaniem swej zbrodni artystycznego akcentu za pomocą pióra?

- Od samego początku. - Skłamał, bo dopiero na pokładzie łodzi VSV domyślił się, że jego ciotkę najpierw otruto, a potem przebito jej serce. Dwie różne metody, dwa różne miejsca, ta sama osoba. A co do tego, kto zabił... Początkowo podejrzewał Generała.

- Wiesz, co w tym jest najśmieszniejsze? - zapytała z iskierkami w oczach.

Nie wiedział-.

- Nafisa była skąpa jak mało kto, ale na płukanko okrężnicy nie żałowała forsy. - Palcem pogłaskała Rafa po wierzchu dłoni. - W końcu nie miałam już wyjścia. Do tego sypiała z moim mężem.

- Czy to był ten powód? Zazdrość?

- Nie... - Kiedy potrząsnęła głową, lśniące loki zafalowały na ramionach i otoczyły anielską twarz. - Choć tym się już zupełnie pogrzyżała.

Przeciągnęła się lubieżnie, napinając na piersiach jedwabną koszulę. Hani i Zara dla niej nie istnieli. Swoje zmysłowe sztuczki kierowała do niego.

0

Jon Courtenay Grimwood

- Więc czemu to zrobiłaś? - ciągnął ją za język.

- Jesienny bal. Każdemu wolno przewodniczyć organizacji C&C najwyżej przez dwie kadencje. Nafisa po piątej domagała się szóstej. Była moja kolej, lecz nie chciała ustąpić... - Westchnęła i się rozpromieniła. - Musisz przyjść, koniecznie. Obiecuję ci, że to będzie najlepszy bal, niezapomniany. Przyjdą wszyscy.

Nafisa broniła się przed ustąpieniem, to jasne. Bo ustępując, musiałaby się przyznać do nadużyć i malwersacji.

Jeśli Dżalila czegoś chciała, nic jej nie mogło przeszkodzić. Raf znał kogoś bardzo podobnego: swoją matkę. Wsunął bębenek z cichym trzaskiem.

- No więc jaką cenę zapłacę?

- Nie zgrywaj się. Dobrze wiesz.

Oczywiście. Chodziło jej o Hani.

- To co, liczymy do trzech? - zaproponowała. - Może być? - Zaciskając palce na rękojeści broni, odwróciła się wolno do Zary. Palec na cynglu czekał tylko na moment. - Raz, dwa...

Ledwie zaczęła wymawiać „trzy”, Raf odciągnął kciukiem kurek rewolweru, obrócił się... i już tylko patrzył na modre oczęta lady Dżalili, wychodzące na wierzch. Jak w zwolnieniu, obcasik załamał się pod nią i zatoczyła się do tyłu. Może i uratowałaby ją poręcz, gdyby Raf nie chwycił ją za kostki i nie przerzucił na drugą stronę.

Czas jakby się rozciągnął, toteż wszystkie zdarzenia trwały dłużej niż w rzeczywistości, łącznie z jej upadkiem. Nawet jeśli żyła w momencie wypadania za barierkę, to głuchy odgłos, z jakim plasnęła o beton, nie pozostawiał w tej kwestii żadnych wątpliwości.

Raf przyjrzał się z góry zmasakrowanym zwłokom, po czym skierował wzrok na dziewczynkę, która siedziała przy przestrzelonym szmacianym piesku i trzymała w rękach dymiący pistolet zabitej baletnicy. Żaden niuans rozmowy nie uszedł jej uwagi. Co wiązało się dla Rafa z pewnym ryzykiem.

- Spudłowałaś! - stwierdził dobitnie. - Rozumiesz?

Hani ważyła tyle co piórko, kiedy do niej podszedł. Doprawdy, sama skóra i kości. Ogarnęła ją tak wielka trwoga, że drżały jej ręce i nogi.

Pasza-zade

1

- Spudłowałaś - powtórzył łagodniej, głaszcząc ją po głowie. - Ja nie spudłowałem. Policjanci powiedzą ci to samo. - Używał możliwie prostych słów z nadzieją, że wystarczy je powtórzyć. - Rozumiesz? Spudłowałaś...

Wyraz niedowierzania z wolna zniknął z jej twarzy, po której zaraz popłynęły łzy. Poderwała swe patykowate ręce i owinęła się jak pyton wokół jego szyi. Mało brakło, a zaczęłyby się dusić.

Gdy po jakimś czasie przestała chlipać, delikatnie rozplótł jej ręce i usiadł pod ścianą, oparty plecami o nierówne cegły.

Życie wreszcie nabrało rumieńców. Oto kim był: Aszra-fem bejem, opiekunem Hani al-Mansur i przyjacielem... Pobiegnął spojrzeniem ku krzywemu oknu, gdzie Zara wpatrywała się w mur naprzeciwko albo obserwowwała - na poły w wyobraźni - nietoperze nad dachami domów. Cóż, może słowo „przyjaciel” nie mówiło wszystkiego.

- Powinieneś z nią porozmawiać - szepnęła Hani, siedząca obok niego z przykurczonymi kolanami, także oparta o ścianę. U jej stóp leżały szczątki Ali Dina. Strzępy ubranka, potrzaskane pamięci, pęknięte soczewki, kawałki zwyczajnych obwodów drukowanych z tworzywa fenolowego. Tylko tyle zostało z jedynego wartościowego dowodu na to, że lady Dżalila przebiła piórem Nafisę.

- Zara?

Ponieważ dziewczyna milczała, westchnął i mozolnie dźwignął się z podłogi. Musiała usłyszeć, że się zbliża, bo ramiona jej znieruchomiały.

- Myślałam, że nie żyjesz - powiedziała. - A potem, kiedy się jednak zjawiłeś, myślałam, że to ja zginę... Naprawdę uwierzyłam w to, że pozwolisz jej do mnie strzelać...

Pod wybijającym się zapachem niedawnego strachu ukrywała się woń wody kolońskiej, lekko zwietrzała i skwaśniała pod wpływem potu. Wolał sobie nie wyobrażać, jak sam cuchnie, nie mówiąc już, jak wygląda.

- Ja też.

Zara natychmiast się odwróciła i ich spojrzenia się spotkały. Ona miała oczy ciemne, genetyczne dziedzictwo fella-hów, jemu zaś dano jasne i chłodne jak poranek... na mocy kontraktu zawartego, zanim się urodził.

332

Jon Courtenay Grimwood

- Przez krótką chwilę, pod sam koniec. - Wzruszył ramionami i rozłożył ręce w geście starym jak

sama ludzkość. - Czasem trzeba uwierzyć, żeby dobrze odegrać swoją rolę.

- I mam się z tym pogodzić?
- No, skoro ja się pogodziłem, to chyba i ty potrafisz.
- I co teraz będzie? - zapytała głosem, którym dawała do zrozumienia, że bez względu na odpowiedź rezerwuje sobie prawo do niewyrażenia zgody.
- Powiemy prawdę.
- Że niby co?
- Powiemy prawdę - wtrąciła Hani ze smutkiem. - Jedyna rzecz, której wszyscy się boją.

Pasza-zade

Epil 05

Hani zatrzymała łyżkę przed ustami.

- Żarze by smakowało...
- Pewnie tak. - Raf zerknął na swoją omegę, która dosłownie po sekundzie rozdzwoniła się, przypominając mu, że powinien już iść.

Pasza-zade Aszraf bej był rozchwytywany. Trzy tygodnie po wstrząsającym zabójstwie lady Dżalili, popełnionym przez szalonego zamachowca z Thiergarten, nadal promieniał sławą bohatera, który z narażeniem życia ocalił od śmierci swoją kuzynkę, Hani al-Mansur, oraz córkę Hamzy efendiego, znanego przemysłowca. Niejedna organizacja charytatywna błagała go, by zasiadł w jej zarządzie. Podobno Japończycy przygotowywali o nim miniserię filmów dokumentalnych. Generał Said Koenig Pasza wydzwaniał do niego dzień w dzień.

Do godziny drugiej po południu miał się zdecydować, czy chce zostać nowym szefem wydziału śledczego.

Tylko Zara się nim nie interesowała - tak samo jak grzeczными, odręcznie pisanymi liścikami, które chedyw wysyłał pod adresem Villa Hamza. Zaledwie przeszła badania wykrywaczem kłamstw, spisano protokół i złożyła pod przysięgą pisemne oświadczenie, w pośpiechu wróciła nad zatokę Glimonopolo. I wcale nie do willi, ale małej altany w terenie. Od tamtej pory tylko raz spotkała się z Rafem: w gabinecie ojca, gdzie stała dumnie wyprostowana, kiedy Raf uprzejmiem odmawiał przyjęcia nagrody za uratowanie dziewczyny, a mężczyzna o niedźwiedziej posturze próbował się nie obrazić.

- Wiesz co? - odezwała się Hani, przełknąwszy kolejną porcję lodów, ręcznie zrobionych ze świeżego mleka, żółtka jajek i lasek wanilii z Karaibów. - Ona do ciebie nie zadzwoni. Ty zadzwoni do niej. Przecież to nie takie trudne.
- Może później...

Jon Courtenay Grimwood

Hani z westchnieniem zajęła się swoim deserem. Niezależnie od tego, jak zimne były lody, gdy pucharek Hani opuszczał kuchnię w Le Trianon, zaczynały się topić, nim dziesięć razy obróciła łyżeczką. Same łyżeczki miały elegancki wygląd, więc mimo wszystko jadła powoli. Jej uwagę przykuwali głównie turyści spacerujący po Rue Missala. Niektórzy uśmiechali się do dziewczynki, siedzącej za sznurem przy stoliku kawiarni. Inni odwracali wzrok w przekonaniu, że dzieciak w ciemnych okularach od Armaniego jest sławną osobą, a towarzyszący jej mężczyzna - osobistym ochroniarzem. Po paru krokach każdy doznawał olśnienia. No tak, to przecież - i tu można by mnożyć - dziecięca modelka Isabella Cloud, wyjątkowo utalentowana skrzypaczka o pseudonimie xTra Sweet, ponoć rzadko opuszczająca swą posiadłość w Wako, czy nawet HRH Yasmine, jedyna kuzynka młodego chedywa.

- To co, zmykamy stąd? - Raf złożył popołudniówkę. Zaprogramował automat do kopiowania wszystkiego na swój temat. Tym razem znalazły się trzy drobne informacje: wysrane z palca, lecz wysoce pochlebne.

- No pewnie. - Kiwnęła głową na pucharek z roztopionymi lodami. - Chcesz trochę? - Dobrze wiedziała, że odmówi.

Przed Rafem wystygła kawa w dwóch małych filiżankach, ale się nie przejmował, tym bardziej że nie była zimna. W al-Iskandarijji w środku lata naprawdę zimne było jedynie to, co wychodziło z zamrażalnika, jak niekończące się dostawy waniliowych lodów.

Przypuszczał, że właśnie ze względu na te lody Hani nalega, by codziennie przychodził z nią do Le Trianon. Mylił się jednak. Jej podobał się zgiełk barwnie ubranych tłumów, które trzymała na dystans zapora ze sznura. A kiedy nie siedziała przy stoliku, przebywała na piętrze w biurze, rozpieszczana tam przez asystenta Rafa, który nagle ukazał swoje drugie, skrywane dotąd oblicze. Okazało się, że wychowywał się z trzema młodszymi siostrami i - rzecz dziwna - wszystkie lubił.

- Dobra - rzekł, gdy po raz drugi ponaglił go zegarek. - Mam cię zaprowadzić do biura?

Najwyraźniej miała co innego w planie, o czym przekonywała jej zde gustowana mina. Samodzielną wędrówkę od

Pasza-zade 335

stolika na piętro traktowała jak dobrą zabawę. Przede wszystkim biuro Trzeciego Rejonu Irygacyjnego dysponowało własną windą. I, czego Hani nie omieszkła zaznaczyć, nie musiała się tu wspinać po linach.

Dziewczynka spisywała się na medal. Raf zawsze proponował jej pomoc z czystej troski. To był nie jej, ale jego problem. Pewnego dnia będzie musiał poluzować, dać jej więcej swobody. I zabronić obżerania się samymi lodami. Na razie miał czas.

- Możesz mnie złapać...

- ...pod komórką. Wiem, wiem. - Hani westchnęła. - W razie czego zadzwonię.

Te słowa równie dobrze mogłaby wypowiedzieć Zara.

- Dzwon śmiało. - Raf odprowadzał wzrokiem dziewczynkę, kiedy zwinnie ominęła dwa stoliki i pogrzyżyła się w mroku klimatyzowanej kawiarni. Nawet jeśli czuła na sobie jego spojrzenie, nie obejrzała się ani razu. - Samochód - rzekł i po krótkiej chwili cadillac należący kiedyś do grubego policjanta zajechał pod krawężnik. Wyróżniał się bielą świeżo umytych opon. - Na posterunek - polecił swojemu szoferowi. - Potem jedziemy do domu.

- Jak sobie życzysz. - Skóra koloru ciemnej czekolady, oczy schowane za lustrzanymi okularami, czarna czapeczka przekręcona na bakier, dredy. Avatar kiwnął głową.

Przyrodni brat Zary w pokątnym warsztacie blacharskim w Karmus kazał zetrzeć z karoserii cały lakier. Potem w innym warsztacie podrasował dwunastocylindrowy silnik. Teraz samochód ryczał potężnie i błyszczał w słońcu jak diabli. Chłopak nalegał na zainstalowanie systemu kwadrofonicznego Blaupunkta; płaskie głośniki chciał umieścić w skórzanej tapicerce drzwiowej. Raf póki co był temu przeciwny, lecz wiedział, że prędzej czy później ulegnie.

- Dzwoniłeś już do mojej siostry? - zapytał Avatar.

Raf pokręcił głową przecząco.

- Zamierzasz do niej zadzwonić?

- Za dziesięć minut mamy być na posterunku - zmienił temat Raf i udawał, że nie widzi szerokiego uśmiechu Avatara.

Dopiero kiedy błyszczący samochód, zamiast skręcić w przecznicę, mknął dalej ulicą Iskander el-Akbar w kierunku

Pasza-zade

i

## PODZIĘKOWANIA

Pragnę podziękować następującym osobom:

Edowi Fńedlanderowi, lekarzowi medycyny sądowej, za odpowiadanie na idiotyczne pytania typu: co się dokładnie stanie, gdy przebijemy serce czymś ostrym.

Wszystkim z rec.arts.sf.science za wyjątkową tolerancję na ostrzał pytaniami o manipulacje genetyczne, grawitację i paskudne efekty uboczne przebywania w próżni (wiem, to już było parę lat temu).

Nieznanemu mi z imienia islamiście za poszerzenie mojej wiedzy o suizmie. Wybacz, ale mój Packard Hell P3 pożarł wszystkie dane.

Redakcji „New Scientista” za dobrą robotę.

Dickowi Jude'owi, eks-szefowi Forbidden Planet z New Oxford Street, za spojrzenie łaskawym okiem

na NeoAddixa i opinię, że jest w branży wydawniczej miejsce na kategorię „cudactwa

Lunchowej ekipie z Upper Street, do której zaliczają się - między innymi! - Pat Cadigan, Paul McAuley, Kim Newman i (Jay) Russell Schechter.

Johnowi Jarroldowi - superwydawcy, pijusowi, skarbnicy cytatów z Szekspira.

Mic Cheetham, która doprowadziła do podpisania umowy.

Martinowi (Thraxasowi) Mil lar owi, którego powieść Milk, Sulphate and Alby Starvation służyła mi za atlas samochodowy do późnych lat 80.

Peterowi Sherwenowi, który przemarzył na estradzie w Bergen, a potem rozbił się moim motocyklem w Maroku i postanowił wrócić nim do Londynu, twierdząc, że „widelec jest tylko trochę zgięty

338

Jon Courtenay Grimwood

Oczywiście, rodzicom.

Jak również hinduskim kaplicom, buddyjskim świątyniom, bezludnym plażom na Dalekim Wschodzie, a nawet cholernym francuskim zameczkom. Bez was nie byłoby tej powieści. Traktujcie to jak komplement.